

# Wiktorija zona Alberta

Bidwell George



calibre 0.9.43

**GEORGE BIDWELL**

**WIKTORIA ŻONA ALBERTA**

# PROLOG

Pałac kensingtonski w Londynie. Maj, rok 1836. Zimny deszcz, gnany ostrym, południowo-zachodnim wiatrem, siecze ukośnie powierzchnię wody w ozdobnej sadzawce, bębni na szklanym dachu oranżerii, spływa strugami po szybach okien pałacowych budynków z czerwonej cegły. Wydaje się, jakby pogoda chciała koniecznie odstraszyć gościa od obcej ziemi - jak wtedy, trzysta lat wcześniej, gdy do angielskich brzegów przybijał królewicz Filip hiszpański, by starać się o rękę królowej Marii.

W tej zimnej ulewie ulicami Londynu jedzie kareta, zaprzężona w cztery dorodne, lśniące, karę konie. Przypadkowi przechodnie nie przeczuwają roli, jaką odegra młody mężczyzna, bacznym okiem mierzący obce sobie widoki przez zachlapaną błotem szyby powozu. Kareta wiezie księcia von Sachsen-Coburg i jego dwóch synów, książąt: Ernesta, dziedzica tytułu, i Alberta.

Z wysokich okien pałacu cztery osoby niecierpliwie wypatrują karety, podjeżdżającej wreszcie po przemokniętym żwirze alei, między zielenią gazonów, równych i gładkich jak bilardowy stół, gdzie krótko przycięte źdźbła trawy - one jedyne w całym otoczeniu - z rozkoszą witają ulewę i stają się jeszcze intensywniej zielone pod wpływem jej szorstkich pieszczot.

Czekające cztery osoby w pałacu to księżna Kentu, z domu księżniczka sasko-koburska, wdowa po czwartym (prawowitym) synu króla Jerzego III angielskiego i bracie obecnie panującego monarchy, Williama IV; obok niej Sir John Conroy, posiadający oficjalny tytuł ochmistrza dworu księżnej, a nieoficjalny - jej kochanka; baronowa Lehzen, córka pastora z Hanoweru, guwernantka i przyjaciółka czwartej z niespokojnie wyczekujących osób, dla której już przyszykowała ukrytą w fałdach sukni buteleczkę z solami trzeźwiącymi; wreszcie osoba czwarta, siedemnastoletnia dziewczyna, ładna, zgrabna, niska, jeszcze blada i szczupła po niedawno przebytej chorobie, dziewczyna o brązowych włosach i oczach swojej matki, o charakterystycznym, zdradzającym upór owalu twarzy - księżniczka Wiktoria.

Młodociana księżniczka zdaje sobie doskonale sprawę ze znaczenia wizyty nadjeżdżających gości. Pozbawiona od dawna ojca, serdecznym uczuciem obdarza od dzieciństwa ukochanego wuja, króla Leopolda belgijskiego, najmłodszego z braci matki, z którym utrzymuje stałą, bardzo obszerną korespondencję. Król Leopold życzy sobie, by jego siostrzenica poślubiła młodszego ze swych dwóch kuzynów. Wiktoria niecierpliwie wyczekuje tej wizyty, jak oazy na pustyni swego cieplarnianego życia, w którym tak mało jest wydarzeń i rozrywek. Książę Albert - z którego wygalowana służba w wielkim hallu pałacu Kensington zdejmuje właśnie wysoki kapelusz i ciężki płaszcz podróżny z aksamitnym kołnierzem - od najwcześniejszej młodości przywykł do myśli, że ma poślubić tę księżniczkę i kuzynkę, o trzy miesiące od niego starszą, w której żyłach płynie więcej krwi niemieckiej niż angielskiej.

Nie będzie to jeszcze wizyta oficjalnie rozpoczynająca konkury - raczej rekonesans obustronny.

Nie bez kłopotów udało się do tej wizyty doprowadzić. Bezdzienny król William, przekroczywszy siedemdziesiąty pierwszy rok życia, doszedł do przekonania, że mało jest prawdopodobne, aby mógł jeszcze spłodzić dziedzica tronu ze swą czterdziestokilkuletnią małżonką, królową Adelajdą, księżniczką von Sachsen-Meiningen. Wyzaczył więc następczynią tronu młodszą księżniczkę Wiktorię, którą osobiście bardzo lubił, a zarazem powziął własne poglądy co do tego, jaki powinien być oblubieniec przyszłej monarchini. Próbował więc wzbronić przyjazdu do Anglii księżtom sasko-koburskim, co wywołało ostrą wymówkę ze strony tak zwykle gładkiego i dwornego premiera rządu, lorda Melbourne i sarkastyczną uwagę Leopolda belgijskiego w liście do siostrzenicy: „Teraz, kiedy niewolnictwo zostało zniesione w brytyjskich koloniach, nie rozumiem, dlaczego właśnie ty jedna masz być w Anglii traktowana jak mała, biała niewolnica kaprysów dworu”. Wiktoria, przywiązana do wuja, martwi się jego irytacją.

Ale wreszcie przyjechali, wreszcie już tu są, ci bardzo interesujący kuzyni, idą już szerokimi schodami do wielkiego, zastawionego stoliczkami i wyściełanymi pluszem krzesłami salonu, o ścianach zapelnionych rzędami luster i rzeźb nad sofami o złożonych nogach. Powitania księżniczki są nieśmiało i pełne wdzięku, młodego księcia - sztywne, formalne.

Ale nieśmiałość i sztywność szybko znikają. Wieczorem, kiedy księżna Kentu, jej ochmistrz, książę sasko-koburski i starsi goście rozprawiają o polityce i o ewentualnym wstąpieniu Wiktorii na tron, młodzi oddają się muzyce, która niebawem przełamie bariery obcości. Rozmawiają wesoło, a dowcip i inteligencja Alberta od razu ujmują księżniczkę. Bez zastrzeżeń już zgodzi się dostosować do woli tego, którego uważa za najmądrzejszego mężczyznę, jakiego dotąd w życiu spotkała - wuja Leopolda. W regularnie prowadzonym dzienniczku zapisze tego dnia:

„Ernest... ma ciemne włosy i piękne, ciemne oczy i brwi, ale nos i usta nieładne... Albert jest bardzo przystojny: jego włosy są prawie takiego samego koloru, jak i moje; oczy ma duże, niebieskie, nos bardzo piękny, śliczne usta i zęby: ale największym urokiem jest wyraz jego twarzy, naprawdę czarujący: c'est a la fois dobroć i słodycz, rozum i inteligencja. Obaj moi kuzyni... mówią po angielsku bardzo dobrze”.

Jako odpowiednią do tej wizyty sposobność wykorzystano urodziny Wiktorii, która dnia 24 maja kończyła siedemnaście lat. Uroczystości psuła pogoda, uporczywie zimna i deszczowa. I kuzyn Albert, przyzwyczajony wcześniej kłaść się do snu i długo sypiać, męczy się szybko i zaczyna niedomagać. W wilię urodzin jest chory. Zwleka się z łóżka, by przybyć na uroczysty bal urodzinowy w pałacu Św. Jakuba, ale w pewnej chwili blednie, prawie mdleje i musi wrócić do Kensington. Wiktoria obserwuje go ze współczuciem, ale i z pewnym niepokojem. W dwa dni później Albert czuje się już lepiej, ale na jednym z późniejszych bali, których nie brakowało w ciągu trzytygodniowej wizyty kuzynów, znowu dostaje zawrotu głowy i musi opuścić zabawę.

Spokojne wieczory kensingtonskie lepiej Albertowi odpowiadają. Książęta sasko-koburscy są muzykalni, dobrze grają na pianinie, kiedy indziej zaś, siedząc na sofie po obu stronach Wiktorii, podziwiają ze znanstwem jej kolekcję sztychów - i jej własne rysunki, nie pozbawione pewnego talentu. „Zwłaszcza Albert je podziwiał” - notuje młoda dziewczyna w swoim dzienniczku, któremu zwierza się dalej, że obaj kuzyni odznaczają się wrodzoną inteligencją. I znowu: „zwłaszcza Albert, który więcej ma powagi i statku”. Ale Albert jest także „wesoły i szczęśliwy, jak powinni być młodzi” i bawi się z jej psem, spanielem Dashem.

Te pierwsze próbne konkury, zaaranżowane przez matkę i wuja, kończą się dla Wiktorii o wiele za prędko. Znowu stoi w oknie pałacu kensingtonskiego, tym razem powiewając chusteczką,

przesyłając od ust pocałunki. „Pożegnałam obu moich kuzynów bardzo serdecznie... i płakałam bardzo, bardzo gorzko”. Nie będzie też zwlekała z napisaniem do wuja Leopolda i podkreśli, o ile więcej podoba się jej młodszy kuzyn, opowie też o jego słabowitym zdrowiu, o potrzebie częstego wypoczynku. „Pozostaje mi tylko błagać cię, najdroższy wuju, żebyś zatroszczył się o zdrowie tego, który jest teraz tak mi bliski i drogi... Natura obdarzyła go wielkimi przymiotami, których trzeba, by mógł mnie uczynić doskonale szczęśliwą.”

Albert nie przelał na papier wrażeń ze swego pierwszego spotkania z tą, którą od dawna uważał za przeznaczoną mu żonę. Nie wiadomo, czy uznał Wiktorię za posiadającą wszelkie zalety, potrzebne, by uczynić go doskonale szczęśliwym. W każdym razie nie zniechęcił go niegościny, zimny i wilgotny klimat Anglii: nie miał po ślubie uciec z powrotem, jak jego hiszpański poprzednik, Filip, który po dopełnieniu małżeństwa czym prędzej wrócił do ojczyzny. Alberta wychowano w rygorach surowej obowiązkowości. Doskonale szczęście - w odróżnieniu od pozornie idealnej małżeńskiej sielanki - nie czekało go w przyszłości. Przeszkodziła temu raczej ta rygorystyczna obowiązkowość, która zmuszała jego słabowite ciało do pracy nad siłą, niż usposobienie żony, która miała przeplatać histerycznymi i histrionicznymi wybuchami swoją wielką, wyrażaną z taką emfazą, miłość do niego.

Ale na razie wydarzenia najbliższych lat pochłoną całkowicie Wiktorię i wypędzą z jej myśli „zwłaszcza Alberta”. Kiedy ponownie będzie mowa o nim, jako jej przysłym małżonku, Wiktoria odpowie, że małżeństwo jest „odstręczającą alternatywą”, że może już lepsze jest przykre życie z matką, natrętą i wiecznie obrażoną. Napisze też do wuja Leopolda, że czuje „wielką odrazę” do zmiany swego panińskiego stanu.

Może jakiś ostrzegawczy głos powiedział jej, że chociaż wyznaczony mu okres życia będzie stosunkowo krótki, „zwłaszcza Albert” owładnie nią całkowicie, wymaże wdzięczniejsze zalety jej charakteru, wyolbrzymi cechy mniej miłe, zdusi jej przyrodzoną wesołość i towarzyskość, wtłoczy jej umysł - o poglądach szerokich i swobodnych za młodu - w ciasne koleiny purytanizmu; udzieli jej własnych, autokratycznych skłonności. Może młoda dziewczyna dostrzegła tę wizję przyszłej Wiktorii, tak przerażającej, że jej własny syn, mężczyzna w średnim wieku, będzie się krył przed nią w trwodze za kolumną, jeśli zdarzy mu się spóźnić na jakąś dworską uroczystość - przyszłej Wiktorii, której osobiste cechy charakteru i umysłu właściwie zanikły i która stała się kobiecym echem Alberta von Sachsen-Coburg-Gotha.

*Część pierwsza*

ZAKŁĘTA KSIĘŻNICZKA

# Rozdział I

## WYŚCIG DO KOŁYSKI

Dziwaczny wyścig, który rozpoczął się śmiercią i zakończył też śmiercią - wygrywającego.

Wiosną roku 1816 księżniczka Charlotta, wnuczka obłąkanego króla angielskiego Jerzego III i córka księcia regenta, który niebawem miał zostać królem Jerzym IV, wychodki za mąż za młodego księcia niemieckiego Leopolda von Sachsen-Coburg. Książę regent nie ma prawowitego dziedzica płci męskiej. Na nowo poślubionych spada więc obowiązek zapewnienia sukcesji tronu. W siedemnaście miesięcy później cała Anglia z niecierpliwością wyczekuje... i - katastrofa! W październiku 1817 roku księżniczka Charlotta umiera, wydawszy na świat martwe dziecko.

Gdzie teraz książę regent - pięćdziesięciosiedmioletni, otyły i nienawidzący swej żony Karoliny - będzie szukać dziedzica tronu? Braci ma pod dostatkiem, ale już niemłodych. I nieślubnego potomstwa żadnemu z nich nie brak, ale ani jednego dziecka z prawowitego łoża. Czterech trwa w stanie bezzennyn. Z pięciu sióstr dwie są zamężne i bezdzietne, trzy pozostałe przekroczyły już czterdziestkę. Co prawda, książę regent osobiście nie przejmuje się sprawą, która dojdzie do krytycznego stanu dopiero po jego śmierci, ale parlament, od lat wypłacający spore apanaże królewskim braciom, żąda, by zechcieli oni w zamian wziąć teraz udział w „wyścigu do kołyski” i spłodzić dla Anglii dziedzica tronu.

August książę Sussex odmawia wręcz. Żyje od wielu lat w szczęśliwym stadle ze swoją kochanką i nie wypędzi jej teraz ani dla apanaży, ani dla względów dynastycznych. Najstarszy z trzech, którzy staną do wyścigu, William książę Clarence, nie żywi takich skrupułów i rozstawszy się z aktorką, z którą żył od lat i która urodziła mu kilkoro dzieci, poślubia w maju 1818 roku Adelajdę, księżniczkę von Sachsen-Meiningen. Adolf książę Cambridge, stale przebywający w Hanowerze, żeni się z dwukrotną wdową, Augustą księżniczką von Hesse-Cassel. A Edward książę Kentu odtrąca Mademoiselle Julie de Laurent, z którą żył przez dwadzieścia pięć lat i która schroni się do klasztoru, i również zacznie szukać partnerki do wyścigu do kołyski.

Znajduje ją w osobie trzydziestodwuletniej Wiktorii, księżniczki sasko-koburskiej, wdowy po księciu Emrichu von Leinin-gen, siostry księcia Leopolda belgijskiego, późniejszego króla. Oblubienica zgadzała się zostać klaczą rozplodową w interesie hanowerskiej dynastii w Anglii, ale miała jedno zastrzeżenie: obżałowywała gorzko utratę „*Zwanzig Tausend Gulden*”, którą to sumę otrzymywała rocznie jako rentę wdowią i traciła w razie powtórnego zamążpójścia. Edward odtrąca niedbale to zastrzeżenie, zapewniając, że w razie ich ślubu parlament angielski natychmiast doda 25 000 funtów szterlingów do jego obecnej pensji, która nie uchroniła go jakoś do tej pory od zabrnienia w poważne długi.

Dnia 11 lipca 1818 roku odbywa się w Anglii ślub tej par;, którą trudno by nazwać romantyczną. Książę, o dwadzieścia lat starszy od swej narzeczonej, jest łysy, ma podwójny podbródek, na jego okolonej bokobrodami, tęgiej i nalanej twarzy gości stale wyraz arogancji. Oblubienica, chociaż o

jasnej cerze i pięknych brązowych włosach, roztyła się bardzo po urodzeniu dwojga dzieci swemu pierwszemu mężowi. Jej nazbyt obfite wdzięki zachowały jeszcze nieco urody, ale piękną nie jest i nigdy nie była. Ceremoniał ślubu wydrukowano w dwóch językach: angielskim i niemieckim, bo księżna nie zna ani słowa z języka singtońskim - książe regent nie kryje swojej pogardy dla brata i niechęci do bratowej - nikt nie może powiedzieć, aby zwycięzcy w biegu do kołyski nie otoczyli dziecka pieczołowitą opieką. Księżna gorszy damy dworskie, upierając się, by samej karmić dziecko, zamiast nająć mamkę, jak to jest w zwyczaju. Dumny ojciec asystuje przy tych ceremoniach, oczarowany „czynnością niezwykle interesującą w swej naturze”, a później kołysze niemowlę do snu, śpiewając niemieckie kołysanki. Od niemowlęctwa słysząc dookoła język niemiecki i rozpoczynając się uczyć angielskiego dopiero po ukończeniu trzech lat, Wiktoria przez całe życie będzie mówiła po angielsku bardzo prawidłowo, ale z precyzją i starannością, które znamionują raczej język wyuczony, niż przyswojony od pierwszych słów.

Atmosfera komedii, nawet farsy, nigdy jakoś nie opuszcza tej książęcej pary. Brat Jerzy, nie pomijając sposobności dokuczenia Edwardowi, oznajmia, że będzie asystował przy ceremonii chrzcin dnia 24 czerwca. Książe Kentu zdaje sobie sprawę, że blask jego własnej osoby zostanie przyćmiony jaśniejszym blaskiem księcia regenta. Istotnie, będzie to nawet całkowite zaćmienie. Książe regent również zadecyduje, że ojcem chrzestnym ma być Aleksander, car Wszechrosji.

Przed chrzcielnicą arcybiskup Canterbury zapytuje, jakie imię ma nadać dziecku. Edward musi milczeć, bo decyduje o tym książe regent. Książe regent najpierw długo się zastanawia, wreszcie oznajmia:

- Aleksandryna.

Edward nerwowo podpowiada, żeby dodać jeszcze drugie imię; może Elżbieta? Ale książe regent zdecydowanie odrzuca imię Elżbieta. Arcybiskup czeka. Wreszcie książe regent ustępuje:

- No, dobrze. Niech ma drugie imię. Po matce. Ale Aleksandryna musi być pierwszym imieniem.

Tak też ją ochrzczono: Aleksandryna Wiktoria.

W dwa miesiące później, dnia 26 sierpnia, szwagierka księżnej Kentu, księżniczka Luiza von Gotha, żona księcia sasko-ko-burskiego, wydaje na świat w Rosenau drugiego syna, nazwanego Albertem. W pałacu krążą złośliwe plotki o pochodzeniu tego dziecka. Małżeństwo jego rodziców miało charakter wyłącznie dynastyczny: chodziło o połączenie księstwa sasko-koburskiego z księstwem Gotha. Księżna Luiza ma charakter frywolny i ponoć pozwala swemu szambelanowi, przystojnemu hrabiemu von Meyer, o mieszanym niemiecko-węgiersko-żydowskim pochodzeniu, na poufałości o wiele większe, niżby to wynikało z jego szambelańskich obowiązków.

Książe sasko-koburski odplaca żonie pięknym za nadobne i z zupełnym zadowoleniem przyjmuje dwóch synów, którzy ostatecznie połączą w jedno oba księstwa. Jest zajęty własnymi, pozamałżeńskimi amorami, więc plotki go nie wzruszają. Syn urodzony pod jego dachem z jego żony, będzie jego synem.

Na Boże Narodzenie tego samego roku wywożą rodzice malutką Wiktorię do Sidmouth na południowym wybrzeżu Anglii. Morskie słone powietrze ma być szczególnie zdrowe dla matki i dziecka w okresie odstawiania od piersi. Co więcej, w małym miasteczku można się tanio urządzać.

Książe przeziębiał się w czasie podróży z Londynu. Dumny ze swego czerstwego zdrowia (często zwykł przechwalać się: „Przeżyję wszystkich moich braci; korona przejdzie na mnie, a później na moje dzieci!”), próbuje leczyć przeziębienie długimi spacerami, wdychając ostre i zimne powietrze morskie. Kuracja okazuje się zawodna. Książe musi położyć się do łóżka, ma ciężki oddech i wysoką



gorączkę.

Księżna pielęgnuje go troskliwie. Ale wkrótce jest widoczne, że ani jej opieka, ani specyfiki lekarzy nie przydadzą się na nic. Wysłano wezwanie do księcia Leopolda, który przyływa ze swoim posepnym cieniem, doradcą - szwedzkim baronem Christianem Stockmarem. Przybywają jeszcze w porę, by namówić umierającego do sporządzenia ostatniej woli. Jednym z wykonawców testamentu księżę wyznaczył swego koniuszego, Johna Conroya - ciemnowłosego, przystojnego mężczyznę o wielkim orlim nosie, sprytnego intryganta i kobieciarza. Bezwzględności, wyrażanej zaciśniętymi wargami Conroya, Wiktoria będzie musiała w przyszłości przeciwstawiać własny upór, malujący się już w jej stanowczym podbródku.

Księżę Edward umiera dnia 23 stycznia 1820 roku. Brak pieniędzy nawet na przewiezienie księżnej z dzieckiem - które jest teraz o jeden szczebel bliższe tronu - i służbą z powrotem do Kensington. Księżę Leopold musi sfinansować tę podróż i z własnej szcudropliwości wyznacza siostrze roczną rentę w wysokości 3000 funtów szterlingów.

Nim minie styczeń, obłąkany król Jerzy III zamieni świat swoich halucynacji na wieczne ciemności. Ojciec i syn zostają pochowani w rodzinnych grobowcach w podziemiach zamku Windsor. Nawet w obliczu śmierci ulotny duch farsy nie da spokoju księciu Kentu. Jego znacznych rozmiarów trumna nie może się zmieścić w przejściu grobowca. Marynarze, którzy niosą ją na ramionach, przepychają ją wreszcie z największym trudem przy akompaniamencie pomrukiwanych przekleństw, niezbyt stosownych w tej podniosłej chwili.

Dużo podówczas śmierci i narodzin, które miały się utrwalić w ludzkiej pamięci. Dnia 12 maja we Florencji, w mieszczańskiej, podróżującej po świecie rodzinie angielskiej przychodzi na świat córka. Rodzice, William i Franciszka Nightingale, nazwą dziecko od imienia miasta - Florence. Przeznaczeniem jej będzie sława większa i bardziej zasłużona od tej, która otoczy imię córki księstwa Kentu, poczętej w wyścigu do tronu.

Księżniczka Wiktoria rozpoczyna teraz egzystencję pólsieroty. Przez szereg lat będzie w nieustannych kłopotach finansowych - częściowo z powodu lekkomyślnego szafowania funduszami księżnej przez Conroya, który otrzymał tytuł szlachecki i urząd ochmistrza jej dworu. Księżna chciałaby nawet zaraz po pogrzebie powrócić do zacisza Amorbach z małą córeczką, którą na swój przesadny i teatralny sposób adoruje: „*C'est mon bonheur, mes delices, mon existence*”<sup>\*/</sup> To moje szczęście, moja pociecha, moje życie.]. Ale księżę Leopold stanowczo odradza jej taki krok. Mała księżniczka, która może odziedziczyć tron, musi się wychowywać, tak jak się urodziła, na ziemi angielskiej.

Z początkiem następnego roku druga córka księżnej Clarence umiera w trzy miesiące po urodzeniu. W kraju wzrasta zainteresowanie dwuletnią córeczką księżnej Kentu. Rada księcia Leopolda, udzielona siostrze, była dobra. I on sam, bezdzietny wdowiec, coraz więcej interesuje się swoją siostrzenicą, jak też jego nieodstępny doradca baron Stockmar. Wuj Leopold będzie pierwszym z wielu opiekunów, których Wiktoria obdarzać będzie gorącym przywiązaniem, nie mniejszym niż było jej uczucie do własnego ojca.

## Rozdział II

### „JA NICZEGO NIE MUSZE”

Trzyletnia Wiktoria jest pulchna, a gdy się śmieje, w jej twarzyczce tworzą się urocze dołeczki. Jasnobrązowe, wijące się włosy nosi z przedziałkiem pośrodku, różowe usta układają się w łuk Kupidyna, ale chwilami zdradzają niebezpieczny upór, niebieskie oczy to spoglądają z dziecięcą słodyczą, to znowu błyszczą niepohamowaną złością. Za bramami pałacu kensingtońskiego istnieją dzielnice nędzy i głodu, mężowie stanu zmagają się z problemami społecznymi i międzynarodowymi, ale ci, którzy żyją wewnątrz pałacu, mało o tym wiedzą. Dla nich najważniejszą sprawą i troską na dziś jest opieka nad małą księżniczką, a na jutro - perspektywy jej przyszłości.

Dziewczynka jest ulubienicą swoich bliskich - uwielbia ją owdowiała matka, rozpieszcza przyrodnia siostra Feodora, psują damy dworu księżnej. Trudno się dziwić, że mała wyzyskuje adorujące ją kobiety. Wpada w niepohamowaną złość, jeśli tylko ktoś sprzeciwi się jej woli, tupie nóżkami i oznajmia, że nigdy nie będzie się uczyła liter alfabetu. Zaraz potem płacze i ma wyrzuty sumienia - ale o nauce alfabetu nikt już nie wspomina. Jeżeli przywilejem monarchy jest spełnianie jego wszelkich zachcianek - to Wiktoria jest już królową.

Jednakże gdy kończy piąty rok życia, w jej otoczeniu pojawia się nowa twarz. Nowo przybyła przywiąże się do Wiktorii nie mniej od innych osób w pałacu kensingtońskim i także będzie gotowa zaspokajać jej zachcianki, ale dzięki sprytowi i zręczności w narzucaniu dyscypliny, potrafi zdobyć pewien autorytet w oczach tego dziecka, o usposobieniu histrionicznym, często przechodzącym w histerię, i którego napady złości bywają przerażające. Tą nowo przybyłą jest Fraulein Louise Lehzen, dawna guwernantka Feodory, córka luterańskiego pastora z księstwa Koburg.

Fraulein Lehzen, niebawem obdarzona tytułem baronowej, ma ciemne włosy, na których stale nosi ohydny czepeczek, ozdobiony wstążkami i kwiatami, białą cerę, szerokie czoło, oczy błyszczące i czujne, nos ostry, cienki, sprytny, wargi wąskie. Jest kobietą nerwową, cierpi na częste migreny i kurcze. Dwór odnosi się do niej z niechęcią, wyszydając ją poza plecami. Wytwornym damom dworu księżnej - a zwłaszcza jednej, lady Florze Hastings - wydaje się, że maniery Fraulein pozostawiają dużo do życzenia, jeśli ma być guwernantką księżniczki. Gorszą się zwyczajem Fraulein posypywania chleba z masłem, kapusty, a nawet pieczeni kminkiem, przysyłanym specjalnie dla niej z Hanoweru. Jednakże nawet ów nieszczęsny kminek nie przeszkodzi zręcznej guwernantce opanować Wiktorii, co oczywiście nie wpłynie korzystnie na popularność Fraulein w pałacu kensingtońskim. Dziecko, które nie chciało się uczyć alfabetu, niebawem powtarza potulnie literki. Recepta była prosta: połączenie stanowczości z prawdziwym, nieegoistycznym przywiązaniem. Fraulein Lehzen bardzo szybko zorientowała się, że jej pupilka, chociaż nie ma chęci do nauki, posiada jednak żywą wyobraźnię i wiele energii. Kiedy księżniczkę ubierają, guwernantka czyta jej co rano na głos proste opowiadki historyczne. Niebawem Wiktoria sama układa opowiadki, których bohaterami są postaci historyczne - i przy tej sposobności zdradza przed bystrą opiekunką, co dzieje się w jej umyśle.

Nieco później miejsce prostych opowiadań zajmą poważniejsze ustępy z dziejów. Tak baronowa Lehzen położy podwaliny zamięłowań historycznych Wiktorii, które pozostaną jej już na zawsze.

Od baronowej przejmie również księżniczka inną jeszcze namiętność, która przetrwa do końca jej długiego życia - kolekcjonowanie bibelotów, pamiątek, osobliwości. Zaczęło się od ubierania małych, drewnianych laleczek w różne stroje ze szmatek, by mogły przedstawiać postaci historyczne albo śpiewaków operowych. Ukochaną laleczką jest szesnastowieczny hrabia Leicester, faworyt królowej Elżbiety, przystrojony w bufiaste spodnie, koronkową kryzę i czarny, aksamitny kapelusz z piórami. Następną pasją będzie kolekcjonowanie tekturowych pudełeczek, dekorowanych malowanymi i muszelkami, później skrawków jedwabi, adamaszków, brokatów, koronek. Mała Wiktoria stanie się kolekcjonerką bezwartościowych drobiazgów, by później, jako królowa, stworzyć modę, rozpowszechnioną zwłaszcza w średnich klasach społeczeństwa, na wypełnianie każdego wolnego miejsca w pokojach stoliczkami, a każdego wolnego miejsca na stoliczkach bibelotami i zawieszania ścian kiczami i fotografiami oprawionymi w ramy z muszelek. Jest to wkład córki koburskiego pastora, amatorki kminku, w styl dekoracji wnętrz angielskich dziewiętnastego wieku.

Lata dzieciństwa Wiktorii są świadkami wyjątkowej nędzy robotników: mieszkają w opłakanych warunkach, ich płace ledwie wystarczają na najniższe utrzymanie. Fabryki się mnożą, wiek pary świta, powstają pierwsze koleje żelazne. Liczne grupy ludności, pozbawione możliwości utrzymania się na wsi, gdzie o pokolenie wcześniej wielkie posiadłości ziemskie wchłonęły samodzielne gospodarstwa chłopskie, odpływają do powstających na fali rewolucji przemysłowej ośrodków. Żądni szybkiego zarobku przedsiębiorcy budują masami tandetne kamienice czynszowe, które niebawem tworzą całe dzielnice nędzy, tragiczne „slumsy”. Na wsi wszechwładni właściciele ziemscy, będący często również urzędnikami i sędziami, wtlaczają najemników rolnych w warunki życia, zbliżone do niewolnictwa. Ta sytuacja doprowadzi w roku 1830 do wybuchu ostatniej w Anglii rewolty chłopskiej - manifestującej się paleniem stogów i dworów, niszczeniem narzędzi rolniczych, wypędzaniem ze wsi znienawidzonych rządców i w ogóle terroryzowaniem ziemiaństwa, które zażąda wojska dla ochrony.

Powszechne jest narzekanie na cła na importowane ziarno, które przyczyniają się do dobrobytu ziemian, ale pozbawiają biedniejsze warstwy nawet codziennej kromki chleba. Katolicy burzą się i domagają równouprawnienia, które zapewni im wreszcie książę Wellington, jako premier rządu; protestanci żądają zniesienia niewolnictwa w Afryce, a klasy średnie chcą zmienić system wyborczy, który pozwala na wypełnianie Izby Gmin najmitami ziemiaństwa i arystokracji, wzbrania prawa głosu drobniejszym kupcom i farmerom i dopuszcza do takich anomalii, jak wysyłanie z jednego tylko angielskiego hrabstwa, Konwalii, czterdziestu czterech posłów do parlamentu, podczas gdy cała Szkocja ma prawo wysłać raptem czterdziestu pięciu. Robotnicy łudzą się nadzieją, że reforma prawa wyborczego przyniesie i im złagodzenie rozpaczliwej nędzy, więc popierają demonstracje, nierzadko też w oknie karety księżnej pojawi się przerażająca twarz, albo grad kamieni posypie się za przejeżdżającymi.

Ale żadna groźna twarz głodu nie pojawi się w oknach komnat małej Wiktorii, a grad kamieni nie zakłóci pogody jej otoczenia. Stary, wysoki mur ceglany, otaczający ogrody pałacu kensingtońskiego na skraju Hyde Parku, skutecznie izoluje małą księżniczkę od wszelkiej nędzy i biedy, okrzyków i demonstracji, gróźb i zamieszek. Wiktoria nie wie jeszcze o zarysowujących się przed nią perspektywach odziedziczenia korony. Ale za to często zdradza się z przekonaniem, że członkowie

rodu królewskiego są ulepiani z innej gliny niż zwykli śmiertelnicy. Niejaka lady Jane Ellice, osóbką lat sześciu, przyjechała do pałacu, by odwiedzić księżniczkę. Z nieskrępowanym, dziecięcym zachwytem ogląda Jane całą plejadę zabawek w pokoju do gier i bez pytania zabiera się do zabawy.

Wiktoria, dotknięta do żywego takim lekceważeniem etykiety dworskiej upomina ją:

- Nie możesz dotykać tych zabawek, są moje, i ja mogę nazywać ciebie „Jane”, ale tobie nie wolno mówić do mnie „Wiktoria”!

Później zdarzy się podobna historia. Pewnego dnia Wiktoria bawiąc wraz z matką w odwiedzinach u swego wuja, księcia Leopolda, podczas przejażdżki na siwym kucyku, dostrzeże w książęcym parku dwie nieznanym osobom. Natychmiast zawraca kucyka i galopuje po matkę. Księżna Kentu poznaje młodszą z kobiet, znaną z urody aktorkę niemiecką, pocieszycielkę Leopolda w jego chwilowym wdowieństwie; drugą jest widocznie jej matka. Ale chociaż aktorka jest mile przyjmowana w książęcym łóżku, nie oznacza to wcale, by mogła być przyjęta w książęcym parku. Księżna z lodowatą wyniosłością odtrąca jej powitania. Zacerwienione i zmieszane, śpieszą obie kobiety do najbliższego wyjścia z parku. Mała księżniczki! obserwuje ich odwrót z satysfakcją, źle kontrastującą z niewinnym, pełnym słodyczy wyrazem jej dziewczęcej twarzyczki.

Latem roku 1826 Wiktoria wraz z matką otrzymują zaproszenie na dwór królewski w Windsorze, gdzie Jerzy IV - starzejący się, opuchnięty, zreumatyzowany - żyje ze swoją kochanką, lady Conyngham, utrzymując jednocześnie na swym dworze jej męża i dzieci. Księżną ogarnia zgroza w obliczu tego zaproszenia. Chciałaby, jak twierdzi, uchronić swoje dziecko od niemoralnych wpływów tego dworu, na którym prawie każdy mąż chodzi z rogami na głowie i przypina je nawzajem swoim przyjaciółom. W rzeczywistości głównym powodem niechęci księżnej jest świadomość, że król jej nie lubi i że wizyta ta może jej nastreczyć przykrych momentów. Ale zaproszenie królewskie jest właściwie rozkazem.

Królewskiemu stryjowi przypada do gustu mała bratanica, razem z jej wyniosłymi minkami. Sadza dziewczynkę na kolana i podaje jej do<sup>1</sup> pocałunku uróżowany policzek. Potem zabiera ją z sobą do karocy, zaprzężonej w cztery siwe konie, które z brzękiem i dzwonieniem upręży pędzą z szaloną szybkością. Wiktoria jest zachwycona. Co dzień obmyśla się dla niej nowe rozrywki: pikniki w parku, zwiedzanie stajen królewskich, tańce tyrolskie, zabawy w zimowym ogrodzie; z kolorowymi lampionami i muzyką. Podczas zabawy król zatrzymuje dziecko przy sobie. Wiktoria - czy to pod wpływem sprytnych pouczeń baronowej Lehzen, czy też dzięki własnym talentom - przejawia umiejętność zręcznych pochlebstw.

- Jaka jest twoja ulubiona melodia? Orkiestra zagra ją dla ciebie - mówi król.

- Och, proszę, niech zagrają „Boże, zachowaj króla”! A gdy przy pożegnaniu królewski stryj zapytuje:

- Go ci się najwięcej podobało w Windsorze? Odpowiada natychmiast, taktownie, chociaż może niezupełnie zgodnie z prawdą:

- Przejazdki ze stryjem!

Tymczasem w Rosenau pożycie małżeńskie rodziców Alberta sasko-koburskiego ostatecznie dobiegło końca. Księżna Louiza odziedziczyła swoje księstwo i widocznie nie chcąc wykorzystywać tego atutu w rozgrywkach z mężem, zezwoliła na wcielenie obszaru Gotha do księstwa sasko-koburskiego. Księżna szukała raczej przyjemności i rozrywek w życiu niż zaspokajania ambicji. Książę von Sachsen-Coburg-Gotha osiągnąwszy cel swego małżeństwa - dwóch synów i rozszerzenie granic państwa - zakończył farsę, jaką było ich pożycie. Po krótkim okresie separacji księstwo

otrzymali rozwód. Księżę zapisał byłej małżonce posiadłość w okręgu Saary, gdzie księżna zamieszkała wraz z hrabią Poelzigiem, którego niebawem poślubi. Jej drugi mąż otoczył ją tkliwą miłością, której tak brakowało jej w pierwszym małżeństwie, lecz na szczęście księżnej głębokim cieniem legła tęsknota za dziećmi. Zabroniono jej widywać się w ogóle z synami i aby zobaczyć ich choćby z daleka, księżna przebiera się za chłopkę i czeka przy drodze, którą mają przejeżdżać. Ale i szczęściu, i tęsknocie nie było przeznaczone trwać długo: w roku 1831 księżna Louiza umiera na raka.

Dwaj młodzi książęta odmiennie reagują na rozwód rodziców. Ernestowi przypada do gustu rozwiązyły tryb życia ojca. Albert, niezwykle inteligentny i wrażliwy, jak na swój wiek. odwzajemnia głębokie uczucie, jakim darzy go matka. Będzie niebawem surowo krytykował postępowanie ojca. Rozpad domu rodzinnego naznaczy Alberta, który ledwie wyrósł z lat dziecińczych, piętnem na całe życie. Brak więzów moralnych, swoboda obyczajów będą w jego oczach zawsze zasługiwać na najsurowsze potępienie.

Księżniczka Wiktoria pędzi teraz życie prawie wyłącznie w wielkim pokoju szkolnym w pałacu kensingtonskim, gdzie nigdy nie dochodzą wesołe głosy, śmiechy i sprzeczki innych dzieci. Jej matka nie wyróżnia się szczególną inteligencją ani wykształceniem, ale aż do przesady poświęca się temu, co uważa za swój obowiązek. A teraz podjęła się odpowiedzialności za wszczęcie młodszej córce poczucia obowiązku.

Do społeczeństwa angielskiego przenikają właśnie teorie wychowawcze doktora Thomasa Arnolda, historyka i teologa, dyrektora szkoły w Rugby, jednej z najsłynniejszych szkół angielskich. Zgodnie z poglądami Arnolda kształcenie umysłu winno ustępować pierwszeństwa najważniejszemu zadaniu pedagogicznemu, a mianowicie wychowywaniu uczniów „w najszlachetniejszym i najprawdziwszym znaczeniu tych słów na chrześcijańskich dżentelmenów”. Księżna adaptuje teorie doktora Arnolda do własnych potrzeb i postanawia, że Wiktoria będzie wychowywana „w najszlachetniejszym i najprawdziwszym znaczeniu tych słów na chrześcijańską królową”.

Pismo święte ma więc priorytet w programie nauki, który obejmuje również historię Anglii, geografę, arytmetykę i języki wraz z łaciną. Księżniczce wolno czytać tylko nudne kazania i niezrozumiałą poezję - trudno się dziwić, że czytać nie lubi. Kiedy ma lat jedenaście, na żądanie księżnej biskupi Londynu i Lincolnu przyjeżdżają, by poddać jej córkę egzaminowi z przedmiotów, których się uczyła, a także, by przeegzaminować ją „z głównych prawd i zasad religii chrześcijańskiej zgodnie z nauczaniem kościoła anglikańskiego”. Można było przypuszczać, że jedenastoletnia dziewczynka będzie miała tremę podczas takiego egzaminu. Ale Wiktoria jest zupełnie spokojna i opanowana. W jej żyłach płynie krew królewska, a biskupi, ostatecznie, są tylko plebejuszami w porównaniu z nią. Trudno dociec, czy biskupi powodowali się względami dyplomatycznymi, czy też nie, w każdym razie uznali, że odpowiedzi małej księżniczki są najzupełniej zadowolające i podpisali się bez zastrzeżeń pod programem pedagogicznym księżnej.

Nie zaniedbano też w edukacji Wiktorii wdzięczniejszych kunsztów. Rysuje poprawnie, tańczy dobrze, śpiewa z wdziękiem. Tylko nauczyciel gry na pianinie nie ma powodów, by zgodzić się z pochwałami, których wykształceniu księżniczki nie szczędzili biskupi.

- Nie ma królewskiej drogi do muzyki - powie jej surowo. - Księżniczka musi ćwiczyć, jak każda uczennica.

Wiktoria nie chce być taka, „jak każda uczennica”. Zatrząskuje wieko pianina ze słowami:

- Ja niczego nie muszę!

Niektórzy, słysząc o tej odpowiedzi, twierdzą, że jest ona dowodem' stanowczości i wyrobionego charakteru; inni widzą w słowach księżniczki tylko niegrzeczność i upór. Ci ostatni zarzucają baronowej Lehzen, że wbiła dziecku do głowy przesadne mniemanie o sobie - tak, jak obarczają baronową i jej sławetny kminek winą za wątpliwe maniery Wiktorii przy stole: księżniczka bierze" do rąk kurczęta i ogryza kości, a także „bardzo wulgarnie” je szparagi!

Księżna nie chce słuchać niczego, co by rzuciło choć cień wątpliwości na doskonałość jej zasad pedagogicznych, teraz pobłogosławionych dodatkowo przez dostojników Kościoła. Uznaje również, że nadeszła odpowiednia pora (królewski stryj choruje), aby dłużej nie ukrywać przed Wiktoria jej przyszłych perspektyw. W sekrecie księżna układa pewien plan razem z baronową Lehzen, z którą dnia 11 marca 1830 roku Wiktoria będzie miała lekcję historii. Między stronice podręcznika wsunie się dodatkową kartkę. Wiktoria czyta ją uważnie. Jest to drzewo genealogiczne królów Anglii - i następców tronu. Palec wyjątkowo małej i ładnej ręki przesuwa się po liniach pionowych i poziomych. Duże, niebieskie oczy podnoszą się ku czujnie obserwującej baronowej. Słowa wybiegają z drżących warg:

\* Jestem bliżej tronu, niż myślałam!

\* Nie było potrzeby, abyś o tym wiedziała do tej pory! - odpowiada guwernantka.

Z namaszczeniem, jak zawsze świadoma „wyższości” swej królewskiej krwi, Wiktoria mówi:

- Inne dzieci może byłyby poruszone wspaniałością tej perspektywy, ale nie zdawałyby sobie sprawy z ciężarów.

Lehzen milczy. Dziewczynka podnosi do góry palec i dodaje:

\* Ja będę dobra. - Później wsuwa rękę w dłoń baronowej i powtarza:

\* Będę dobra.

Gzy było to szczerze choć dziecinne postanowienie, że będzie najpierw dobrą uczennicą, a później dobrą królową? Czy też deklaracja zarozumiałej aktorki? Opinie na ten temat znowu są sprzeczne. Baronowa wierzy w dosłowność: wyrazy te nie oznaczają ani nic więcej, ani nic mniej. W tym wieku dziewczynka skłonna była do pobożnych i efemerycznych postanowień pod wpływem tej córki luterańskiego pastora, którą nazywała swoją „najlepszą i najprawdziwszą przyjaciółką”. Istotnie, Wiktoria miała niebawem powody, by nie każdego ze swego otoczenia uważać za prawdziwego przyjaciela.

Wiktorii nie pozwalano ani na chwilę samotności. Nigdy nie była sama. Nawet podczas każdej lekcji z baronową asystuje jedna z dam dworu księżnej. Jako dziecko, jako dziewczynka, jako młoda panna - nie posiada żadnego pokoju, żadnego schronienia, zakątka, gdzie mogłaby zupełnie sama bawić się, pracować, czytać, albo po prostu pomarzyć. Nawet kiedy schodzi po schodach, zawsze ktoś prowadzi ją za rękę. Nie ma ani ojca, ani brata, z którym mogłaby podokazywać, który zażartowałby sobie z niej bezceremonialnie, przyzwyczał jej uszy do hałaśliwego, spontanicznego śmiechu. Na jej towarzystwo - wyjąwszy rzadkie wizyty u stryja króla albo wuja Leopolda - składają się tylko „prawdziwe damy”. Nic dziwnego, że po prostu nuda doprowadza ją do wybuchów bezsilnej złości i ataków prawie histerycznych.

Jako dziecko, dziewczynka i panna, śpi zawsze w sypialni swojej matki. Księżna usprawiedliwia to zarządzenie mówiąc, że zawsze obawiała się, by jej dziecka nie uprowadzono. W rzeczywistości, księżna chciałaby wiedzieć, co córka robi w ciągu każdej minuty dwudziestu czterech godzin doby, co czyta, nawet co myśli. Ale bywają chwile, kiedy sypialnia księżnej zamknięta jest na klucz. I nadchodzi dzień, kiedy nieszczęśliwym trafem sypialnia księżnej nie jest zamknięta i Wiktoria zastaje

własną matkę *in flagranti* z ochmistrem jej dworu, Sir Johnem Conroyem.

Dziewczynka jest wstrząśnięta. Zwierza się ze swego gorszącego odkrycia damie dworu księżnej, pani de Späth, i baronowej Lehzen. Dama dworu ośmiela się zrobić wymówkę księżnej - i zostaje odprowadzona ze dworu. Baronowa Lehzen umie milczeć. Wie doskonale, że to zdarzenie rozluźni wszelkie więzy, łączące córkę z matką i pozwoli jej samej opanować Wiktorię bez reszty. Conroy, widząc, że baronowa została dopuszczona do sekretu, stara się i jej pozbyć, ale sprytna guwernantka zabezpieczyła się, zyskawszy sobie poparcie „stryja króla”. Conroyowi opadają ręce. Jest bezsilny. A jednocześnie zdaje sobie sprawę, że od tej chwili ma w osobie pupilki baronowej nieprzełaganego wroga. Pałac kensingtonski podzielił się teraz na dwa wrogie obozy: jeden zgrupowany wokół księżnej i jej kochanka, drugi wokół Wiktorii i jej guwernantki.

Górka przybiera w stosunku do matki pozę sztywno okazywanego posłuszeństwa. Nigdy już później, do końca życia księżnej, nie będzie mogła obdarzyć matki szczerym uczuciem. Dopiero po jej śmierci, czytając jej dziennik, w którym przeplatają się słowa podziwu dla księcia Kentu, z namiętną miłością do Wiktorii, córka pożałuje swojej nadmiernej surowości, która wywołała ochłodzenie jej uczuć do owdowiałej matki - otyłej, samotnej kobiety w obcym kraju, lekceważonej przez dwór królewski oraz przez króla, któremu wychowywała następczynię tronu.

Dnia 26 czerwca 1830 roku król Jerzy IV umiera, a „Times” drukuje słowa niezwyklej, niebywalej prawdomówności:

„Nigdy nie było człowieka mniej opłakiwanego od tego świeżo zmarłego władcy. Czyje oczy wylewają łzy po nim? Czyja pierś unosi się bezinteresownym, nieprzekupnym westchnieniem?”

Mało kto wiąże nadzieje z osobą jego następcy, wstępującego na tron Williama, prostodusznego księcia Clarence, chociaż ten przynajmniej służył w marynarce i interesuje się po trochu codziennym życiem skromniejszych ze swoich poddanych.

Nie ma już wątpliwości, że królowa Adelajda, żona Williama IV, nie urodzi dziedzica korony. Parlament oficjalnie uznaje księżniczkę Wiktorię następczynią tronu Anglii. Nie będzie mogła natomiast nigdy odziedziczyć drugiej korony swoich stryjów - Hanoweru, gdzie prawo salickie wyklucza kobiety jako pretendenci do tronu.

Za podszeptem Sir Johna Conroya księżna Kentu żąda, by mianowano ją księżną-wdową Walii. Stary konserwatysta, książę Wellington, nie zgadza się na to, a liberał lord Grey nazwie księżną „nudziarą”. Parlament ustosunkuje się przychylniej do księżnej, przyznając jej dodatkowe apanaże w sumie 10 000 funtów szterlingów rocznie i wyznaczając ją regentką w razie, gdyby król William zmarł, zanim jej córka skończy osiemnaście lat i będzie mogła panować samodzielnie.

Ambitny intrygant, Sir John Conroy, nie jest zaspokojony. O swój wpływ na księżną może się nie obawiać, ale wpływ księżnej na córkę jest widocznie bardzo nikły. Postanawia zdobyć dla siebie nominację na stanowisko prywatnego sekretarza Wiktorii - ale tu miał ponieść klęskę. Nie liczył się z nienawiścią, jaką zasiał w sercu niemieckiej guwernantki i nie liczył się z temperamentem dziewczyny, która nie tak dawno „poskromiła” nauczyciela muzyki słowami:

- Ja niczego nie muszę!

## Rozdział III

### „ZAPRZESTAĆ TEGO PUKANIA”

„Ten pamiętnik Mama mi dała, ażebym mogła prowadzić dziennik mojej podróży do Walii. Victoria, Kensington Palace, 31 lipca 1832.”

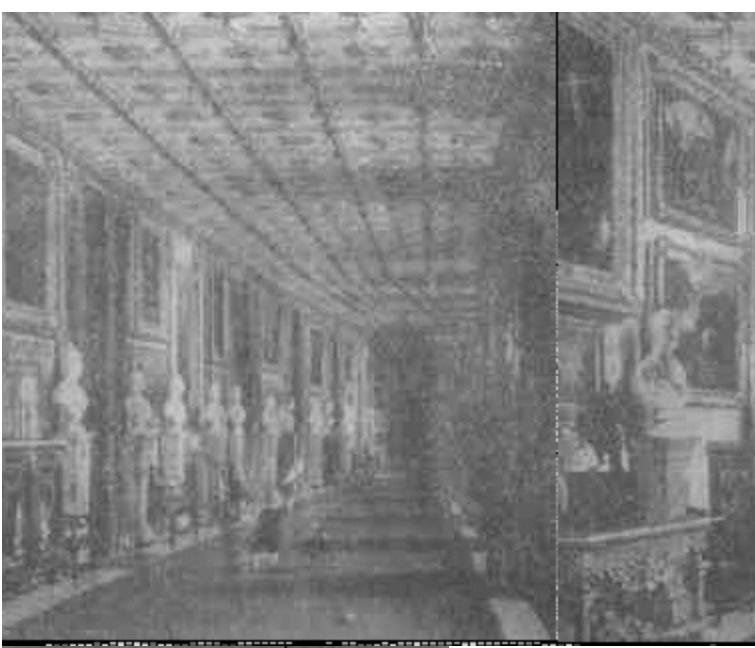
Księżna i księżniczka, ochmistrz dworu księżnej i guwernantka księżniczki wyruszają razem w karocy, za nimi towarzysząca im świta, o godzinie siódmej minut sześć - jak informuje nas z drobiazgową ścisłością prowadzony przez Wiktorię dziennik podróży. Słońce praży, na gościńcu wzbijają się tumany kurzu. Wiktorię podróż bardzo męczy - nie tylko z powodu niewygód, ale i dlatego, że jest wciąż na oczach tłumów: „Nie możemy podróżować jak inni ludzie, spokojnie i przyjemnie, tylko wciąż przejeżdżamy wśród tłumów, a jak tylko dojedziemy do czyjegoś pałacu, to trzeba się zaraz przebierać do uroczystego obiadu”. Wiktoria odkrywa, jak nużąca może być ta pracowita samotność wśród tłumu, która bywa udziałem tych, co znajdują się na szczycie społecznej piramidy.

Jadą przez uprzemysłowione okolice środkowej Anglii, gdzie żelazo i stal wypierają torfowiska i łany zbóż, przejeżdżają obok jaskrawo oświetlonych fabryk, w których jest więcej okien, niż w królewskim pałacu, a dymiące kominy wyższe są od katedry Św. Pawła. Wiktoria wdycha zadymione powietrze fabrycznych dzielnic, wsłuchuje się w szum wrzecion, śpiewających, jak we-



Pałac buckinghamski  
Korytarz w zamku windsorskim





Lord Melbourne



Baronowa Lehzen soła dziewczyna przy pracy i w stukot maszyn parowych, hałasujących w jowialnej z nimi kakofonii.

Dzień po dniu wstają o piątej lub szóstej godzinie rano i podróżują „niebywale szybko”. Wiktoria po raz pierwszy w życiu ogląda piec hutniczy - „nadzwyczajną budowlę, płonącą ogniem”. I dowiaduje się, może też po raz pierwszy z całą świadomością, że bezpieczny zbytek pałacu kensingtonskiego i siedzib magnackich jest zarezerwowany dla uprzywilejowanej garstki ludzi. Między piramidami węgla, hałdami odpadków kryją się mieszkalne baraki tak nędzne, jakby miały

się rozpaść lada chwila, a dzieci w łachmanach wiodą smutną egzystencję: „Mężczyźni, kobiety, dzieci, domy i wszystko dookoła jest czarne od sadzy”. Może w tym zdaniu kryje się tylko wstręt - a może jednak i współczucie dla pierwszych ofiar uprzemysłowienia?

Oddziały wolnych strzelców, orkiestry i salwy armatnie witają podróżnych w każdym większym mieście. Lojalni poddani odczytują teksty ceremonialnych przemówień. Jest to rok pierwszej reformy parlamentarnej, która miała w niedalekiej przyszłości rozczarować klasy średnie i robotników, pokładających w niej wielkie nadzieje. Księżna przyłączyła się do stronnictwa popierającego reformę. Król, jak powszechnie wiadomo, sprzeciwia się uchwaleniu reformy. W lojalnych przemówieniach zawsze są wzmianki o poparciu księżnej, przyszłej regentki, udzielanym „wolnemu ludowi” Anglii.

Księżna, tęga, tonąca w jedwabiach i piórach, łaskawie odczytuje swym twardym, niemieckim akcentem odpowiedzi, których napisanie nie sprawiło Conroyowi większych trudności, skoro on sam inspirował również przemówienia powitalne. Ochmistrz dwoi się i troi, wszędobylski i pompatyczny, z hołdowniczą czołobitnością zwracając się publicznie do księżniczki, którą pragnąłby owładnąć za pośrednictwem jej matki.

Niewątpliwie, było pożądane, by Wiktoria wydosłała się z zamknięcia w murach pałacu kensingtońskiego, by poznawała kraj i swoich przyszłych poddanych, by i oni mogli spojrzeć na swoją przyszłą władczynię. Ale w tym przypadku wcale nie chodzi o księżniczkę. Jej matka i Conroy stale wysuwają się na pierwsze miejsce, Wiktoria jest tylko bierną statystką. Co więcej, księżna i jej ochmistrz celowo zaniedbali obowiązek zwrócenia się do króla o pozwolenie na tę oficjalną podróż, której nadają charakter prowokacji. Księżna ma zyskać taką popularność, aby ludność domagała się przedłużenia jej regencji. A podczas regencji matki, Wiktoria nie będzie miała nic do powiedzenia - władzę będzie sprawował *de facto* Sir John Conroy. Intryga prosto z Szekspira. William IV z ironią nazywa ochmistrza „królem Janem”.

Podróż do Walii i później następne podróże po całej Anglii są szeroko reklamowane w prasie, mnożą się opisy uroczystości i entuzjazmu tłumów. Trudno dziwić się irytacji króla Williama.

- Utrapienie z tą kobietą! - wykrzykuje.

Nie po raz pierwszy księżna i jej ochmistrz narazili się królowi. Nie dopuścili do obecności księżniczki, następczyni tronu, przy koronacji Williama, ponieważ uznali, że podczas ceremonii Wiktoria z racji przysługującego jej prawa pierwszeństwa powinna zająć miejsce przed swoimi stryjami, królewskimi braćmi, a tymczasem wyznaczono jej miejsce za nimi. Z okien pałacu kensingtońskiego zapłakana Wiktoria śledziła uroczysty pochód. Choć racja była niewątpliwie po stronie księżnej - zachowała się ona nietaktownie. Nie chciała być taktowna. Wielkimi, niemieckimi stopami deptała ciężko wszelkie przyjazne uczucia, jakie jej szwagier początkowo nawet żywił dla niej.

Pierwsza ceremonialna podróż księżniczki wywołuje taki wybuch gniewu króla, że jego otoczenie obawia się, by nie postradał zmysłów. Ale Conroy uparcie organizuje następne podróże. W Oksfordzie zaaranżuje nadanie sobie tytułu doktora *honoru causa* i honorowego obywatela miasta - zupełnie, jakby był małżonkiem nominowanej regentki. W Portsmouth księżniczka wraz ze świętą zwiedza „Victory” - okręt flagowy, na którym zginął admirał lord Nelson w roku 1805, odniósłszy wspaniałe zwycięstwo nad połączonymi flotami Francji i Hiszpanii w bitwie pod Trafalgarem. Wiktoria próbuje posiłku, przygotowa-nego dla marynarzy, a nawet rumu i opisuje później w swoim dzienniczku jedzenie jako „doskonałe”.

Zapiski w tym dzienniczku podróży są regularne i dokładne, jak tego wymaga „moja najdroższa Lehzenka”. Wiktoria często używa określenia, że jakieś zdarzenie ją „bawiło”, a jakieś inne „nie bawiło”. Tych zwrotów będzie używała, w mowie i w piśmie, przez całe życie. „Bawiło” ją, gdy w Hastings „sześciu rybaków w grubych, błękitnych kubrakach, czerwonych czapkach i wielkich białych fartuchach, poprzedzanych orkiestrą, przyniosło nam w prezencie wielki kosz, udekorowany kwiatami, pełen ryb”, „nie bawiło” natomiast wywrócenie się karocy i to, że jej ukochany piesek nagle znalazł się pod kopytami spłoszonych koni. Lokajowi, któremu nakaże ratować pieska, łaskawie podziękuje, ale szlachcic, który przytrzymał konie, by nie poniosły, zostanie w nagrodę mianowany baronem.

Dzienniki Wiktorii i jej nieprawdopodobnie obfita korespondencja będą przez wiele osób uważane za główne źródło zrozumienia jej charakteru i motywów, kierujących jej postępowaniem. Niebezpieczne to źródło! Każdy z nas, pisząc o sobie, przedstawia na papierze takiego „siebie”, jakim chciałby wydawać się przed światem. Mało kto ma dość odwagi, by zanotować mniej szlachetne motywy pozornie szlachetnych uczynków. A właściwie, kto z nas jest zupełnie pewien, jakie naprawdę motywy nim kierowały? Podobnie bywa z zeznaniami naocznych świadków, zwykle bardzo subiektywnymi. Tego rodzaju materiał źródłowy, zeznania, wspomnienia, dzienniki i listy naświetlają tylko jeden z wielu aspektów, wydobywając tylko jedną barwę z całości obrazu.

Król William wciąż się irytuje. Ale zareaguje dopiero wtedy, gdy Conroy posunie się w swej samowoli stanowczo za daleko. Jacht księżnej żegluje po Solencie - cieśninie między wyspą Wight a Southampton, na południowym wybrzeżu Anglii. Conroy wydaje zarządzenie, aby wszystkie okręty wojenne i wszystkie forty witały jacht księżnej, z jej flagą - królewskim salutem z dział. Król William wpada w pasję.

- Zaprześć tego pukania! - z wściekłością rozkazuje premierowi rządu.

Pierwszy lord admiralicji pisze do księżnej, prosząc, by nie nalegała na „królewski salut”. Otrzymuje odpowiedź od Conroya: „Jako osobisty, zaufany doradca Jej Księżęcej Wysokości, nie mogę zalecić ustąpienia w tej sprawie”. Używanie podkreśleń we wszelkich pismach jest zwyczajem dworu i Wiktoria też będzie nieustannie posługiwała się takimi podkreśleniami w swojej korespondencji. Król William również nie ma zamiaru ustąpić. Wydaje na posiedzeniu rady królewskiej rozkaz, zabraniający oddawania królewskiego salutu jakimkolwiek statkom oprócz tych, na których pokładzie aktualnie znajduje się król lub jego małżonka. Teraz z kolei Conroy dąsa się i złości.

Pomimo tych zadrażnień i prowokacji, nowy „król-stryj” życzy sobie poznać bliżej swoją bratanicę i dziedziczkę korony. I znowu księżna nie grzeszy taktem. Obawia się, jak powiada, że Wiktoria zarazi się swobodą obyczajów królewskiego dworu, że w tak młodym wieku nie potrafi odróżnić cnoty od grzechu, jeśli w najbliższym otoczeniu Majestatu spotka się z całą chmurą królewskich bastardów. Argumentacja niezupełnie na miejscu w ustach matki, której własna cnota jest bezpowrotnie skompromitowana w oczach córki. Ale księżna i Conroy pragną koniecznie pod każdym względem być przeciwieństwem króla i jego dworu. Należy zapisać na dobro Wiktorii, że nie pozwoliła sztucznym barierom i matczynym złudzeniom zatruć jej przywiązania do tego stryja, człowieka prostodusznego, który dawał się lubić, jeśli go nie drażniono.

W dzień czternastych urodzin Wiktorii król William wydaje dla niej w pałacu Św. Jakuba bal. Księżna siedzi przez cały wieczór z gniewnie zaciśniętymi ustami, tym bardziej niezadowolona, że jej córkę, jak tego dowodzą zapiski w jej dzienniku, ten bal „bardzo, bardzo zabawił”. Wiktoria

rozpoczyna bal ze swoim kuzynem, Jerzym Cambridge. Jest wesoła i postanawia sobie wbrew czyimkolwiek zastrzeżeniom, użyć w pełni tej rzadkiej sposobności do rozrywki. Jednakże wolno jej tańczyć tylko dawne tańce, takie jak kadryl; nowomodny walc, który bardzo ją pociąga, został uznany za nieprzystojny dla księżniczki!

Wtedy, kiedy księżna i Conroy nie wloką jej na ceremonialne podróże po kraju, Wiktoria coraz częściej spędza czas na nauce, a plan jej lekcji jest coraz bardziej rygorystyczny. Czyta w oryginale Wergiliusza oraz poetów angielskich, z których „bawi” ją Walter Scott. „Ostatni Mohikanin” Jamesa Fenimore’a Coopera jest pierwszą ze starannie dobieranych powieści, które wolno jej przeczytać. Wiktoria uznaje tę książkę zarazem za „ogromnie interesującą” i „bardzo straszną”. Powieść o życiu Cyganów, którą jej przesznuje baronowa Lehzen, budzi w Wiktorii przekonanie, że ubodzy mniej by odczuwali swoją nędzę, gdyby ludzie okazywali im więcej dobroci. Demonstruje te swoje przekonania, polecając wysłać - ku irytacji swojego otoczenia, wyjąwszy baronową - ciepłe koce i gorący posiłek do obozu, który Cyganie rozbili w pobliżu posiadłości wuja Leopolda. Gest może nieco feudalny, ale dowodzący dobrego serca.

„Drogi, kochany wuj Leopold” opuszcza tymczasem swój dom w Anglii. W roku 1831 wybrano go królem Belgów, wyjeżdża więc do swojej stolicy i poślubia Louise, córkę Ludwika Filipa francuskiego. Wybór Belgów nie był bezpodstawny. Leopold odznaczył się w wojnach z Napoleonem, a na kongresie wiedeńskim dowiódł talentów dyplomatycznych. Podejmuje decyzje po starannym rozważeniu wszelkich ewentualności, a jego działalność wynika z dojrzałego namysłu; usposobienie ma rozważne, maniery wyniosłe. Leopold pozostaje w kontakcie ze swoją siostrzenicą, pisząc do niej listy, zdradzające serdeczne przywiązanie, a jednocześnie pełne zawsze różnych rad - najczęściej słusznych. Wiktoria odpisuje regularnie, rozpoczynając praktykę obszernej korespondencji, którą będzie prowadziła przez całe życie z mnóstwem osób. Ma dosyć poczucia obowiązku, by odpisywać punktualnie, dosyć pilności, by pisywać obszernie i dosyć wyobraźni, by ożywić sprawozdania z codziennych wydarzeń.

Z pewnością wuj Leopold chętnie by przyjął wizytę dziecka swojej siostry w Brukseli, ale stryj William nie zgadza się na to. Król planuje wydanie Wiktorii za męża za jej kuzyna, Jerzego Cambridge, i wie, że Leopold ma inne plany, na co wskazuje chociażby fakt częstego zapraszania na swój dwór własnego kandydata - swego bratanka, Alberta sasko-koburskiego. William nie chce, by tych dwoje, Wiktoria i Albert, spotykało się, chociaż są jeszcze wciąż dziećmi.

Na dworze belgijskim wuj wtajemnicza Alberta w sprawy polityki i dyplomacji. Chłopiec jest inteligentny, poważny, fascynuje go wielka polityka. Król Leopold ma nadzieję, że jeśli plany, jakie układa dla Alberta, powiodą się, on sam będzie w przyszłości za pośrednictwem bratanka wywierał wpływ na politykę Anglii. Ogólnie biorąc, wpływ Leopolda na Alberta jest raczej korzystny. Na dworze brukselskim panują poglądy liberalne, jak na owe czasy, i Albert zaraża się nimi, do tego stopnia nawet, że koburscy notable, zaniepokojeni, zabraniają guwernerowi uczyć księcia „tego niebezpiecznego przedmiotu - filozofii”, a później wybierają, jako antidotum przeciw liberalizmowi, uniwersytet w Bonn, gdzie młody człowiek ma studiować prawo. Antidotum nie zawiodło.

W Brukseli przebywa również nieodstępny baron Stockmar, który też próbuje kierować Albertem, ale jego wpływ będzie mniej pozytywny od wpływu króla Leopolda dla przyszłego bezpieczeństwa Europy, gdyż Stockmar uważa istnienie kilku księstw niemieckich za bezpłodne rozpraszanie sił i na swój spokojny, niezauważalny sposób pracuje nad zjednoczeniem Niemiec. Te poglądy również przenikną do umysłowości Alberta, ulegając jeszcze mocniejszemu ugruntowaniu

podczas jego pobytu w Bonn.

Tymczasem jego przyszłą narzeczoną, wybraną dla niego przez króla Leopolda, „ogromnie bawi” wykład o alchemii, chociaż inny wykład, o anatomii, uznaje za „bardzo nieprzyzwoity.” Rysuje pilnie, szuka swych bohaterów, jak zwykle młodzi, między słynnymi gwiazdami opery i baletu, adoruje zwłaszcza włoskiego śpiewaka, Giulia Griniego, który dał koncert w pałacu kensingtonskim. A przy tym - szybko dojrzewa. Z mniej przyjemną, chociaż może nieuniknioną w tych okolicznościach cechą swego charakteru, a mianowicie z nadmiernie rozwiniętym poczuciem własnego znaczenia, Wiktoria łączy serdeczną miłość do zwierząt, które zajmują teraz w jej uczuciach miejsce lalek. Kocha więc papugę księżnej, która śmieje się i kaszle, ulubionego starego kanarka, i konie - wszystkie i wszędzie, gdzie tylko może je napotkać. I nawet gdy znienawidzony Sir John Conroy pfiaruje jej matce w prezencie psa-spaniela, Wiktoria przywłaszcza go sobie, nazwie Dash, i będzie ubierała go w szkarłatny kubraczek i niebieskie spodenki.

Młoda dziewczyna zaczyna się teraz więcej niż dotychczas interesować sprawami publicznymi. Czytuje uważnie gazety i zaznajamia się z nazwiskami dwóch polityków, którym przeznaczone będzie odegrać ważną rolę w jej długim życiu: pierwszy to Wiliam Lamb, wicehrabia Melbourne, pięćdziesięcio-pięcioletni członek stronnictwa wigów, drugi: Benjamin Disraeli, trzydziestoletni torys żydowskiego pochodzenia.

Wigowie i torysi - dwa stronnictwa, reprezentowane w angielskim parlamencie. Nazwę „wigów”, właściwie bardzo niepocholebną, nadano stronnictwu przed dwustu laty: oznaczała ona szkockich złodziei koni. „Torysami” nazywano niegdyś w Irlandii papistowskich banitów, wyjętych spod prawa. W dziewiętnastym wieku oba te przezwiska zatraciły swoje pierwotne znaczenie, tym niemniej bywały tematem dowcipów.

Ogólnie biorąc, w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku wigowie reprezentują ziemiaństwo, obciążone zainteresowaniami w przemyśle, a ożywione na lewym skrzydle odcieniem radykalizmu, domagającego się reform parlamentarnych i filantropijnych. Nieco później wigowie, rozdzieleni dyskusjami i opuszczeni przez bardziej reakcyjnych członków, przekształcają się w stronnictwo liberałów. Torysów uważa się ogólnie za zwolenników *status quo*, niechętnych wszelkim zmianom. Niebawem przyjmą nazwę konserwatystów i zajmą się ideologią imperializmu. Ale w roku 1834 są jeszcze w mniejszości w Izbie Gmin i szukają nowego programu politycznego.

Gdy lorda Melbourne wzywa król, powierzając mu utworzenie rządu stronnictwa wigów, Benjamin Disraeli zdobywa sobie popularność w londyńskich klubach i domach arystokracji jako autor ciekawych broszur, atakując lorda Melbourne i wigów i starając się jednocześnie stworzyć filozoficzną podbudowę poglądów stronnictwa konserwatywnego.

Pałac kensingtonski popiera wigów, choćby tylko dlatego, że sympatie króla skłaniają się ku torysom. Dlatego też Wiktoria odnotuje z zadowoleniem i uznaniem wszelkie wzmianki o lordzie Melbourne, zauważając jednocześnie, iż „nie bawi” jej złośliwy dowcip Disraeliego. A jednak obaj ci mężowie stanu z przeciwnych obozów politycznych, starszy posługujący się metodą odwlekania, młodszy pełen energii i zapału, zdobędą w przyszłości - jeden za jej panięńskich czasów, drugi w okresie jej wdowieństwa - zupełne zaufanie Wiktorii, a nawet jej przywiązanie.

Król William dobiega siedemdziesiątki. Księżniczka Wiktoria jest bliższa, niż się spodziewa, krytycznych zmagani z własną, ludzką słabością i z nikczemnymi intrygami ochmistrza dworu swej matki. Jest też bliższa, niż się spodziewa, lat, które przyniosą jej koronę i związane z koroną niepokoje, poczucie praw „z bożej łaski” i bardzo światowe umiłowanie rzeczy doczesnych,

powszechną popularność i powszechne oszczerstwa, surowego męża, który nią całkowicie ośwładnie i pełne rozpaczy wdowieństwo.

## Rozdział IV

# OCHMISTRZ I GUWERNANTKA

Osiemnasty października 1835 roku. A jeśli jej stan zdrowia się nie poprawi...? A jeśli...? Kto będzie wówczas następcą tronu? Za późno, by znowu wzywać królewskich braci do wyścigu do kołyski... Pozostanie chyba tylko ten młody Cambridge... Ale nie traćmy jeszcze nadziei... przywykliśmy do myśli, że będziemy mieć królową... i kraj ma już dość, aż nadto dość, Hanowerczyków na tronie...

Takie rozważania snuły się w umysłach ludzi, zbierających się pod zasłoniętymi oknami sypialni szesnastoletniej księżniczki Wiktorii w wielkim domu w Ramsgate, na południowo-wschodnim wybrzeżu Anglii. Cały kraj pragnie, by księżniczka wyzdrowiała, by żyła i objęła tron - nie tylko dlatego, iżby już zdobyła tak wielką osobistą popularność. W czasie uroczystych objazdów Anglii jej matka i Conroy stale wysuwali się na pierwsze miejsce. Ale - „mamy już dość Hanowerczyków na tronie”. Rzeczywiście, było ich wielu: Jerzy I - który do końca życia nie nauczył się w ogóle języka angielskiego; Jerzy II - zajęty wyłącznie sprawami Hanoweru, zupełnie nie troszczący się o Anglię; Jerzy III - obłąkany; Jerzy IV \*- rozwiązyły libertyn, pozbawiony odwagi i rozumu; William IV - człowiek dobrych intencji, ale pechowy niezdara. Razem wzięwszy, sprowadzili oni tron na dno niesławy.

Któż mógłby wiązać jeszcze jakąś nadzieję z następnym męskim przedstawicielem tej samej dynastii? Ale młoda dziewczyna mogła być inna. Wiktorię przynajmniej wychowano według surowych zasad moralnych, jej prywatne życie nie będzie skandalem. Koronę na jej głowie otoczy aureola romantyzmu, a nie rozwiązłości, jak jej bezpośrednich poprzedników na tronie. A jeśli już utrzymuje się monarchę, to niech dostarcza romantyzmu, bo czego innego ma dostarczać?

Księżna Kentu jest w rozpacz. Szczerze pragnie czuwać przy chorej córce, ale jej histeria sprawia, że raczej przeszkadza, niż pomaga. Są inni, którzy spokojnie i umiejętnie pielęgnują pacjentkę - a najpierwszą z nich jest wierna baronowa Lehzen, zarazem troskliwa i rzeczowa, chociaż w zdenerwowaniu żująca kminek prawie bez przerwy. Nie pozwoliła się odsunąć. Jest stale w przyciemnionym pokoju chorej, uprzedza każde jej życzenie, odgaduje znaczenie każdego gestu, spostrzega każdy symptom, każdą najdrobniejszą choćby zmianę, czynnie śledzi przebieg choroby. W ciągu dnia nie odstępuje od Wiktorii, nocami drzemie w obitym skórą fotelu, przysuniętym tak blisko łóżka, że kryje się pod ciężkimi firankami baldachimu. Tego dnia obserwuje rumieniec wysokiej gorączki na twarzy chorej, czerwone plamy wysypki na jej ciele - Wiktoria jest nieprzytomna, majaczy, nie może nawet prosić o basen.

A przecież ledwie przed trzema tygodniami Wiktoria była ' najweselszą dziewczyną Anglii. Z matką i całą świtą pojechała do Ramsgate, uroczego uzdrowiska nadmorskiego, dokąd przybył również jej ukochany wuj Leopold, którego nie widziała od czterech lat, i jej nowa wujenka Louiza, której jeszcze nie знаła. Wiktoria z dziewczęcym uniesieniem zakochuje się w nich obojgu: „Co to za

szczęście dla mnie, rzucić się w ramiona tego najdroższego wujaszka, który był zawsze ojcem dla mnie”.

U Leopolda będzie młoda dziewczyna zasięgała rady, jaka powinna być królowa i jak ma się zachować w tej tragicznej i kłopotliwej sytuacji, która wytworzyła się w związku z przypadkowym, a tak drastycznym ujawnieniem stosunku, łączącego jej matkę z ochmistrem dworu. I podkreśla przy tym często, że ochmistrz ten najwyraźniej chce nią sarną ować, opanować z duszą i ciałem, jak wyraża się Lehzenka. Leopold ostrzega siostrzenicę, by nie ulegała wpływom Conroya, ale jednocześnie doradza jej taktowność i politykę odwlekania. Nie należy wymuszać okazji udowodnienia własnej niezależności - taka sposobność sama nadarzy się we właściwym czasie.

Poważne dyskusje przerywano chwilami pogodnej wesołości i demonstracyjnie okazywanego przywiązania. Ciotka Louiza dobrze odegrała przypadającą jej rolę w umacnianiu więzów, łączących przyszlą królową Anglii z tronem belgijskim. Objęła młodą dziewczynę, wsunęła rękę pod jej ramię i powiedziała, że chciałaby, by Wiktoria uważała ją za starszą, kochaną siostrę. Wiktoria bez trudu dała się podbić wdziękowi i serdeczności nowej „cioci”. Niebawem spędzały we dwie rozkoszne, pełne śmiechu i wesołości godziny na przymierzaniu paryskich sukien Louizy. Pobyt w Ramsgate był jakby baśniowym interludium w monotonnym, zapełnionym bez reszty nauką i nudnym dworskim ceremoniałem, życiu młodej dziewczyny.

I niespodziewanie, na dwa dni przed zapowiedzianym końcem wizyty, Wiktoria obudziła się z mdłościami. Nie chciała się wyrzec ani jednej godziny obcowania z tymi, których tak kochała, ale z trudem ukrywała swoją niedyspozycję, a już w ogóle nie mogła się przymusić do jedzenia. Wreszcie wujostwo wyjechali, a Wiktoria znalazła jeszcze dość sił, by zapisać w dzienniczku, że wszystko wydaje się „okropnie szare i nudne bez nich”. Następnego ranka nie mogła już podnieść się z łóżka. Kartki dzienniczka pozostawały białe.

Tyfus. Choroba przebiegała w sposób typowy. Dnia 18 października doktor James Clark, nadworny lekarz księżnej, z niepokojem oczekuje kryzysu. Ale dzień ten nie przynosi żadnej zmiany w stanie chorej. Dopiero następnego dnia delirium ustępuje, gorączka z wolna spada, czoło wilgotnieje. Głęboki oddech ulgi domowników w Ramsgate odbija się echem w całej Anglii. Teraz każdy dzień przynosi poprawę, chociaż powolną. Kryzys minął.

Ale zaraz po przesileniu choroby następuje nowy kryzys, in-nego charakteru, chociaż niemniej groźny dla wyczerpanej ciężką chorobą, jeszcze leżącej w łóżku dziewczyny. Sposobność, o której mówił wuj Leopold, odtrącenia wpływów Conroya i udowodnienia własnej niezależności, nadarza się prędzej, niżby Wiktoria sobie życzyła, i w okolicznościach, które trudno rzeczywiście nazwać sprzyjającymi. I jak przesilenie ustępującego teraz tyfusu, tak i ten kryzys nie nadchodzi od razu, lecz skrada się coraz bliżej, dzień po dniu, aż wreszcie Wiktoria będzie zmuszona do podjęcia ostatecznej decyzji.

Sir John Conroy przychodzi pewnego dnia do pokoju chorej i wszczyna rozmowę o jej przyszłości. Korona... wielka odpowiedzialność... ważne decyzje... jej młodość... brak doświadczenia... a najjaśniejszy pan nie pożyje już długo... sprawą zasadniczą jest odpowiedni doradca... człowiek doświadczony... dobrze jej znany... zaufany jej matki... Któż więc lepiej nadaje się na stanowisko prywatnego sekretarza królowej od ochmistra dworu jej matki?

„Taktowność i polityka odwlekania” - radził wuj Leopold. Więc Wiktoria zwleka. Jest słaba, wyczerpana chorobą, nie jest obecnie w stanie podejmować ważnych decyzji, myśleć o przyszłości.

Conroy ufa, że właśnie z powodu tej słabości i wyczerpania księżniczki nadeszła chwila,



sprzyjająca jego planom. Wysłała księżną, którą omotał bez reszty, by wywarła nacisk na córkę. Wiktoria nadal odpowiada, że jeszcze czas, by decydować - może najlepiej będzie dopiero wtedy, gdy już *de facto* wstąpi na tron. Księżna tłumaczy, przedkłada, prosi. Jej najgłębszym życzeniem jest, by Conroy został mianowany prywatnym sekretarzem. Z pewnością jej ukochana córka nie odmówi tej prośbie matki! Musi przecież mieć prywatnego sekretarza, za pośrednictwem którego będą jej przedkładane sprawy do załatwienia, który będzie jej doradcą w kwestiach prawnych, konstytucyjnych, precedensowych. A Sir John jest człowiekiem tak zdolnym, mądrym, rozumnym... Wiktoria narzeka na zmęczenie. Chciałaby spać, odpocząć. Kiedy indziej, kiedy już zupełnie wyzdrowieje, wtedy pomyśli o tym... *Jej* wykręty doprowadzają księżną do desperacji: nie chce wracać do Conroya i przyznać się do poniesionej porażki. Przypomina córce ostro o obowiązku posłuszeństwa. Ale Wiktoria już drzemie - albo udaje, że drzemie.

Conroy powraca osobiście do ataku - po raz drugi, trzeci, czwarty. Za każdym razem baronowa Lehzen nie zwraca żadnej uwagi na jego dyskretne sugestie, by pozostawiła go samego z chorą księżniczką.

Nadchodzi dzień - na krótko przed tym, gdy Wiktorii wolno będzie po raz pierwszy na chwilę wstać z łóżka - kiedy Conroy wchodzi do sypialni księżniczki, niosąc w ręku arkusz papieru, na którym czerni się kilka zapisanych linijek. Tym razem bez żadnych ceremonii otwarcie rozkazuje baronowej wyjść z pokoju. Ale guwernantka staje na wysokości zadania. Odpowiada, że absolutnie nie przystoi, aby księżniczka, leżąc w łóżku, mogła być pozostawiona sama w towarzystwie mężczyzny. Ma ochotę dodać: „w towarzystwie takiego mężczyzny!” - ale powstrzymuje się i przypomina mu tylko, że nawet doktor Clark nigdy nie pozostawał sam w pokoju ze swoją pacjentką. Conroy wścieka się, chodząc tam i z powrotem po grubych dywanach, argumentuje ze złością, grozi baronowej natychmiastowym zwolnieniem. Lehzenka przyjmuje cały ten szturm w milczeniu - i trwa na stanowisku.

W ostatecznej pasji Conroy chwyta pióro, macza w kałamarzu i wpycha je Wiktorii do ręki rażeni z dokumentem, który jest jego nominacją na prywatnego sekretarza i doradcę księżniczki. Brutalnie i tak ostrym tonem, jakiego żaden ojciec nie użyłby wobec chorej córki, rozkazuje jej podpisać dokument. Baronowa wyrywa mu pióro z ręki. Wiktoria odwraca głowę i zamyka oczy. Conroy usiłuje odebrać pióro z powrotem - nad łóżkiem chorej księżniczki rozgrywa się niewiarygodna, kompromitująca scena bójki między ochmistrem a guwernantką. Po gwałtowniejszym szarpnięciu pióro łamie się na kawałki.

Conroy pieni się ze złości. Baronowa, spokojna już o Wiktorię, krząta się przy jej łóżku, podaje sole trzeźwiące. Nie ulega wątpliwości, że Wiktoria nie chciała podpisać nominacji, ale co by się stało, gdyby baronowa wyszła z pokoju, jak jej rozkazano, nietrudno odgadnąć. Dziewczyna po prostu nie miała sił fizycznych, by bez niczyjej pomocy stawiać dłuższy opór naciskowi, przybierającemu tak gwałtowną formę. Zaklinając się, że każe odesłać baronową z powrotem do Hanoweru, Conroy wypada z sypialni. Na razie poniósł klęskę, ale nie zaprzestanie wyczekiwać odpowiedniej sposobności.

Wiktoria będzie później bardzo dumna z tej konsekwentnej postawy, jaką wówczas zajęła, a która według Sir Johna była tylko dziewczęcym uporem. W parę lat później, opisując tę scenę premierowi swego rządu, Wiktoria zakończy swą opowieść słowami:

- I tak zdołałam mu się oprzeć, chociaż byłam jeszcze chora!

A lord Melbourne odpowie:

- Gd za szczęście!

Było to istotnie bardzo szczęśliwe zakończenie przykrego incydentu, a opór księżniczki był rzeczywiście absolutnie konieczny. W wersji, podanej przez Wiktorię, może tylko udział Leh-zenki wypadł zbyt blado. Wydarzenie to z całą pewnością nie przyczyniło się do złagodzenia charakteru dziewczyny, która od dzieciństwa przeprowadzała swoją wolę krzykiem, wybuchami pasji, tupaniem nogami. W późniejszych latach niektórzy z ministrów Wiktorii będą mogli się przekonać, że jej serce stało się zimne jak stal. Ale świadczy to raczej nie tyle na jej niekorzyść, ile na niekorzyść człowieka, który usiłował wykorzystać jej osłabienie po tyfusie dla przeprowadzenia swych perfidnych planów.

Tak minął drugi, kryzys tych fatalnych tygodni. Dnia 31 października Wiktoria jest w etapie skreślić następną notatkę w swoim dzienniku. Opisuje jak bardzo wychudła, jak jest osłabiona, ledwie ma siły przejść parę kroków, podtrzymywana przez „najdroższą Lehzenkę”, jak jej włosy wychodzą, „aż prawie wyłysiała”, jak dostaje tylko przetartą kartoflaną na lunch, a odrobinę gotowanej baraniny na obiad, jak musi prosić, by pozwolono jej wpisać choćby tych kilka linijek do dziennika, by mogła oderwać się od jedyne go dopuszczalnego dla niej zajęcia - szydełkowania.

Minie pięć tygodni od wyjazdu wuja Leopolda i ciotki Louizy, zanim Wiktoria zwlecze się po schodach z pierwszego piętra na dół, wisząc prawie na ramieniu wiernej Lehzenki. A pięć miesięcy gimnastyki, ćwiczeń, przejażdżek powozem i spacerów, nim odzyska dawną figurę, okrągłe policzki, nim odrosną jej włosy i będzie mogła powrócić do normalnych zajęć i nauki.

W okresie pamiętnej wizyty książąt von Sachsen-Goburg-Gotha, w maju 1836 roku, Wiktoria jest już zdrowa, denerwuje się jeszcze jedynie tym wstępnym rekonesansem do ewentualnego mariażu. Nerwowości wkrótce się pozbędzie. „Zwłaszcza Albert... taki przystojny... urok jego sposobu bycia... wrodzona inteligencja... teraz tak mi bliski... wyposażony przez naturę we wszelkie cechy, które mogą mi zapewnić doskonale szczęście...”

Wizyta z dawna planowana, długo oczekiwana, przemija aż nazbyt szybko. I niebawem Wiktoria sama musi jechać z wizytą. Księżna Kentu odmówiła wprawdzie przybycia na uroczystości związane z urodzinami królowej Adelaidy, ale w parę dni później przypadają urodziny „króla-stryja” i jego zaproszenia do Windsoru nie można zignorować. William wita księżniczkę z przyjemnością, a jej matce robi wymówki, iż trzyma Wiktorię z dala od niego i od jej obowiązków na królewskim dworze. Jest to tylko generalna próba przedstawienia, które król William urządzi następnego dnia. Odpowiadając na toast, wzniesiony za jego zdrowie, królewski solenizant świadomie znieważy księżną Kentu, siedzącą po jego prawej ręce: wskazując palcem na bratanicę - zaambarasowaną i wystraszoną - wyrazi publicznie nadzieję, że „ta młoda dama”, a nie siedząca obok niego „osoba, która otacza się złymi doradcami”, odziedziczy po nim królewską władzę.

Setka uczających gości zamiera w głuchym milczeniu. Wargi Conroya zaciskają się w wąską linijkę - „zły doradca”! Wiktoria połyka łzy. Księżna, bardzo blada, siedzi nieruchomo. Może zdaje sobie sprawę, że zasłużyła na to, co ją spotyka. Robiła wszystko, co tylko było możliwe, by udaremnić wszelkie plany swego królewskiego szwagra i obraziła go, odmawiając uczestnictwa w uroczystościach związanych z urodzinami królowej. William dowiódł, że nie jest ani tak ślepy, ani tak naiwny, za jakiego księżna go uważała.

W maju roku 1837 król William jeszcze żyje i okazuje niezmienną przychylność przypuszczalnej dziedzicze tronu. W miarę jak zbliżają się osiemnaste urodziny Wiktorii, z rąk księżnej wymyka się regencja, przewidziana uchwałą parlamentu. Ale niezmordowany intrygant, Sir John Conroy, powziął

nowy plan. Choć raz pokonany, postanawia poprzez wniesienie pewnych poprawek do dawnych projektów, zapewnić sobie utrzymanie roli szarej eminencji w przyszłych rządach. Cieszy się nadal poparciem księżnej, tym bardziej rozgoryczonej, że spełniały się życzenia Williama; ma również poparcie syna księżnej z pierwszego małżeństwa, księcia Karola von Leiningen. Tych dwoje to Niemcy, którym zależy na wpływach w Anglii, a przede wszystkim na ciągnięciu zysków z angielskich źródeł. Ale Conroya popiera również cały prawie dwór pałacu kensingtońskiego, bo ludzie ci, od dłuższego czasu stojący po stronie księżnej, większe wiązali nadzieje z jej regencją, niż z panowaniem nieobliczalnej młodej królowej, której przed jej wstąpieniem na tron okazywali zaledwie poprawną grzeczność. Do nich należy lady Flora Hastings, kobieta o bystrej inteligencji i złośliwym języku, która będzie miała powody żałować, że naraziła się na nieprzyjaźń nie tylko Wiktorii - bo ta umie zmieniać własną opinię o ludziach i nieraz w swym długim życiu tego dowiedzie - ale znacznie groźniejszej baronowej Lehzen, sypiącej kminek na chleb i masło, a pamiętliwej w nienawiści.

Conroy wyczekuje „odpowiedniej sposobności”. Ten zwrotny moment, osiemnaste urodziny Wiktorii, zdaje się taką sposobnością nastęrczać. A niespodziewane posunięcie króla Williama jeszcze przyspieszy decyzję ochmistrza.

Na pięć dni przed urodzinami Wiktorię odwołują od jej lekcji do innej sali pałacu kensingtońskiego, gdzie oczekuje na nią lord Conyngham. Księżna wpływa do pokoju przed córką, Conroy za nią - wydaje się nieomal, że księżniczka jest pod aresztem. Na szczęście w głębi czuwa wszechobecna baronowa Lehzen.

- Otrzymałem instrukcje wręczenia tego pisma samej księżniczce - oznajmia lord Conyngham ze sztywną formalnością.

Conroy wysuwa się naprzód.

\* Z czyjego upoważnienia? - pyta arogancko.

\* Jego królewskiej mości - pada krótko, przecinająca dyskusję odpowiedź.

Lord Conyngham podaje list Wiktorii. Księżna wyciąga rękę, w nadziei, że córka uzna jej prawo do pierwszeństwa. Jednakże lord Conyngham ze zrzeczością doświadczonego dworaka wymija rękę księżnej i wiernie wypełnia swoją misję.

Wiktoria przełamuje pieczęć i odchodzi na stronę, by najpierw przeczytać list samej, bez matki, zaglądającej jej przez ramię. List zawiera propozycje króla-stryja, pomyślane jako prezent urodzinowy dla bratanicy, kończącej osiemnaście lat: dziesięć tysięcy funtów szterlingów rocznych apanaży do własnej dyspozycji, bez żadnej kontroli wydatków ze strony jej matki; finansami Wiktorii ma się zająć osobny skarbnik, na którego król wyznaczył człowieka oddanego sobie a znieawidzonego przez księżną - Sir Beniamina Stephensona; i prawo do mianowania własnego dworu. Krótko mówiąc, król dał Wiktorii w prezencie środki uzyskania całkowitej niezależności od „złych doradców”, którymi otacza się księżna, jak to król publicznie jej wypomniał.

List trzeba pokazać księżnej, która odczytuje go razem z Conroyem, stojącym u jej boku. Oboje są wściekli, a żadne nie ma dość zdrowego rozsądku, dobrych manier ani opanowania, by ukryć tę wściekłość. Nie zamierzają pozwolić Wiktorii na samodzielność. Chcą, by była tylko maską pokrywającą ich własne ambicje, pragnienia stanowiska, władzy i bogactwa. Oboje wpadają w pasję, krzyczą, wymachują rękami. Lord Conyngham unosi wysoko wyraziste brwi i wycofuje się sztywno. Wiktorię zabiera pośpiesznie baronowa Lehzen.

Lehzenka wydobywa sole trzeźwiące, zachęca Wiktorię do stanowczości, przyrzeka, że będzie

zawsze przy niej, że pomoże odeprzeć napaści tych wszystkich, którzy chcieliby Wiktorię prowadzić „w cuglach”. Jej własne „cugle” są może równie mocne, jak księżnej i Conroya, ale Lehzenka jest na tyle sprytna, że nie da odczuć swej pupilce twardej uzdy. Wiktoria przesyła usprawiedliwienie, że nie zejdzie na obiad: boli ją głowa.

Następnego ranka księżna i Conroy wykorzystują chwilową nieobecność baronowej i przedstawiają prześladowanej dziewczynie napisaną już odpowiedź do króla, czekającą tylko na jej podpis. W liście księżniczka przyjmuje hojne apanaże, ale prosi, aby - wobec jej młodości i niedoświadczenia - mogła pozostać „pod każdym względem w takiej sytuacji, jak jest obecnie”. Żadnej swobody, żadnego osobnego skarbnika, żadnych dam dworu własnego mianowania - zwłaszcza młodych. Wiktoria odmawia podpisania listu. Ale zakrzyczą ją. Nie ma baronowej, by ją wyratowała. Biedna dziewczyna ustępuje.

Na szczęście, król-stryj nie jest aż tak prostoduszny, za jakiego niektórzy go uważają.

- Wiktoria nie napisała tego listu - powiada po przeczytaniu. - Księżna i „król Jan” chcą pieniędzy. Ta kobieta zrzuciła już maskę. Ale mnie nie nabiorą.

Nie zrealizuje swoich urodzinowych projektów, które minęłyby się z celem, jakim było zapewnienie Wiktorii samodzielności. Stworzenie precedensu kontrolowania osobistych finansów Wiktorii przez tę parę, mogłoby być nawet niebezpieczne. Król William ofiaruje bratanicy na urodziny fortepian i wyda dla niej wielki bal.

W pałacu kensingtonskim księżniczka nadal śpiewa duety ze swą matką, ale - zgodnie z radą Lehzenki - nie rozmawia z nią wcale, nawet wieczorem we wspólnej sypialni. Conroy wpadł na nowy pomysł: domaga się teraz, aby Wiktoria sama zażądała regencji do chwili, kiedy ukończy dwadzieścia jeden lat. Znacznie trudniej będzie odsunąć jego samego i księżną od spraw publicznych, jeśli przez jakiś czas sprawowali regencję. Jest już teraz zupełnie jasne, że głównymi antagonistami są Sir John Conroy i baronowa Lehzen. Na pozór główne osoby, księżna Kentu i Wiktoria, są w rzeczywistości tylko marionetkami w walce o władzę, toczącej się między ochmistrem a guwernantką; ale ochmistrz to megaloman, a baronowa jest rzeczywiście szczerze przywiązana do swej pupilki i myśli również o niej.

Echa tej walki przedostają się do wiadomości publicznej. Kiedy osiemnastoletnia następczyni tronu - teoretycznie już pełnoletnia, gotowa wstąpić na tron, gdy nadejdzie chwila - jedzie do pałacu Św. Jakuba na swój urodzinowy bal, wzdłuż ulic zbierają się liczne tłumy. Powszechna sympatia jest na ogół po jej stronie. Go prawda, każdy prawie z przypatrujących się przejeżdżającej księżniczce gapiów skarciłby ostro własną córkę, gdyby zachowywała się z tak upartą niesubordynacją w stosunku do rodziców, jak Wiktoria. Ale w Anglii nie lubiano importowanych z Niemiec, jak księżna Kentu, księżniczek i uważano, że o wiele za dużo jest ich już na angielskim dworze. Poza tym cały Londyn aż szumi od skandalicznej plotki o romansie księżnej z własnym ochmistrem. O roli baronowej Lehzen nic ogółowi nie wiadomo, ludzie widzą tylko młodą dziewczynę, prześladowaną przez rozwiązłą matkę i jej kochanka.

Pomimo przychylności tłumów, Wiktoria po Wielkim Balu nie zapisze w swoim dzienniczku pod datą 24 maja, że się dobrze bawiła.

Król Belgów, dowiedziawszy się od księcia Karola von Leiningen o walce, toczącej się wokół Wiktorii, wysłał swego zaufanego barona Stockmara, by zbadał sytuację i postarał się o jakieś kompromisowe rozwiązanie. Baronowa informuje Stockmara, że u podstaw wszystkich kłopotów tkwi determinacja, z jaką Conroy dąży do zdobycia dla siebie stanowiska prywatnego sekretarza po

wstąpieniu na tron Wiktorii, która i tak nigdy na to się nie zgodzi, bo go nienawidzi i dość już doznała z jego powodu upokorzeń i gróźb, a poza tym nie ma do niego żadnego zaufania z dobrze wiadomych powodów. Stockmar wyjaśnia to ochmistrzowi, ale ten nie chce ustąpić z pola walki. Upiera się, że Wikтория nie jest zdolna do tego, by samodzielnie pełnić wzniosłą funkcję, jaka ma stać się jej udziałem. Umysł jej, dowodzi Conroy, nie wrócił do normy po tyfusie. A jej inteligencja również nie rozwija się na poziomie jej lat. Argumenty, którymi lubi posługiwać się przeciw każdemu, kto poważy mu się sprzeciwić!

Stockmar nie staje definitywnie po stronie Wiktorii. Usiłuje doprowadzić do ponownego zbliżenia między matką a córką. Proponuje, aby z rocznej pensji dziesięciu tysięcy funtów szterlingów, proponowanych przez króla Williama, sześć tysięcy otrzymywała księżna, a cztery tysiące księżniczka do osobistej, nie kontrolowanej dyspozycji. Ale Conroy nie zgadza się na tę furtkę, która mogłaby doprowadzić Wiktorię do prawdziwej niezależności.

Karol von Leiningen pisze do swej przyrodniej siostry nalegając, by pojęła wreszcie, że konflikt ten nie może zakończyć się inaczej, jak tylko wygraną matki. Byłoby lepiej, gdyby Wikтория sama ustąpiła, okazując łagodne posłuszeństwo, jakie jedynie jej przystoi. Wikтория odpowiada mu zwięźle i dość szorstko, że to nie jego rzecz. Ponieważ matka i córka nie rozmawiają z sobą, księżna również pisze list - tonem, który tylko w jej pojęciu mógł być łagodzący: „Jesteś jeszcze bardzo młoda i wszelkie powodzenie, jakie do tej pory odniosłaś, zawdzięczasz wyłącznie reputacji, jaką cieszy się twoja matka. Nie ufaj za bardzo twoim własnym talentom i rozumów i!” (Maniera podkreśleń jest widocznie modna w całej rodzinie.) Niezależnie od „talentów i rozumu” Wiktorii, najmniej „reputacja” matki mogła przyczynić się do jej sukcesów.

Lehzenka dyktuje odpowiedź - pełną szacunku, należnego matce, stanowczą w odniesieniu do Sir Johna. Ale Wikтория niepokoi się, co łatwo zrozumieć. W tej walce, prowadzonej z całym dworem kensingtońskim, ma do pomocy tylko Lehzenkę. Król zachorował, a chociaż wkrótce odzyskał zdrowie, jest bardzo osłabiony, często zasypia, siedząc w fotelu w otoczeniu swego dworu w Windsorze i mrucząc sennie do królowej: „Bez wątpienia, bez wątpienia...”. Stockmar siedzi na dwóch stołkach i ufać mu nie można. Pozostaje tylko Lehzenka - ale też ona jedna starcza za cały regiment. Baronowa poprzysięgła sobie pokonać i bezwstydnego Conroya, i złośliwą Florę Hastings, która wyśmiewa się z jej kminku i wulgarnych manier. Nie uchodzi jej uwagi, że sir John i lady Flora ostatnio wciąż przebywają razem. Tak, tylko baronowa może dopomóc w oswobodzeniu swej pupilki od „opieki” ochmistrza i jego współpracownicy, damy dworu. Lehzenka odkrywa przy tym, że biedna księżna również jest tylko bezwolnym narzędziem w ręku Conroya. Ale nade wszystko walczy baronowa o swoje stanowisko, które jest dla niej wszystkim w życiu, o swój wpływ na księżniczkę i swoje znaczenie na przyszłym dworze. Niebłaha to rzecz dla córki skromnego, luterńskiego pastora z Koburga osiągnąć pozycję powiernicy i doradczyni tej, która. lada dzień zostanie proklamowana królową Anglii.

Stockmar, któremu nie udało się doprowadzić do kompromisu, wraca do Belgii i wreszcie rząd angielski uznaje, że pora wejrzeć w dziwne sprawy, rozgrywające się w pałacu kensingtońskim. Premier, lord Melbourne, wysyła lorda Liverpool, dawnego i szanowanego przyjaciela rodziny książąt Kentu, by wysłuchał obu stron. Od Conroya lord Liverpool usłyszy tyradę o rzekomym braku równowagi umysłowej Wiktorii, o jej frywolnych skłonnościach, zamiłowaniu do strojów i najświeższej mody - co wszystko czyni ją całkowicie niezdolną do sprawowania najwyższej w kraju funkcji. Należy też „oczyścić jej dwór”. Oznacza to, że baronowa Lehzen, która stanowi cały osobisty

„dwór” Wiktorii, musi odejść, by ustąpić miejsca córce Conroya, Victoire. Lord Liverpool rozstrzyga od razu jeden problem: przekazuje wiadomość, iż premier rządu zdecydował już, że po wstąpieniu na tron Wiktoria nie będzie miała prywatnego sekretarza. Może Conroy będzie mógł zostać skarbnikiem - ale i to wcale nie jest pewne. Żadnych przyrzeczeń.

Wysłannik premiera nalega, że musi rozmówić się z Wiktorią bez świadków. Ale Lehzenka uzbroiła swoją pupilkę w *aide-memoire*. Księżniczka w trakcie tej rozmowy przyrzeka jak najchętniej, że po wstąpieniu na tron będzie w każdej sprawie słuchała wskazówek lorda Melbourne - człowieka miłego, dobrotliwego, dającego się lubić - i przyjmie jego jako swego doradcę zamiast prywatnego sekretarza. Ale - dobrze wyuczona przez swoją guwernantkę - absolutnie nie chce słyszeć o zatrzymaniu na jej przyszłym królewskim dworze Sir Johna Conroya, w jakimkolwiek charakterze. Księżniczka oznajmia, że wie o nim takie rzeczy, których nie może w ogóle powiedzieć, ale własna córka lorda Liverpool, lady Catherine Jenkinson, może go o wielu sprawkach poinformować. Lord Liverpoole okazuje sympatię i zrozumienie. Być może, lady Catherine już poinformowała go o tym, o czym zresztą wróble na dachu ćwierkają. Rozmowa skończona, Wiktoria wychodzi z komnaty i rzuca się w objęcia Lehzenki, która pociesza ją i trzeźwi solami z nieodstępnej buteleczki.

Sytuacja pozostaje bez zmian - ślepa uliczka bez wyjścia, ale lord Liverpool przekazuje premierowi bardzo pozytywne wrażenie, jakie wywarły na nim stanowczość, spokój i powaga młodocianej księżniczki; odtrąca z pogardą twierdzenie Conroya o jej umysłowym niezrównoważeniu i dodaje, że Conroy za to wywarł na nim wrażenie wręcz odwrotne.

- Na Boga! Nie znoszę tego człowieka! - wykrzykuje lord Melbourne. - Jest jakiś dziwaczny. - I postanawia osobiście interweniować.

Conroy jest aż tak „dziwaczny”, że proponuje, aby Wiktorię zamknąć, dopóki „nie przejawia więcej rozsądku”. A przecież to on sam w prowadzeniu tej kampanii przejawiał zdumiewająco mało rozsądku. Zraziwszy do siebie baronową Lehzen, dał Wiktorii szefa sztabu o niezwyklej zrećności i niepokonanej sile woli. Sposoby, jakimi zjednał księżną, wywołały nieodwołalną wrogość jej córki. I oto ów fatalny romans pozbawił księżną i miłości córki, i nadziei na wywieranie na nią jakiegokolwiek wpływu - pozbawił ją także sympatii członków rządu i ogółu ludności.

Jest już za późno zarówno na interwencję lorda Melbourne, jak i na proponowane przez Conroya przymusowe zamknięcie Wiktorii. Sytuację zmienia radykalnie inna interwencja. Król William IV, w gwałtownym ataku astmy kładzie się do łóżka, by już więcej nie wstać.

## Rozdział V

### „NAPRAWDĘ KRÓLOWA”

Osiemnasty czerwca 1837 roku. Król William ma jeszcze dzień życia, najwyżej dwa. W tych ostatnich godzinach król zaskarbił sobie serdeczną przychylność swoich poddanych słowami, które w mgnieniu oka rozeszły się wzdłuż i wszerz Anglii:

- Dziś przypada dwudziesta druga rocznica bitwy pod Waterloo. Chciałbym jeszcze zobaczyć, jak będzie zachodzić słońce znad Waterloo.

I chociaż minęły już dwadzieścia dwa lata od tej bitwy, kiedy dowodzone przez Wellingtona wojska przez cały dzień odpierały nieustanne ataki napoleońskiej gwardii, by wreszcie, przy pomocy oddziałów generała Bliichera, odnieść ostateczne zwycięstwo - nazwa Waterloo jest nadal równie droga sercom Anglików, jak w dzień po bitwie. Przez wiele lat przed tym zwycięstwem żyli w nieustannej trwodze, oczekując inwazji Napoleona na wyspy brytyjskie. Ostateczne pokonanie cesarza Francuzów przywróciło im poczucie bezpieczeństwa. Dowiedziawszy się o słowach króla, księżę Wellington przesyła do Windsoru, do łoża umierającego, trójkolorowy sztandar, jeden ze sztandarów napoleońskich, zdobytych w zwycięskiej bitwie.

- Rozwiń go i podaj mi tutaj, abym mógł go dotknąć - mówi król do swego nadwornego lekarza, doktora Chambersa, a później dodaje: - To był dzień chwały...

Arcybiskup Canterbury, William Howley i szambelan królewski, lord Conyngham, przemierzają niespokojnymi krokami antyszambur przed królewską sypialnią.. Ich czuwanie się przedłuża. Król William przeżyje rocznicę bitwy pod Waterloo, przeżyje jeszcze następny dzień. W pierwszych godzinach rozpoczynającego się dnia 20 czerwca stary żeglarz na tronie wypowiada ostatnie zrozumiałe zdanie:

- To dobrze, że marynarze będą mieli piękną, młodą królową, by walczyć za nią...

Doktor Chambers pochyła się nad nim. Król już nie żyje.

W sypialni swojej matki, w pałacu kensingtonskim, Wiktoria śpi, nieświadoma zmiany, która już na nią spadła. Bramy zamknięte, w portierni obok zasnął odźwierny. Turkot karety, podjeżdżającej galopem pod bramę o godzinie piątej nad ranem, wcale go nie obudzi. Arcybiskup, lord szambelan i lekarz królewski jechali z Windsoru do Londynu największym pędem, do jakiego zdołano zmusić konie. Oni pierwsi muszą bowiem przywieźć nowej monarchini wiadomość - zanim księżna Kentu i jej ochmistrz usłyszą nowinę od swoich szpiegów na dworze królewskim. Dzwon przy bramie pałacu kensingtonskiego rozbrzmiewa hałaśliwym dźwiękiem, doktor Chambers szarpie gniewnie, niecierpliwie za sznur. Odźwierny budzi się wreszcie, otwiera bramę. Kareta turkoce po podjeździe. Ale nocni przybysze jeszcze długo będą czekali w ciemnym salonie pałacu.

Wreszcie wchodzi księżna Kentu w fałdzistej, obszernej porannej sukni, mijając pozostawionego w antyszamburze doktora Chambersa. Lord Conyngham prosi o pozwolenie widzenia się z jej córką. Księżna protestuje, odpowiada, że Wiktoria śpi i żąda, by lord szambelan wyjaśnił, w jakiej sprawie

chce widzieć księżniczkę. Conyngham naradza się szeptem z arcybiskupem.

- Musimy natychmiast widzieć się... z królową! - mówi lord szambelan.

Księżna nieruchomieje i obrzuca go długim, pytającym spojrzeniem. Conyngham kłania się w odpowiedzi. Księżna wychodzi.

Niebawem po schodach schodzą trzy kobiety w rannych strojach; długie, kasztanowate włosy Wiktorii opadają jej na plecy; księżna niesie w ręku srebrny lichtarz, baronowa flakon z solami trzeźwiącymi. Przed drzwiami do salonu Wiktorii, która odbyła generalną próbę tego momentu z Lehzenką, wysuwa się naprzód. Wchodzi pierwsza i... zamyka za sobą drzwi, tuż przed nosem matki i guwernantki. Księżna chmurzy się, baronowa pozwala sobie na przelotny uśmiech.

W salonie Conyngham i arcybiskup przyklękają. Lord szambelan oficjalnie oznajmia o śmierci króla Williama.

- Boże, zachowaj królową!

Wiktorii podaje rękę do pocałunku. Nauczyła ją tego Lehzenką. Ale nie tylko pouczenia guwernantki są w tym geście - szybkim, zachłannym, Wiktorii wyciąga rękę po własną wolność.

Zwiastuni wielkiej nowiny odjeżdżają. Wiktorii w nagłym odprężeniu wybucha płaczem z żalu po stracie „króla-stryja”. Oczy księżnej są suche, usta mocno zaciśnięte. „Boże, zachowaj królową!” O regentce nie ma mowy.

Poprzednicy Wiktorii przyćmili blask tego tronu, na który młoda dziewczyna wstąpi. Nawet o Williamie - który żył za długo dla księżnej i jej ochmistrza - ówczesny komentator pisał w „Spectatorze”, tygodniku literacko-politycznym:

„Nasz nieżyjący władca, chociaż jowialnego usposobienia i uczciwy, jak na króla, był jednak ignorantem, człowiekiem pospolitym i słabego charakteru... Mimo chwiejności jego celów i małości jego umysłu, mimo jego ignorancji i zabobonów, William IV był do końca królem popularnym, ale popularność<sup>”^</sup> zyskał za cenę czegoś bardzo zbliżonego do powszechnej pogardy”.

Wszędzie się dyskutuje tego pierwszego dnia panowania Wiktorii, czy monarchia przetrwa jeszcze jednego monarchę. Mało się wie o nowej królowej, prócz tego, że jest młoda. Ukazywała się wprawdzie publicznie, ale zawsze w cieniu swojej matki. Żyła zamknięta z ludźmi o wiele starszymi od niej. Nikt, prócz matki i guwernantki, nie był z nią sam na sam ani przez chwilę. Chodzą pogłoski o jej porywczoci. Przejawia upór - ale nikt nie wie, czy z własnej woli, czy z namowy guwernantki. Ludzie, tradycyjnie przywiązani do monarchii, spoglądają w przyszłość z niewielką nadzieją.

Ich obawy okażą się nieuzasadnione. Jeśli panowanie królowej Wiktorii - wspomaganej przez męża o głębokim poczuciu obowiązku i przez kilku kolejnych premierów i doradców o nieprzeciętnych zdolnościach - zawiedzie pod różnymi względami, to w każdym razie tron, bardzo chwiejny w chwili jej akcesji, będzie wydawał się nienaruszalny w chwili jej śmierci.

Pierwszą osobą spoza swego bezpośredniego otoczenia, z którą Wiktorii się zobaczy, jest baron Stockmar. W jego towarzystwie młoda dziewczyna siada do wczesnego śniadania. Gdy nie jest w Anglii, baron zajmuje się wychowaniem Alberta von Sachsen-Coburg-Gotha, któremu wszczepi własne, namiętne zamiłowanie do pracy, poczucie odpowiedzialności i obowiązku. Wszczepi mu również własne marzenia o wielkim, zjednoczonym państwie niemieckim.

Księżna Kentu, nieustannie przypominając Wiktorii o jej obowiązkach, miała na myśli głównie obowiązki córki w stosunku do matki. Barona pojęcie obowiązku - przejmie je od niego Albert - jest obowiązkiem w stosunku do własnej pracy, która musi mieć zawsze absolutne prawo pierwszeństwa do czasu i sił człowieka. Pedagog i uczeń doprowadzą tę zasadniczo słuszną maksymę



do przesady, niezdrowej dla młodego człowieka. Albert nie zna żadnych rozrywek młodości; jeśli pojawia się na balach i przyjęciach, to traktuje je tylko jako część składową swoich obowiązków, w ogóle nie dostrzega młodych kobiet - nieśmiałość w stosunkach z płcią piękną pozostanie mu do końca życia. Wpływ Stockmara w połączeniu z silnie przeżyтыми wspomnieniami dzieciństwa i przekonaniem, że brak moralności w życiu rodzinnym prowadzi do nieszczęścia i łamie życie, nada charakterowi Alberta rysy surowego purytanizmu.

Baron Stockmar, zgodnie z sugestią króla Belgów, zaczyna się teraz uważać również za doradcę Wiktorii. Podczas śniadania przypomina jej słowa wuja Leopolda: „Zadaniem najwyższym w państwie postawionych ludzi jest postępowanie wobec wszystkich z absolutną bezstronnością i bezwzględną sprawiedliwością”. Mało który monarcha dorósł do tego ideału, a z pewnością był on trudny do osiągnięcia dla osiemnastoletniej dziewczyny.

O dziewiątej przybywa premier, lord Melbourne, w pełnej gali dworskiej. Znowu królowa jest sama. Znowu podaje mu rękę do pocałunku. Stockmar pouczył ją, jakie - według wytrawnego taktyka, króla Leopolda - ma być poprawne posunięcie na początek:

- Od dawna było moim zamiarem zatrzymanie waszej lordowskiej mości i ministrów jego rządu na dotychczasowych stanowiskach.

Lord Melbourne jest średniego wzrostu, jeszcze młodzieńczej postaci, ma bystre, inteligentne oczy, nos rzymski, wyraźnie zarysowane brwi, usta zarazem zmysłowe i układające się w pełen humoru uśmiech. Wiktoria spotykała go oczywiście na dworskich uroczystościach, ale nigdy jeszcze z nim nie rozmawiała. Słyszała o nim jednak wiele, jako o postaci tragicznej i romantycznej. Jego żonę, Karolinę, nieodwzajemniona miłość do tego zdobywcy serc, lorda Byrona, doprowadziła do obłąkania i przedwczesnej śmierci. Jedyne dziecko lorda Melbourne było epileptykiem i zmarł przed rokiem. Te dwie wielkie tragedie wprawdzie nie rozgoryczyły go, ale jednak zmieniły jego charakter, wsączając mu w duszę rodzaj jakby paraliżującego fatalizmu. Wydaje mu się, że wszelkie problemy same dojrzeją do rozwiązania. W rezultacie powstają nieraz krytyczne sytuacje, których można było uniknąć, podejmując wcześniej energiczniejszą akcję.

Oprócz zainteresowania tragediami jego życia, które budzą oddźwięk u lepszej strony charakteru Wiktorii, młoda dziewczyna wie również, że ten wytworny i czarujący mężczyzna był dwukrotnie powoływany przed sąd w sprawach rozwodowych i dwukrotnie sędziowie przysięgli uniewinnili go od zarzutu cudzołóstwa. Ktoś obecny na sali sądowej w czasie drugiego z tych procesów, który toczył się zaledwie przed rokiem, zauważył później: „O ile mogłem zaobserwować, Melbourne miał więcej sposobności, niż jakikolwiek inny mężczyzna, no i nie skorzystał z nich”. Ale Wiktoria zna przysłowie: „nie ma dymu bez ognia”. Młode kobiety rzadko kiedy zraza dwuznaczną przeszłość starszego mężczyzny, który im się podoba. Melbourne wchodzi w życie Wiktorii jak świeży powiew swobody ze świata ciekawego i realnego, wymiatając z pałacu kensingtonskiego zmurszałe odory hipokryzji. Jest dowcipny, sceptyczny, sypie paradoksami, lubi powtórzyć ciekawą ploteczkę. Wiktoria ulegnie jego urokowi od pierwszej rozmowy i stworzy sobie z niego znowu taką na wpół ojcowską postać, do których przywiązanie miało odgrywać dużą rolę w jej życiu.

Lord Melbourne odczytuje krótkie przemówienie, jakie przygotował dla niej do wygłoszenia na pierwszym posiedzeniu tajnej rady koronnej, które ma się odbyć o godzinie jedenastej. Pyta, czy chciałaby, aby przy tym pierwszym jej wystąpieniu publicznym jako monarchini, wprowadzili ją najwyżsi urzędnicy królestwa. Odpowiada szybko:

- Nie, dziękuję. Wejdę sama.

Sama! Ma teraz wciąż na ustach ten wyraz. Od tak dawna czuła się dławiona nadmierną opiekuńczością. Od tak dawna Lehzenka powtarzała jej, że gdy zostanie królową, powinna polegać na sobie samej. To dobra rada, chociaż nie wiadomo, czy baronowa udzielała jej z dobrą wolą. Lehzenka przygotowywała sobie osobisty triumf, skutecznie starając się usunąć księżną. Tegoż wieczora, w swoim diariuszu Wiktoria po wiele-kroć powtórzy wyraz: „sama”. „Przyjęłam lorda Melbourne w moim pokoju, oczywiście sama, zupełnie SAMA.”

Wychodzącego od Wiktorii lorda Melbourne zatrzymuje po drodze Sir John Conroy, żądając wyniośle, aby na przyszłość księżna Kentu była obecna przy wszelkich audiencjach, udzielanych przez królową. Ale i tym razem ochmistrz przeliczył się z siłami. Melbourne potrafi być wcale energiczny, gdy ma na to ochotę. Z satysfakcją przewiduje, że będzie odgrywał rolę ojcowskiego doradcy młodocianej królowej. Odpowiada ochmistrzowi zwięźle i stanowczo.

- Regencji nie ma. Młoda kobieta, która jest dosyć dorosła, by zostać królową, jest też dosyć dorosła, by rozmawiać z odpowiedzialnymi ministrami swego rządu - w średnim wieku i powyżej!  
Sama!

Tymczasem Wiktoria, zgodnie z sugestią guwernantki, pisze list kondolencyjny do swej owdowiałej stryjenki, królowej Adelajdy, i drugi do wuja Leopolda.

Po wyjściu lorda Melbourne księżna i Conroy zamykają się na wspólną naradę. Ochmistrz jest w posępnym nastroju, ale wspólnie uzgadniają następne posunięcie. Wiktoria nadal nie rozmawia z matką ani z nim, wymieniając tylko konieczne, formalne uprzejmości.

O jedenastej drzwi Czerwonej Sali w pałacu kensingtonskim otwierają się na oścież. Zebrali się tu prawie wszyscy członkowie tajnej rady koronnej, a rzadko kiedy bywają tak w komplecie. Dziś są ciekawi zobaczyć, jak będzie się zachowywać ta młodociana następczyni trzech kolejnych monarchów, określanych przez jednego z królewskich radców: „Pierwszy dureń, drugi rozpustnik i trzeci błazen”. Młoda królowa wchodzi - „zupełnie SAMA”. Jest niskiego wzrostu, bardzo zgrabna, w skromnej, czarnej sukni żałobnej. Książęta krwi, Cumberland i Sussex podchodzą i prowadzą ją do tronu. Ktoś szepce drugiemu na ucho: „Piękność i bestie!” Przez rok Wiktoria praktykowała pod czujnym okiem Lehzenki, jak się zachować w tej chwili i teraz łączy w sobie wdzięk i dostojeństwo, które mile zadziwiają dygnitarzy, przeważnie starych mężczyzn, ciekawie ją obserwujących.

Przez chwilę siedzi bez ruchu. Swe słynne z piękności drobne, białe ręce złożyła na poręczach tronu. Patrzy - i na nią patrzą. Włosy brązowokasztanowate, oczy niebieskie, wypukłe, duże, mały, z lekka garbaty nos, regularny owal twarzy, bardzo jasna cera. Go za kontrast z tymi „niesławnymi satyrami”, których tron odziedzyczyła! Starzy, znużeni życiem członkowie rady są oczarowani. Jakby odmłodnieli. Próbuje wyprostować przygarbione ramiona, przyglądają niesforne, siwe wąsy, ukradkiem obciągają połę galowego fraka, poprawiają kołnierzyk, podciągają jedwabną pończochę. Jej młodociana niewinność i powaga, jej spokój wydają się oczom, przywykłym do zakłamania i sztuczności dworskich manier - ideałem doskonałości. Wiktoria jest tak świetnie wyćwiczona i przygotowana do swojej roli, że nie okazuje żadnych oznak nerwowości, i tylko czasem spogląda na lorda Melbourne, jakby szukając u niego zachęty.

Odczytuje wysokim, opanowanym głosem krótką mowę, którą napisał dla niej Melbourne, mistrz od tego rodzaju wystąpień. Nawet najbardziej zatwardziały spośród radców podbija jej zachowanie.

Pierwszymi, którzy składać będą hołd nowej monarchini, są jej stryjowie. Książę Sussex jest inwalidą, więc Wiktoria wstaje i podchodzi do niego, zamiast czekać, by on sam podszedł do niej.

Jeden po drugim starzy wyjadacze, zahartowani w politycznych rozgrywkach, całują jej rękę. Są kompletnie oczarowani i wydaje im się, że dostali jako władczynię heroinę z romantycznych powieści. Dopiero w przyszłości mają się dowiedzieć, że pod maską niewinności, słodyczy i powagi romantycznej heroiny ukrywa się wybuchowy, prawie histeryczny temperament i upór, do którego podzegała ją niemiecka guwernantka, a który został wypróbowany w walkach o własną samodzielność. Thomas Creevey, siedemdziesięcioletni polityk i autor diariusza, spogląda trzeźwiej na Wiktorię:

„Trudno sobie wyobrazić pospolitszą istotę, kiedy jest swobodna... Śmieje się od ucha do ucha, pokazując przy tym niezbyt atrakcyjne dąsła. Je równie bezceremonialnie, jak się śmieje. Naprawdę można powiedzieć, że nie je, a łyka, łakomie i chciwie”.

Dwór oczywiście obwinia guwernantkę i jej kminek za bezceremonialne maniery Wiktorii.

Księżna Kentu także nie widzi w swej córce cnotliwej heroiny. Wychodząc do antyszambru po spotkaniu z tajną radą koronną, Wiktorja zwraca się do matki, przełamując długotrwałe milczenie:

- A teraz, mamó, czy jestem naprawdę królową?

W pytaniu dźwięczy bez wątpienia nuta impertynencji. Odpowiedź wypada błado:

- Widzisz, że tak, moja droga!

- W takim razie, droga mamó, mam nadzieję, że zgodzisz się na pierwszą moją prośbę, z którą zwracam się do ciebie, jako królowa. Pozwól mi być samą przez godzinę.

Dobrze wyćwiczyła Lehzenka swoją pupilkę w subtelnościach taktycznych. „Prośba do ciebie” to zwrot pełen respektu dla matki; ale odcień słów: „jako królowa” nadaje prośbie ton rozkazu.

Na lorda Melbourne również ktoś czeka przed Czerwoną Salą. Baron Stockmar:

- Chciałbym pomówić z panem o Sir Johnie Conroyu.

Nie uda się premierowi wymigać od tego problemu, o którym dobrze wie, że kryje w sobie potencjalne niebezpieczeństwo dla spokoju pierwszych dni panowania królowej.

- Szkoda doprawdy psuć piękny ranek takim niefortunnym tematem - odpowiada lekko, ale jednak wysłucha Stockmara.

Conroy jest gotów skapitulować - ale na pewnych warunkach. Jakież to są warunki? Stockmar podaje premierowi kartkę papieru. Roczna pensja w wysokości 3000 funtów szterlingów, wielki krzyż Orderu Łaźni, tytuł para Anglii i fotel w tajnej radzie koronnej. Łatwo zrozumieć irytację lorda Melbourne. Papier drży mu w dłoni, wypada na podłogę. Podnosi go i znowu upuszcza w zdeterminowaniu.

- To już przekracza wszystko! Kto kiedy słyszał o takiej bezczelności?

Wkłada dokument do kieszeni i obiecuje doradzić królowej, jak ma załatwić tę petycję.

Wiktorja wychodzi z pokoju po pierwszej, jakiej zaznała w życiu, godzinie samotności, od której wykluczyła nawet Leh-zenkę. Jak spędziła tę godzinę, nikt nie wie. Ale z niektórych jej poczynań wolno wyciągnąć na ten temat uzasadnione wnioski.

Pierwszym zarządzeniem, jakie wyda, będzie rozkaz wyniesienia jej łóżka z sypialni matki. Wskazuje pokój, w którym będzie odtąd sypiać „sama”. Jest to gest symboliczny. Zapowiada najbliższą przyszłość, kiedy księżna zostanie absolutnie odsunięta od córki. Otoczona wszelkimi zewnętrznymi oznakami respektu, nie będzie miała żadnego znaczenia, jej słowo nie będzie miało najmniejszego wpływu na Wiktorję. Od tylu lat księżna wyczekiwała tego dnia, kiedy będzie matką królowej. Dzień nadszedł, a gdy się skończy, księżna powie do żony rosyjskiego ambasadora, księżnej Lieven:

- *Je ne suis plus rien!* [\* Jestem już niczym!].

Baronowa Lehzen być może zadała ostateczne złośliwe pchnięcie, ale to księżna Kentu niewątpliwie sama - ze swym Conroyem - była architektem własnej tragedii, która rozegrała się owego dnia.

Dla Wiktorii dzień jeszcze się nie skończył. Po południu odbywa ponownie konferencję z premierem swego rządu, następnie z arcybiskupem Canterbury, a potem jeszcze z ministrem spraw wewnętrznych, w sprawie bezpieczeństwa jej własnej osoby. Przyjmuje znowu Stockrñara i dowiaduje się od niego o warunkach kapitulacji Conroya. Pierwszym tego rezultatem jest wykluczenie Conroya z królewskiego dworu, chociaż nie można go usunąć z dworu księżnej Kentu. Następnie Wiktorii mianuje doktora Jamesa Clarka, który leczył ją podczas tyfusu, lekarzem nadwornym.

Wiktorii chce wyznaczyć baronowej Lehzen jakieś oficjalne stanowisko na swoim dworze. Ale dawna guwernantka jest zbyt przebiegła i przewidująca, by się na to zgodzić. Ci, którzy zajmują oficjalne stanowiska w królewskim otoczeniu, mogą być oficjalnie usunięci - i to często nawet wbrew woli królowej. Lehzenka nie przyjmie żadnej nominacji. Przynajmniej, że dopóki Wiktorii będzie jej potrzebowała, nigdy nie opuści swej dawnej pupilki, która została królową. Wiktorii całuje ją serdecznie, przekształcając ją tym pocałunkiem w Przyboczną Damę Dworu Królowej - ranga i tytuł nieznanne do tej pory w ceremoniale dworskim. Zanim skończą się rządy Lehzenki, wejdzie w życie Wiktorii ktoś, do kogo jej uczucie będzie jeszcze głębsze.

Po obiedzie Wiktorii jeszcze raz naradza się z lordem Melbourne, a rozmowę tę określi w swoim dzienniku jako „bardzo ważną i bardzo przyjemną”. Ważne i przyjemne popołudnie rozmowy staną, się w ciągu następnych czterech lat codziennym, ściśle przestrzegającym i wysoko cenionym obyczajem w życiu królowej i jej premiera.

W diariuszu znajdzie się również pod datą tego dnia następująca próbka samoanalizy:

„Jestem bardzo młoda i może w wielu, chociaż nie we wszystkich dziedzinach niedoświadczona, ale jestem pewna, że mało kto ma więcej ode mnie dobrej woli i szczerego pragnienia postępować w sposób słuszny i właściwy”.

Te świadomie cnotliwe słowa spływają spod pióra osiemnastoletniej dziewczyny z zarożumiałym, niemieckim samozadowoleniem. Lehzenka wycisnęła swoją pieczęć.

*Część druga*

# UCIECZKA Z RODZINNEJ NIEWOLI

# Rozdział I

## KRÓLOWA SIĘ BAWI

Gdy tylko „Aleksandrynę Wiktorię” publicznie, z otwartego okna pałacu Św. Jakuba proklamowano królową, młoda dziewczyna natychmiast wydaje zarządzenie, mocą którego pierwsze z tych imion ma być wykreślone ze wszelkich oficjalnych dokumentów i w przyszłości nigdy więcej nie używane. Na tym skończył się żart, którym król Jerzy IV chciał dokuczyć jej ojcu podczas ceremonii chrztu.

Wiktoriana wygłasza krótkie przemówienie w Izbie Lordów i drugie w Izbie Gmin. Są to tylko konieczne formalności, ale młoda dziewczyna wywiązuje się z nich z aplombem, dziwnie sprzecznym z jej prawie dziecinnym wyglądem. Królowa płynie teraz na fali powszechnego entuzjazmu, przywiązania i lojalności, które co prawda są raczej wyrazem ogólnej ulgi z powodu uwolnienia się od kilku kolejnych, żenująco niedołączonych starców na tronie, niż ugruntowaną znajomością zalet młodej królowej.

Wiktoriana wybiera damy swego przyszłego dworu. Pierwszą garderobianą mianuje znaną z urody i elegancji księżną Sutherland, którą Conroy ganił za wciąganie młodej księżniczki w kwestie strojów i mody. Pod jednym tylko względem córka księżnej Kentu przejawia wpływ swojej matki. Wychowana w atmosferze przychylności do stronnictwa wigów, a niechęci do torysów, którym sympatię okazywali Jerzy IV i William IV, Wiktoriana wybiera wszystkie swoje damy dworu z rodzin trądy-cyjnie sprzyjających wigom, albo też małżonki wigów. Zrozumiały, że torysi, obecnie w opozycji, nie pochwalają tak demonstracyjnie okazywanych sympatii i antypatii u królowej, od której oczekują, by stała ponad stronnictwami politycznymi.

Następnie odbywa się przeprowadzka z pałacu kensington-skiego, opuszczanego nie bez żalu, choć w jego murach wiodła Wiktoriana życie podobne do więziennego - do pałacu Buckingham. Księżna Kentu również się tam przeprowadza, ale narzeka, że przydzielone jej apartamenty - siedemnaście pokoi - są zbyt szczupłe i nie pomieszczą księżnej, jej osobistej służby, jej ptaków i psów. I ma jeszcze jedną, poważniejszą przyczynę do skarg. Zaraz po przeprowadzce Wiktoriana kazała przebić drzwi z gotowalni królewskiej do sąsiedniej sypialni Lehzenki. Natomiast apartamenty księżnej wyznaczono tak daleko od królewskich, jak tylko to było możliwe. Wiktoriana w odpowiedzi na skargę matki wyraża życzenie, aby księżna na przyszłość, ilekroć będzie chciała zobaczyć się z królową, przedstawiała to życzenie na piśmie. Choć rozsadza ją wściekłość, księżna musi się dostosować do tego zarządzenia, ale i tak najczęściej otrzymuje, skreślone pośpiesznie ręką córki na marginesie własnego listu, dwa słowa odpowiedzi: „Jestem zajęta”.

Księżna apeluje, zwraca się: „do ciebie, do mego dziecka, nie do królowej”. Wiktoriana nie czuje się już niczym dzieckiem. Rano, wieczór, w południe i nocą - jest królową. Kiedy księżna zostaje dopuszczona do córki, najczęściej spotkanie kończy się sceną - matka usiłuje narzucić swój autorytet, córka już tego autorytetu nie uznaje. Niebawem Wiktoriana przestanie zapraszać księżną, by

towarzyszyła jej w oficjalnych ceremoniach.

O tej domowej waśni w pałacu zaczynają krążyć plotki. Entuzjazm, otaczający romantyczną młodą królową, odrobinę przygasa, a niebawem ludzie przypominają sobie nawet, że dostrzegli jakiś twardy rys wokół wdzięcznych, dziewczęcych warg. Z drugiej strony, chwali się powszechnie serdeczność i dobroć, jaką Wiktoria okazuje owdowiałej królowej Adelajdzie, której pozwolono zabrać z zamku Windsor ulubione meble. A nieślub-ni synowie książęcych stryjów ze zdumieniem stwierdzają, że pozostawiono im różne dochody i synekury, nie obciążone nadmiarem pracy.

Sir John Conroy jest zupełnie odcięty od jakichkolwiek kontaktów z Wiktorią. Baronowa Lehzen, „najdroższa Lehzen-ka”, triumfująca nad swymi nieprzyjaciółmi, pozostaje zwycięska i samotna na placu boju, jeszcze bliższa królewskiej pupilki, której teraz jest przyjaciółką i powiernicą. Są zawsze razem, we dwie. Ministrowie, przychodzący na audiencje, dostrzegają kraj spódnicy Lehzenki, znikającej za drugimi drzwiami; a gdy wychodzą, słyszą skrzyp otwieranych drzwi, którymi z powrotem wchodzi córka luterańskiego pastora. Oficjalnie mówi się, że była guwernantka nie miesza się do spraw politycznych, że prowadzi tylko prywatną korespondencję Wiktorii. Nikt jednak nie wierzy, by tematy stosunków z księżną matką, zalet poszczególnych ministrów i w ogóle najrozmaitszych problemów dnia codziennego były ściśle wykluczone z jej rozmów z królową. Wszystkim doskonale wiadomo, jaki niezwykły wpływ wywiera ona na porywczą, radośnie podnieconą nową władczynię. Kiedy Wiktoria mówi do ministra: „Przemyślę to jeszcze” - oznacza to właściwie: „Omówię to z Lehzenką”. A może i z baronem Stockmarem, któremu przydzielono stałe apartamenty w pałacu. Ogólnie uważa się go za człowieka dyskretnego, ostrożnego, rozumnego, bezinteresownego. Tym niemniej reprezentuje króla Leopolda i interesy Belgii; jest przy tym doradcą młodego Alberta, księcia sasko-kobursko-gotajskiego. Stockmar snuje marzenia o przyszłym, zjednoczonym pod hegemonią Prus państwie niemieckim; i ma uparcie niewłaściwe pojęcie - które przekazuje Wiktorii i Albertowi - o niepisanej konstytucji angielskiej, której absolutnej odmienności od logicznej, opartej na syntezie doświadczenia prawnego konstytucji belgijskiej, jego umysł nie może pojąć. Stockmar nie szuka sławy, woli pozostawać w cieniu. Podróżuje prawie po kryjomu z Anglii na kontynent i z powrotem do Londynu. Tylko nieliczni, najlepiej poinformowani, zdają sobie sprawę ze znaczenia tej szarej emi-nencji. Podobnie jak baronowa Lehzen, Stockmar nie piastuje oficjalnie żadnego urzędu - a przecież zajmuje jedno z najważniejszych stanowisk.

Jeszcze mniej wiadomo o listach z radami, spływających potopem na sekretarzyk młodej królowej od króla Belgów. We wczesnym okresie korespondencji zalecenia jego są tylko godne pochwały - radzi nie podejmować decyzji na podstawie propozycji ministrów bez wszechstronnego rozważenia sprawy, zaleca rozwijać w sobie systematyczność, punktualność, wyznaczać stałe godziny przyjmowania ministrów. Ale i tak zwyczaj Wiktorii zasięgania rady u obcego monarchy, dążącego do odgrywania roli mentora królowej Anglii - nie przypada do gustu jej ministrom. Nawet sama Wiktoria niebawem będzie zmuszona wypomnieć „najdroższemu wujowi” próbę pokierowania polityką rządu Anglii za pośrednictwem „ukochanej siostrzenicy”.

Ale aspiracje baronowej Lehzen, Stockmara i króla Leopolda wywarcia wpływu na Wiktorię - w tym wczesnym okresie jej panowania - w przeważnej części udaremnia osobisty urok lorda Melbourne. Z roli prywatnego sekretarza i doradcy, którą sam sobie wyznaczył, Melbourne przerzuca się wkrótce do roli adorującego ojca, który pragnie jedynie, aby jego „córeczka” ukazywała się w najkorzystniejszym świetle we wszelkich sytuacjach i przy każdej sposobności.

W ciągu następnych paru lat Wiktoria nie zawsze będzie się ukazywać w najlepszym świetle,

czasem z winy samego lorda Melbourne. Nie zmienia to jednak w niczym faktu, że od chwili jej wstąpienia na tron, Melbourne czuwa nad nią z głębokim przywiązaniem; dochodzi do porozumienia ze Stockmarem, potrafi ułagodzić Lehzenkę i - w granicach możliwości swej natury i swych niepoślednich talentów - służy królewskiej pani i kieruje jej krokami. Dzięki niemu też królowanie sprawia jej głęboką satysfakcję. Wiktoria zapisuje w dzienniku, że musi przyjmować wielu ministrów, czytać mnóstwo sprawozdań i dokumentów, podpisywać niezliczone papiery, jest zajęta od rana do nocy, ale „rozkoszuje się całą tą pracą”. Na razie, jak ćwi-cząca tancerka, Wiktoria jedynie stosuje się do zwykłej rutyny; jednakże, nareszcie i niewątpliwie „bawi ją” królowanie.

Osiemnastoletnia Wiktoria nie wie oczywiście, że losem jej jest zajmowanie najwyższego stanowiska w państwie, które podejmie się jednego z trudniejszych eksperymentów w historii świata: próby dostosowania człowieka z epoki pierwszego gwałtownego rozwoju industrializacji do form życia w coraz bardziej demokratycznym społeczeństwie. Ten właśnie eksperyment, a nie marzenia, choćby spełnione, o imperialnej wspaniałości, będzie wielkim zadaniem ery wiktoriańskiej. Ale królowa aż do końca życia będzie się tym wielkim eksperymentem - w odróżnieniu od interweniowania w politykę zagraniczną - bardzo mało interesować, co świadczy raczej o jej oderwaniu od rzeczywistości.

W roku 1837 mało jest ogniw administracyjnych, wiążących rząd z masami społeczeństwa. Ustawa o reformie parlamentarnej z roku 1832 poszerzyła wprawdzie krąg wyborców, ale w żaden sposób nie można jeszcze powiedzieć, że szerokie masy społeczeństwa mają głos w rządzeniu - ani też, że się w codziennym swoim życiu w *ogóle* sprawami publicznymi interesują.

W ciągu pierwszych trzydziestu lat panowania Wiktorii, na czele kolejnych rządów zarówno stronnictwa wigów, jak i to-rysów, stoją zwykle przedstawiciele dawnej arystokracji. Ministrowie przeważnie zasiadają w Izbie Lordów tytułem praw dziedzicznych. Debaty w Izbie Lordów mają więc na ogół większe znaczenie - i to znaczenie o tendencji zwyżkującej - niż w Izbie Gmin. Znaczna część posłów wybranych do Izby Gmin, to młodszy synowie arystokratycznych rodzin, a olbrzymia większość spośród nich interesuje się raczej ochroną praw własności, niż troską o dobro publiczne.

Funkcje administracyjne rządu są dość ograniczone. Ogólne wydatki budżetu państwowego ledwie przekraczają sumę 50 milionów funtów szterlingów rocznie, z których to sum procenty i spłaty długów pochłaniają 29 milionów, a koszty obrony 15 mi-lianów, pozostaje zatem tylko 6 milionów na wydatki korony, aparatu administracyjnego i koszty ściągania podatków. Dochody lokalnych samorządów nie przekraczają 12 milionów na cały kraj, z czego większość idzie na utrzymanie dróg i mostów, policji i domów dla obłąkanych.

Za panowania Wiktorii okaże się zupełnie wyraźnie, że mieszkaniec miasta przestał już być samowystarczalny. Nie może sam zbudować sobie domu, ani wykształcić swoich dzieci, nie może nawet sam pozbyć się śmieci i nieczystości. A przede wszystkim nie może jako jednostka efektywnie pertraktować o uczciwe warunki zarobku z bogatym i wszechpotężnym pracodawcą. Go przenikliwsi politycy niebawem zaczną wciągać te wszystkie problemy w orbitę odpowiedzialności państwa. Sama królowa Wiktoria będzie się interesowała losem ubogich, jak interesowała się Cyganami, gdy była jeszcze księżniczką. Ale jej zainteresowanie ograniczy się do macierzyńskiej filantropii. Nigdy nie będzie mogła pogodzić się z myślą, że „gminne pospólstwo” może brać jakiś udział w rządzeniu państwem. Nadejdzie chwila, kiedy oznajmi, że nie potrafi być „demokratyczną królową”.

Niezależnie od wielu swoich niezaprzeczalnych zalet i szczerego do Wiktorii przywiązania, lord Melbourne nie jest człowiekiem, który by potrafił zmienić naiwne poglądy młodej dziewczyny. Jego



politykę postępowania można śmiało nazwać „mistrzowską bezczynnością”. Utrzymuje, że najlepiej jak najdłużej pozostawiać sprawy w takim stanie, w jakim się znajdują. Wszelkie oznaki niezadowolenia w społeczeństwie - dowiaduje się od niego Wiktorii, która ma dobre serce, ale brak jej energii i dociekliwości, by doszukiwać się prawdy w mętnych wodach zakłamania - są tylko dziełem garstki agitatorów; a każdy zbuntowany Irlandczyk jest oczywiście „podle urodzonym zbirem”.

Niecierpliwa młoda dziewczyna, oswobodzona z klatki pałacu kensingtonskiego, zdaje sobie sprawę jedynie z tych cech premiera swego rządu, które uważa za zalety: w jej oczach lord

Melbourne jest genialnym politykiem, mądrym, o błyskotliwym umyśle filozofem, znającym życie i ludzi światowcem. Przyjmuje go przynajmniej dwa razy dziennie, a pisuje do niego i otrzymuje odpowiedzi niekiedy nawet trzy razy na dzień. Zaprasza go na wieczorny obiad parę razy w tygodniu, sadza zawsze, niezależnie od rangi innych zaproszonych gości, obok siebie po lewej stronie i zwykle większość czasu spędza rozmawiając wyłącznie z nim. Melbourne rozśmiesza ją często: Wiktorii pokazuje wówczas swe niezbyt atrakcyjne dżaszta, zaśmiewając się w głos z jego epigramów w rodzaju: „Kobiecie właściwie opłaca się, jeśli zostanie zabita, zważywszy ogrom współczucia, jakie budzi”; albo: „Angielscy lekarze zabijają pacjenta, francuscy pozwalają mu umrzeć”. Jego bardziej subtelna ironia nie dociera do Wiktorii. Kiedyś królowa zauważyła, że niewielu jest dobrych kaznodziei, na co Melbourne odparł: „Tak, ale w ogóle niewielu jest dobrych”. Tę odpowiedź Wiktorii uroczyście zapisała w dzienniku z uwagą: „To wielka prawda. Ale nie wątpię, że on sam jest właśnie jednym z tych nielicznych dobrych”.

Młoda dziewczyna jest przekonana, że Melbourne żywi „szczególnie silną odrazę do wszelkiej niemoralności i zła”. Na razie jest to odblask różowych okularów, przez które na niego patrzy. Później zastosuje Wiktorii podwójną hipokryzję: będzie przymykała oczy i udawała, że nie dostrzega skandalicznych romansów na swoim dworze i wśród arystokracji, pod warunkiem, że będą one ukrywane przed publicznością, zwłaszcza przed średnimi klasami. Zadaniem klasy panującej jest budzić respekt i zasługiwać na respekt, ale plotki o skandalach przedostają się do publicznej wiadomości, więc z jednej strony jest to hipokryzja polegająca na rzekomej tolerancji i ukrywaniu, z drugiej strony, hipokryzja polegająca na rzekomej wierze w skuteczność tego ukrywania.

Melbourne, który nadal utrzymuje kontakty z damą, z którą jego nazwisko połączono niegdyś w sądowej sprawie rozwodowej, stara się wpoić Wiktorii rygorystyczne poglądy na sprawę moralności. Widział, ile szkody może przynieść państwu monarcha, odrzucający konwenanse klas średnich, których najwyższym dążeniem jest „zasługiwanie na szacunek”. Ale z natury jest tolerancyjny i zawsze ostrzega, by Wiktorii nie spodziewała się zbyt wiele po danej sytuacji albo danej jednostce. Chciałby, żeby królowa nadmierną surowością nie ściągała na siebie niechęci, ani też nadmierną swobodą nie splamiła własnej reputacji.

Codziennie znosi premier Wiktorii wiadomości o tym, co dzieje się w parlamencie i w gabinecie ministrów. Zwykle łączy to z jakimś sprawozdaniem z poprzednich zdarzeń, z szerszym wyjaśnieniem problemów. Siedząc na sofce w bawialni królowej Melbourne cierpliwie tłumaczy jej zawiłości angielskiego ustroju politycznego albo najnowszą historię Europy, ożywiając wykład aforyzmami i zabawnymi anegdotami. Szkicuje słowami portrety - w sposób łagodny, dojrzały, bezstronny, choć nie pozbawiony dowcipu, a nawet odrobiny złośliwości - politycznych przyjaciół, wrogów i rozmaitych postaci na arenie politycznej. O księciu Wellingtonie, powszechnie szanowanym siedemdziesięcioletnim starcu, zauważa: „Jest zdumiewająco wrażliwy na oznaki szacunku. Nic go

tak nie ujmuje, jak zapytanie o opinię w jakiegokolwiek sprawie”. O ambasadorze Hiszpanii: „Ma ten niezwykle szczery, uczciwy sposób bycia, któremu nigdy nie należy ufać”. Melbourne rozmawia z Wiktoria zawsze jak z równą sobie: pyta o jej zdanie, daje do zrozumienia, że wysoko ceni sobie jej opinię. W ten sposób jednocześnie kształci jej umysł i utrwała jej wiarę we własne siły.

Stara się również nauczyć ją taktu w postępowaniu z ludźmi: „Jeśli chce się zyskać wpływ na kogoś, nie można zaczynać od nagany”. Niezręczność, zdaniem lorda Melbourne, jest równie fatalna w prowadzeniu spraw, jak zła wola: „*C'est les rna-ladroits qui sont malheureux*”\*. Dokładnie objaśnia problemy historyczne, których właściwe zrozumienie jest tak istotne dla

\* Biada niezręcznym.

Wiktorii: angielską wojnę domową, podbój Kanady, amerykańską wojnę o niepodległość. W euforii uwielbienia Wiktoria zapisze w swoim diariuszu: „To dla mnie prawdziwa rozkosz słuchać, gdy opowiada o tych sprawach: ma taki bogaty zasób wiadomości, tak doskonałą pamięć; wie o wszystkim i o wszystkich... I udziela swej wiedzy w taki miły i pełen dobroci sposób, daje mi to tyle korzyści. Konwersacje z nim są w najwyższym stopniu pouczające”. W towarzystwie lorda Melbourne Wiktoria prawie zapomina o baronie Stockmarze, a nawet o ukochanej Lehzence.

Tylko pod jednym względem lord Melbourne „bardzo irytuje” Wiktoria. Pokpiwa siebie z jej psów, jednego nazywa nudnym, a ukochanemu Dashowi wypomina krzywe nogi. Ale to drobiazg, który nie przeszkodzi następnemu entuzjastycznemu wynurzeniu na kartkach dziennika: „Jeśli chodzi o ufność, jaką w nim pokładam, Bóg wie, że żaden minister, nikt z przyjaciół nie posiadał nigdy mego zaufania tak absolutnie, jak ten naprawdę wspaniały człowiek, Lord Melbourne”.

Może trochę za wiele tego ślepego zaufania. Już w chwili wstąpienia na tron Wiktoria skłaniała się ku stronnictwu wigów; teraz staje się ich namiętną zwolenniczką, traci poczucie królewskiej bezstronności, mało bardzo wie o dążeniach torysów, obce są jej problemy liberalizmu i radykalizmu. Kiedy w pierwszych za jej panowania wyborach wigowie wygrywają większością trzydziestu ośmiu miejsc w parlamencie, królowa jest uszczęśliwiona, a usłyszawszy wiadomość o tym, że Joseph Hume, radykał i stronnik wigów, ale o zabarwieniu radykalnym, został pokonany, klaszcze w dłonie. Jej sympatie są po stronie wigów, ale tylko takich wigów, jak lord Melbourne. W tych samych wyborach młody Benjamin Disraeli, słynny ze swych długów i skandalicznych romansów z mężatkami, po raz pierwszy wchodzi jako poseł do Izby Gmin. Nadejdzie dzień, kiedy Wiktoria obdarzy serdeczną przyjaźnią właśnie jego i jego nietypową odmianę ideologii torysów - dążących do poprawy doli ubogich warstw społecznych - tak, jak na razie darzy przywiązaniem lorda Melbourne i jego nietypową odmianę ideologii wigów, dążących do zachowania *status quo* przy pomocy „mistrzowskiej beczynności”.

Melbourne nie ma łatwego zadania, próbując ukształtować młodą królową. Wiktoria jest uparta. Na przegląd wojska w Hyde Parku chce pojechać konno, chce galopować wespół ze starymi bohaterami wojen, toczonych przeciw Napoleonowi - księciem Wellingtonem i lordem Hillem. Melbourne, tym razem wyjątkowo w zgodzie z księżną Kentu, wolałby, żeby Wiktoria pojechała karocą, w towarzystwie drugiej damy, według wymogów przyzwoitości. Toczy się gorąca dyskusja. Wiktoria zamyka ją słowami:

- Bardzo dobrze, bardzo dobrze! Proszę pamiętać: nie jadę konno, nie będzie przeglądu!

Jednakże i Melbourne bywa uparty: przegląd się nie odbywa.

Wiktoria często przejawia nieopanowane wybuchy złości: krzyczy na pokojowe, tupie nogą i wygraża pięścią - tą drobną, białą rączką, zaciśniętą w pięść - w skandalicznych scenach z matką.

Nie zna barwy szarej, ani półtonów zła i dobra. Wszystko jest białe albo czarne; każdy jest zły lub dobry. Nawet lord Melbourne mówi o niej: „Trudno jest przekonać ją, że nie zawsze można iść na oślep naprzód, że czasami trzeba posługiwać się drogą okrężną”. Wiktoria nie zna umiaru w niczym. Jest niepohamowana w radości, w uczuciach, w gniewie, ślepo stronicza, krańcowo naiwna. Dojrzała już do kochanka, który istotnie niebawem pojawi się w jej życiu, by wziąć ją w niewolę.

Ale trudności, upór, nieokiełznany charakter - czynią ją tym droższą sercu człowieka, który traktuje królową tak, jak mógłby traktować ukochaną córkę. Dwór przypatruje się z zainteresowaniem rozkwitowi tej sielanki. Dystyngowany starszy mężczyzna i młodzianka osiemnastoletnia dziewczyna są nawzajem kompletnie sobą pochłonięci. Raz po raz wytrawny mąż stanu pochyła się ku niej w geście pełnym szacunku, to znowu, z wybuchem serdecznego śmiechu odrzuca w tył głowę. A ona słucha go z takim przejęciem, pijąc zachłannie jego słowa, i często marszczy dziecinnie wyglądające czoło w wysiłku zrozumienia jakiegoś bardziej skomplikowanego problemu brytyjskiej konstytucji.

Plotki o tej parze są nieuniknione, ale dobrotliwe. Tylko zawistna księżna Kentu ostrzega złowieszczo:

- Strzeż się, Wiktorio, strzeż się! Pamiętaj o własnych prerogatywach! Strzeż się, aby lord Melbourne nie był królem!

Poza tym jednym posepnym głosem wyraźnie czarująca niewinność tego stosunku, promienna radość Wiktorii, ojcowska rozkosz starzejącego się światowca, który jest jej partnerem - rozbrajają ludzką złośliwość. Żona lorda Greya pisze do jednego z posłów do parlamentu: „Zabawi cię pewno plotka, że ponoć lord Melbourne ma poślubić królową. Co do mnie, nie miałabym żadnych zastrzeżeń”.

Wiktoria nie czuje się wcale przytłoczona monarszymi obowiązkami, odpowiedzialnością, ani też nauką pod kierunkiem lorda Melbourne. Słów Szekspira: „Nie zna spokoju głowa, która dźwiga koronę”\* nie da się zastosować do Wiktorii w ciągu pierwszych lat jej panowania. Piastuje berło z wdziękiem, wierzy, iż rządzi wielkim narodem, oddaje się niewinnemu uwielbieniu premiera swego rządu - i „lepiej się bawi”, niż kiedykolwiek do tej pory. Gdy nadciąga jesień, zwierza się w swym dzienniczku, że lato roku 1837 „było najrozkoszniejsze, jakie przeżyła w całym swoim życiu i nigdy nie zapomni tych pierwszych miesięcy swego panowania”.

Tak chłodne były lata młodości w pałacu kensingtonskim, że pączek nie mógł rozkwitnąć. Teraz, w słonecznym blasku swobody, w aktywnym życiu pałacu buckinghamskiego, pączek szybko rozwinął się w kwiat.

\* W. Szekspir: „*Henryk IV*” (Część Druga, Akt Trzeci, Scena Pierwsza, w. 31).

## Rozdział II

# KRÓLEWNA Z CZARODZIEJSKIEJ BAŚNI

Wieczór 27 czerwca 1838 roku. Liczbę mieszkańców Londynu powiększa milion przybyszów. Właściciele hoteli i panie odnajmujące pokoje podwyższyli ceny do niewiarygodnych sum. Zgarniają w ciągu paru dni zyski, które normalnie wpływałyby przez długie lata. Hyde Park jest jednym wielkim obozowiskiem. Londyńczycy - o przysłowiowym zmyśle handlowym - przygotowali wszelkie rozrywki, jak na jarmark: karuzele, huśtawki, strzelnice, namioty przepowiadających przyszłość wróżek, popisy siłaczy - wszystko, przy pomocy czego można by wyciągnąć jeszcze parę szylingów z sakiewek świątecznie nastrojonej publiczności. Złodzieje kieszonkowi też liczą na piękne żniwa, bo uwaga policji jest skierowana gdzie indziej - jutro w opactwie westminsterskim odbędzie się koronacja dziewiętnastoletniej księżniczki Wiktorii na królową Anglii.

Arystokracja zbija fortuny nie mniejsze niż hotelarze, uliczni przedsiębiorcy i kieszonkowcy. Wielu wynajmuje na okres koronacji swe londyńskie pałace za bająnskie sumy. Poseł rosyjski zapłacił lordowi Ghesterfieldowi pięć tysięcy dwieście pięćdziesiąt funtów szterlingów za użytkowanie jego londyńskiej siedziby przez jeden jedyny tydzień. W ciągu ostatnich dni do Londynu wjeżdża codziennie prawie tyle samo książęcych karoc, co dyliżansów. O stu sześćdziesięciu czterech parów królestwa więcej niż przy koronacji Williama IV upomniało się o swoje prawo do miejsca w opactwie. Kłopotą się teraz o pa-





Sir John Conroy  
Lady Flora Hastings  
Baron Stockmar



Księżę małżonek Albert von Coburg radne stroje dworskie. Ich damy, przywykłe wylegiwać się do południa, z przerażeniem dowiadują się, że będą musiały oglądać czerwcowy świt, by zapewnić sobie dobre miejsce podczas ceremonii.

Parowie i generałowie będą statystami we wspaniałym przedstawieniu. A jowialni Londyńczycy i ich kuzyni z prowincji - to publiczność, która przybyła tłumnie, by podziwiać, śmiać się, oklaskiwać i w ogóle bawić się całym sercem. Pomimo deszczu i wiatru, na trasie królewskiej procesji ustawiły się już głębokie szeregi mężczyzn, kobiet i dzieci, czekających pojawienia się romantycznej młodej królowej, jadącej na koronację. Baśń, wyreżyserowana ku rozrywce publiczności.

Wiktoria jest radośnie podniecona. Dla niej, jak dla tłumów jej poddanych, ta ceremonia to też cudowna bajka. Żałuje tylko, że nie może jechać na białym rumaku. Musi jej wystarczyć uroczysty

przejazd karocą, zaprzęzoną w sześć kremowej maści, idealnie dobranych koni, sprowadzonych specjalnie z Hanoweru. I żadne pomyłki, których pod dostatkiem popełnią reżyserzy widowiska, nie skażą w jej oczach baśniowego uroku.

Lorda Melbourne rozdierają sprzeczne uczucia: z jednej strony ojcowskie roztkliwienie w obliczu triumfu „córki” w wilię jej najważniejszego wystąpienia, a z drugiej strony odpowiedzialność męża stanu, na którego spadł obowiązek przeobrażenia kapryśnej młodej dziewczyny w świadomą powagi chwili monarchinię. Nękają go obawy, czy jego pupilka, przygotowująca się do tej roli jak primadonna, nie będzie w owym krytycznym momencie zachowywać się zanadto po aktorsku, a za mało po królewsku. Melbourne uznaje, że powinien nastroić ją uroczyście, podniosłe, natchnąć czcياً dla znaczenia obrzędu koronacyjnego. Tak więc on, który niegdyś znajdował satysfakcję w podminowywaniu religijnych wierzeń swej żony, i sam jest agnostykiem, z powagą odczytuje na głos ustęp ze Starego Testamentu o młodym Salomonie, wstępującym na tron po Dawidzie: „Jestem tylko słabym dzieckiem: nie wiem, jak wyjść i wejść. A sługa twój jest pośród ludu, który wybrałeś... Daj więc słudze twojemu serce rozumne, by osądzał twój lud, by mógł rozróżniać między dobrem a złem”.

Tyle lord Melbourne, ukochany opiekun i doradca. Wiktoria próbuje go uspokoić, zapewnia, że nie potraktuje lekkomyślnie uroczystego obrzędu. Ten, który nie modlił się od wielu, wielu lat, prosi, by mu przyrzekła jak córka, że w podnieceniu owego poranka nie zapomni odmówić pacierzy, zanim wyjedzie do opactwa westminsterskiego. Dziewczyna obiecuje uroczyście i przyrzeka, że nie będzie miał powodu wstydzić się za nią. Ale gdy kładzie się do łóżka w wilię wielkiego dnia, nie wyrzeknie się chwili marzenia, wizji jej samej, niegdyś więźnia klatki ken-singtońskiej, jadącej konno na białym rumaku na koronację...

Sporo już wydarzeń zaszło od owego „najszcześniejszego lata” w jej życiu. Jesień minęła w zamku Windsor, gdzie Wiktoria z prawdziwą radością mogła pod własnym dachem gościć wuja Leopolda i ciotkę Luizę. Lord Melbourne również odwiedzał ją i razem jeździli konno w kawalkadzie, liczącej ponad trzydziestu jeźdźców. Wiktoria kocha się w konnej jeździe: damskie siodło maskuje jej zbyt niski wzrost, a czarna aksamitna amazonka i wysoki kapelusz z woalką są bardzo twarzowe.

Rozmowy z lordem Melbourne odbywały się zawsze w tak zwanej Błękitnej Komnatce, która w przyszłości stanie się jednym z jej ulubionych pokoi - „taka zaciszna i wygodna”. W wielkiej galerii długości stu osiemdziesięciu metrów, Wiktoria i baronowa Lehzen spędziły pewne deszczowe popołudnie na liczeniu obrazów Canaletta (czterdzieści trzy), portretów królewskich, popiersi i złożonych zegarów. Wieczorami, jeśli nie było oficjalnych przyjęć, wielki salon dzielił się na dwa nieprzyjazne obozy: w jednym rogu Wiktoria i jej towarzyszkę malowały, haftowały, śmiały się i rozmawiały, a w przeciwległym rogu księżna Kentu i jej dwór grali w wista z milczącą dezaprobatą.

Księżna Kentu była w ogóle uosobieniem dezaprobaty. Trudno się zresztą dziwić. Aż się w niej wszystko gotowało z zazdrości na widok przywiązania, jakim jej córka obdarzała baronową Lehzen, Stockmarą i lorda Melbourne, odmawiając tego przywiązania rodzonej matce. Zraniona duma i zawiedzione ambicje księżnej wybuchały raz po raz obraźliwymi uwagami: Wiktoria pija za dużo wina przy obiedzie; Wiktoria, bywa w teatrze częściej, niż to przystoi jej godności. Córka bynajmniej nie starała się ułagodzić matki. Wprost przeciwnie, zapisała w diariuszu: „Musiałam jej przypomnieć, kim Ja jestem!” Ale i księżna miała wysokie pojęcie o własnej pozycji. Wystosowała do parlamentu pismo z prośbą o przyznanie jej rangi i prawa pierwszeństwa, przysługujących

królowej matce. Wprawdzie księżna nigdy królową nie była, jednak w danej sytuacji żądanie to nie było niedorzeczne. Ale stosunki między córką a matką wcale nie były „dorzeczne”. Córka bała się, aby matka, podżegana przez Sir Johna Conroya, nie zechciała stosować wobec niej jakiegoś nacisku z racji swego autorytetu. Kiedy pismo księżnej dotarło do Wiktorii - odmówiła bezapelacyjnie:

- To się mojej matce na nic nie przyda, a obrazi moje ciotki.

Pobrzmiwa w tych słowach echo głosu baronowej Lehzen, która z pewnością bała się wzrostu autorytetu księżnej, jak zawsze ulegającej wpływom Conroya.

I nie było wówczas nikogo, kto spróbowałby uśmierzyć konflikt między obrażoną matką a despotycznymi porywami Królewskiego Majestatu. Conroy po całym Londynie rozpowiada, że królowa swoim okrucieństwem zламаła matce serce. Stock-mar nie wtrąca się do rodzinnych waśni. Lehzenka tylko rozdmuchuje burzę. Melbourne troszczy się o zachowanie pozorów, o to, by Wiktoria zachowywała się wobec matki z wystudiowaną grzecznością. Poza tym, raczej utwierdza Wiktorię w jej nastrojach, nie próbując ich łagodzić. Lord Melbourne ma sam pod dostatkiem kłopotów z księżną Kentu, która nieustannie domaga się od rządu większych apanaży, mebli do swoich apartamentów, zyskownych synekur dla swoich przyjaciół. A kiedy nie żąda czegoś od premiera, to się z nim kłóci i intryguje za jego plecami. Melbourne odmawia jej żądaniom z dyplomatycznymi komplementami, nie wolnymi od ironii, apelując do „wzniosie szlachetnego charakteru i znanych uczuć patriotycznych Jej Księżęcej Wysokości”. Ale gdy Wiktoria przyznaje mu się do niechęci wobec własnej matki, Melbourne odpowiada:

- Nigdy nie spotkałem równie głupiej kobiety.

Winą za większość „niedyskrecji” księżnej Melbourne obciążał Conroya. Zgodnie z sugestią Stockmara, większość żądań pana ochmistrza spełniono: otrzymał tytuł baroneta i pensję w wysokości trzech tysięcy funtów rocznie. Chociaż nigdy nie zapraszany ani nie przyjmowany przez królową, Conroy nie rozstawał się z księżną i nadal intrygował, uniemożliwiając zbliżenie między matką a córką...

Tę niemiłą sytuację pogorszyła jeszcze wiadomość, że księżna, zawsze lekkomyślna i nieodpowiedzialna, zabrnęła w długi tak dalece, iż zagroziła jej sprawa sądowa. Melbourne obawiał się o dobre imię królewskiego domu i miał prawo przypuszczać, że jeśli do sprawy dojdzie, takie względy nie powstrzymają księżnej od zjawienia się w sądzie i złożenia zeznań.

- Damy w tym wieku lubią się procesować - zauważył - i lubią występować w sądach, jak aktorki na scenie.

Tymczasem zabezpieczono sytuację finansową Wiktorii. Wbrew zacieklej opozycji torysów, Melbourne przeforsował w parlamencie dożywocie dla królowej w wysokości 385 000 funtów szterlingów rocznie. Do tego dochodzą intraty z dóbr koronnych - jakieś 60 000 funtów”rocznie. Koszty utrzymywania dworu w pałacu buckinghamskim i na zamku Windsor - a później również na wyspie Wight i w Balmoral w Szkocji - są ogromne, jednakże Wiktorii pozostanie około stu tysięcy funtów szterlingów na osobiste wydatki. Jeszcze przed paru miesiącami musiała pożyczać u bankierów, by sfinansować urządzenie się w pałacu buckinghamskim - teraz, od jednego zamachu, skończyły się wszelkie pieniężne kłopoty.

Oszczędna niemiecka guwernantka przyzwyczaiła już Wik-torię do prowadzenia dokładnej rachunkowości. Rozważny baron szwedzki również doradzał przezorność w wydatkach. Nawet rozrzutny lord Melbourne przedstawiał Wiktorii ekstrawagancje jej matki jako ostrzeżenie przed lekkomyślnością i przypominał o konieczności zapobiegliwego gospodarowania pieniędzmi. W

miarę upływu lat, dzięki oszczędzaniu i rozważnym inwestycjom, Wiktoria będzie coraz bogatsza. Nauki, wyniesione w młodości, pozwolą na założenie fundamentów fortuny, dzięki której jej dynastyczni następcy będą multimilionerami. Ale teraz przede wszystkim przeznaczyła swoje półroczne apa-naże na spłacenie długów dawno zmarłego ojca, oczyszczając jego pamięć i zyskując sobie tym postępkami uznanie nie tylko u jego licznych wierzycieli.

Koszty koronacji poniesie oczywiście państwo - w sumie 200 000 funtów szterlingów. Na koronację Williama IV wydano jedynie 50 000 funtów. Istotnie, Wiktoria może marzyć o białym rumaku. Uroczystości rozpoczęły się wydanym w maju balem dworskim. Chociaż nadal nie wolno jej było tańczyć walca i chociaż lord Melbourne zachorował i nie przybył, Wiktoria „bawiła się wspaniale”. Tańczyła kadryla do białego ranka i zapisała później w dzienniku: „Było cudownie, tak wesoło, przyjemnie - czułam się taka szczęśliwa i w pysznym humorze!”

Szczęśliwsza niż w parę dni później, gdy dostaje od matki w prezencie urodzinowym egzemplarz „*Króla Leara*”, z grubo podkreślonymi ręką księżnej wierszami:

*„Proszę cię, córko, nie rób mnie  
Szalonym. Nie chcę się tobie naprzykrzać.  
Me dziecko. Żegnaj, już się nie spotkamy.  
Nie zobaczymy się więcej, lecz przecież  
Tyś moje ciało, ma krew, moja Córka...”*

...Tuż przed godziną dziesiątą, rankiem dnia 28 czerwca wiatr ustaje, deszczowe chmury rozsuwają się jak kurtyna w teatrze - błyska słońce.

- Pogoda dla królowej! - wołają tłumy, których wesołego nastroju nie stłumiło całonocne moknięcie na deszczu.

Wiktoria wsiada do swojej karocy, zaprzężonej w kremowej maści konie. Ubrana jest w suknię z karmazynowego aksamitu, oblamowanego gronostajami, przybranego złotą koronką i przymocowanego złotymi sznurami. Diamentowa przepaska przytrzymuje jej jasnobrunatne włosy. Wydaje się bardzo drobna czarująca i bardzo opanowana. W chwili, gdy forysie wbijają pięty w boki niemieckich koni, w opactwie westminsterskim rozlega się salut z dział, oznajmiający o wyruszeniu Wiktorii z pałacu. Tłumy wybuchają wrzawą wiwatów, krzyczą, aż do ochrypnięcia. Wiktorię zachwyca ta demonstracja, chociaż wyraża obawę, czy ludzie nie poduszają się w ścisku. „Nawet nie mogę wyrazić, jak czuję się dumna z tego, że jestem królową takiego narodu” - z odcieniem pompatyczności zapisze później tego dnia. Sama przeżywa gorąco swoją czarodziejską bajkę i nie zdaje sobie sprawy, że zebrane tłumy tak samo oklaskiwałyby woltyżerkę w cyrku.

Niemieckie konie zatrzymuje na całe pół godziny „korek” na placu Piccadilly. Policjanci z największym trudem torują wreszcie drogę królewskiej karocy. To dopiero pierwsza pechowa przygoda w dniu, w którym miało się roić od kłopotów złej organizacji. Nie pomyślano o generalnej próbie tego skomplikowanego widowiska. Gdy karoca dojechała do opactwa, okazało się, że tren królowej jest zbyt ciężki dla przystrojonych w biel i srebro dziewczątek, mających go nieść. Przy tym one same również mają treny nadmiernie je obciążające, więc w ciągu swego majestatycznego przemarszu przez opactwo do momentu wkroczenia na scenę - Wiktoria doznaje parokrotnych przerażających szarpnięć do tyłu.

Wyniosłe kolumny opactwa przystrojone są szkarłatem i złotem. Dziesięć tysięcy osób - elita arystokracji - wypełniło aż po brzegi tę narodową świątynię Anglii. Lord Melbourne ugina się pod ciężarem ogromnego miecza królewskiego, dostosowanego do ramion średniowiecznych rycerzy,



potyka się o swoje szaty, a jego koroneta spada mu na nos. Księżna Kentu wpadła w pasję, bo córka odmówiła jej „nawet na tę jedyną okazję” prawa pierwszeństwa przed królową wdową Adelajdą i królewskimi stryjami. Baronowa Lehzen siedzi skromnie w zaciszu, nad fotelem królewskim, i tylko od czasu do czasu wymienia czule uśmiechy ze swą koronowaną pupilką. Baronowa jest może jedyną w całym tym zgromadzeniu osobą, która rozumie w pełni urok tej czarodziejskiej bajki i białego rumaka.

Mała królowa składa przysięgę, że będzie broniła „protestanckiej zreformowanej religii” i przyjmuje namaszczenie olejami świętymi. Następnie przechodzi do oddzielnej kaplicy Sw. Edmunda i tam ze zgorszeniem konstataje, że ołtarz zastawiono kanapkami i butelkami z winem. A Melbourne tak się zmęczył dźwiganiem miecza królewskiego, że pierwszy sięga po kieliszek i wychyla go duszkiem. Tym razem premier jej rządu bynajmniej nie bawi królowej. Ta scenka zbyt jest prozaiczna, by mieściła się w ramach czarodziejskiej bajki.

Wiktoria pozostaje teraz w sukni z płótna, obszytej koronką, a na to nakładają jej zwierzchnią szatę z brokatu złotego i srebrnego, haftowanego w palmy, angielskie róże, irlandzkie koniczyny i szkockie osty. Narodowy emblemat Walii, por, uznano za nazbyt prozaiczny i nie włączono do tej symboliki. Wiktoria powraca do opactwa z gołą głową. Zapytuje biskupa, co ma teraz czynić. Biskup nie wie. Litanię rozpoczęto za wcześnie i trzeba ją przerwać w środku. To dalsze ciemne plamy na jasnej bajce. Wiktoria z trudem powstrzymuje się, by nie tupnąć nogą w złości. Arcybiskup Canterbury bierze do rąk koronę. Jest olbrzymia. Wiktoria obawia się, że spadnie jej aż na szyję.

- Proszę ją włożyć uważnie i bardzo mocno, Milordzie! - ostrzega, jak średniowieczny monarcha z tragedii szekspirowskiej, w trwodze o całość nowo pozyskanej korony, której grożą rywalizujący pretendenci.

Srebrne trąby unoszą się w górę, a ich triumfalne dźwięki odbijają się o strop opactwa. Arcybiskup prezentuje królową „ludowi”, obracając ją na wschód, zachód, północ i południe.

„Lud” jest na ulicach, w palącym, czerwcowym słońcu oczekując na tę jedną króciutką chwilę widowiska, kiedy oswobodzona z kensingtońskiego więzienia królowa z bajki przejedzie karocą z powrotem do swego królewskiego pałacu. Ci, którym arcybiskup przedstawia świeżo koronowaną królową, nie są nawet przedstawicielami ludu: to dziedziczy parowie królestwa, którzy w tej chwili, w momencie koronacji, powstają, by z szelestem szat nałożyć na głowy swoje własne koronety i kolejno podchodzą, by złożyć hołd monarchini. Białowłosy lord Rolle podchodzi kuśtykając, wsparty ciężko na lasce; zaczepia stopą o swoje szaty i przewraca się. Wiktoria schyla się i pomaga mu wstać, wśród burzy oklasków, niezbyt co prawda odpowiednich w świątyni. Złośliwa dama z północnego hrabstwa zauważa kwaśno do przyjaciółki:

- Ty lub ja mogłybyśmy pomóc tuzinowi starców, a nikt by nas nie oklaskiwał!

Przez całe popołudnie wlecze się ten średniowieczny obrzęd, a paziowie i damy, ku irytacji królowej, rozmawiają sobie swobodnie tuż koło niej. Pod koniec ceremonii arcybiskup wciska na palec królowej pierścień z rubinem, specjalnie przerobiony i dopasowany do jej drobnej ręki - wciska tak energicznie, że sprawia jej ból; później Wiktoria nie będzie mogła go zdjąć i dopiero obmywanie lodową wodą pomoże jej zsunąć pierścień z palca. Berło podają jej do prawej ręki, jabłko do lewej. Z trudem może utrzymać jabłko.

- Co ja mam z tym zrobić? - pyta arcybiskupa.

\* Najjaśniejsza pani powinna nieść jabłko w rękę.

\* Jest bardzo ciężkie...

Te uwagi wymieniają między sobą na stronie główni aktorzy przedstawienia.

Królowa raz jeszcze wchodzi do kaplicy Św. Edmunda, z urażającym jej nastrój bufetem na ołtarzu, tylko po to, by zaraz z powrotem przywołano ją do tronu. Jej drobniutka postać jest przytłoczona Koroną, Berłem, Jabłkiem i ciężkimi szatami. Znowu popełniono błąd: odczytując słowa nabożeństwa, arcybiskup przerzucił dwie kartki na raz i nie spostrzegł tego. Tę część nabożeństwa trzeba powtórzyć.

Wreszcie wszystko skończone. Już więcej głupie pomyłki innych aktorów i statystów przedstawienia nie będą zatruwały wielkiej chwili głównej aktorce. Ale reżyserzy aranżują teraz scenę w niezbyt dobrym guście. Medale koronacyjne rzuca się na posadzkę opactwa, a parowie i generałowie nieprzystojnie tłoczą się w ścisku, by zdobyć cenne pamiątki, wyrывая je sobie wzajemnie. Lord Ward, w przekręconej na jedno ucho koronacie i szatach w nieładzie, w chwilę później w bocznej kaplicy-bufecie gasi szampanem pragnienie, wywołane utarczką o medale.

Po pięciu godzinach spędzonych w opactwie wsiada królowa do karocy, by przejechać z powrotem do pałacu buckingham-skiego między rzędami tłumów, których wiwaty zdają się nawet niebem wstrząsać. Może są dziecienni w tym zachwycie wobec królowej z bajki, ale są to nareszcie ludzie prawdziwi, żywi, z krwi i kości. Wymachują flagami, wyrzucają w górę czapki, nie dbając, czy je odzyskają. Przy koronacji królowej w każdej bajce muszą być wiwaty i wyrzucanie czapek. Ale jeśli czepeczek kobiecy jest przekrzywiony w podnieceniu, mniej to się wydaje idiotyczne, niż spadająca na ucho koroneta para, wychylającego kieliszek szampana.

Powszechna radość tłumów łagodzi gniew królowej, zirytowanej szeregiem pomyłek, spowodowanych głupotą, zdenerwowaniem i brakiem przygotowania osób, grających swe role w opactwie.

Wieczorem, zasiadłszy do cokolwiek chaotycznego opisu uroczystości koronacyjnych, z parokrotnie podkreślonym wyszczególnieniem błędów, popełnionych przez różne osoby, Wiktoria zapamięta jako najbardziej wzruszające zwłaszcza uśmiechy baronowej Lehzen i chwilę, kiedy lord Melbourne podszedł, by złożyć hołd. Jego palce objęły jej rękę ojcowskim uściskiem; odpowiedziała mu uściśnięciem; klęcząc, patrzył do góry na nią, a ona dostrzegła łzy w jego oczach. Chwila dostatecznie sentymentalna nawet dla królowej z bajki.

Zupełnie zrozumiałe zatem, że na zakończenie opisu koronacji w swoim dzienniku, po wyliczeniu wszystkich omyłek, Wiktoria doda słowa:

„Będę zawsze pamiętała ten dzień, jako najchlubniejszy moment w moim życiu”.

## Rozdział III

# GASNĄCA POPULARNOŚĆ

Życie królowej nie składa się wyłącznie z dni koronacyjnych. Wiktoria jest na razie głęboko szczęśliwa, „bardzo ją bawi” jej praca i odpowiedzialność, jej własny dwór, jej bale i teatry, jej „najdroższa Lehzenka” i jej lord Melbourne. Posępny okres sprzeczek i powikłań w klatce pałacu kensingtonskiego wydaje się tak odległy i nierealny, jak zapomniany zły sen. Ale niebawem przekona się, że powikłania i kłopoty zdarzają się nawet w pałacu buckinghamskim, nawet monarchini, której doradcą jest lord Melbourne, a której damą do towarzystwa jest córka luterańskiego pastora z Hanoweru.

Przepaść niezgody między królową a jej matką rozdziela również dworzan i domowników każdej ze stron. Księżna Kentu otwarcie okazuje swoje niezadowolenie tym z własnych dam dworu, które stoją po stronie jej córki. Wodzem w spódnicy frakcji antywiktoriańskiej jest dawna nieprzyjaciółka baronowej Lehzen, lady Flora Hastings. Złośliwego języka lady Flory - która raczej straciłaby wypróbowaną przyjaźń, niż pominęła sposobność dowcipnego szyderstwa - damy dworu królowej boją się jak ognia. Sytuację pogarsza jeszcze fakt - któremu może przypisuje się więcej znaczenia, niżby należało - że ilekroć ktoś zachodzi do lady Flory, zwykle zastaje w jej pokoju Sir Johna Conroya. Królowa uprzedza lorda Melbourne, by był bardzo ostrożny w obecności lady Flory, którą zaczyna się ogólnie uważać za szpiega Sir Johna.

Na Conroya spadają nowe zarzuty. Wprawdzie Melbourne i Stockmar ułagodzili wierzycieli księżnej Kentu i sprawa sądowa ją ominęła, ale - zaalarmowani tym kryzysem - zaczęli wglądać w sprawy finansowe księżnej. Ochmistrz jej dworu zapewnia, że finanse księżnej są w najzupełniejszym porządku. Ale premier i szwedzki baron wykrywają, że księżna ma długi, przewyższające jej kilkuletni roczny dochód - ściślej biorąc, sięgające wysokości 70 000 funtów szterlingów. Królowa jest przekonana, że Sir John kłamał, by uniknąć zarzutów, które spadłyby na jego, jako ochmistrza, głowę. Conroy puszcza w obieg historyjkę, że księżna nie życzyła sobie ujawnienia jej kłopotów finansowych, bo zostały one spowodowane wyłącznie spłaceniem przez nią długów jej nieboszczyka męża. Ponieważ to Wiktoria spłaciła długi księcia Kentu, nic dziwnego, że dwulicowość i wciąż nowe kłamstwa Conroya doprowadzają ją do pasji.

Tymczasem księżna nie zaniebuje żadnej okazji, gdy tylko znajdzie się w obecności córki, by wypomnieć jej „nieprzystojne dla królowej” zachowanie: jeżdżenie konno wśród londyńskich tłumów, objadanie się, czytanie romansów - między innymi „*Olivera Twista*” Dickensa, publikowanego właśnie w odcinkach - i bardziej już serio, jej odmowę na propozycję poślubienia kuzyna, Jerzego księcia Cambridge. Ze smutkiem i cał-kowicie niesłusznie - chociaż trudno jej się dziwić - Wiktoria zwierza się w swym diariuszu: „Mama nigdy mnie nie kochała”.

Położenia bynajmniej nie łagodzi namiętna miłość Wiktorii do baronowej Lehzen, którą teraz nazywa „mateczką”, co prawda tylko w zaciszu prywatnych komnat, ale o tych osobistych rozmowach

plotki szybko się rozchodzą. Znowu diariusz: „Z moją anielską, najdroższą mateczką Lehzenką, którą tak gorąco kocham! Najcenniejszy skarb, jaki posiadam i kiedykolwiek będę posiadał a”.

Niepokoi również królową nieustannie i coraz dokuczliwsze wtrącanie się wuja Leopolda, który odsłania teraz cele, dla jakich zdobywał sobie jej przywiązanie i przyzwyczajał ją do za-sięgania u niego rady. Belgia uwikłała się w zatarg terytorialny z Holendrami. Sekretarz stanu do spraw zagranicznych, lord Palmerston, ustosunkował się do zatargu z rygorystyczną neutralnością. Leopold nalega na Wiktorię, by używając swego wpływu skłoniła lorda Melbourne do opowiedzenia się po stronie Belgii. List ten Wiktorii natychmiast pokazała lordowi Melbourne, który skreśliwszy dyplomatyczną odpowiedź, ze zgrozą spostrzegł, że przepisując jego tekst, Wiktorii dodała od siebie różne sentencje i uwagi, o wiele mniej dyplomatyczne od jego słów.

Od tej pory Wiktorii ogranicza swoją korespondencję z królem Leopoldem do spraw ściśle osobistych. Ale zarazem pod względem politycznym oddaje się coraz bardziej w ręce swego premiera, co przyniesie niefortunne konsekwencje. Melbourne usiłuje być bezstronnym, zwłaszcza w swoich uwagach na temat opozycyjnych polityków. Ale dla królowej lepiej byłoby, gdyby czasem usłyszała inne poglądy. Z drugiej strony, jej sytuacja nie jest łatwa. Już ją atakują za podporządkowanie dworu „cudzoziemskiemu wpływowi” - wymienia się księżną Lieven, Niemkę z urodzenia, wdowę po byłym ambasadorze rosyjskim; baronową Lehzen, barona Stockmara i innych. Zupełnie już niedopuszczalne byłoby, gdyby posądzono królową o uleganie wpływom monarchy innego państwa. Krytykują również Wiktorię za stosowanie się do francuskiej mody i kupowanie materiałów i sukien za granicą, gdy londyńscy tkacze są bezrobotni.

Wprawdzie Wiktorii twierdzi uparcie, że na jej dworze nie ma „najlżejszych śladów cudzoziemskich wpływów”, jednakże o tyle ulega opinii publicznej, że decyduje się odesłać barona Stockmara. Poza tą decyzją kryją się prawdopodobnie sugestie baronowej Lehzen, której bynajmniej nie przypada do gustu dzielenie się wpływami na królową z jeszcze jednym nieoficjalnym doradcą, a także sugestie lorda Melbourne, który wprawdzie dyplomatycznie chwalił doświadczenie i rozum Stockmara, ale jednocześnie był zazdrosny o tego drugiego „królewskiego sekretarza”. Baron nie należy do ludzi, którzy zwracaliby na siebie uwagę, uporczywie trwając tam, gdzie nie są pożądani. Wyjeżdża niepostrzeżenie, chwalony przez mało kogo, a przez nikogo nie żalowany.

Pomijając cudzoziemskie wpływy, jedno można na pewno powiedzieć o dworze młodej królowej - że jest nudny. Panuje rygorystyczna etykieta. Najlżejsze jej naruszenie wywołuje osławione „lodowate” spojrzenie Wiktorii, któremu często towarzyszy - jak na przykład w wypadku dworzanina, który cokolwiek podochocony winem pozwala sobie na trochę swobodniejszą anegdotę - miażdżąca uwaga: „To nas nie bawi”. Jej ciotkę, księżną Cambridge, spotykają przykrości, ponieważ gdy królowa przyjechała do niej na bal, księżna nie zeszła powitać jej przy drzwiach. Na obiadach w pałacu buckinghamskim panom wolno pozostać przy stole, przy kawie i winie, tylko piętnaście minut po odejściu dam. Po tym kwadransie względnej swobody muszą wracać do salonu, gdzie wyczekują w beznadziejnej nudzie, aż królowa podejdzie kolejno do każdego i wymieni kilka rozpaczliwie banalnych zdań, najczęściej na tematy o takim państwowym znaczeniu, jak ładna pogoda czy zalety wierzchowca królowej i czy rozmówca wyjeżdżał na konną przejażdżkę tego dnia. I po to brytyjski podatnik płaci 385 000 funtów szterlingów rocznie.

Trudno się dziwić, że młodziutką królową wszystko to nudzi - przyjęcia, obiady, poranne *levees* i wieczorne salony. Nie potrafi poprowadzić intelektualnej konwersacji, ani nie ma doświadczenia, pozwalającego na wciągnięcie obcych sobie właściwie ludzi w ciekawszą rozmowę. Lorda

Melbourne niepokoi jej nastrój. Jeśli królowa nie ma upodobania do życia dworskiego - grozi niebezpieczeństwo, że może się z niego w ogóle wycofać. Wyjaśnia jej bardzo stanowczo, że chociaż w jej wieku ten brak upodobania jest może naturalny, musi go jednak zwalczać. To Melbourne zachęca do częstego bywania w teatrze - co tak razi „delikatną wrażliwość” księżnej Kentu - to on rozwija namiętność Wiktorii do tańców.

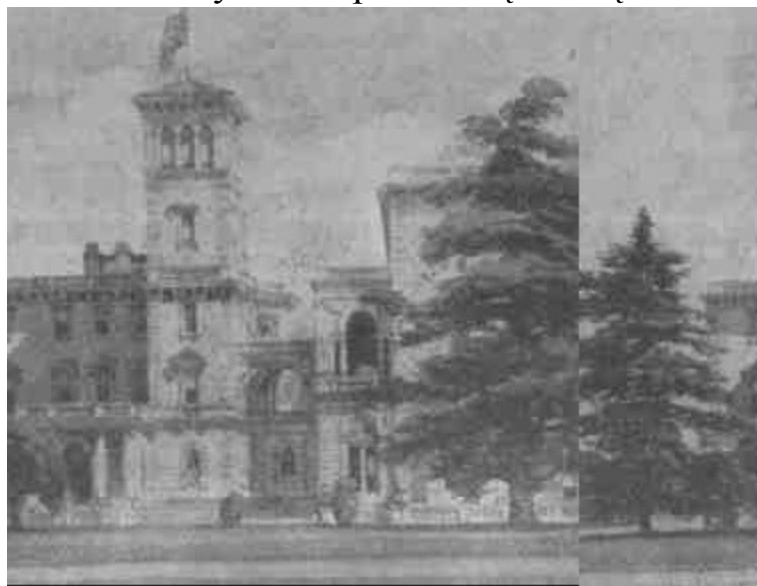
Tymczasem życie wokół tego prawie odizolowanego królewskiego pałacu nie jest bynajmniej nudne. Bardziej radykalni posłowie w Izbie Gmin domagają się coraz głośniejszych modyfikacji, a nawet zniesienia ustaw, które utrzymują wysokie ceny importowanego zboża w interesie wielkich właścicieli ziemskich. Niektórzy ministrowie skłaniają się ku takiej reformie. Melbourne nie chce poruszać tej sprawy: wywołałoby to konflikt, do czego czuje odrazę. Poza tym, zmiana taka naruszyłaby równowagę ekonomiczną kraju i ewentualnie przesunęła ciężar wpływów politycznych z klas ziemiańskich na nowe, miejskie i przemysłowe społeczności. Melbourne dyskutuje, wykręca się, zwleka. Bystry umysł pozwala mu dostrzegać, że jego jedyna szansa pozostania na stanowisku premiera i codziennych kontaktów z uwielbianą „córeczką”, zawisła od śmiałego i zdecydowanego rozstrzygnięcia Ustaw Zbożowych. Ale w głębi serca jest konserwatystą. Nie mniej od torysów uważa za swój obowiązek utrzymanie istniejącego stanu rzeczy, zwłaszcza ekonomicznej sytuacji kraju, ochronę wielkiej własności ziemskiej i płynących stąd dochodów. Interesy klasowe zajmują pierwsze miejsce przed dobrem publicznym. Ale sztuczne tamy, które Melbourne wznosi, nie na długo powstrzymają piętrzące się fale, popędzane naprzód działalnością takich energicznych i zdolnych parlamentarzystów, jak Richard Cobden i John Bright.

Nie tylko żądania zniesienia Ustaw Zbożowych przyczyniają trosk lordowi Melbourne. Jego niegdyś potulna i pilna uczennica z każdym dniem staje się coraz bardziej despotyczna i zamierza pozbawić dawnego mentora jego roli, choć wcale nie mniej niż zawsze pragnie jego towarzystwa, a nawet więcej. Nakazuje, by nawet wtedy, gdy oficjalne obowiązki zatrzymają go do późnego wieczora, zawsze jeszcze przychodził zdać jej sprawozdanie z wydarzeń dnia. Ale stosuje się do jego wskazówek coraz rzadziej. Lehzenka szepce jej do ucha różne plotki. Pochlebstwa dworaków uderzają młodej dziewczynie do głowy. Staje się zarozumiała i uparta. Gotowa jest karcnąć na prawo i na lewo, tak że nieraz podczas poobiednich konwersacji słyszano, jak Melbourne mówił: „Na litość boską, proszę tego nie robić, Madame!” Ale ona już nie słucha ślepo jego zaleceń, lecz często posuwa się nawet do czynienia mu wymówek, że bywa na przyjęciach w salonach modnych podówczas londyńskich pań, o które jest zazdrosna i zarzuca mu, że woli ich towarzystwo od niej. Nadal go adoruje, kocha - ale coraz bardziej idzie własną drogą. Jeżeli sobie coś postanowi, nawet Melbourne - może dlatego, że nie lubi sprzeciwiać się jej zbyt stanowczo - nie potrafi zmienić jej decyzji. Często baronowa Lehzen wpływa na powzięcie postanowienia, zanim Melbourne, który nie zawsze znajduje się u boku królowej, ma jakąkolwiek szansę.

Znudzenie królowej i niepokój lorda Melbourne przerywa w styczniu 1839 roku wkroczenie na scenę dziwnie zmienionej postaci lady Flory Hastings. Młoda dama spędziła Boże Narodzenie u matki w Szkocji, skąd wróciła dyliżansem w towarzystwie... Sir Johna Conroya. Na dworskim obiedzie królowa obserwuje ją bacznie, a później pyta baronową Lehzen o kwestię, która wydaje się jej bardzo interesująca. Nienawiść przyjaciółki królowej do lady Flory sprawi, że Wiktorie nie złagodzi swych podejrzeń. Królowa w rozmowie z lordem Melbourne zauważa, że księżna Kentu sprawia wrażenie, jakby się obawiała lady Flory. Melbourne wyraża przekonanie, że starsza z tych dam jest po prostu zazdrosna o względy, jakimi młodsza cieszy się u Sir Johna Conroya. Wspomina

przy tym o jeszcze jednym romansie Conroya, z najmłodszą z ciotek królowej, księżniczką Zofią, i dorzuca: „Cóż za zadziwiający frant z niego, aby trzem damom jednocześnie zapewniać dobry humor!” I premier doradza „mistrzowską beczynność”, ale Wiktorja, zirytowana, nie chce osłabiać wybuchu swego świętego oburzenia. Królowa, najbliższe jej osoby, damy jej dworu - wszyscy nienawidzą lady Flory. Atmosfera zdaje się być naładowana potencjalną niesprawiedliwością.

Jedna ze starszych dam królewskiego dworu przypomina o potrzebie „ochraniańcia dziewiczej czystości młodszych dam przed taką zarazą”. Można by się spodziewać, że z taką sprawą



Osborne



Balmoral

Wiktorja zwróci się do matki. Ostatecznie, lady Flora jest pierwszą z dam dworu księżnej Kentu. Zamiast tego Wiktorja notuje w diariuszu: „Ponieważ nie jestem w dobrych stosunkach z księżną, nie mogę więc mówić z nią o tym”. Księżna nie jest już nawet „Mamą”, a ten rodzinny rozdźwięk uniemożliwi stłumienie w zarodku tlącego się skandalu, wywołanego oszczerstwem i kalumnią, i żar wybuchnie płomieniem, w którym najwięcej poparzy się sama Wiktorja.

Sir James Clark, królewski lekarz nadworny, który jest również lekarzem dworu księżnej i kurował lady Florę pigułkami i kompresami, doradza swojej pacjentce poddać się badaniu lekarskiemu. Jej pełna oburzenia odmowa nasuwa mu myśl, że może jednak jego pacjentka ma coś do ukrywania. A dnia 2 lutego Wiktorja, nie posiadając się z oburzenia, pisze bez ogródek: „Nie mamy

więcej wątpliwości, że lady Flora spodziewa się dziecka! Okropnym powodem tego wszystkiego jest ten wcielony szatan i potwór, którego nazwisko wzdragam się wymienić!” „My” oznacza tu bez wątpienia Wiktorię i baronową Lehzen, która - nie wodząc na pokuszenie żadnego mężczyzny, choćby nawet lubił kminek - najwięcej ucierpiała od ostrego jęczyczka lady Flory.

Melbourne wolałby nic jeszcze nie przedsięwziąć i czekać na dalszy rozwój wypadków. Jeśli podejrzenie okaże się uzasadnione, to lady Flora będzie skompromitowana. Jeśli nie - najlepiej unikać rozgłosu. Każde posunięcie może doprowadzić do publicznego skandalu - a tego należy się wystrzegać za wszelką cenę. Ale Wiktorii już nic nie powstrzyma. Nie pohamuje jej nawet Melbourne. Wysłała damę dworu, lady Portman, z poleceniem poinformowania księżnej Kentu, że dopóki niewinność lady Flory nie zostanie udowodniona, nie wolno jej pojawiać się na dworze królewskim. Wiktoria ujawniła, po czyjej stronie i - rzuciła kości.

Lady Flora tymczasem zwraca uwagę lekarzowi, Sir Jamesowi Clarkowi, że obrzmienie żołądka, które wywołało całą tę burzę, zdaje się ustępować. Czy przypadkiem nie jest to nowo-twór? Sir James znowu zaleca badanie lekarskie, które przeprowadziłby on sam wspólnie z lekarzem, specjalistą chorób kobiecych. Lady Flora musi się poddać. Dwaj lekarze, po zbadaniu pacjentki, podpisują wspólne oświadczenie stwierdzające, że lady Flora - jest dziewicą!

W pierwszej chwili Wiktoria jest wstrząśnięta swą fatalną pomyłką. Przesyła wyrazy głębokiego żalu skrzywdzonej kobiecie. Ale po zastanowieniu się i oczywiście po dłuższej naradzie z Lehzenką, Wiktoria nie ma już ochoty przyjmować krytyki, jaką ściągnęła na siebie przez zbyt pochopne przyjęcie skandalicznego przypuszczenia. Melbourne konferuje z lekarzami, a zdumiewającym tego wynikiem jest list, który Wiktoria pisze do matki. Z powodu dosyć zagmatwanych zdań wyłania się nowe i zupełnie niebywałe oskarżenie. Specjalista chorób kobiecych miał powiedzieć, że „choć lady Flora jest dziewicą, jednakże nie wykluczone, nikt nie może zapewnić, że takie rzeczy się nie zdarzają. I że jest powiększenie łona, jak przy oczekiwaniu dziecka”. Zarówno królowa, jak i specjalista, oboje widocznie odrzucając prawdopodobieństwo nowotworu, wydają się podejrzewać cudowną interwencję, jak ta, która miała miejsce w Betlejem, przeszło osiemnaście wieków wcześniej.

Ale i lady Flora, jak można się było spodziewać, zakrzętała się koło własnej obrony. Opisuje całą aferę w liście do brata, lorda Hastingsa, który wpada w pasję na wiadomość o zniewagach, jakie spotkały jego siostrę. Jest chory, ale wstaje z łóżka i śpieszy do Londynu, gdzie zasypuje lorda Melbourne żądaniami rehabilitacji. Premier, którego do tej pory nawet bawiła pikantność sprawy, chociaż odrzucono jego radę, nagle musi wybierać między własnym poczuciem sprawiedliwości a lojalnością wobec królowej, której popularność i reputacja bezstronnej rzetelności mogą być poważnie narażone. Wybiera lojalność wobec tej, którą kocha ponad wszystko, a z pewnością więcej niż siebie samego i własne skrupuły. Z szorstkością człowieka, który jest całkowicie przekonany o własnej słuszności i pragnie zagłuszyć swe sumienie, odpowiada Hastingsowi, że afera lady Flory jest skończona, zamknięta i nic tu więcej nie da się zrobić. Do tej pory o całej tej nieszczęśliwej historii wiedzą tylko dwaj lub trzej ministrowie, no i dwór. Ale odmowa lorda Melbourne niebawem zmieni sytuację.

Księżna Kentu i lord Hastings zwracają się teraz o radę do księcia Wellingtona, który zdobył sobie powszechnie głęboki szacunek dzięki rozległemu doświadczeniu, rzetelnej uczciwości, taktowi i zdrowemu rozsądkowi. Stary wódz zajmuje stanowisko takie, jak lord Melbourne, i w interesie jej królewskiej mości doradza uznać sprawę za zamkniętą. Lord Hastings natomiast odpowiada, że na

pierwszym miejscu stawia interes swojej siostry. Co do księżnej, ta życzyłaby sobie, żeby potępienie opinii spadło na Wiktorię, którą uważa za wyrodną córkę. Wellington pojmuje, że dałoby się jeszcze całą sprawę zatuszować, gdyby nie wrogie stosunki między królową a jej matką. Ta fatalna nieprzyjaźń, dziecko ambicji Conroya!

Nie uzyskawszy zadośćuczynienia ani u wiga, lorda Melbourne, ani u torysa, księcia Wellingtona, lord Hastings posyła korespondencję lady Flory do gazet. Teraz skandal wybucha pełnym płomieniem. Mniej poważne, żerujące na sensacji dzienniki, po kryjomu podżegane jeszcze przez Conroya i bardziej zapalczywi spośród polityków opozycji, rozdmuchują ogień, jak miechami. Lord Hastings oświadcza, że po dokładnym przepytaniu dam dworu doszedł do przekonania, iż baronowa Lehzen nie była winna wzbudzenia tych okropnych i niesłusznych podejrzeń. Damy dworu wykazały najlepsze intencje: uważają baronową za osobę macierzyńską, przyjazną i nie chcą jej szkodzić. Ale w rezultacie oskarżenie zwraca się teraz - słusznie czy też nie - w jednym jedynym kierunku.

Lady Flora wzbudza powszechne współczucie. Lord Hastings żąda dymisji odpowiedzialnego lekarza, Sir Jamesa Clarka. Księżna Kentu odprawia go ze swego dworu. Ale Wellington przypomina, że odprawienie Sir Jamesa ze stanowiska nadwornego lekarza królewskiego musi spowodować publiczne dochodzenie, na którym najgorzej wyjdzie nie lekarz, a królowa. Sir

James pozostaje, a rodzina Hastingsów uważa to za jeszcze jeden dowód nieprzejednanego stanowiska królowej.

I chociaż Wiktoria proponuje swe odwiedziny u lady Flory, chorej teraz i wyczerpanej nerwowo przejściami; chociaż po tygodniu lady Flora odpowie przyzwalająco, chociaż królowa całuje skrzywdzoną kobietę, wyraża żal z powodu przeszłości i prosi o zapomnienie wszystkiego przez pamięć - tu chyba z odrobiną hipokryzji - o księżnej Kentu; chociaż lady Flora się zgadza, dawna serdeczna popularność, jaką Wiktoria cieszyła się początkowo u swoich poddanych, znacznie przygasa. Mniej istotny jest w tej chwili problem, czy niespełna dwudziestoletnia młoda dziewczyna potrafi udźwignąć ciężar odpowiedzialności, jaki obciąża monarchę Anglii. Teraz rzecz dotyczy subtelnej sprawy stosunków osobistych. Wiktoria okazała się niezdolna, wbrew lekcjom dyplomacji lorda Melbourne, do umiejętnego rozwikłania delikatnej sytuacji. A co najgorsze, wcale nie troszczy się przy tym o swoją gasnącą popu- larność - uważa panującego monarchę za stojącego ponad opinią publiczną - « podejście typowe dla książąt niemieckich.

Tymczasem rozlegają się powszechne pytania, dlaczego odrzucono radę lorda Melbourne zastosowania „mistrzowskiej beczynności”, popartą olbrzymim autorytetem księcia Wellingtona. W tym właśnie wypadku najlepszą polityką byłoby rzeczywiście - nic nie czynić. A tymczasem uczyniono, i to bardzo wiele. Upokorzony i niespokojny lord Melbourne zna odpowiedź: kryje się ona w samowoli i despotyzmie królowej.

Lady Flora padła ofiarą niefortunnych pozorów i własnej złośliwości, z powodu której narobiła sobie nieprzyjaciół, psując stosunki między królową a księżną a także sugestii baronowej Lehzen i upartej samowoli Wiktorii. Upłynie wiele wody, nim lady Flora zemści się, chociaż mimo woli, a zarazem poruszy lepsze, obecnie drzemiące jeszcze uczucia w sercu Wiktorii i jej otoczenia - zemści się w sposób, który, gdyby nie posępne zakończenie, można by uważać za jeszcze jedno pożegnalne szyderstwo tej nieposkromionej złośnicy.



## Rozdział IV

### „SPISEK KRÓLEWSKIEJ SYPIALNI”

„Jestem tylko biedną, bezradną dziewczyną, która u niego szuka opieki i podpory - i myśl, że moje CAŁE, CAŁE szczęście mogłabym utracić, tak mnie zmogła, że wybuchnęłam łzami i płakałam przez dłuższy czas.”

Ten wylew uczuć na kartach diariusza Wiktorii został spowodowany kryzysem gabinetowym, jaki wstrząsnął rządem lorda Melbourne z początkiem 1839 roku. Na wyspie Jamajce - zachodnioindyjskiej kolonii angielskiej - wielcy plantatorzy trzciny cukrowej, oczywiście Anglicy, zaczęli się burzyć i protestować przeciwko ustawom rządu brytyjskiego, wprowadzającym zniesienie niewolnictwa. Lordowi Melbourne i jego kolegom ministrom zabrakło energii, by szybko i skutecznie stanąć w obronie murzyńskich niewolników. Stracili z tego powodu poparcie skrzydła radykalnego, a torysi ruszyli do nagonki. Dotychczasowa większość rządowa w Izbie Gmin spadła do zaledwie pięciu posłów. Są to wyraźne oznaki, że rząd lorda Melbourne stracił zaufanie wyborców. Królowej poważnie grozi niebezpieczeństwo utracenia „opieki i podpory” tego, na którego doświadczeniu przywykła zbyt często polegać.

Jej własne poglądy na politykę i stronnictwa polityczne są dziecinne i niedojrzałe aż do śmieszności. Z jednej strony widzi wielkiego i szlachetnego człowieka, który zawsze i w każdej sprawie ma słuszość, z drugiej - wstrętną hołotę złowrogich torysów i buntowniczych radykałów, a czasem jeszcze zdrajców ze stronnictwa wigów, którzy o niczym nie wiedzą i nigdy nie mają racji, jeśli nie zgadzają się z lordem Melbourne, a ich jedynym celem jest odciągnięcie lorda Melbourne od królowej. Dla Wiktorii wszystko - zarówno z punktu widzenia politycznego, jak i każdego innego - będzie się układało najlepiej na tym najlepszym ze światów, pod warunkiem, że na czele będzie stał rzecznik „mistrzowskiej beczynności”, wytrawny światło-wiec i sceptyk - lord Melbourne. Nigdy nie przychodzi jej do głowy, że człowiek, który jest tak zajmującym i uroczym kompanem wieczornych rozmów, nie zawsze, nie w każdej sytuacji jest najlepszym przywódcą politycznym kraju. W ciągu całego swego życia Wiktoria będzie wyznawała zasadę, że to, eo służy wygodzie i przyjemności królowej, musi również odpowiadać innym - a jeśli nie, tym gorzej dla tych innych.

Lord Melbourne, którego nawet jego ministrowie namawiają, aby podał się do dymisji, przemierza swój gabinet niespokojnymi krokami, rozdierany sprzecznymi uczuciami. Wrodzone lenistwo i brak ambicji skłaniają go do rezygnacji ze stanowiska, ale z drugiej strony ogarnia go melancholia na myśl o rozstaniu z Wiktorią. Ostatnim razem, kiedy gabinetowi jego zagrażało niebezpieczeństwo, zapewniał zaniepokojoną młodą królową z charakterystyczną flegmą i indolencją:

- Ta landara jeszcze jakoś poturkocze dalej!

Ale rządy, które jak zanedbane landary, jakoś tam turkoczą dalej, wreszcie stają - czasem można je wyreperować i posłużą trochę dłużej, czasem już ostatecznie odmawiają posłuszeństwa. Rząd

stronnictwa wigów jest landarą w bardzo kiepskim stanie i niewiele można uczynić, by go wyreperować. Melbourne decyduje, że nadszedł kres. Landara musi spaść do rowu, na którego skraju zawisała.

Dnia 7 maja królowa otwiera list, którego tak się obawiała. Zawiera prośbę o dymisję jej pierwszego premiera, jedyne go człowieka, którego może sobie wyobrazić jako wypełniającego te obowiązki ku jej zadowoleniu i „szczęściu”.

„Lord Melbourne z głębokim żalem opuszcza służbę u Naj-jaśniejszej Pani, która traktowała go z tak niezmienną dobrocią i obdarzała tak nieograniczonym zaufaniem... Najjaśniejsza Pani zechce stawić czoła temu kryzysowi ze stanowczością... prawością... szczerością.”

Owszem, Wiktoria będzie działać z całą szczerością, ale nie wykaże się prawością, a stanowczość zwróci w kierunku, którego lord Melbourne nie przewiduje.

Wkrótce po wysłaniu oficjalnego listu, Melbourne składa w pałacu wizytę pożegnalną. Królowa, połykając łzy, trzyma jego rękę w obu swoich.

- Nie zapomni pan o mnie?

- Nie... - odpowiada cicho, nie dowierzając własnemu głosowi, i tylko patrząc na nią z serdeczną czułością.

Wiktoria załamuje się, Melbourne wychodzi, pozostawiając ją pocieszeniom baronowej Lehzen i flakonu z trzeźwiącymi solami.

Wróciwszy, Melbourne przynosi z sobą memorandum, w którym doradza królowej powierzyć urząd premiera rady ministrów księciu Wellingtonowi. Stary wódz będzie zawsze dobrotliwy, taktowny i królowa może polegać na jego wielkim doświadczeniu. Gdyby odmówił - a z taką ewentualnością trzeba się niestety liczyć - królowa powinna powierzyć urząd Sir Robertowi Peelowi z Izby Gmin. Memorandum zawiera zalecenia, by ufać nowym ministrom, ale zachowywać ostrożność i nie aprobować nowych zarządzeń zbyt pośpiesznie. Wreszcie, rzecznik „mistrzowskiej bezczynności” dorzuca zdanie, które stało się bodźcem do wzmożenia aktywności królowej i miało doprowadzić do rozpaczki tych, którym Melbourne zalecał jej ufać: „Najjaśniejsza Pani zechce wyrazić nadzieję, aby nikt z osób królewskiego dworu, prócz tych, którzy czynnie zajmują się politycznymi sprawami, nie został odwołany ze stanowiska”.

Dwudziestolenia Wiktoria zgadza się w zasadzie z treścią tych zaleceń, ale wcale nie odpowiada jej zalecona metoda. Cóż to za monarcha, podpowiada Lehzenka, który ma prawo jedynie wyrażać nadzieję? Królowa powinna mówić: „Tak” lub „nie”, rozkazywać i wymagać posłuchu. Tak więc, zanim jeszcze poszła w zapomnienie niefortunna sprawa z lady Florą Hastings, a której tragiczne zakończenie miało dopiero nastąpić, Wiktoria wzięła się w nową aferę, która jeszcze bardziej zaciemni jasny wizerunek młodocianej księżniczki, jaki powszechnie przyjęto w chwili jej wstąpienia na tron.

Dnia 9 maja królowa zaprasza księcia Wellingtona, by powierzyć mu urząd premiera gabinetu. Stary marszałek przybiera pozę kochającego dziadka, jak poprzednio Melbourne - czulego ojca.

- Madame, proszę mi wybaczyć, że nie przyjmę tego zaszczytu. Chętnie spełniałbym mój obowiązek i służył mojej królowej. Ale jestem już człowiekiem starym, Madame - mam siedemdziesiąt lat. I, niestety, źle słyszę. Prócz tego, żeby już powiedzieć całą prawdę, długie lata, jakie spędziłem w Izbie Lordów, odcięły mnie od Izby Gmin, z którą nie umiałbym się teraz porozumieć.

W godzinę później do pałacu przybywa Sir Robert Peel - którego polecił poprzednio Melbourne,

a teraz stary Wellington. Nowy kandydat na premiera jest synem fabrykanta i wobec tego Wiktorja uważa go za „niezupelnie dzentelmena”. Ale nawet „niezupelnie dzentelmeni” trafiają czasem na uniwersytet w Oksfordzie, zdobywają dyplomy z najwyższymi wyróżnieniami, zarówno w naukach matematycznych, jak i klasycznych i zastają posłami do parlamentu w wieku dwudziestu jeden lat. Do takich właśnie należy Peel. Od innych posłów wyróżnia się sumiennością w pełnieniu swoich obowiązków: studiuje dokładnie tematy, poruszane w debatach, przemawia zawsze ze znajomością rzeczy, jasno i logicznie. W dwudziestym czwartym roku życia zostaje Pierwszym Sekretarzem Irlandii, później ministrem spraw wewnętrznych, a w latach 1834-1835 jest po raz pierwszy premierem. Teraz liczy ponad pięćdziesiąt lat. Wiktorja za mało zna świat i ludzi, by ocenić zalety takiego człowieka. Dopiero gdy poglądy jej ulegną ostatecznemu ukształtowaniu przez małżonka, który odznacza się podobnymi cechami charakteru, co Peel, choć w odróżnieniu od niego potrafi swe poglądy podać jakby w aksamitnej rękawiczce - Wiktorja uzna, że Sir Robert jest jednym z najwybitniejszych polityków, jacy stali u steru rządów w ciągu całego jej panowania.

Ale Sir Robertowi brak też tej swobodnej dworności w stosunku do królowej, jaką rozporządza Melbourne albo Wellington. Ten rozumny polityk ma sposób bycia sztywny, oficjalny, szura nogami i postukuje końcem stopy, jak nauczyciel tańca. Wzgardziłby również zasadą, gloszoną przez obiecującego młodego posła, Beniamina Disraeliego:

- Każdy lubi pochlebstwa, a już gdy się ma do' czynienia z głowami koronowanymi, łopata należy nagarniać pochlebstwa!

Peel traktuje królową jak instytucję państwową i zapomina, że jest ona kobietą. Samowolna i uparta, Wiktorja pozwoli się prowadzić tylko z subtelnym wyczuciem taktu - a ona sama, niestety, nie wie, jak postępować z takim człowiekiem. Jej zachowanie pogłębia jedynie zakłopotanie Sir Roberta, ponieważ, jak sama pisze do lorda Melbourne, zachowuje się w sposób „opanowany, grzeczny i wyniosły”.

Jednakże początkowo królowa i przyszły premier dochodzą do porozumienia. Dopiero pod koniec audiencji Sir Robert proponuje, aby królowa zmieniła niektóre osoby ze gwego otoczenia, mianując damami dworu przedstawicielki rodzin ze stronnictwa torysów, by dać w ten sposób wyraz swemu zaufaniu do nowego rządu. Wiktorja od razu sztywnieje, ma się na baczności, przygotowana na tę propozycję, o której wspomniał już Melbourne w ostatnim memorandum. Poza tym obawia się, że Sir Robert chce wprowadzić szpiegów na jej dwór.

- Nie będzie innych zmian na dworze, jak tylko na stano wiskach tych panów, którzy również zasiadają w parlamencie - odpowiada zwięźle i „wyniosłe”.

Peel nie stawia sprawy na ostrzu noża. Oczywiście, o niczym nie zadecyduje sam - bez zgody najjaśniejszej pani. Wychodzi, obiecując powrócić następnego dnia z dalszymi propozycjami.

A tymczasem, wbrew zwyczajom i konstytucji, królowa pisze, niczym spiskowiec, do byłego premiera ze stronnictwa wigów list z dokładnym sprawozdaniem z przebiegu jej rozmów z księciem Wellingtonem i z Sir Robertem Peelem, potencjalnymi przywódcami nowego, torysowskiego rządu. Podkreśla, jakie stanowisko zajęła w sprawie propozycji zmian osób z jej dworu. Melbourne, zaalarmowany jej niedyplomatycznym auto-kratyzmem, odpisuje nalegając, by raczej zgodziła się na kompromis, niż naraziła na zerwanie z Peelem. Trzeba koniecznie uniknąć impasu - gdy wigowie są za słabi, by pozostać przy rządach, a torysi nie zechcą rządów objąć.

Królowa dziękuje lordowi Melbourne za list, łagodzi jego obawy pisząc, że zawsze jest dla niej najlepszym ojcem i że we wszystkim będzie stosowała się do jego wskazówek. Ale nie ma

najmniejszego zamiaru stosować się do jego rad. Po raz drugi czuje cugle w rękę i nic jej nie powstrzyma. A Lehzenka wciąż szepce do ucha słowa zachęty i utwierdza w przekonaniu, że nie powinna się zgadzać na żadne zmiany dam dworu. Dla niemieckiej guwernantki konstytucja i polityka nie mają żadnego znaczenia, żyje jedynie obawą, aby przy sposobności zmian nie padła również jej własna głowa.

Następna rozmowa z Peelem jest krótka, a konflikt już wyraźny.

- A więc, Madame, w sprawie nowych dam dworu... - zaczyna Peel.

Mały, okrągły podbródek Wiktorii unosi się do góry, jej wystające zęby błyskają groźnie.

\* Nie mogę zrezygnować z żadnej z moich dam dworu.

\* Przepraszam, czy najjaśniejsza pani zamierza je wszystkie zatrzymać?

\* Wszystkie.

- Damy garderoby i damy sypialni?

- Wszystkie - odpowiada Wiktorie, a ton jej głosu nie pozostawia żadnych wątpliwości.

Peel beznadziejnie upiera się przy tej sprawie, tłumacząc, że wszystkie te damy są żonami wigów, pozostających w opozycji wobec nowego rządu. Żaden premier nie może ryzykować sytuacji, kiedy cały dwór królewski będzie przeciw niemu. Królowa odpowiada, że nigdy nie rozmawia ze swoimi damami dworu o polityce. Peel podkreśla, że pragnie zmiany tylko kilku osób, na najbardziej eksponowanych stanowiskach i ostrzega, że jeśli królowa nie zmieni swego zdania, to on, Peel, nie będzie czuł się na siłach formować nowy gabinet.

Jego ostrzeżenie jest poważnym błędem taktycznym. Wiktorie dostrzega tu szansę powrotu lorda Melbourne i jeszcze utwierdza się w swoim uporze. Peel proponuje uciec się do pomocy uniwersalnego mediatora, jakim jest książę Wellington. Starzec ze zdumieniem stwierdza, że królowa ledwie panuje nad poirytowaniem i gniewem.

- Madame, z przykrością dowiaduję się, że pojawiły się pewne trudności, z pewnością łatwe do usunięcia...

Jej odpowiedź wręcz przeraża go: - Ale to on zaczął, nie ja!

Co za dziecinada!

I wszelkie argumenty, prośby i nalegania odtrąca złośliwym, a niezbyt taktownym szyderstwem:

- Gzy Sir Robert czuje się tak słaby, że chciałby, aby nawet damy dworu dzieliły jego poglądy?

Peel zachowuje spokój, ale jest równie uparty, jak jego bliska historii monarchini. Jeśli królowa nie zgodzi się na zmianę niektórych dam dworu - nie przyjmie urzędu premiera. Wiktorie opanowuje się o tyle, że przypomina sobie rady, udzielane jej przed dwoma laty przez wuja Leopolda, a wczorajszego dnia przez lorda Melbourne. Oznajmia, że przemyśli tę sprawę i nazajutrz udzieli ostatecznej odpowiedzi.

Zaledwie zamknęły się drzwi za Sir Robertem i księciem Wellingtonem, a już Wiktorie opowiada o wszystkim najpierw baronowej Lehzen, która przyklaskuje jej stanowczości, a później wylewa swe żale w liście do lorda Melbourne:

„Królowa Anglii nie ulegnie takim oszustwom. Królowa zatrzyma swoje damy dworu, i to pan premier źle na tym wyjdzie, jeśli się nie zgodzi. Proszę być w gotowości, bo może niebawem będzie nam pan potrzebny!”

W rzeczywistości to Wiktorie posługuje się oszustwem, i to kosztem samego lorda Melbourne, używając przy tym tonu średniowiecznego władcy.

Melbourne przybywa pośpiesznie do pałacu, a Wiktorie równie namiętnie, jak dyskutowała z

Peelem, teraz zaklina swego „ojczulka”, by do niej wrócił. Sumienie mówi lordowi, że jak Peel, powinien przeciwstawić się swojej królowej. Nie ma w obecnym układzie sił żadnej szansy, aby rząd stronnictwa wigów mógł się długo utrzymać przy władzy. Może parę miesięcy - a później zupełna klęska, bardzo szkodliwa dla powagi stronnictwa. Torysi oskarżą go o sięganie na powrót po władzę przy pomocy dziewczęcego zadurzenia niedorosłej królowej. Go więcej, nie powinien zachęcać swej królewskiej pupilki do stronnictwa i autokratyzmu. Ale w tej wewnętrznej walce sumienie i rozsądek ponoszą klęskę. Zwycięża serce. Jeśli Wiktorja go potrzebuje - nie opuści jej. A parę dni rozstania przekonało go, jak bardzo brak mu codziennych spotkań z królową.

Melbourne idzie naradzić się z ministrami.

Byli ministrowie ze stronnictwa wigów, którzy poprzednio bardziej od niego życzyli sobie jego rezygnacji, teraz powiadają, że nie można wbrew życzeniu królowej dopomagać politycznym oponentom w objęciu władzy. Tylko nieliczni się wahają. Tym Melbourne odczytuje list od królowej, napisany po jej rozmowach z Peelem i Wellingtonem. Nie ulega wątpliwości, że jej dziecinnie naiwne błaganie budzi w tych zatwardziałych w politycznych rozgrywkach starych wygach jakąś falę sentymentalnej lojalności. Jeden z nich napisze później: „Niemożliwym było opuścić królową i taką kobietę”. Melbourne - któremu władza była obojętna - po dymisji boleśnie odczuł rozstanie z Wiktorją; natomiast jego ministrowie po dymisji odczuli równie boleśnie utratę stanowisk i związanej z nimi władzy.

Rozkazująco i definitywnie oznajmia Wiktorja Peelowi, że nie ustąpi w sprawie zmiany dam dworu. Sir Robert rezygnuje wobec tego z funkcji utworzenia rządu. Wiktorja triumfuje. Cały ten kryzys rządowy „bardzo ją bawił”, dostarczając podniecającej rozrywki w monotonii życia dworskiego.

Wieczorem dnia 10 maja w pałacu buckinghamskim wyprawy wiono wielki bal na cześć królewskiego gościa, carewicza Aleksandra. Wiktorji wydaje się to szczęśliwym uwieńczeniem jej batalii i wesoło oddaje się zabawie, tańczy mazurę z dziedzicem tronu władców Wszechrosji. Później z naiwną chytryością zano tuje w swoim diariuszu, że Peel i Wellington wyglądali na mocno zasępionych. Mieli po temu istotne powody. Obaj wiedzą, że królowa odniosła nad nimi osobiste zwycięstwo, ale nie siłą, lecz podstępem. „Gdy królowa jest tak słaba - mogliby odwrócić jej własne pytanie, skierowane do Sir Roberta - że nawet jej damy dworu muszą koniecznie wszystkie należeć do jej partii politycznej?” Wiktorja podeptała tradycję, obyczaj i zdrowy rozsądek.

Melbourne również czuje się szczęśliwy na wielkim balu dworskim. Ale następnego dnia euforia mija, mniej różowo spogląda na świat. Odkrył, że jego ukochana pupilka oszukała go. Powiedziała mu, że Peel żądał zmiany jej wszystkich dam dworu, a oto dowiaduje się z memorandum, napisanego przez Sir Roberta, że kandydat na premiera życzył sobie zmiany tylko niektórych dam dworu. Melbourne czyni ostatnią próbę namówienia Sir Roberta do utworzenia rządu i spotyka się z chłodną odmową. Łagodnie, żartobliwie, Melbourne daje Wiktorji do zrozumienia, że wie o jej oszustwie. Królowa odpowiada, że źle się czuje po tych przejściach, nie jest w stanie dłużej omawiać tych spraw - i romantyczne, czułe serce lorda Melbourne znowu bierze górę nad rozsądkiem. Nie powróci więcej do tego tematu, co będzie ze szkodą dla charakteru jego pupilki. Na przyszłość zawsze, ilekroć znajdzie się w obliczu kłopotów i nie-popularności, albo oskarżenia o zaniedbywanie obowiązków, które jej nie przypadają do gustu - Wiktorja będzie się uciekać do wymówki, że źle się czuje.

Przekrecone plotki o tak zwanym „Spisku Królewskiej Sypialni” - torysi ponoć konspirowali, by

odizolować królową od jej przyjaciół, a Melbourne miał wykorzystać sytuację, by ocalić swoje stanowisko i pensję premiera - docierają oczywiście do publiczności. Na ogół wśród szerokich - a pozbawionych prawa głosu - mas społeczeństwa, postępowanie Wiktorii, oceniane jako obrona przyjaciół, spotyka się z uznaniem. Okrzyki na cześć królowej witają ją, gdy jedzie do kościoła w niedzielę po „Spisku Sypialni”. Natomiast wyższe sfery odnoszą się do Wiktorii z coraz wyraźniejszą niechęcią. Gdy królowa przyjeżdża na słynne wyścigi w Ascot, gdzie zbiera się śmietanka angielskiego towarzystwa, rozlegają się wołania: „Pani Melbourne!” i gwizdy, co słysząc Wiktorii oznajmia, że tych ludzi należałoby wychłostać. Radykałów i torysów jednakowo przerażają oznaki tego, co uważają za samowolę despotki. Baron Stockmar, przebywający na kontynencie, wyraża zdanie<sup>^</sup> że Wiktorii musiała odziedziczyć po swym obłąkanym dziadku, Jerzym III, skłonność do niepoczytalności. Jednak nie jest aż tak źle. Trzeba też uwzględnić jej niedoświadczenie i młodość. Najwięcej zawinili tu może Melbourne i jego koledzy ministrowie ze stronnictwa wigów, którzy współdziałali w tym spisku i zachęcali do uporu samowolną młodą królową.

Królowa jest w złym humorze i wydaje się, że teraz, kiedy minęło podniecenie, nie jest z siebie samej wcale zadowolona. Natomiast nie zmniejszyło się jej zadowolenie z lorda Melbourne. W parlamencie premier rycersko przyjmuje na siebie wszelką winę, jaka mogłaby być związana ze „Spiskiem Królewskiej Sypialni”, broniąc i wybielając królową. Powraca dawny tryb życia - o którym Wiktorii z taką rozpaczą myślała, że już przeminął na zawsze - codzienne spotkania, i na dokładkę codzienna korespondencja (o konnych przejażdżkach po Hyde Parku, o wyjazdach do zamku Windsor) - czarujący potok ironicznej mądrości i subtelnych, przesublimowanych uczuć. Każdego tygodnia Wiktorii otrzymuje wiązanek starannie dobranych kwiatów z cieplarni w wiejskiej siedzibie lorda. W jej obecności często napływają mu do oczu łzy wzruszenia - i wtedy Melbourne impulsywnie schyla się, by ucałować jej rękę.

Ale na tę sielankową scenę, która dla Wiktorii znowu odzyskała swe barwy, pada cień trojga sprzymierzonych antagonistów - księżnej Kentu, Sir Johna Conroya i skrzywdzonej lady Flory Hastings. Księżę Wellington zabrał się do roboty, aby nareszcie pozbyć się człowieka, który najoczywściej jest z tych trojga głównym podżegaczem. Stary marszałek schlebia Conroyowi, zaprasza go na wielkie przyjęcie do swej londyńskiej siedziby, Apsley House, gdzie ochmistrz dworu księżnej pozwala sobie na satysfakcję obrazliwego zachowania wobec lorda Melbourne - ale ten nie da się sprowokować. Wellington apeluje do „szlachetności uczuć” Conroya: wszystko jedno, powiada, po czyjej stronie była słuszność w tym konflikcie - i księżę podkreśla, że nie kreuje się niczym sędzią - bez wątplenia obecność Sir Johna na dworze wywołuje napięcie i niesnaski, jakich oczywiście nikt nie chce przysparzać swemu monarsze. Z pochlebstwami mieszają się zamaskowane pogrożki - bo Wellington od dawna podejrzewa, że nie wszystko układa się bezbłędnie w prowadzeniu finansów księżnej Kentu.

I wreszcie z początkiem czerwca 1839 roku, Conroy ulega. Podaje się do dymisji ze stanowiska, zajmowanego na dworze księżnej. Chytry stary księżę pisze do niego list, w którym gratuluje mu powzięcia „męskiej i honorowej decyzji” - a później określa ten list w rozmowie z przyjacielem, jako „złoty most”, po którym Sir John może się wycofać na kontynent. Wiktorii i Lehzenka tańczą po Błękitnej Komnatce, otrzymawszy wiadomość o wyjeździe Conroya. Królowa zdaje sobie sprawę, że wrogość jej matki rodziła się głównie pod wpływem namów i podjudzań Conroya, a baronowej, chociaż nie brała udziału w machinacjach starego księcia, wydaje się, że to ona sama odniosła nad dawnym oponentem zwycięstwo, które zabezpiecza jej nareszcie absolutnie pewną przyszłość.

Conroy nie wyjechał ani o chwilę za wcześniej - o czym sam z pewnością najlepiej wiedział.  
Nowy ochmistrz, Sir George

Couper, stwierdza, że finanse księżnej Kentu znajdują się w opłakanym stanie. Przez dziesięć lat nie prowadzono żadnej rachunkowości! Znaczne sumy, dochodzące do 60 000 funtów szterlingów, które Conroyowi wręczał dla księżnej król Leopold belgijski, nigdy nie zostały wpłacone jej bankierom.

Sukces odniesiony przez Wellingtona, zdaje się otwierać drogę do pojednania Wiktorii z matką. Stary marszałek namawia księżną, by położyła wreszcie kres waśni z lordem Melbourne, baronową Lehzen i własną córką.

- Lord Melbourne o Wiele za dużo przebywa w towarzystwie królowej - narzeka księżna.

Wellington parska śmiechem.

- I ma rację! - powiada. - Ja na jego miejscu przeniósłbym się na stałe do pałacu buckinghamskiego.

Księżna zdaje sobie sprawę, że tą drogą daleko nie zajdzie.

- Ale jak mam zachować się - zapytuje - jeśli Wiktoria zechce, bym podała rękę tej...  
Lehzenowej?

- Go zrobić? Ależ Madame, wziąć ją w objęcia i ucałować!

\* Co?

\* Ależ, Madame, nie baronową Lehzen, ale królową ucałować!

Wreszcie księżna Kentu decyduje się zastosować do wskazówek i namów starego marszałka. Jednakże nie spotyka się z wyciągniętą ręką córki. Baronowa obawia się, że „rapprochement” z księżną osłabi jej własną pozycję - adoptowanej „mamy” Wiktorii. Wmawia swej królewskiej przyjaciółce, że księżna nie zmieni się z powodu wyjazdu Conroya. Królowa powierza kartom swego dziennika wyznanie zupełnej obojętności wobec matki i odrzuca prośby lorda Melbourne, który namawia królową do pojednawczych kroków w stosunku do księżnej. Tak więc wysiłki Wellingtona w kierunku złagodzenia drugiej osoby z nieprzychylniej Wiktorii trójcy spęłzyły na niczym. A co do trzeciej osoby - z początkiem czerwca Flora Hastings zapada poważnie na zdrowiu.

Królowa, chcąc odsunąć myśli o kłopotach, spowodowanych jej własną samowolą, pracuje jeszcze więcej niż dotąd. Regularnie przyjmuje ministrów, opatruje uwagami ich memoranda - czasem naiwnymi, często nie pozbawionymi kobiecego sprytu - odczytuje depesze od ambasadorów, pisze sążniste listy, których ortografię i gramatykę nadal poprawia jej Lehzenka. Z jeszcze większym niż dawniej zapalem „ściąga” do własnego skarbczyka, na przyszły użytek, mądrość i doświadczenie lorda Melbourne.

O znaczeniu swojej roli jako monarchy - oprócz tej męczącej codziennej rutyny urzędniczej, na którą będzie się coraz więcej uskarżać w miarę upływu lat, i oprócz monotonnej nudy oficjalnych przyjęć i obiadów - Wiktoria nie ma jeszcze najlżejszego wyobrażenia. Nie dostrzega - i nie rozumie - najważniejszych problemów dnia: zniesienia Ustaw Zbożowych, konieczności dalszej reformy parlamentarnej, żądań nowego ustawodawstwa, które określałoby prawa robotników, ani faktu, że angielskie klasy średnie, z których wywodzą się członkowie wolnych zawodów oraz dyrektorzy fabryk i urzędnicy na niższych stanowiskach administracji państwowej - należą do najgorzej wykształconych w całej Europie. W pierwszej połowie dziewiętnastego wieku mało kto podzielał zdanie, że są to problemy, które powinny zaprzętać głowę królowej - przynajmniej do chwili, gdy parlament przedłoży jej do aprobaty projekty nowych ustaw. Wiktoria jest głęboko przywiązana do

lorda Melbourne, ale do innych ministrów odnosi się z chłodną wyniosłością i egoistycznymi żądaniami, a opozycję traktuje wręcz z nieukrywaną wrogością.

Trochę za późno podejmuje Melbourne zadanie przygotowania królowej do nieuniknionego w najbliższej przyszłości przejęcia władzy przez stronnictwo torysów. Niełatwo mu to przyjdzie. Królowa upiera się, że Peel zachował się po grubiańsku, a księżę Wellington wart niewiele więcej. Premier przypomina, że jeśli Wiktorja chce mieć jakiś wpływ na stronnictwo torysów, nie powinna traktować ich jako jawnych wrogów, odmawiać zapraszania ich na obiady, a na większych przyjęciach okazywać obrazliwą wzgardę ich żonom.

- Much nie łąpie się octem, lecz miodem! - ostrzega Melbourne.

I daremnie oskarża Wiktorja torysowską opozycję o wszystko złe, co się stało. A kiedy zarzuca im, że zawsze wprowadzają poprawki do rządowych projektów ustaw w Izbie Lordów, wytrawny polityk parska śmiechem:

- I zwykle poprawki te są naprawdę bardzo potrzebne! Triumf, jaki odniosła Wiktorja w zatargu z Sir Robertem

Peelem, utwierdził ją w samowoli i uporze. Nawet do lorda Melbourne napisze gorzki i aż czarny od grubych podkreśleń list z wyrzutami z powodu zamiany ministerstw, dokonanej bez jej aprobaty, między lordem Normanby'm a lordem Johnem Russellem: „Królowa z wielkim niezadowoleniem dowiedziała się... zważywszy zaufanie, jakie pokłada w lordzie Melbourne, królowa sądzi, że lord Melbourne powinien był powiadomić ją o tym projekcie, nie pozwalając, by królowa była ostatnią osobą, która dowiaduje się o tym, co zaszło”. Wiktorję łatwo irytują wszelkie krytyczne wzmianki o jej osobie w prasie i w parlamencie. Oznajmia lordowi Melbourne, że należałoby zabronić takich wzmianek specjalną ustawą.

Melbourne okazuje zrozumienie i sympatię:

- Najjaśniejsza pani prowadzi tryb życia niezwykle, nawet nienaturalny dla młodej dziewczyny:

Ale zarazem jest stanowczy:

- Najjaśniejsza pani musi przyzwyczać się do słów krytyki i nigdy nie okazywać gniewu z tego powodu!

\* Nie mogę - odpowiada urażona Wiktorja.

\* Ale to konieczne - nalega Melbourne. - Przepraszam, jeżeli wydaję się zbyt stanowczy...

Wcale nie jest dosyć stanowczy. Melbourne miał jeszcze ostatnią szansę ukształtowania charakteru Wiktorii. Jego następcy przez sześćdziesiąt lat będą mieli powody, by żałować, że ten premier pominął sposobność, jaką dawało mu zaufanie i przywiązanie młodziutkiej Wiktorii. Ale Melbourne za bardzo kocha swoją pupilkę - i... jest za leniwy. Dwoje egoistów nie potrafi wzajemnie uczyć się altruizmu.

Wytrawny światowiec tłumaczy sobie jej irytację i wybuchy złego humoru przyczyną najnaturalniejszą w świecie - wie, że nawet młode królowe nie znajdują pełnej satysfakcji, której potrzebują, w towarzystwie platonicznie zakochanego, starszego mężczyzny. Ta myśl nie jest bynajmniej miła jego sercu. Stara się także nie mówić na ten temat z Wiktorją. Zamiast tego doradza jej pić więcej wina dla uspokojenia nerwów, ale stosowanie się do tej rady nie przynosi pożądaných rezultatów. Wiktorja przez całe swoje długie życie będzie reagowała gwałtownym gniewem na każde słowo krytyki, nawet jeśli pochodziło z ust małżonka, którego obsypywała tak namiętnymi wyrazami miłości i zachwytu. I nigdy nie potrafi zapanować nad sobą - i to także wbrew wszelkim wysiłkom człowieka, którego darzyła ślepą, nieomal pokorną miłością.





## Rozdział V

### „KOBIE TA NIE MOŻE ŻYĆ SAMOTNIE”

„Na razie nie czuję żadnej inklinacji do małżeństwa... Tak przywykłam postępować wyłącznie według własnej woli, że nie potrafiłabym dostosować się do nikogo.”

Tymi słowami kończy Wiktoria w swoim dzienniku opis rozmowy z lordem Melbourne, która odbyła się na wiosnę 1839 roku. To wyznanie - „nie potrafiłabym dostosować się do nikogo” - odsłania główną przyczynę utrzymujących się złych stosunków królowej z matką. Ten niewygasający antagonizm - w połączeniu z rozlegającymi się w całym kraju, na dworze i w parlamencie głosami, przypominającymi, że już czas, by królowa pomyślała o zapewnieniu dziedzica korony - doprowadza do rozmowy o ewentualności małżeństwa. Młoda dziewczyna sądzi, że ewentualność tę odsunęła od siebie na jakiś czas. Wprawdzie Wiktoria nie potrafi żyć w zgodzie z księżną Kentu, a dopóki jest niezamężna, nie może być sama, i wprawdzie wie dobrze, że Albert, książę sasko-kobursko-gotajski uważa się za jej narzeczonego, jednakże małżeństwo, przynajmniej jeszcze przez trzy lub cztery lata - jest alternatywą zbyt „wstrząsającą”, według jej własnego określenia.

A tymczasem wyłania się nowy kłopot, który poważnie ją przestrasza. Lady Flora Hastings, chora od czerwca, już nie wstaje z łóżka. Nowotwór, który na początku roku wprowadził w błąd królową i lekarzy, wywołując skandal - okazał się złośliwy.

Wiktoria nie chce początkowo wierzyć, że lady Flora jest naprawdę poważnie chora, przypuszczając, że chodzi o wzniecenie raz zatuszowanego skandalu. Melbourne zdaje sobie sprawę, że jest to ze strony Wiktorii reakcja defensywna. Przekonuje ją, że należy odwołać bale i zabawy dworskie, przypomina, aby co dzień posyłać gońców z zapytaniami o stan chorej, sam dogląda, aby lady Florze nie zbywało na żadnych wygodach, medykamentach, ani opiece lekarskiej. Premier wyniósł bowiem już jakąś nauczkę z tej przykrej i krzywdzącej sprawy.

Z domu chorej nie nadchodzą dobre wieści. Melbourne nalega, wbrew zacieklej zazdrości baronowej Lehzen, że obowiązkiem królowej jest odwiedzić lady Florę. Dobrze się stało, że zdołał przekonać Wiktorię, bo to już ostatnia chwila.

„Zastałam biedną lady Florę... tak wychudzoną, aż trudno uwierzyć, że jeszcze żyje... ale bardzo opuchnięta na figurze, jak osoba, która spodziewa się dziecka... zaleźnione spojrzenie człowieka umierającego...”

I znowu ta defensywna reakcja: „bardzo opuchnięta, jak osoba, która się spodziewa dziecka”. I poprzednio lady Flora wyglądała, jakby się spodziewała dziecka; a więc królowa miała prawo zarzucić jej, że się spodziewa dziecka, chociaż profesorowie medycyny jasno wyrazili opinię - krytykując zarazem lekarza nadwornego -\* że obrzmienie brzucha musiało być spowodowane innymi przyczynami.

W parę dni później lady Flora Hastings umiera, a jej śmierć budzi na nowo powszechne oburzenie na królową, jak na początku skandalicznej afery. Wiktoria posyła swoją karetkę, która ma ją

reprezentować w kondukcie pogrzebowym - i karetę obrzucono kamieniami. Ktoś z tłumu wykrzykuje: „I po co ten złocony szych, kiedy już zabiła biedną dziewczynę?” Księżna Kentu i inni przyjaciele zmarłej rozpuszczają pogłoskę, że lady Flora umarła na serce, nie mogąc przeżyć skandalu. Rodzina Hastingsów zwraca 50 funtów szterlingów, które królowa posłała tytułem podarunku dla garderobianej lady Flory. Podczas ceremonialnego obiadu w Nottingham nikt nie spełnia toastu, wzniesionego za zdrowie królowej, prócz tego, który toast wznosił - wybitnego wodza, Sir Charlesa Napiera. Miną tygodnie, zanim Wiktorja z westchnieniem ulgi zanotuje w dzienniku, że tego dnia na przejażdżce konnej z lordem Melbourne po Hyde Parku nie wygwizdano jej.

Sprawa o większym znaczeniu państwowym, która nabrzmiewała już od dłuższego czasu, dochodzi teraz do punktu kulminacyjnego. Do tej pory wchodziła ona w zakres zainteresowań lorda Melbourne, ale teraz zagraża Wiktorji. Dnia 12 lipca Konwent Klas Pracujących ma przedłożyć Izbie Gmin petycję, żądającą uchwalenia Karty Ludu.

Ruch, zwany czartyzmem - od „*People's Charter*” - sięgał korzeniami podłoża zarówno politycznego, jak i ekonomicznego. Robotnicy, rozczarowani początkową działalnością związków zawodowych i pierwszą reformą parlamentarną (z 1832 roku), po której tak wiele się spodziewali, połączyli się z radykałami i z masowymi ruchami w hrabstwach Lancashire i Yorkshire. Wspólnie te wszystkie ugrupowania - przy czym niektóre odłamy dążyły do demokratyzacji ustroju, inne do nowego ładu gospodarczego - utworzyły jeden z najbardziej dynamicznych ruchów klasy robotniczej w Anglii.

W roku 1838 londyńskie Stowarzyszenie Ludzi Pracy, do którego należeli przeważnie rzemieślnicy, ujęło postulaty swego programu politycznego w tzw. Kartę Ludu, która zawierała sześć zasadniczych żądań: powszechne prawo wyborcze dla mężczyzn; równe okręgi wyborcze; zniesienie kwalifikacji dochodowej dla posłów do Izby Gmin; wprowadzenie diet poselskich; tajność głosowania i coroczne powszechne wybory. Pięć pierwszych punktów miało na celu demokratyzację parlamentu. Punkt szósty dążył do wprowadzenia bezpośredniej demokracji, rządów za pomocą referendum, a nie demokracji parlamentarnej. Przy corocznych wyborach rząd musiałby przedstawiać każdy projekt uchwały, łącznie z budżetem, do zatwierdzenia w powszechnym głosowaniu. Realizacja tego postulatu doprowadziłaby niewątpliwie do obalenia monarchii.

Popierając Kartę Ludu, do rzemieślników londyńskich przyłączają się dwa potężne związki: Polityczny Związek z Birmingham i Wielki Związek Północny. Ten ostatni grupuje kilka stowarzyszeń robotników z przemysłowych hrabstw północnych, a na jego czele stoi Irlandczyk, radykał, już wypróbowany w ogniu walk o wyzwolenie swojej ojczyzny - Feargus O'Connor. Wydawana przez niego gazeta, „*Northern Star*” („*Gwiazda Północy*”), stanie się organem czartyzmu i pierwszym wielkim, prawdziwie popularnym periodykiem brytyjskim.

W ciągu całego roku 1838 czartyści organizowali wzdłuż i wszerz kraju masowe wiece i w przemówieniach zachęcali głodnych, wyzyskiwanych i doprowadzonych do ostateczności robotników - do użycia siły i gwałtu, jeśli zawiedzie presja moralna. Odbywały się demonstracje i pochody przy świetle pochodni. „Karta” stała się bojowym założeniem ruchu, Szerzącego się jak płomień. Pod „Narodową Petycją” zebrano setki tysięcy podpisów. Polscy emigranci publikowali artykuły o taktyce rewolucyjnej, sprzedawano broszury pouczające, jak budować barykady.

Kiedy wreszcie petycja ma być przedstawiona w parlamencie, Wiktorja jest w stanie krańcowego zdenerwowania. Propaganda czartystowska potępia jej postępowanie, krytykuje zwyczaj

otaczania się damami dworu z jednego stronnictwa politycznego... taktyka rewolucyjna... obalenie monarchii.; barykady. „To nas nie bawi!” Wiktorii śni się po nocach, że wyjąca tłuszczą przedziera się przez bramy pałacu buckinghamskiego, że bije maczugami gwardzistów, wyłamuje drzwi, ciska w okna kamieniami, gruchocze cenne meble, tnie nożami gobeliny. Oczyma wyobraźni widzi „najgorsze kobiety”, przywdziewające na swoje sprzedajne ciała jej własne, śliczne suknie... terror... więzienie... wózek do przewożenia skazańców pod gilotynę... Baronowa Lehzen proponuje, by okna pałacu zabezpieczyć materacami.

Kto siedzi na szczycie piramidy społecznej, wybudowanej na pracy najbiedniejszych poddanych, musi odczuwać prze-strach, gdy fundamenty zaczynają się chwiać. Czy nie byłoby lepiej, zapytuje królowa premiera, gdyby wyjechała ze stolicy? Przeniosła się do jakiejś wiejskiej siedziby?

Melbourne wyśmiewa jej sny i strachy, uspokaja, łagodzi.

\* Najjaśniejsza pani jest zupełnie bezpieczna. Wyjazd tylko wywołałby panikę. Wszystko zakończy się spokojem i porządkiem.

\* Na czym opiera pan tę pewność?

\* Londyńscy rzemieślnicy, Madame, nie użyją siły ani gwałtu, bo to w ich pojęciu nie przystoi - odpowiada wytrawny polityk. - Na północy, gdzie nastroje są bardziej bojowe, Sir Charles Napier zaprosił przywódców czartyzmu, by zechcieli obejrzeć przygotowania, jakie poczynił na wypadek wybuchu rewolty. Jego artyleria zdziesiątkuje maszerujących; jego piechota wykończy ich, gdy się rozejdą w poszukiwaniu żywności. Rewolucje nie powstają w wyniku długich, jawnych przygotowań: rząd ma pod dostatkiem czasu i środków, by też się przygotować. Poza tym ja znam tych przywódców. Umieją świetnie przemawiać do tłumów, nawet podniecać ich do gniewu - ale później posyłają ich do domów na kolację. To przeważnie ludzie z klas średnich i w średnim wieku, pełni dobrych intencji i współczucia dla nieszczęśliwej biedoty. Feargus O'Connor ma duży majątek w Irlandii i twierdzi, że wywodzi się od irlandzkich królów. Jego maniery nie zawstydziłyby pałacu buckinghamskiego, Madame. Tacy ludzie mogą mówić o rewolucji, ale innego gatunku ludzi trzeba, by zrobić rewolucję.

\* Ufam, że pan ma słuszność - odpowiada Wiktorii, ale bez większego przekonania.

Co do pokojowego przebiegu wręczenia petycji, Melbourne istotnie ma rację. Chociaż na petycji widnieje milion z ćwiercią podpisów, i chociaż Izba Gmin odrzuca postulaty petycji dwustu trzydziestoma pięcioma głosami przeciw czterdziestu sześciu - nie dochodzi do rozruchów. Kilku przywódców czartyzmu, wśród nich i O'Connora, skazano na półtora roku więzienia. Jeszcze kilka pochodów, kilka uroczystych mityngów, kilka odważniejszych zaburzeń na prowincji - i czartyści zatrzymują się, by pomyśleć o dalszej taktyce. Ich przywódcy - ci w więzieniu i ci na wolności - kłócą się między sobą. Zabrakło im odwagi moralnej w obliczu okopanych pozycji prywatnej własności. A siły nie mogą użyć, bo wobec braku broni palnej jest to po prostu niewykonalne. „Nie będziemy takimi szaleńcami” - głosi „*Northern Star*” - „aby wystawiać nasze nagie piersi i nie uzbrojone dłonie przeciw zdyscyplinowanej potędze oddziałów wojskowych”.

Feargus O'Connor w listach z więzienia omawia przyczyny tej porażki: wycofanie się sojuszników z klas średnich; wrogość urzędników, sędziów przysięgłych i sądów, wrogość prasy; groźba użycia policji i wojska. Mógłby jeszcze dodać kłótnie w łonie samych czartystów, dążących do odmiennych celów, politycznych i ekonomicznych. Ale czartyzm bynajmniej nie umarł. Żyje, rozwija się i nieraz jeszcze napędzi strachu Wiktorii i jej ministrom.

Na razie jednak wszystko się ucisza, a Wiktorii może poświęcić uwagę i czas osobistej sprawie

o wielkim znaczeniu. Carewicz Aleksander, syn ciotki Zofii, przyjechał i odjechał, poruszywszy jej serce wesołością i męską urodą i pozostawiwszy kuzynkę z lekka zadurzoną. Wiktoria dojrzała do małżeństwa, chociaż wciąż powtarza, że nie poślubi nikogo jeszcze przez parę lat. Ale niespodziewanie król Leopold oznajmia, że książe Albert von Sachsen-Coburg-Gotha zamierza znowu odwiedzić Anglię. Wiktoria udaje obojętność. Proszę bardzo, Albert może przyjechać, jeśli sobie życzy, ale powinien pamiętać, że Wiktoria nie czuje się związana z nim żadnymi obietnicami. Jednakże zagląda do swego dziennika i przerzuca kartki z zapiskami z jego pierwszej wizyty, przed trzema laty.

„...oczy duże, błękitne... piękny nos... usta słodkie, śliczne zęby... wyraz pełen dobroci i słodczy... bardzo inteligentny, mądry... wszelkie zalety, które mogłyby uczynić mnie absolutnie szczęśliwą... zwłaszcza Albert... zwłaszcza Albert...”

A Albert czuje się związany z Wiktorią. Wuj Leopold przypomina mu nieustannie, że jego przeznaczeniem jest spłodzić dziedziców tronu, angielskiego. Omawiając z nim swoją drugą wizytę w Londynie, młody mężczyzna wyraża tylko jedno, całkowicie rozsądne zastrzeżenie. Wiktoria musi się ostatecznie zdecydować. Jeżeli miałyby go trzymać w niepewności jeszcze przez kilka lat, a w końcu odmówić mu ręki, to odrażonemu wielbicielowi pozostałyby do wyboru tylko różne odpadki pod postacią najmniej posażnych księżniczek w Europie.

Niełatwo jest Albertowi spoglądać w przyszłość, którą ma spędzić w obcym kraju. Pomimo niefortunnych asocjacji, związanych ze stratą matki, Albert kocha Rosenau, swój rodzinny dom, romantyczny zameczek w pobliżu Koburga, ukryty w zielonym sercu lasu. Kocha trele ptaków, ryk jeleni. Rozkoszuje się polowaniami, zakładaniem parków i urządzaniem, do spółki ze starszym bratem, Ernestem, muzeum przyrodniczego, które zapełniają wypchanymi ptakami, owadami i muszkami. W tym wszystkim kryją się zarodki przyszłej niezgody, bo Wiktoria nie zdradza na razie żadnych skłonności do takich zamiłowań.

Albert jest bezkompromisowym luteraninem z wyraźną tendencją do purytanizmu. Studiował na uniwersytetach w Brukseli i w Bonn pod kierownictwem słynnych profesorów i głębokie wrażenie wywarły na nim nauki prawnicze, których rozumne zasady pragnąłby wprowadzać w życie. To również jest przeciwne naturze Wiktorii, która na oślep chwyta życie, rządzi się raczej emocjami niż chłodnym rozsądkiem.

Albert zdaje sobie doskonale sprawę z tego, że nie będzie miał wcale łatwego zadania - ani jako małżonek, ani jako współwładca Wiktorii. Mówiono mu nieraz, że to dziewczyna uparta i porywczą; że kocha się w ceremonialnej etykiecie, nocnych balach, rankach spędzanych w łóżku. To wszystko sprzeciwia się zasadniczo jego upodobaniom - będąc słabowitego zdrowia, Albert lubi wcześniej kłaść się spać i wcześniej wstawać - a także jego poglądom na obowiązki i odpowiedzialność panującego monarchy, które wpoili mu jego guwernerzy w Rosenau, wuj Leopold i baron Stoćkmar.

„Młodzieniec powinien mieć nie tylko umiejętności - pisze baron Stoćkmar - ale właściwie skierowaną ambicję, a także wielką siłę woli. Poświęcenie się na całe życie kacerze politycznej wymaga nie tylko energii i inklinacji, ale również powagi wyćwiczonego umysłu, który jest gotów każdej chwili odłożyć przyjemność na rzecz prawdziwej użyteczności... Jeśli od samego początku nie podejmie swojej roli jako powołania o poważnej odpowiedzialności, od sprawnego wykonania którego jego własny honor i szczęście zawisły, to niewiele będzie prawdopodobieństwa, aby mu się powiodło osiągnąć sukces.”

Rad takich można by udzielać każdemu młodzieńcowi, wstępującemu na drogę życia w

jakiegokolwiek profesji. Dobry to przepis na powodzenie i satysfakcję w pracy, ale wątpliwe, czy receptę tę uznałaby młoda kobieta, która lubi się bawić, jest uparta i samowolna. Istotnie, żeby osiągnąć sukces, do którego dąży, a zarazem szczęście w pożyciu z Wiktoria, Albert będzie potrzebował wiele stanowczości, wiele taktu, a nade wszystko będzie musiał zdobyć jej absolutne zaufanie.

Nareszcie nadchodzi dzień dziesiątego października 1839 roku - dzień przyjazdu Alberta. Wiktoria oczekuje tego dnia z mieszanymi uczuciami niecierpliwości i zdenerwowania, które sprawiają, że zachowuje się chłodno, a nawet nieuprzejmie nawet wobec lorda Melbourne - nastroje, których w chwilę później ogromnie żałuje. „Nie wiem sama, co na mnie napadło” - pisze w dzienniku po jakimś ataku szczególnie złego humoru, który się skrupił na lordzie Melbourne - „bo przecież serdecznie kocham tego najzaczniejszego z ludzi, który jest wcieleniem dobroci i łagodności”. Zmienność jej usposobienia jest teraz jeszcze spotęgowana wewnętrzną rozterką między chęcią zachowania osobistej niezależności a pragnieniem jej dziewczęcego ciała, dojrzałego do małżeństwa. Później i Albert się przekona, że Wik-toria potrafi wpadać w złość i wyładować złe humory na tych, których najbardziej kocha - nawet na tym, który będzie dzielił jej łóżce.

Albert źle znosi podróże morskie, parowiec kołysze się na burzliwych falach kanału La Manche, a gdy podpływają do Dover, wydaje mu się, że z pewnością rozbiją się o wysokie, białe skały wybrzeża.

Wiktoria oczekuje go u szczytu schodów w wielkiej sieni zamku Windsor. Widzi wysokiego, bladego Adonisa w ciemnym stroju podróżnym. I na ten widok ostatnie trzy lata wydają się od razu wymazane z jej życia. Albert zmienił się, ale Wiktoria czuje, że właściwie nigdy się nie rozstawali. To nadal „zwłaszcza Albert”, jej Albert! Znika od razu jej nerwowość, jej obawy utracenia własnej niezależności. „Ze wzruszeniem ujrzałam Alberta... który jest po prostu piękny... delikatny wąsik i małe, malutkie bokobrody... postać zgrabna niezwykle, szeroka w ramionach, wąska w pasie.”

Następnego dnia wyjeżdżają na konną przejażdżkę, powracając o zmroku, romantycznie ścigani chmurami nadciągającej burzy i blaskami błyskawic. Wieczorem Wiktoria radośnie poddaje się jego objęciom w tańcach, jakie są jej dozwolone - walc wciąż zabroniony! Jeszcze jeden dzień i Wiktoria jest zakochana po uszy.

Dnia 13 października: „Moje zastrzeżenia przeciwko małżeństwu znikają kompletnie”. Oznajmia lordowi Melbourne, że zdecydowała się poślubić Alberta.

Dla starzejącego się premiera jest to ciężka chwila. Nie będzie już zajmował pierwszego miejsca w jej sercu. Ale Melbourne ma wiele szlachetności uczuć. Jeśli Wiktoria będzie szczęśliwa - i on będzie się cieszył jej szczęściem. I nie pozwoli, by na to szczęście padł cień jego żalu.

- Bardzo jestem rad - odpowiada z ojcowskim uśmiechem. - Będzie się pani czuła pewniejsza, Madame. Bo kobieta nie może żyć samotnie, nawet wyniesiona na najwyższą pozycję. - Na tę chwilę Melbourne zapomniał o historii An-glii i o samotnie spędzonym życiu jej największej królowej, Elżbiety I. Ale ona, oczywiście, była więcej niż kobietą, a może mniej - półboginką, półdiablicą.

Królowa i jej premier śmieją się z powodu dziwnego kłopotu: kto ma o tym powiedzieć Albertowi? Bo nikt, niestety, nie może się oświadczyć panującej monarchini. Inicjatywa musi wyjść od niej. Postanawiają, że na razie nikogo - oprócz Leh-zenki, oczywiście - jeszcze się nie zawiadomi. Księżna Kentu może tylko odgadywać, na co się zanoszą, po zachowaniu Wiktorii.

Miną jeszcze dwa dni i królowa opisze w swoim dzienniku scenę, która rozegrała się w Błękitnej Komnatce: „Powiedziałałam mu, że musi wiedzieć, dlaczego chciałam, żeby przyjechał - i że będę taka

szczęśliwa, jeśli zgodzi się na to, czego i ja tak pragnę (by mnie poślubił!)”.

Albert nie kocha swojej od dawna mu wyznaczonej oblubienicy. Nie odwzajemnia też jej fizycznej namiętności, która w Wiktorii rozgorzała z nieposkromioną zmysłowością. Ale jest młody i wyraźne pożądanie uroczej dziewczyny wywiera na nim wrażenie. Młoda para rzuca się sobie w objęcia i tonie w pocałunkach.

W ciągu następnych paru dni nie tylko Melbourne, ale nawet Lehzenka pozna gorzyc usunięcia w cień. Albert oddaje się bez zastrzeżeń roli, do której odgrywania od dawna był przygotowany. Przyjmuje, a nawet przymawia się o oznaki czułości, których Wiktoria mu nie szczędzi. Śle pocałunki i biegnie za nim „po jeszcze jeden uścisk”, gdy Albert wychodzi. Wdzięczne to i naturalne.

Już nie Lehzenka, ale Albert poprawia błędy w listach Wiktorii. Już nie Lehzenka, ale Albert bierze jej zziębnięte ręce w swoje, by rozgrzać je ciepłem własnych dłoni. Ale myśli jego są posępne. Nie może ani na chwilę zapomnieć, że znalazł się tu nie dla przyjemności, tylko by dopełnić swego przeznaczenia i obowiązku. Jego solenna powaga jest bardzo niemiecka. Albert jest przede wszystkim i nade wszystko Niemcem. W liście do przyjaciela, pisząc o swoich uroczystych intencjach pracowania dla Anglii, dodaje: „Ale jednak nie przestanę nigdy *Sin treuer Deutscher, Coburger, Cothaner zu sein*\* ”. Tym niemniej książęca para spędza wspólnie pogodny miesiąc. Nie oznajmiono oficjalnie o przyszłych zaślubinach, które są wyznaczone na luty 1840 roku, ale dwór doskonale wie, co się święci. W chwili wyjazdu Alberta - dnia 14 listopada - cały kraj już oczekuje królewskiego wesela.

Rozłąka smuci, ale to przecież nie na długo. Wiktoria jest roztargniona i niecierpliwa, musi niejednokrotnie przeproszać lorda Melborne za swoje „nieznośne” zachowanie. Zbiera jednak energię, by oznajmić osiemdziesięciu dwóm królewskim radcom dworu o zamiarze zamążpójścia. Pomimo zdenerwowania, odczytuje deklarację - skomponowaną osobiście przez lorda Melbourne w stylu bardzo eleganckim - spokojnie i wyraźnie. Wyznaje później w liście do narzeczonego - pisze do niego co dzień! - że był to „okropny moment”, ale będzie mu zawdzięczać szczęście swojego życia.

W ciągu nadchodzących tygodni Wiktoria nie zawsze będzie bez zastrzeżeń szczęśliwa. Torysi, spragnieni pomsty za jej upór w sprawie zmiany dam dworu, uniemożliwią spełnienie życzeń królowej co do „statusu” i apanaży jej przyszłego współmałżonka, a Albert sam skarci ją za zachowanie, które wyda mu się zbyt frywolne. Torysów uzna Wiktoria za buntowników. Go zaś do Alberta, to chwilami będzie się zastanawiała, czy aby na pewno posiada on wszelkie zalety, które zapewnią jej szczęście...

...być wiernym Niemcem, Koburczykiem i Gotańczykiem.

## Rozdział VI

### „NAJDROŻSZY ANIOŁ” I „POTWORY”

Anglia interesuje się bliskim małżeństwem królowej ze względu na konieczność zapewnienia dziedzica korony. Wiktoria nie odczuwa żadnej skłonności do macierzyństwa i przez całe życie będzie określała rodzenie dzieci jako ciemną stronę małżeństwa - „*die Schattenseite*”, albo też jako „gwałt zadawany wszelkim uczuciom wstydlivosti - a Bóg wie, że już samo pożycie małżeńskie naraża kobietę wstydlivość na wstrząs”.

Jej osobiste kłopoty po odjeździe Alberta wiążą się z zapewnieniem księciu małżonkowi odpowiedniego „statusu” w królestwie. W „Deklaracji o Małżeństwie” Melbourne nie wspomniał ani o tym, że przyszły małżonek królowej jest protestantem, ani też o jego przyszłej randze i dochodach. Go do religii, premier uznał, że wszyscy o tym wiedzą, znając równie dobrze, jak on sam, szczegóły dynastyczne pomniejszych książąt europejskich. Natomiast kwestie rangi i dochodów pominął z powodu swej przyrodzonej awersji do poruszania kłopotliwych spraw, póki jeszcze można tego uniknąć. Nie budzić licha, póki śpi!

Ale królowa, własnym brakiem taktu i autokratycznym postępowaniem wywołała nieprzychylność prasy. Teraz dzienniki angielskie wyrażają niezadowolenie, że Wiktoria wybiera na męża księcia von Sachsen-Goburg-Gotha, kiedy tuż pod ręką jest inny jej kuzyn, Jerzy książę Cambridge, który urodził się i wychował w Anglii. Publiczność szybko dochodzi do wniosku, że książę Albert nie tylko jest cudzoziemskim intruzem, ale i papistowskim intruzem, i że się wywodzi z tej gałęzi rodu Koburgów, która, według określenia lorda Melbourne „zapadła się w katolicyzm”. Wiktoria oburza się na takie haniebne traktowanie jej ukochanego i obwinia torysów o podżeganie prasy. Sporo czasu minie, nim ogół publiczności ostatecznie uwierzy, że królewski narzeczonny jest dobrym luteraninem.

Licho, które się jednak obudziło, przysparza lordowi Melbourne większych kłopotów, niż nawet przypuszczał. W osiemnastym wieku, duński małżonek królowej angielskiej Anny otrzymał przyznane mu przez parlament apanaże w wysokości 50 000 funtów szterlingów rocznie. Wiktoria i jej premier sądzili, że nie będzie trudności z uzyskaniem przynajmniej takiej sumy dla Alberta. A tak byli tego pewni, że Melbourne zaniedbał zwyczajnej w takich wypadkach procedury - negocjacji ze stronnictwem opozycyjnym. Ale Wiktoria zbiera teraz gorzkie owoce tego, że narażła się jednej z dwóch potężnych partii politycznych królestwa. Torysi zwracają się przeciw jej narzeczonemu. W Izbie Gmin podkreśla się, jaką nędzę cierpią uboższe warstwy ludności. Kiedy indziej nikt, prócz może garstki radykałów, nie zwróciłby na to uwagi, ale w tej chwili to woda na młyn opozycji. Mówi się, że dwór królewski musi się ograniczyć w wydatkach. Inaczej prasa rozgłosi, że dwór trwoni pieniądze kosztem angielskiej biedoty.

Wniosek rządowy zostaje odrzucony w głosowaniu. Albertowi będzie musiało wystarczyć 30 000 funtów szterlingów rocznie, co - jak zauważono w Izbie Gmin - i tak przewyższa dochód całego księstwa koburskiego.



Wiktoria wpada w pasję: „Jak długo żyję, nigdy nie wybaczę tym przekłętym łajdakom z Peelem - nikczemnym hipokrytą na czele!” Ale w tym nie tylko Sir Robert Peel maczał palce. Stary książę Wellington przejawia w Izbie Lordów równie daleko posuniętą przezorność przy wyznaczaniu dochodów dla księcia, który, choćby królowa była w nim zakochana po uszy, jest jeszcze wielką niewiadomą z punktu widzenia ogólnopaństwowego. Ten najbardziej lojalny z ludzi, jacy kiedykolwiek służyli swemu władcy, otrzymuje z ust Wiktorii przezwisko „starego rebelianta”, a biskup Exeteru „diabelskiego nasienia”. W dzień Nowego Roku 1840 Wiktoria kończy zapiski w swoim dzienniku słowami: „Od torysów wybaw nas, dobry Boże!”

Oburzenie nie zmieni jednak postanowień parlamentu. Książę małżonek królowej, która jest osobą bogatą, będzie musiał wiązać koniec z końcem z dochodu, który jest tylko sześćset razy większy od tego, co zarabia tkacz. Ale toryści jeszcze nie skończyli batalii z królową i jej błękitnookim Adonisem. Albert upomina Wiktorię, aby bardzo stanowczo postawiła sprawę pierwszeństwa. I Wiktoria ma najszczerzy zamiar tak właśnie postąpić. Upiera się przy tym i - za poduszczeniem Luhzenki - oznajmia nawet lordowi Melbourne, że parlament musi kreować jej męża współwładcą. Nawet premier zaskoczony jest tym żądaniem:

- Na litość boską, proszę porzucić taikie pomysły, Madame! Jeśli naród angielski nauczy się intronizacji królów, to bardzo łatwo zacznie detronizować!

- W takim razie Albert musi mieć przynajmniej prawo pierwszeństwa - na następnym miejscu za mną!

- To już jest rozsądniejsze - zgadza się Melbourne.

Ale i księżna Kentu, i królewscy stryjowie, podbechtani przez torysów, odmawiają pierwszeństwa „papierowemu księciu”. Albert będzie musiał ustąpić. Matka królowej, stryjowie, a nawet jego nieurodzony syn, przyszyli książę Walii, mają mieć krok przed nim. Zatarg dostaje się do publicznej wiadomości, ku jeszcze większemu upokorzeniu Alberta, który coraz posepniej wyobraża sobie przyszłość, jaką będzie musiał pędzić w otoczeniu nieprzychylnego mu narodu. Królowa krzyczy, tupie nogami i nazywa stryjów „starym próchnem”, a torysów „potworami”. W uniesieniu woła do lorda Melbourne, że wolałaby raczej, aby Albert nie miał żadnych praw, niż żeby go narażano na taką hańbę. Melbourne stosuje wypróbowaną broń humoru i zdrowego rozsądku.

- Nie, Madame. Lepiej zawsze brać przynajmniej *to, ca* można otrzymać!

Wiktoria wypłakuje się do dziennika:

„Biedny, kochany Albert, jak okrutnie obchodzą się z moim najdroższym aniołem! Potwory! Torysi muszą zostać ukarani! Pomsty! Pomsty!”

Więcej to przypomina monarchę ze sztuk szekspirowskich, karcącego buntowniczych rycerzy, niż konstytucyjnego władcę z dziewiętnastego wieku.

Sprawa pierwszeństwa zostaje na razie odłożona. Po ślubie Melbourne zrećnie ominie opozycję torysowską, napisze zarządzenie rady królewskiej i da je królowej do podpisania: księżna Kentu i królewscy stryjowie zostaną odsunięci, a Albert otrzyma pierwsze miejsce za królową.

Teraz nadchodzi kolej na „najdroższego anioła”, który nieoczekiwanym machaniem skrzydeł podrażni królową. Albert zarzuca Wiktorii, że niedostateczną troskę, jego zdaniem, poświęca ona sprawom moralności na królewskim dworze. Na co z kolei Wiktoria, za namową lorda Melbourne, dąży do wykluczenia Alberta od spraw politycznych.

Sposobności do zatargu dostarczy nominacja dworzan do osobistej świty Alberta. Książę oczywiście uważa, że on sam powinien mianować swoich dworzan. Poza tym wyraża dezaprobatę z

powodu faktu, że ochmistrzy w pałacu budking-hamskim jest kochanką żonatego lorda szambelana zamku Windsor, że kochanka lorda Stewarta również jest na liście pałacowych dam dworu, a bastardi królewskich stryjów i innych członków arystokracji należą do najbliższego otoczenia królowej. Składem swojej świty chciałby Albert dać przykład surowej moralności, a jednocześnie nie życzy sobie w swym otoczeniu wyłącznie krańcowo nastawionych wigów.

Wiktorię irytuje jego w pewnym sensie usprawiedliwiona krytyka jej moralnych poglądów, a na dokładkę przypomina narzeczonemu, że jedyną odpowiedzią na krańcowych wigów mogą być krańcowi torysi. Nie można dopuścić do sytuacji, by jego dwór *znalazł* się w politycznej opozycji do jej dworu. Przypomina niezbyt taktownie, że Albert jeszcze się nie orientuje w wewnętrznej polityce Anglii i że powinien zaufać jej w tych sprawach. Słodka arogancja dwudziestoletniej dziewczyny!

Alberta niepokoją zamiary decydowania o jego życiu. Jednakże musi na razie szukać kompromisu i proponuje - nie przejawiając w tym więcej rozsądku, niż go okazała Wiktoria - aby jego osobiste otoczenie składało się z „szlachetnie myślących, apolitycznych Niemców”. Próbuje przy tym zaapelować do czułego serca dziewczyny, tłumacząc, jak bardzo będzie się czuł samotny wśród tylu obcych ludzi, w obcym kraju. Wiktorię zaniepokoiły już przejawy niezależności charakteru narzeczonego. Baronowa Lehzen, która chętnie widziałaby na dworze swoich rodaków, popiera Alberta, ale Melbourne odrzuca tę propozycję kategorycznie, przypominając królowej, że obcokrajowcy - oprócz emigrantów politycznych - nie cieszą się przychylnością w Anglii i że książę małżonek nie może tworzyć niemieckiej enklawy w pałacu buckinghamskim. W obawie, że Albert w każdym razie będzie się skłaniał ku torysom - „obcym książętom nasi angielscy liberałowie wydają się gruboskórni i niesympatyczni” - Melbourne podtrzymuje Wiktorię w jej apodyktycznym zamiarze nominowania świty księcia. Królowa chciałaby podkreślić, że Albert, mimo iż będzie jej mężem, nie będzie miał udziału w rządzeniu państwem. Młoda dziewczyna dopiero w przyszłości dowie się, że Albert ma o tym własne zdanie - a właściwie zdanie Stockmara - i własne metody przeprowadzania swojej woli. Jak na razie, królowa czeka na zakończenie nominacji, a następnie poleca baronowej Lehzen, by o dokonanej fakcie zawiadomiła księcia! Albert odpowiada zarzutem, że Wiktoria już go nie kocha. Wiktoria uważa jego postępowanie za nierozsądne. I cała jej irytacja znów zwraca się przeciw lordowi Melbourne.

Premier przywykł już do wybuchów złego humoru królowej, chociaż być może dzięki temu z mniejszym żalem rozstanie się z Wiktoria i powierzy ją w ręce męża, na którego prawdopodobnie w przyszłości będzie spadał pierwszy gniew. Dobrze się składa, że Melbourne ma z natury flegmatyczne usposobienie. Czeka go jeszcze kilka krytycznych momentów, przez które będzie musiał przeprowadzić swoją córkę - królową.

Wiktoria wolałaby, żeby zaślubiny odbyły się nie w królewskiej kaplicy, zgodnie z tradycją i wymaganiami publicznej opinii, ale w prywatnej komnacie pałacowej, skąd mogłaby z powodu braku miejsca wykluczyć torysów i mniej pożądaných ze swoich krewnych. Melbourne znowu zdecydowanie odrzuca taką niesłychaną sugestię.

- Trzeba koniecznie, Madame, przewyciężyć tę niechęć do udzielania się ludziom różnego pokroju i różnych odcieni politycznych.

Wiktoria ustępuje, ale jej wrodzona niechęć do kontaktów z ludźmi, prócz najbliższych przyjaciół - która może zrodziła się w okresie jej trudnej młodości - pozostanie i w wiele lat później przysporzy takich kłopotów, że doprowadzi do żądań abdykacji.

Natomiast premier popiera Wiktorię, gdy Albert wyraża zdanie, że wszystkie druhny królowej

powinny być córkami dam o nieskazitelnej moralności. Wykluczyłyby to dwie z najbliższych przyjaciółek 'królowej i Melbourne uważa takie selekcjonowanie za oznakę nietolerancji, która wzbudziłaby nieprzychylność wpływowych, choć nieco swobodnych poddanych jej królewskiej mości. Cyniczny światowiec wyraża opinię, która stanowi typowy przykład hipokryzji tej epoki:

- Moralność należy brać pod uwagę u ludzi bez znaczenia, ale nie wypada tego czynić, gdy chodzi o arystokrację!

Księżna Kentu znowu przysparza kłopotów. Powróciła do dawnego zwyczaju wpadania do 'królowej bez zaanonsowania swojej wizyty, żąda prawa pierwszeństwa przed królewskimi ciotkami, choćby tylko na czas ceremonii weselnych i opiera się decyzji przeniesienia jej do oddzielnej rezydencji. Wiktoria odmawia obu jej życzeniom. Narazi się stryjom, zapewniając prawo pierwszeństwa Albertowi, ale nie chce *na ra iac* się również ciotkom dla zaspokojenia ambicji matki. A co do pozostania księżnej w pałacu buckinghamskim - Wiktoria woli nie ryzykować, by Albert dostał się pod wpływ księżnej.

Księżę przygotowuje się do ostatecznego wyjazdu z Rosenau z melancholią i złymi przeczuciami. Trudności ze sprawą pierwszeństwa, apanaży, nominacji dworzan każą mu przypuszczać, że znajdzie się w otoczeniu nieprzyjaznego narodu. Jeszcze nie wie, że na przykład Izba Gmin niekoniecznie jest głosem opinii publicznej. Listy od Wiktorii pozwalają sądzić, że może i jej namiętność nieco ostygła. Proponował, aby spędzić w Windsorze „miodowy miesiąc” nieco dłuższy, niż te dwa dni, które Wiktoria uznała za wystarczające, by ochłonąć po „wstrząsie” małżeństwa, i otrzymał chłodną odpowiedź:

- Zapominasz, najdroższy mój, że jestem suwerenem i że nie mogę odkładać moich obowiązków - dla nikogo.

Nadejdzie czas, kiedy ministrowie królowej stwierdzą, że obowiązki mają dla niej o wiele mniejsze znaczenie od jej własnych wygod i przyjemności. Ale na razie „najdroższemu” wydaje się, że jest mniej niż nikiem. Czy jego rola ma ograniczać się wyłącznie do roli ogiera w rozplodowej stajni królewskiej?

Ale i Wiktoria spogląda teraz w przyszłość z niepokojem, wątpliwościami i żalem. Dłuższa rozłąka narzeczonych, którzy jeszcze bardzo mało się znają, nie jest wskazana. Jaki właściwie jest ten młody człowiek, któremu według ceremoniału protestanckiego ślubu przysięgnie „cześć i posłuszeństwo”? Czy nie będzie się jej przeciwstawiał, czy nie będzie krzyżował jej planów i zamierzeń? Sama nie przywykła okazywać posłuszeństwa nikomu - może czasem słucha lorda Melbourne, który jeśli się jej przeciwstawia, to z najwyższym taktem, dobrocią, miłością. Wiktoria postanawia, że będzie „dobrą żoną” i zarazem „prawdziwą królową”, przez nikogo nie zmuszana do posłuchu. Ulegnie także sugestiom prasy, ostrzegającej, by nie pozwalała swemu niemieckiemu małżonkowi odgrywać żadnej roli politycznej. Daremne chęci i dobre postanowienia! Chociaż pozbawionego rangi współwładcy, to jego, Alberta rad będzie „prawdziwa królowa” słuchała i do nich się stosowała, jego wola będzie dominowała nad wolą „dobrej żony” przez całe jego życie - a nawet po jego śmierci.

Raz jeszcze Albert przeprowadza się przez kanał La Manche, cierpiąc udręki morskiej choroby. Ale serdeczność powitań, jakie czekają go w Dover, Canterbury i w Londynie każe mu szybko zapomnieć o koszmarze morskiej choroby i lęku, jakim napawają go burze.

Cały świat lubuje się w romantycznej miłości. Zaślubiny tych dwojga, uroczej młodzieńczej królowej i jej ukochanego księcia, owiewa czar romantyzmu, tworząc ciąg dalszy pięknej bajki.

Szerokie tłumy publiczności zapominają o aferze z Florą Hastings, o Spisku Królewskiej Sypialni, o obawie papizmu i obcej interwencji, o groźbach czartystów, o sprzeczkach przedślubnych w związku z procedurą. Wielki powieściopisarz, Karol Dickens, wyraża trafnie nastroje mas, gdy pisze do przyjaciela, że nie może usnąć i wędruje ulicami Londynu po nocy, chory z miłości do młodej królowej. Więc na ulice! - i - Niech żyją romantyczni kochankowie! Życie jest twarde, nędzę trudno znieść. Ogłośmy święto, włóżmy najlepszą odzież i niech się święci weselne widowisko!

Do pałacu napływają wspaniałe dary weselne - diamenty, perły, kunsztownie wyrobione złote i srebrne cacka, cenne obrazy. We wzrastającym radosnym podnieceniu Wiktoria - chociaż nie pofolguje w gniewie wobec Sir Roberta Peela - wycofa rozkaz banicji ze dworu „starego rebelianta”, księcia Wellingtona, i zaprosi go na ucztę weselną. Na przywitanie księcia Alberta urządzono ceremonialne „levee”. Gdy oznajmiono, że karetą, wioząca księcia, przejeżdża bramy pałacu - Wiktoria znika. Zbiega na dół po schodach, prosto w ramiona ukochanego. I jeszcze raz, jak wtedy, gdy przybył poprzedniej jesieni, na jego widok znikają wszelkie jej żale, wątpliwości i irytacja - „od chwili, gdy ujrzałam jego najdroższą twarz, jestem spokojna i nic mnie już nie gnębi”.

„Najdroższa twarz” nie budzi takiego zachwytu w oczach jej poddanych, zwłaszcza dworzan. Albert jest bez wątpienia bardzo przystojny, ale nie w angielskim stylu - nazbyt gładki, z odcieniem zarozumiałości, włosy ma po kobiecemu faliste, a oczy z mgiełką melancholijnej zadumy. Jest co prawda wysokiego wzrostu, ale przygarbiony, o okrągłych ramionach z pewną ociężałą niezdarnością. Wygląda raczej na intelektualistę, niż na rozmiłowanego w sportach, konnej jeździe i polowaniach szlachcica, który jest typem mężczyzny, bliskim angielskiemu sercu. Jeśli chodzi o damy z arystokracji, ich niechęć ma być może jeszcze inny powód: otóż ogólnie wiadomo, że Albert nie dba o piękne damy.

\* To przyjdzie później - zauważa z pewną złośliwością Melbourne, opierając się na długim doświadczeniu w obcowaniu z różnymi książętami.

\* Jak pan może mówić coś podobnego! - odpowiada Wiktoria i obraża się na swego premiera.

Melbourne odchodzi, a później zapewnia ją, że ten książę wydaje się w sprawach stosunków z płcią piękną wyjątkiem, potwierdzającym regułę.

„Po raz ostatni spałam sama” - notuje Wiktoria w swoim dzienniku w dniu zaślubin. Przejeżdża między wiwatującymi tłumami - które z równym zapałem oklaskiwałyby wygrywającego konia wyścigowego albo byka czystej krwi - z pałacu do kaplicy królewskiej, siedząc w karocy z matką i pierwszą damą dworu. Ma na sobie suknię z białej satyny, oblamowaną angielską koronką, diamentowy naszyjnik, broszkę z szafirów - podarunek Alberta - a na włosach wianuszek z kwiatów pomarańczy.

Książę, po chłopięcemu smukły, lord Melbourne z królewskim mieczem, i cała świta, wszyscy w bieli jak wiejskie dziew-czątka - oczekują na nią w kaplicy.

Wśród przypatrujących się tej uroczystości jest owa córka Williama i Franciszki Nightingale'ow, którą rodzice ochrztili imieniem miasta. Florencja Nightingale nie odziedziczyła ważnego miejsca w świecie. Tron na nią nie czekał. A teraz bliska jest rozpacz. Świadoma sił niezwykłych w sobie, zdolności, czekających ją wielkich osiągnięć, dusi się w matni wiążących ją konwenansów, nakładanych przez hipokryzję świata burżuazji.

Rozbrzmiewają trąby, organy melodyjnymi dźwiękami napełniają każdy kraniec ‘kaplicy królewskiej... „Wiktorio, czy chcesz pojąć za męża Alberta...?” „Albercie, czy chcesz pojąć Wiktorię...?” Książę wsuwa obrączkę na palec panny młodej... Królowa całuje ciotkę, królową-

wdowę Adelajdę, ale matce - jak wszyscy spostrzegają - tylko podaje rękę.

Po powrocie do pałacu panna młoda przebiera się w suknię z białego jedwabiu, ozdobioną łabędzim puchem i siada do weselnego śniadania w czepeczku o tak głębokim rondzie, że prawie nie widać jej twarzy. Zaraz po śniadaniu odchodzi do osobnej komnaty i wzywa lorda Melbourne. Oto kres prologu w życiu panny młodej, oto początek epilogu w życiu romantycznie zakochanego cynika, wytrawnego starego polityka. Oboje są wzruszeni, oboje ukrywają swoje uczucia, rozmawiając o ceremonii weselnej.

- Wygląda pan na zmęczonego - mówi troskliwie Wik toria.

Melbourne całuje jej rękę i trzyma ją chwilę w obu swoich ramionach.

- Niech cię Bóg błogosławi, Madame! Rozmowa jest skończona.

W parę minut później młoda para jest już w drodze do Windsoru. Nie są sarni, jak młodożeńcy skromniejszego pochodzenia. Możliwym tego świata towarzyszy świta nawet - w poślubnej podróży. Nie wolno im, jak podkreślał lord Melbourne, odciąć się od otoczenia, skryć się w cieniu zacisza. Są zawsze na świeczniku, nawet podczas miodowego miesiąca. Towarzyszą im nieodstępnie ci, którzy tak bardzo przyczynili się do ukształtowania ich charakterów - Niemka, baronowa Lehzen i zniemczyły Szwed, baron Stockmar. Alberta wcale nie za-chwyciło spostrzeżenie, że tylko garderoba Wiktorii dzieli jej sypialnię od apartamentów baronowej.

Królowa spędza ten wieczór na sofie, nękana bólem głowy, a Albert siedzi u jej stóp na niskim stołeczku. Następnego dnia Wiktorja uwieczni w swoim dzienniku „uczucia niebiańskiej miłości i szczęścia”. „Nigdy nie potrafię wyrazić mojej wdzięczności za to, że mam takiego męża!” Aureola romantycznej miłości dyktuje jej te słowa - ale i później, w dniach słonecznych i chmurnych, w godzinach szczęścia i wzajemnego antagonizmu, w latach wdowieństwa, Wiktorja nadal zawsze będzie wyrażać wdzięczność za „takiego męża”.

A już o świcie następnego dnia na tarasach zamkowych widać młodą parę, prowadzącą się pod rękę - Albert romantycznie piękny w kołnierzyku, rozpiętym a. la Byron i w czarnej, aksamitnej kurtce. Dworzanie plotkują:

- Taka krótka noc poślubna! W ten sposób nie będziemy mieli dziedzica tronu!

Ale nie było powodów do obaw w tym względzie. Wiktorja jest zmysłowa i namiętna; niebawem będzie się ją oskarżać o wyczerpywanie sił „takiego męża” ciągłym pożądaniem. Ale na razie „wstrząs”, który wiązała z małżeństwem, jeszcze nie minął. Wiktorja potrzebuje czasu, żeby ochłonąć.

*Część trzecia*

# POSKROMIENIE ZŁOŚNICY

# Rozdział I

## NAROWISTA KLACZKA

„Albert przyłożył bibułę, gdy już podpisałam.” Oto zwięzła notatka Wiktorii, umieszczona w pamiętniku wkrótce po powrocie do pałacu buckinghamskiego po niemożliwie krótkim „miodowym miesiącu” w Windsorze. W zdaniu tym kryje się odcień pełnego zadowolenia. Wszystko układa się według planów. Mąż - połączenie towarzysza łoża i potulnego pomocnika, który podaje bibułę. Ona, nocą oddająca się obowiązkom małżeńskim, a w dzień „prawdziwa królowa”: wyniosła, rozkazująca, krocząca korytarzami władzy ku wielkim salom sławy ze swym oswojonym, niemieckim księżątkiem, posłusznie idącym w ślad za nią, by podawać jej płaszcz, a czasem nawet - jako oznaka specjalnej łaski ze strony Lehzenki - flakon z trzeźwiącymi solami.

Ta wizja jest tylko mirażem i Wiktoria w głębi serca wie o tym. Owszem, ma w sobie ducha niezależności, pragnie być „prawdziwą królową”, odnosić się wyniośle do otoczenia. Ale nie jest Elżbietą. Nie posiada ani intelektu, ani woli, dominującej nad emocjami, nie potrafi samodzielnie sprostać swoim zadaniom. Było to już widoczne, gdyby tylko Wiktoria zechciała sama przed sobą to przyznać - w czasie jej kompletnej zależności od lorda Melbourne. Jej braku taktu, opanowania, czy nawet zwykłej uczciwości dowiodły skandale z Florą Hastings i Spisek Królewskiej Sypialni. A okoliczności zmusiły ją - wbrew jej własnym wątpliwościom i przeczuciom - do po-ślubienia człowieka, przewyższającego ją intelektem, wykształceniem i *żelazną* wolą.

Wiktoria zdaje sobie sprawę, że ktoś w rodzaju Alberta jest jej koniecznie potrzebny i to nie tylko w charakterze towarzysza łoża i nie tylko po to, by osuszał bibułę jej podpis. Zwalcza tę świadomość, maskuje ją. Będzie jednak musiała poddać się systematycznej erozji własnej niezależności - po to, by uzupełnić swoje braki. A więc niech wszystko osłoni słowo „miłość”! Wiktoria rozwodzi się w korespondencji i na kartkach pamiętnika - pisanego jak zwykle tego rodzaju utwory, z myślą o tych, którzy w przyszłości będą go odczytywali - o swojej namiętnej miłości do Alberta. Ale konflikt między pragnieniami jej woli - „chcę być prawdziwą królową”! - a ustępstwami, narzucanymi jej przez zmysły, przybiera formy nieustannych eksplozji, które niczego jej nie zyskują, a przyczyniają się do nadwerężenia słabego zdrowia Alberta.

Na razie książę małżonek nie jest zachwycony rolą, którą mu wyznaczono w pałacu buckinghamskim. To kontynuacja wszystkiego, przeciw czemu protestował w okresie narzeczeństwa. Jego świętę mianowała królowa. Jego prywatny sekretarz, George Anson, został mu narzucony przez królową do spółki z lordem Melbourne, którego pomocnikiem Anson był poprzednio. Albert nie ma żadnego głosu w sprawach dworu. Nawet jeśli chodzi o zaufanie królowej, musi ustępować pierwszeństwa baronowej Lehzen, którą podejrzewa, że podsłuchuje pod drzwiami ich sypialni. A w sprawach państwowych jego rola ogranicza się do podawania bibuły do osuszenia podpisu! Skarży się przyjacielowi, że jest „mężem, ale nie panem domu” i że go podatnik brytyjski kupił za obniżoną cenę 30 000 funtów szterlingów rocznie, jako ogiera dla królowej.

Rodzina królewska nie ukrywa wobec niego pogardy. Na obiedzie wydanym przez królową wdowę Adelajdę, księżna Cambridge ostentacyjnie nie wstaje z miejsca, gdy wznoszą toast za zdrowie Alberta, a jego wczesny odjazd wywołuje dowcipy w rodzaju, że śpieszy mu się do łóżka, do swojej pięknej dziewczyny. Niemiecka sztywność jego manier zraża do niego dworzan. Albert ledwie ukrywa zirygowanie, gdy przedstawiają go kolejno damom dworu, w stosunku do których jest tak nieuważny, że nawet nie potrafi nigdy zapamiętać ich imion.

Ale księżę małżonek jest ulepiony z twardszej gliny, niż to się wydaje początkowo jego oponentom i dworskim szydercom. Król Leopold i baron Stockmar nie na próżno ćwiczyli go, uczyli, trenowali. I nie wiąże mu rąk żadne wulgarne uczucie w rodzaju miłości.

W miesiąc po ślubie wiadomo już, że dowcipy dworu na temat zbyt krótkich nocy poślubnych były bezpodstawne. Wiktoria spodziewa się dziecka. Boi się rozwiązania - „jedyna rzecz, której się naprawdę boję” - zanotowała w dzienniku wkrótce po zaręczynach. Ale nie okazują tego, jest wesoła i pełna energii. Gdyby się poddała trwogom i zmęczeniu, mogłoby to dać „Najdroższemu” sposobność do opanowania spraw pałacowych i państwowych.

Albert widzi doskonale nasuwającą się sposobność. Okazuje czułość i względy. Troskliwością, godną prawdziwego kochanka, stara się osłabić jej opór, na który jego mądrze zaplanowana kampania musi się natknąć w niedalekiej przyszłości. Przede wszystkim przekonuje Wiktorię, że w jej obecnym stanie powinna pojednać się z matką - przynajmniej pozornie. I bardzo sprytnie posługuje się tym pretekstem, by przypuścić dywersyjny atak na najbardziej dla niego nieznośne aspekty życia dworskiego. Nic go bardziej nie nudzi, jak częste wieczorne obiady, wydawane dla pomarszczonych, upudrowanych, obwieszonych klejnotami dam i ich lubieżnych, zanoszących się starczym chichotem małżonków. Banalne, dostosowane do prostej mentalności Wiktorii rozmowy o wierzchowcach i przejażdżkach, każą mu tym bardziej wzdychać do wcześniejszego kończenia tych przyjęć.

Albert wolałby zapraszać do pałacu ludzi nauki i wymieniać z nimi poglądy na temat, którym sam poświęcał niemało studiów. Wie jednak, że na taką zmianę jeszcze za wcześnie.

Choć Wiktoria, by dogodzić Albertowi, stara się rozmawiać o botanice i sadzeniu drzew - nie potrafi jednak sprostać naukowej i literackiej konwersacji. Albert skreśla więc nudne wieczorne przyjęcia pod pretekstem, że królowa musi odpoczywać. Układa ją na sofce, czyta jej lub śpiewa dla niej swym miękkim, melodyjnym barytonem. To chytrze obmyślony wstęp do kampanii ujarzmania królowej, jej osobowości, jej życia, jej najwyższego w kraju urzędu. Albert musi stać się niezastąpionym.

Poskromienie tej królewskiej klaczki, która, zdaniem Alberta, miała w przeszłości o wiele za dużo swobody i własnej woli, nie jest wcale łatwym zadaniem. Wiktoria początkowo opiera się jego interwencjom w sprawy pałacowe i państwowe wszelką możliwą kobiecą bronią: płacze, kaprysi, obraża się i... przymila do męża. Uparcie, systematycznie, chociaż nie zawsze zręcznie, Albert ponawia ataki, podtrzymywany radami szefa sztabu, Stockmara, zawsze stojącego u jego boku. A pozycja Wiktorii nie jest zbyt mocna. Zamach, dokonany na jej życie przez osiemnastoletniego chłopaka, który okazał się niespełna rozumu, przypomniał sferom rządzącym, że należałoby pomyśleć o zastępcy królowej - aż do chwili, gdy jej ewentualny syn osiągnie dojrzałość. Prócz tego widać coraz wyraźniej, że gabinetu lorda Melbourne nie da się popychać w nieskończoność i „landara przestanie turkotać”. A jedyną osobą, która potrafi łączyć osobiste przywiązanie z pomaganiem Wiktorii w sprawach państwowych, co tak umiejętnie robił Melbourne, teraz z pewnością będzie jej



mąż. Wreszcie, za kilka miesięcy”Wiktoria i tak będzie musiała usunąć się na jakiś czas z widowni.

Podstępnie, z ukrycia, rusza teraz do zdradzieckich działań baron Stockmar. Ledwie go zauważają, tak jest skromny i szary - i tak chytry. Rozmawia z jednym, z drugim - iw rozmowie od niechcienia rzuca uwagę, że należałoby właściwie wyznaczyć księcia małżonka regentem. To może się przydać w razie potrzeby, może się nawet okazać konieczne. Najstarszy



Lord Palmerston



Napoleon III i Eugenia na zamku w Windsorze

stryj królowej, księżę Sussex, wpada w gniew, gdy mu o tej sugestii donoszą. Jeżeli ma być regencja, to tylko on powinien otrzymać nominację, a nie ten plebejski intruz z posępnego lasu niemieckiego. Baronowa Lehzen, druga szara eminencja, usiłuje umocnić królową w oporze przeciwko propozycji regencji - propozycji, którą wreszcie wysunie wcale nie sam Albert osobiście, lecz lord Melbourne. Premier nie mógłby strawić mianowania Alberta współwładcą, ale uznaje potrzebę regencji.

Lorda Melbourne nie zachwyca występowanie w roli konia trojańskiego w stosunku do Wiktorii. Najpierw, przed kilku miesiącami, musiał ustąpić ze swego miejsca w sercu młodej dziewczyny, a teraz żądają od niego, by własnymi rękami zerwał ostatnie więzy urzędowych spotkań z Wiktoria. I znowu Melbourne dowiedzie swego altruizmu. O księciu powie:

- To człowiek wielkiej inteligencji i przeczności. Wasza” królewska mość powinna radzić się go jak najczęściej i we wszelkich sprawach.

Melbourne zna dobrze braki wykształcenia Wiktorii i jej naiwność. Królowa próbuje oponować:

- Obawiam się, że gdybyśmy się nie zgadzali w jakiejś kwestii politycznej, mogłoby to mieć niekorzystny oddźwięk w naszym domowym pożyciu.

Wytrawny światowiec, któremu nieobce są kobiece fortele, uśmiechem pokrywa nie wypowiedzianą myśl:

„Obawiasz się, droga królowo, że twój mąż okaże się nie gorszy od ciebie, a może lepszy...”

Wiktorija pojmuje, że opór na nic się nie przyda. Wszystkie okoliczności są przeciwko niej. Inaczej było, gdy chociaż złożona chorobą, przeciwstawiała się jawnemu wrogowi, nikczemnemu Sir Johnowi Conroyowi i zawojowanej przez niego, głupiej i słabej księżnej Kentu. Ale jak może teraz walczyć przeciw sprzymierzonym siłom - lorda Melbourne, „który był jej ojcem”, Alberta,

„najdroższego anioła”, no i Stockmara, chytręgo doradcy, cieszącego się zaufaniem jej męża? Kapituluje.

Z wielką i chyba sztuczną radością sama oznajmia Albertowi o mianowaniu go regentem. W głębi serca ma jeszcze nadzieję, że kapitulacja ta będzie tylko chwilowym zawieszeniem broni, że dzielenie funkcji królewskich - których wykonywanie pozwalało jej zachować pozory wyższości nad mężem - będzie trwało tylko jakiś czas. Rozpaczliwie żałuje tej nieszczęsnej ciąży, która zmusiła ją do kapitulacji. Z tego powodu również, nie tylko z powodu cierpienia i „gwałtu zadawanego uczuciom wstydlivosti”, będzie Wiktoria zawsze uważała rodzenie dzieci za „ciemną stronę małżeństwa”.

Albert przyjmuje jako należne mu prawo regencję, która uprawnia go do zasiadania obok żony podczas ceremonii otwarcia parlamentu. Do pewnego stopnia osłabi to jego kompleks niższości, wywołany niedawnym odsuwaniem go od spraw polityki, jak również ledwie maskowaną wrogością dworu. Dwa kompleksy niższości, na które cierpią oboje małżonkowie - jej: wywołany poczuciem niższości intelektualnej, jego: niższą rangą - tkwią podświadomie u podstaw wielu nieustannych sprzeczek małżeńskich.

Albert zdaje sobie sprawę, że odniósł przy pomocy Stock-mara sukces tylko we wstępnej potyczce. Zaczyna gromadzić wojska do głównego szturmu. Jego własny szef sztabu przestrzega go przed niebezpieczeństwem, które stanowi szef sztabu królowej - baronowa Lehzen.

Małżonek, któremu przyznano prawo zastępowania królowej, nie może dłużej zajmować się osuszaniem bibułą królewskiego podpisu. W pałacu buckinhamskim i w zamku Windsor Albert ma teraz swoje biurko obok biurka królowej. I od pierwszej chwili zaczyna nakłaniać Wiktorię do oderwania się od wigów, a zarazem do nieokazywania zbyt wyraźnych sympatii torysom.

- Nie powinnaś wydawać opinii pod wpływem tej czy innej partii politycznej, tego czy innego z ministrów, lecz dlatego, że taką właśnie opinię uważasz za słuszną.

Może to oznaczać, że monarcha powinien starać się łączyć krańcowe poglądy wszelkich ekstremistów. Może też być tylko zaleceniem ignorowania rad ministrów - zaleceniem, którego można się spodziewać ze strony Niemca, ale które jest jawnym zaprzeczeniem demokratycznych tendencji epoki, dążących do ograniczenia, a nie do rozszerzania uprawnień królewskiego *veto*. Wyjaśnienie zamierzeń Alberta zawiera memorandum, spisane przez jego prywatnego sekretarza, George'a Arasona:

„Księżę nalega, aby jej królewska mość stopniowo dążyła do odzyskania przywilejów, z których z powodu braku doświadczenia zgodziła się zrezygnować”.

Późniejsze dzieje panowania Wiktorii, wspólnie z Albertem, poruszającym wszelkie ukryte sprężyny, dowodzą jasno, że „przywileje”, o których odzyskanie mu chodzi, obejmują również interwencję w politykę zagraniczną i prawo odwoływania ministrów bez zgody premiera, tym mniej parlamentu.

Dnia 21 listopada 1840 roku, o trzy tygodnie przedwcześnie, przychodzi na świat córka Wiktorii, której przeznaczeniem będzie zostać matką cesarza niemieckiego, Wilhelma II. „Najdroższy Albert prawie mnie nie opuszczał i był ogromną pociechą.” Królowa dzielnie znosi cierpienie, ale gdy ginekolog oznajmia z wyraźnym zakłopotaniem:

- Och, Madame! To księżniczka!

Wiktoria odpowiada z wielkim znużeniem, jakby przeczuwała, że jeszcze ośmiokrotnie będzie musiała znieść ten „gwałt, zadawany wszelkim uczuciom”:

- Nic nie szkodzi... następny będzie książę...

Albert opuszcza ją natychmiast, śpiesząc, by po raz pierwszy przewodniczyć zebraniu tajnej rady królewskiej. To jawna oznaka jego triumfu w walce o pozycję i uprawnienia.

Wiktoria nie lubi małych dzieci, nawet swoich własnych. Nie zamierza karmić osobiście malutkiej księżniczki. Przyjeżdża mamka, a matka widuje swoje dziecko tylko dwa razy dziennie. Córeczka ma już sześć tygodni, a Wiktoria tylko dwa razy asystowała przy ceremonii, która zawsze tak cieszy serce prawie wszystkich rodziców - codziennej, kąpeli. Natomiast nadal kocha swoje psy i niebawem oblewa łzami szczerego żalu śmierć ukochanego Dasha, któremu wystawi w parku nagrobek z napisem, ułożonym przez Lehzenkę: „...jego przywiązanie było bez samolubstwa, jego wierność bez fałszu”. Czyżby baronowa, zazdrosna i niespokojna o swoją pozycję, mierzyła rykoszetem w Alberta?

Gdy nadszedł dzień chrzcina, odkładanych aż do lutego 1841 roku, królowa tak dalece zmieniła już swój stosunek do „starego rebelianta”, księcia Wellingtona, że zaprasza go do pełnienia funkcji „dziadka” malutkiej księżniczki, ponieważ ojciec Alberta, książę von Sachsen-Coburg-Gotha czuje się zbyt chory by sprostać trudom podróży. To Albert nalegał, by Wiktoria zaprzestała okazywania swej małostkowej niechęci najwybitniejszemu ze swych poddanych, nie wiedząc chyba o dość swawolnej przeszłości starego marszałka. Bo książę małżonek, planując uroczystości chrzcina i życząc sobie otoczenia swego dziecka „atmosferą czystości moralnej”, wyklucza od zaproszeń wszystkich, których nazwiska dotknął choćby cień skandalu. Wyjątki oczywiście bywają, choćby na przykład matka królowej. Ale ogólnie biorąc, reguła jest stosowana, co wywołuje niecierpliwy wybuch lorda Melbourne:

- Ta przekłeta moralność wszystko popsuje!

Tym razem premier się pomylił. „Przekłeta moralność” zraża rzeczywiście sporo osób z arystokracji, ale będzie odtąd stanowić stałą cechę królewskiej pary, która - pomimo jej hipokryzji - spotka się z uznaniem powszechnej opinii.

Ledwie minęły ceremonie chrzcina, a Wiktoria znowu jest w interesującym stanie. Tym razem irytuje się na serio - chociaż czego innego może oczekiwać młoda kobieta o zmysłowym temperamencie? - ponieważ zdaje sobie sprawę, że jej stan umożliwia Albertowi szturmowanie dalszych bastionów jej niezależności i umacnianie zdobytych pozycji.

Kampanii Alberta walczyło dopomagała okoliczność, na którą on sam nie miał żadnego wpływu. Pięć lat już grzęzną wigo-wie w bagnie zastoju handlowego, prowadzącego do corocznego deficytu w budżecie. Torys, Sir Robert Peel, w jednym ze swych rzadkich przebłysków humoru, wyraził się o ministrze finansów, że „siedzi na pustej skrzyni obok bezdennych braków i łowi budżet w przepaści”. Nędza robotników stale się pogłębia. Ratunkiem byłoby zniesienie ceł na importowane ziarno, które utrzymują wysokie ceny chleba. Ale Melbourne nie może się zdobyć na posunięcie, które dotkliwie obniżyłoby dochody ziemian i osłabiło ich w walce z przemysłowcami o hegemonię. W krytycznym momencie gabinet lorda Melbourne pada w Izbie Gmin przy głosowaniu nad wnioskiem o zmniejszenie podatków od importowanego cukru, produkowanego niewolniczą pracą, wnioskiem, który ma stać się bodźcem do zachęcenia kolonialnych plantatorów. Melbourne pojmuje, że chociaż nadal codziennie widuje się z królową, jego osobisty udział w ustanowieniu Alberta jej doradcą usunął przyczynę, dla której on sam niegdyś kurczowo trwał na stanowisku. Teraz, mniej potrzebny królowej, mniej jest przez nią ceniony. Podaje się do dymisji.

Ustąpienie wigów jest zwrotnym momentem w kampanii Alberta i w jego politycznej karierze.

Automatycznie przechodzi ze stanowiska jednego z doradców królowej na stanowisko jej pierwszego doradcy. Albert jest indywidualnością silniejszą, bardziej bezwzględną niż Wiktorja i odznacza się większą inteligencją. Od niego więc będą w przyszłości zależały jej decyzje, on będzie kształtował jej opinie. Aby zapobiec drugiemu „Spiskowi Królewskiej Sypialni”, Albert ustanawia na przyszłość zasady dla własnej świty, obowiązujące przy każdorazowej zmianie rządu:

„Ochmistrz dworu księcia musi zmieniać się z każdorazową zmianą rządu, sankcjonując w ten sposób istniejący rząd jej królewskiej mości... Pozostali posłowie do Izby Gmin, należący do dworu jego książęcej wysokości, będą musieli złożyć mandaty poselskie, albo też zrezygnować ze swych urzędów dworskich”.

Albert dostrzegł i uznał tę konieczność: monarcha winien stać ponad stronnictwami politycznymi. Niestety, nie znaczy to, aby zmienił swoje poglądy na uprawnienia monarchy do interwencji w sprawy polityki.

Z poparciem lorda Melbourne, a w sekrecie przed Wiktorją, Albert rozpoczyna negocjacje w sprawie zmiany dam dworu królowej. Gdy wszystko uzgodniono i trzeba nareszcie poinformować Wiktorję, by nakłonić ją do zaakceptowania zmian, królowa wpada w furję.

- Nie zrobię tego! - tupie nogą i wybiega z pokoju, by się wyplakać w objęciach wiernej Lehzenki.

W roku 1839 pisała do lorda Melbourne: „Królowa nie podda się takim matactwom”. A teraz jej „najdroższy anioł” we własnej osobie, prowadząc potajemnie, za jej plecami, negocjacje z „tymi przeklętymi łajdakami” torysami i „nikczemnym hipokrytą” Peelem, próbuje podminować jej autorytet. Nie zgodzi się na zmianę dam dworu! Lehzenka pociesza, uspokaja, umacnia w stanowczości, która okaże się bezowocna.

Albertowi cierpliwości nie brak. Perswaduje, schlebia, wreszcie podnosi głos w odpowiedzi na jej histerycznie powtarzaną odmowę. Grozi, że wycofa się z rady królewskiej. Dla Wiktorji jest to moment objawienia prawdy. Pojmuje, że nie da sobie rady bez niego. Jak będzie mogła sama stawić czoła temu okropnemu Peelowi i wszystkim „przeklętym łajdakom”? Po raz pierwszy zdaje sobie sprawę ze swojej zależności od niego, zależności, która jeszcze się pogłębi z odejściem lorda Melbourne. Królowa Anglii musi się poddać. Damy dworu ze stronnictwa wigów dyskretnie się wycofują, a na ich miejsce pojawiają się nowe, mianowane przez Sir Roberta. Zdrowy rozsądek polityczny po raz pierwszy w ciągu panowania Wiktorji zwyciężył w pałacu, a kampania Alberta może się poszczycić zdobyciem jeszcze jednej twierdzy.

Tymczasem Melbourne czyni wszelkie wysiłki, by nakłonić królową do traktowania Sir Roberta Pedla z godnością i spo-kojem, a Sir Roberta do traktowania królowej z dyskrecją i wyrozumiałością.

- Najjaśniejsza pani powinna unikać konfliktów ze swoimi ministrami. Jeżeli wyniknie niezgodność opinii, proszę nie przyśpieszać otwartego zatargu, z którego trudno się będzie wycofać inaczej, jak z utratą autorytetu. Proszę odłożyć decyzję i zażądać czasu dla dokładniejszego rozpatrzenia sprawy. - A zwracając się do Alberta, który ma pewne zastrzeżenia co do tej rady unikania konfliktów, Melbourne dodaje: - Wasza książęca wysokość będzie wówczas miał sposobność poprowadzenia prywatnych negocjacji za pośrednictwem osobistego sekretarza.

A Sir Robertowi Peelowi tłumaczy:

- Proszę nie prawić jej solennych kazań. Jej królewska mość nie lubi zwłaszcza tego, co nazywa „odsświętną twarzą”... Proszę pisać do niej o wszystkim szczegółowo i elementarnie.

Tym określeniem „elementarnie” Melbourne potwierdził jakby opinię o prymitywizmie umysłowości Wiktorii. Ale premier zapomniał na chwilę, że jej nowy osobisty doradca, książę Albert, bynajmniej nie jest „elementarny”.

Ostateczne pożegnanie z premierem gabinetu wigów - „kochanym, najlepszym lordem Melbourne” - odbywa się bez głębokiego wzruszenia, które cechowało ich rozstanie w dzień ślubu Wiktorii.

- Nikt nie lubi odchodzić - mówi lord Melbourne - ale jestem już porządnie zmęczony i przyda mi się odpoczynek.

Tak spokojnie, ze staroświeckim wdziękiem, ten kulturalny, światowy, nie zawsze dyskretny człowiek, u którego emocje, zwyczajnie i po ludzku brały czasem górę nad zdrowym rozsądkiem - żegna się ze swoją „córką - królową” Wiktorią.

A i ona przyjmuje teraz z większą równowagą ducha rozstanie, którego niegdyś tak panicznie się obawiała. Albert, chociaż publicznie zawsze mówi o byłym premierze jako o „zacnym lordzie Melbourne”, przekonał żonę, że wpływ tego wiernego wiga uczynił z niej partyzantkę stronnictwa, co nie przystoi królowej. Uczucie Wiktorii do małżonka dochodzi teraz do takiego stanu, że w oczach jej Albert ma zawsze rację, chyba że krytykuje - co czyni coraz częściej i ze świadomą obraźliwością - jej osobiste zachowanie, brak surowych zasad moralnych, jej opinie, opierane na emocjach, egoizm, kaprysy, wybuchy gniewu i nieopanowanie. Melbourne odchodzi: ten, którego kochała jak ojca, musi pójść w zapomnienie. Nie ma już dla niego miejsca w jej życiu.

Chociaż w głębi serca Wiktoria podporządkowała się dominacji Alberta, na zewnątrz, dla zachowania pozorów i dla podtrzymania ufności we własne siły, nadal udaje, że książę małżonek ledwie o krok odszedł od etapu osuszania bibułą jej podpisu. „Mój najdroższy anioł jest dla mnie istotnie wielką pociechą” - pisze do wuja Leopolda: „Interesuje się wszystkimi sprawami, odczuwa wszystko wraz ze mną i za mnie”. Ale Albert robi znacznie więcej, nie tylko odczuwa wraz z nią i za nią”. Działa za nią, dyktuje jej oficjalne posunięcia.

Książę, małżonek zwraca się teraz przeciw osobie, która, jako rzeczywista ochmistrzyni dworu królewskiego, nieraz już skutecznie pokrzyżowała mu plany. Baronowa Lehzen załatwia prywatną korespondencję królowej, zarządza wewnętrznymi sprawami dworu włącznie z pokojem dziecięcym, trzyma w ręku sakiewkę królowej. Niczego nie można zdziałać w pałacu buckinghamskim ani w zamku Windsor bez jej zgody - do tego Wiktoria nadal serdecznie ją kocha. A Stookmar wciąż szepce Albertowi do ucha, że nawet w sprawach politycznych królowa „ulega wpływowi Lehzenowej więcej, niż sobie zdaje z tego sprawę”.

Albert wyczekuje sposobności.

Jego córeczka, księżniczka Vicky, i jego syn Edward, urodzony 9 listopada 1841 roku, nieoczekiwanie przychodzą mu z pomocą. Malutka księżniczka zapada na zdrowiu z początkiem roku 1842, a lekarze uznają, że jej stan pogarsza zazdrość o małego braciszka. Albert pozwala sobie na słowa nagany i krytyki, co do opieki nad dziećmi, a zwłaszcza nad chorą księżniczką. Wiktorię ponosi porywcze usposobienie - wpada w gniew.

- Chcesz odpędzić mnie od dzieci - krzyczy - a sam je zdręczasz!

Albert panuje nad sobą w obecności lekarza, niańki i baronowej Lehzen. Wychodzi z pokoju blady ze złości, ale spokojny i dalszą kłótnię z żoną prowadzi drogą korespondencyjną, co jeszcze bardziej irytuje Wiktorię. Najpierw bezpośrednio śle do niej listy:

„Doktor Clark błędnie poprowadził leczenie i zatruwa dziecko kaloinem, a ty je głodzisz. Nie

będę się do tego więcej wtrącał: rób z dzieckiem, co chcesz, tylko kiedy umrze, ta śmierć spadnie wyłącznie na twoje sumienie”.

A później, za pośrednictwem barona Stockmara, któremu skarży się, że zgubny i złośliwy wpływ Lehzenowej przyczynia się do niesnasek:

„Baronowa jest głupią, narwaną, wulgarną intrygantką, chorą na obsesję zdobycia władzy, uważa się za jakiegoś półboga, a każdego, kto się jej ślepo nie podporządkuje, za kryminalistę”.

Jest to przesadny, choć nie pozbawiony słuszności opis kobiety, której charakter uległ jeszcze wypaczeniu wskutek ślepej miłości, jaką Wiktoria darzyła Lehzenkę przez wiele lat. Każdy, kogo królowa adoruje i na kim polega - musi mieć się na baczności. Wiktoria posługuje się zaskakującą bronią. Adoracją i pochlebstwami najpierw rozdyma każdego do roli półboga, później wysie zeń wszelkie soki, albo doprowadzi do kompletnego znieczulenia swoimi kapryсами i wybuchami porywczego. temperamentu, a wreszcie odrzuci. Albert również będzie się uważał za półboga - i dopiero w grobie znajdzie odpoczynek od trudów, związanych z tą rolą.

Za pośrednictwem Stockmara Wiktoria przesyła Albertowi odpowiedź, w której wielkodusznie wybacza mu „nierozważne słowa” i prosi, aby nie brał tak poważnie „drobnostek” i żeby, oczywiście, zawsze mówił o tym, co jego zdaniem nie jest w porządku. Albert wcale nie uważa wpływu baronowej Lehzen na żonę za „drobnostkę” i - nadal za pośrednictwem Stock-mara - odpowiada Wiktorii, że nie może mówić do niej o tym, co nie jest w porządku, bo wtedy od razu wybucha wściekłością, zasypuje go wymówkami, zarzuca podejrziwość, brak zaufania, wygórowane ambicje, zawiść itp. itp...

Królowa, wciąż za pośrednictwem Stockmara, pisze:

„Kiedy wpadam w gniew, mówię rzeczy, których nie powinien brać na serio, jak na przykład, że żałuję mego zamąż-pójścia; to tylko dlatego, że jestem w gniewie”. Oznajmienie, że się żałuje zamążpójścia, nie jest zapewne najlepszym sposobem wyrażania swojej miłości. W tym samym liście Wiktoria kapituluje w sprawie, „od której zaczęła się ta cała nieszczęsna historia”, zgadzając się na reorganizację pokoju dziecinnego, czyli zmiany w wychowaniu dzieci.

Teraz Albert, jako dobry taktyk, unika zbyt pośpiesznego nacisku na zasadniczą z tych reorganizacji, które musi przeprowadzić, by narzucić swoją wolę i pokój domowy na własnych warunkach. Wiktoria - po jeszcze jednej scenie z płaczem i wybuchami gniewu - zgadza się wreszcie na jego rewolucyjną propozycję, ażeby nie zabierać baronowej, gdy wyjadą z wizytą do Szkocji. I jakoś Wiktoria radzi sobie bez Lehzeriki. Jej mąż dogadza jej we wszystkim, stara się uprzedzić każde jej życzenie, biega i przynosi potrzebne drobiazgi - słowem, stara się zastąpić niezastąpioną do tej pory przyjaciółkę. Aż pewnego dnia oznajmi żonie, że baronowa Lehzen prosi o zwolnienie ze stanowiska „z powodu złego stanu zdrowia”. Wiktoria wzdycha, ale już się nie buntuje i przyjmuje nieuniknioną klęskę nawet bez wybuchów hysterii.

Baronowa Lehzen godzi się na zwycięstwo Alberta również dosyć spokojnie. Od dawna czuła, że to nastąpi. Pewnego wrześniowego ranka wyjeżdża po cichu, nie narażając swojej przyjaciółki i pani na jeszcze jedną scenę wzruszającego pożegnania - wyjeżdża nie czekając powrotu Wiktorii. Jest to rzeczywistym dowodem jej prawdziwej, chociaż nie zawsze najr mądrzej okazywanej miłości do królewskiej pupilki. Baronowa osiedla się w Buchenbergu, u siostry, i poświęca resztę życia - i zebrane fundusze - na edukację swoich siostrzeńców. Koresponduje z królową, ale ta, która cieszyła się taką adoracją Wiktorii - „moja anielska, najdroższa mateczka, moja Lehzenka... największy skarb, jaki posiadam i kiedykolwiek będę posiadała” - opuściwszy scenę swoich triumfów nad Sir Johnem

Conroyem, swoich walk i rządów, nie pozostawiła po sobie żadnej zmarszczki na gładkim strumieniu życia dworu. Wiktoria wyrzeknie się „mateczki”, jak już wyrzekła się adoptowanego „ojca”. Gdyby Melbourne i baronowa zmarli jeszcze za czasów swej służby u Wiktorii - groby ich byłyby stale dekorowane kwiatami, jak grób pieska Dasha. Ale ponieważ żyją, chociaż przestali być niezbędnymi królowej, ledwie zasługują na łzę żalu.

Albert rządzi teraz już samowładnie. I odśladania przyłbice, nie okazując żadnej słabości. On będzie panem domu, władcą swej żony, decydującym o pracy, o sprawach państwowych, domowych, o wychowaniu dzieci. W tym duchu go przecież wychowywali i do tego przygotowali król Leopold i baron Stock-mar.

Pewnego wieczoru, po jednym z historycznych wybuchów Wiktorii, Albert odchodzi do swoich apartamentów. Niebawem Wiktoria biegnie w ślad za nim korytarzem, z głową dumnie podniesioną do góry. Drzwi pokoju Alberta są zamknięte - stuka.

- Kto tam?

Jej złość jeszcze nie minęła. Zachowuje się „wyniośle”. Alberta, jak niegdyś matkę, trzeba pouczyć „kim jest”!

- Królowa Anglii! - oznajmia.

Za drzwiami cisza. Wiktoria stuka znowu.

\* Kto tam?

\* Królowa Anglii.

Pytania i odpowiedzi przebiegają przez drzwi, które wciąż pozostają zamknięte. Albert nie da się ułagodzić scenką, która jest jakby żywcem wzięta z komedijki dla dzieci. I wiele może zależeć od rozstrzygnięcia tej sprzeczki - sprawdzianu, kim on jest dla niej, a ona dla niego.

Wiktoria nie przestaje walić w drzwi swymi drobnymi piąstkami.

- Kto tam?

Pauza. Od strony korytarza jakieś podejrzone odgłosy, jakby ktoś połykał łyżę.

- Twoja żona, Albercie.

Albert otwiera drzwi i ramiona, uśmiechem i uściskiem witając buntownicę, którą nareszcie zupełnie ujarzmił. Niemieckie książątko przebyło daleką drogę od chwili, gdy przed dwoma laty jako świeżo poślubiony małżonek stał u boku swej żony, potulnie osuszając bibułą królewski podpis.



## Rozdział II

# MIESZCZAŃSCY MONARCHOWIE

Albert podporządkował sobie królową, ale chce jeszcze dać odczuć także sferom rządzącym swoją obecność, swoje walory, swój niepokojący talent interwencji. Aż go ręce swędzą, tak chciałby wetknąć swoje trzy grosze w politykę zagraniczną. Jest Niemcem i pragnie sterować nawał angielskiej polityki w ściśle określonym kierunku. Ale porywczosć nie należy do jego przywar. Umie nad sobą zapanować, umie czekać na sposobność.

Wiktoria przekonuje się, że Sir Robert Peel nie jest taki straszny, jak sobie wyobrażała. Aprobuje - to oczywiście znaczy, że Albert aprobuje - pierwszą mowę, którą Sir Robert napisał dla niej na otwarcie parlamentu. Nowy premier ma szlachetny zamiar wyciągnięcia państwa z zastoju, w którym ugrzęzło. Upadek handlu zagnał dziesiątki tysięcy bezrobotnych do „domów pracy”, a doprowadził do głodowania miliony. „Głodne lata czterdzieste” - to określenie będzie się powtarzało w każdym prawie dziele historycznym o tej epoce. Pierwszy budżet Peela - budżet na rok 1842 - jest bardzo śmiały. Rezygnuje z dochodów komory celnej, nie sprzyjających rozwojowi przemysłu. Znosi cła na eksport gotowych produktów z jednej, a z drugiej na import surowców. Stratę skarbu państwa wynagradza podatek bezpośredni, nałożony na wszystkich, których dochody przekraczają 150 funtów szterlingów rocznie. „Bezdenne braM”, odziedziczone po wigach, będą wkrótce za-łatanane. Budżet osiąga równowagę. Zwiększają się zamówienia od zagranicznych kupców, zachęconych niskimi cenami. Powoli wzrasta zatrudnienie, w ślad za tym podnoszą się płace. Daleiko jeszcze do dobrobytu, ale uczyniono pierwszy krok, by wydobyć się z grzęzawiska zastoju.

Wszystko to niewiele znaczy dla królowej, ale bardzo dużo dla jej licznych poddanych - tych, których młody Benjamin Disraeli określał jako zakutych w łańcuchy. Dla niej większe znaczenie ma fakt, że teraz nie wolno jej już udzielać audiencji ministrom „samej, zupełnie samej”. Obok stoi nieodstępny Albert, zmarszczeniem brwi okazujący niezadowolenie, kiwnięciem głowy - aprobatę. Dyplomatycznie przestyliżowuje jej mniej szczęśliwe wyrażenia. Gdy Wiktoria wyraża opinię, nie mówi już „Ja”; teraz wszędzie i zawsze występuje zwrot: „My sądzimy”; a należałoby raczej powiedzieć: „On sądzi”.

Sir Robert Peel proponuje Albertowi prezesurę Komitetu Artystycznego, odpowiedzialnego za odbudowę gmachów parlamentu. Daje tym wyraz uznania dla artystycznych zainteresowań księcia, których jego żona nie podziela. Królowa traktuje tę pracę małżonka z /pobłażliwością matki, której synka mianowano dyżurnym w klasie, i notuje w dzienniku, że Albert wciąż idzie na jakieś posiedzenie do swojego Komitetu, albo wraca z posiedzeń. Zdaje się zapominać o tym, że mimo to Albert zawsze jeszcze znajduje czas, by myśleć i za nią.

Księżę małżonek i premier początkowo współpracują zgodnie, z obopólnym zrozumieniem. Wiktoria, wierne echo, niebawem określa Sir Roberta (jeszcze nie tak dawno nazywała go „nikczemnym hipokrytą”) jako „człowieka tak bezpiecznego, tak szlachetnie myślącego”. Tych dwu

mężczyzn łączy wiele cech wspólnych. Obu cechuje surowe poczucie moralności, obaj są sumienni i pracowici, inteligentni, zawsze w każdej kwestii dokładnie poinformowani, zimno rozważni, zainteresowani postępem naukowym i technicznym. Obaj zachowują się w towarzystwie ze sztywną niezręcznością i raczej odpychają wyciągniętą przyjaźnią dłoń. Obaj należą do tego typu egoistów, którym nie potrzeba i którzy nie szukają cudzego uznania. Są sami z siebie zadowoleni i to im wystarcza. Inaczej niż Wiktoria, która choć pokazuje światu pogardliwie wyniosłą minę, jednocześnie z irytacją oznajmia, że za krytykowanie monarchy powinno się karać chłostą, i która pławi się w pochwałach i objawach popularności, pod warunkiem, że wiwatujące tłumy pozostają w odpowiedniej odległości.

Czekając na sposobność akcji politycznej, Albert zabiera się do uporządkowania królewskiego dworu. Od pięciu lat nadużywano pieniędzy i czasu królowej. Dworzanie jedzą na jej koszt nawet wtedy, kiedy nie są na służbie. Personel fałszuje podpisy dam dworu, by zamawiać karety do swego użytku. Nadworny lekarz i nie tylko on, polecają dostawców, którzy przekupują ich bezpłatnymi dostawami do ich własnych domów. Niektóre z dam po prostu kradną, a panny respektowe zabierają do swoich apartamentów co cenniejsze meble z całego pałacu.

Obsługa królewskich rezydencji jest fatalna. Nikogo ze służby nie można znaleźć, gdy potrzeba. Goście błądzą rozpaczliwie w labiryncie korytarzy, szukając wyznaczonych im, nie ponumerowanych pokoi. Minister spraw zagranicznych Francji, zablakany i zdesperowany, wpada w końcu do jakiegoś pokoju i zastaje tam ubierającą się - królową! Wiktoria nieustannie musi przeproszać za spóźnione posiłki. Wyjaśnia, że to nie jej wina. Nie potrafi zarządzać wielkim domem, uważa zresztą, że uwłacza to jej godności. Albert nie ma takich skrupułów. Zorientował się szybko, że potrzebne tu są rządy jednego, silnego i sprawnego autorytetu.

\* Dlaczego nie rozpalono jeszcze ognia na kominku? - pyta księżę lokaja pewnego zimowego ranka.

\* Nałożyłem dREW, wasza księżęca mość - odpowiada lokaj.

\* Więc czemu nie zapaliłeś ognia?

\* Otrzymuję rozkazy od lorda ochmistrza, wasza księżęca mość, który jest odpowiedzialny za nakładanie dREW. Ale ogień rozpala kamerlokaj, który należy do personelu lorda szambelana.

Kłęska! A księżę już nabawił się bólu gardła w wilgoci, zimnie i przeciągach pałacu.

Albert odkrywa również, że mycie okien wewnętrznych należy do obowiązków personelu lorda szambelana, a zewnętrznych do rządowego departamentu leśnictwa i gospodarki drewnem! Wszystkie tego rodzaju anomalie Albert usuwa z całą bezwzględnością. Jego nowe przepisy i zarządzenia dla dworu, których przestrzegania dogląda z surowością starszego sierżanta, zaoszczędzają znacznych sum rocznie.

Dwór opiera się tym innowacjom ze wszystkich sił. Dworzanie przezywają księcia „śmieciarzem”, kiedy odbiera lokajom ich uświęcony zwyczajem a dochodowy przywilej zabierania co rano setek ledwie napoczętych, a czasem wcale nie zapalonych świec na własność. Takie nowe rygory muszą mu przysparzać nieprzyjaciół. A ponieważ Albert wykazuje więcej gorliwości niż taktu, zraża do siebie zarówno ludzi uczciwych i pracowitych, jak wałkoni i złodziejasków.

Wiktoria z rezygnacją godzi się na te zmiany. Tym, którzy przychodzą do niej ze skargami, odpowiada, że Albert, jest wspaniały i robi wspaniałą robotę. Ale czasami jeszcze zrywa się do buntu, jeszcze gryzie wędzidło, jeszcze sprzeciwia się jakiejś innowacji, która wprowadzeniem nowych oszczędności zmienia coś, do czego z dawna przywykła. Jak zawodnik, który czując, że

przegrywa, że wzięto go w kleszcze śmiertelnego uścisku, usiłuje jeszcze walczyć, gryźć, drapać, choć wie, że to już na nic się nie zda. Wiktoria zdaje sobie bowiem sprawę, że „wspaniała robota” Alberta jest zarazem krytyką jej własnej nieudolności.

Są jednak innowacje, które istotnie sprawiają jej przyjemność. Na Boże Narodzenie Albert sprowadza z Koberga choinki i cały kraj z entuzjazmem przyjmuje tę modę. Choinki na gwiazdkę pozostały w Anglii na stałe. A przed zamkiem Windsor Albert buduje czterometrowej wysokości bałwana ze śniegu i tak dalece się rozczula, że bierze udział we wspólnej za-



Florencja Nightingale



Fotografia Niechrońca w arnieku w Sztutrze

bawię w ciuciubabkę z damami dworu królowej. A

potem wiezie swoją rodzinę po zaśnieżonych drogach, powożąc osobiście saniami, zaprzężonymi w siwe kucyki, z forysiem w szkarłatnej liberii, siedzącym z tyłu. W takich szczęśliwych godzinach Wiktoria wierzy jeszcze, że wbrew wszystkiemu przeżywa swoją romantyczną bajkę.

Rodzina powiększa się z systematyczną regularnością. W kwietniu 1843 roku przychodzi na świat księżniczka Alicja, w osiemnaście miesięcy później książę Alfred. Albert bardzo szczegółowo planuje, za posłuszną zgodą Wiktorii, przyszłość dla każdego z *czworga mieszkańców dzieciennych* pokoi. Edward będzie królem Anglii; Alfred księciem Kurburga, o ile - co jest mało prawdopodobne - syfilytyk książę Ernest, brat Alberta, nie spłodzi zdrowego syna; Alicja ma być żoną jakiegoś niemieckiego książątka; względem najstarszej córki Albert ma równie ambitne plany: chciałby, żeby poślubiła dziedzica tronu pruskiego i rodziła przyszłych władców Wielkich Niemiec. Mąż Wiktorii ma dla każdego gotowe plany na przyszłość. I większość tych planów realizuje dzięki niezmożonej energii i absolutnej bezwzględności.

Tego rodzaju cechy mogłyby sprawić, że byłby towarzyszem zupełnie nie do zniesienia, gdyby nie jego pewne miłsze odruchy w stosunku do żony. Sana rysuje dla niej projekty podarunków; grupę ośmiu małych piesków na łańcuchach, i z budami; kałamarz z jeleniem (to zwierzę to jego ulubiony łup łowiecki); białe porcelanowe kwiaty pomarańczowe z czterema owocami, mającymi przedstawiać czwórkę ich dzieci. Sentymentalne bibeloty, które spotworniały później aż do okropnej wysypki brzydoty na wnętrzach epoki wiktoriańskiej, zaczynają się pojawiać w coraz większej ilości w komnatach pałacu i zamku.

Rutyna życia domowego królowej i księcia małżonka przybiera, pod jego niemieckim wpływem,

mieszkańskie oblicze: meble solidne, ciężkie, takie posiłki, rygorystyczna punktualność; co wieczór głośne czytanie, gra na pianinie i śpiewanie; starannie przygotowane letnie wyjazdy w góry; częste przyjęcia dla dziadków, wujów, stryjów, stryjenek, wujenek, kuzynów i kuzynek; ojciec panem rodziny, decydującym o jej losach, o jej finansach, o dyscyplinie; matka podporządkowana - dyskryminacja prawie usankcjonowana - dominacji tego doskonałego stworzenia, mężczyzny.

Nic dziwnego, że Wiktoria uległa i przyjęła rolę wyznaczoną jej przez autokratycznego księcia małżonka. W tym podporządkowaniu się jest tylko jedną z milionów kobiet w całym kraju, których mężowie są angielskimi 'kupcami czy urzędnikami. Różni się od nich tym, że z pogardą odnosi się do ruchów feministycznych, które wiele z tych kobiet organizuje, i z którymi olbrzymia ich większość sympatyzuje, otwarcie lub po cichu. Wiktorię oburza pomysł przyznania kobietom prawa głosu. Jej poddanki nie kwestionują prawa królowej do zasiadania na tronie, ale ona nie chce ich uznać godnymi zasiadania w parlamencie.

Razem z Albertem Wiktoria odwiedza Portsmouth i flotę zakotwiczoną w tym porcie. Pogoda nie dopisuje. Królewska para przejeżdża od jednego do następnego okrętu wojennego łodzią z krytym pokładem. Ich świta, razem z siedemdziesięcio-trzyletnim księciem Wellingtonem, płynie w ślad za nimi otwartymi łodziami, przemakając do nitki. Ale monarchowie mało troszczą się o cudze wygody, a w każdym razie mniej, niż ich poddani dbają o wygodę suwerenów, czego dowodzi incydent, przypominający sławną scenę z życia Elżbiety I i Sir Waltera Raleigha: i teraz błoto zalega mokrą kałużą ziemię przed stopniami karocy królewskiej, więc jakiś rycerski młodzieniec pośpiesznie ściąga z siebie palto i rzuca na ziemię, aby Wiktoria mogła przejść suchą stopą. Mógłby to być jeszcze jeden rozdział czarodziejskiej bajki, tylko że rycerski młodzian jest tak nieromantycznie ubrany: ten cylinder i palto, i spodnie w prążki, a na dobytek - w ręku parasol!

W tym samym mniej więcej czasie królewska para wyprawia się w pierwszą podróż koleją parową - z Windsoru do

Londynu. Podróż organizuje bardzo uroczyście wielki koniuszy koronny, a stangret królowej uparł się i jedzie obok motorniczego w lokomotywie. Kiedy szczęśliwie dojechali i wysiedli, przedstawiono motorniczego nieco przybladłemu księciu, który upomina go:

- Nie tak prędko następnym razem, mości konduktorze!

Wiktorię jednak podróż ta „bardzo bawi”, choćby dlatego, że gapie nie mogą zaglądać do okien wagonu, jak zaglądały do karety, gdy stangreci muszą niekiedy ściągnąć lejce. Chociaż potrafi okazać dużo dobroci i uczucia pojedynczym ludziom w nieszczęściu, Wiktoria żywi wręcz odrazę do swych poddanych w masie, chyba że wiwatują podczas ceremonialnego przejazdu, oddzieleni szeregiem gwardzistów. W podróżach koleją będzie przez całe życie przestrzegała zasady Alberta: „Nie tak prędko!” W wiele lat później zdarzy się, że gdy pociąg zatrzyma się na stacji, Wiktoria i pośle swego ulubionego sługę, Szkota Johna Browna, by zwrócił uwagę motorniczemu, że wagon, którym jedzie królowa, aż kołysze się od zbyt szybkiej jazdy. Brown jest lepszym tłumaczem niż dyplomata. Motorniczy usłyszał taką uwagę:

- Królowa powiada, że jej wagon się u/ęsic, jakby nim wszyscy diabli kołysali, i to przez całą tę iprzokłątą drogę!

W roku 1843 Wiktoria i Albert odpływają swoim jachtem, by odwiedzić Ludwika Filipa i Marię Emilię. Jest to pierwsza od piętnastego wieku oficjalna wizyta angielskiego monarchy u króla Francji. Wiktorię zachwyca wesołość, stroje i elegancja francuskiego dworu. Jej głębokie wewnętrzne przekonanie, że księżęta ulepiani są z innej gliny niż zwykli śmiertelnicy, znajduje wyraz

w pamiętniku, w którym notuje, jak cieszy się przebywaniem „w rodzinnym kole osób mojej własnej rangi, z którymi mogę być na stopie równości i poufałości”.

W rok później król Francji rewizytuje swoich gości. Sir Robert Peel wcale nie jest zadowolony, bo Ludwikowi Filipowi towarzyszy jego minister spraw zagranicznych, który prowadzi długie dyskusje polityczne z księciem małżonkiem. Albert traktuje sprawy zagraniczne jako swoją specjalną domenę. Chociaż interesuje się, z nieco patriarchalną pobłażliwością, ulżeniem doli najuboższych warstw ludności, jednak w sprawach wewnętrznych i społecznych Anglii nie czuje się na pewnym gruncie. Natomiast dobrze orientuje się w stosunkach międzynarodowych kontynentu europejskiego. Ale premierowi bynajmniej nie przypada do smaku, gdy to niemieckie książętko wtyka nos w sprawy, które należą do kompetencji jego rządu. Wiktoria pozostawia swemu mężowi i dyskusje z ministrem, i właśnie z premierem. Jej rozmowy z ministrem Guizot ograniczają się do przyjmowania jego komplementów na temat czworga rumianych lokatorów dziecinnych apartamentów pałacu.

Car Mikołaj, zaniepokojony, aby Francuzi nie zyskali zbyt wielkiej sympatii królowej i księcia małżonka, również przybywa z wizytą. Kłopotliwy to gość, człowiek posepny, o rozbieganych oczach, białych rzęsach i złowieszczym uśmiechu, bardziej przerażającym niż zmarszczenie brwi. Wiktoria i Albert, stale w obawie, by jakiś polityczny emigrant nie dokonał zamachu na cara, przyjmują jego odjazd z westchnieniem ulgi.

Alberta pociągają i interesują góry Szkocji. Wybiera się więc z królową do trzynastowiecznego zamku Blair, oddanego do ich dyspozycji przez księcia Atholl. Albert czuje się wspaniale wśród gór i jezior, przypominających mu jego ukochane Rosenau. Wiktoria, którą do tej pory nudził ten kraj prymitywny, surowy, o poszarpanej linii widnokręgu, teraz zaraża się od męża umiłowaniami gór. „Mogę tylko powiedzieć, że sceneria tutaj jest wspaniała, romantyczna i cudowna, a wszystko przenika wielki spokój pustyni, który jest wzniosły.” Jej nawrócenie jest szczerze i trwałe. Umiłowanie Szkocji i jej ludności sprawi, że w przyszłości Wiktoria miesiącami całymi będzie przebywała w górach, ku znudzeniu jej świty a rozpaczy ministrów, którzy po każdy jej podpis muszą podróżować z Londynu do Szkocji.

Następnie królewska para odwiedza posiadłość księcia Wel-

lingtona w Stratfieldsaye, w hrabstwie Hampshire, o jakieś sześćdziesiąt kilometrów do Londynu. Ta wiejska siedziba, bardzo wygodna dla starszego szlachcica, niezbyt nadaje się do podejmowania tak dostojnych gości, przybywających z całym dworem. Ale Wiktoria wyraża życzenie, które równa się rozkazowi:

- Musi pan pozwolić, byśmy pana odwiedzili!

Nie ma rady. Gospodyni starego wojaka wpada w rozpacz na tę wiadomość. Odpowiedź marszałka jest charakterystyczna:

- Przyjazd jej królewskiej mości jest postanowiony. Trzeba znieść mężnie to, czego nie da się uniknąć.

Przeprowadzono wielkim kosztem błyskawiczne roboty - zbudowano apartamenty królewskie, pokoje dla świty, połączone dzwonkami z apartamentami, wielki hall, który pomieściłby kamerdynerów, kamerlokai, lokai, stangretów, forysiów i całe zastępy podrzędniejszej służby. Nie licząc się zupełnie z możliwościami swego poddanego, królewska para narzuciła mu się z kłopotami i kosztami.

Wiktoria opisuje wizytę tonem łaskawej wyższości: „miły salonik... malutkie garderoby... parę

dobrych obrazów”. Słowem, ciasno naszej królewskiej parze, wielka ofiara z ich strony. Ale podbija ich urok staroświeckich a pełnych czaru manier księcia Wellingtona. „Obiad podano o ósmej, a księżę przyszedł po nas i sprowadził nas na dół... księżę sam nakładał nam jedzenie na talerze, bardzo zabawnie, i takie wielkie porcje... księżę co wieczór odprowadzał mnie do sypialni, idąc przede mną ze świecą w ręku.” Albert, który zawsze wysoko cenił starego marszałka, jako wielkiego wodza i doradcę o „zdrowym rozsądku”, spędza czas w jego wiejskiej siedzibie na grze w tenisa w dzień, a grze w bilard wieczorami. Wyjeżdża z Stratfieldsaye z mocnym postanowieniem założenia kortów tenisowych i pokoju bilardowego w Windsorze.

Co ważniejsze, postanawiają oboje z Wiktorią, że muszą mieć dom „własny, zupełnie własny”, by nie polegać tylko na pałacu buckinghamskim i zamku Windsor - które stanowią własność państwa - no i na wizytach w siedzibach arystokracji. Albert chciałby mieć przy sobie tylko najbliższą rodzinę i minimalną ilość służby. W takim domu mógłby się uwolnić od wymogów ścisłej etykiety, która go irytuje, od towarzystwa dworzan, którzy szydzą z jego niemieckiej, ciężkiej i sztywnej powagi, a jednocześnie zazdroszczą mu zdolności. Chciałby urządzić dla dzieci „studio”, gdzie uczyłyby się malować, warsztat, gdzie zabawiałyby się stolarką, chciałby mieć dla nich park i swobodną przestrzeń, gdzie mogłyby się uczyć jeździć konno.

Wiktoria nie sprzeciwia się temu projektowi. Rzadko - zresztą oponuje mężowi w dyskusjach, ograniczając swój udział w nich do roli marionetki, powtarzającej wiernie każdą opinię i myśl Alberta. A częste wybuchy gniewu są z jej strony jedynie reakcją na próby „udoskonalenia” jej charakteru - bo Albert poucza ją, że powinna opanowywać swoją niecierpliwość i kaprysy, pozwalać rozsądkowi rządzić nad porywami emocji. Nie’ bardzo mu się te lekcje udają. W Albercie za wiele jest z pruskiego sierżanta, za ciężko kroczy wojskowymi butami, za mało kocha żonę, by mógł kierować jej porywczymi wybuchami. Jego próby raczej intensyfikują najmniej przyjemne cechy jej charakteru.

Po różnych poszukiwaniach Wiktoria i Albert kupują posiadłość w Osborne, na wyspie Wight, ale zamierzają dokupić i przyległe tereny. Albert projektuje budowę nowego domu, który będzie wzniesiony według jego planów i ścisłych wskazówek. Prowadzą długie debaty na temat jadalni, salonów, sypialni, buduarów, gabinetów, licznych pokoi dla dzieci, pomieszczeń dla służby - które mają być włączone do planów tego, co Wiktoria nazywa „naszym kochanym, małym domkiem”.

W trakcie budowy Albert zabiera Wiktorię z pierwszą wizytą do jego rodzinnego domu, ukochanego Rosenau. Odwiedziny okazały się dość męczące, ale sprawiają Obojgu mnóstwo radości. Wszędzie witają królową i księcia z wielkimi honorami: niezliczone roje niemieckich księżątek - z którymi Wiktoria ma być „na stopie zażyłości i równości” - dzieci w ludowych strojach, nieśmiało podające kwiaty; orkiestry, grające pod oknami. Typowo angielska wyspiarskość Wiktorii przejawia się w jej rozkosznej w swej naiwności uwadze, że „tu wszyscy mówią po niemiecku”, a jej niemiecka krew odzywa się w słowach: „Nie umiem wprost opisać, z jakim uczuciem zwiedzam tę śliczną, małą Germanię. Gość tu jest, co mi przemawia wprost do serca... Gdybym nie była tam, gdzie jestem, tu byłby mój dom”. Staje się jasne, że gdy Albert zechce posłużyć się prestiżem swojej żony, by popierać „tę śliczną, małą Germanię” z jej aspiracjami przekształcenia się w groźne, wielkie Niemcy - nie spotka się ze sprzeciwem.

Zachwyty Wiktorii nad Rosenau rnie zakłócają wieści nadchodzące z jej irlandzkiej kolonii, gdzie panuje klęska głodu. Głównym pożywieniem Irlandczyków są kartofle, a epidemia zarazy zniszczyła plony. Ale statki załadowane żywnością, przeznaczoną dla Anglii, odpływają jak zwykle z

portów irlandzkich, strzeżone przez brytyjskie wojska przed ewentualnym atakiem doprowadzonych do rozpaczki Irlandczyków. Obojętność w obliczu klęski Irlandii być może rodzi nadzieję, że problem irlandzki łatwiej będzie rozwiązać, gdy nadmiar ludności wymrze z głodu.

Mniej więcej w tym samym czasie wydarza się w Anglii incydent, którego nie zanotowali żadni kronikarze i który przez wiele lat nie będzie znany nikomu poza najbliższym kręgiem rodziny Williama i Fanny Nightingale'ów, owej pary, nadającej córkom imiona włoskich miast. Florencia Nightingale, chociaż zakochana z całą młodocianą namiętnością w Ryszardzie Monéktonie Mills, szlachetnym i zamożnym młodzieńcu, rozpoczynającym karierę polityczną - odrzuca po raz drugi jego oświadczenia. Młoda dziewczyna poświęca się temu, co sama nazywa powołaniem do wypełnienia swego obowiązku. Powzięła ostateczną decyzję co do własnej przyszłości, decyzję bez pre-cedensu, która wywołuje istne przerażenie w jej rodzinie. Większość pielęgniarek w ówczesnej Anglii wywodziła się ze sfer, które Wiktoria określała mianem „najgorszych kobiet” i „naj-podlejszych z podłych”. Kobiety te często miały dobre serca, ale żadnych kwalifikacji pielęgniarskich. Florencia Nightingale przekonała się zwiedzając szpitale i przytułki, że życie ludzkie ratuje się nie tyle sympatią, ile wiedzą i fachową umiejętnością, nawet bezwzględnie w razie potrzeby stosowaną. Młoda dziewczyna postanawia nabyć tę wiedzę i fachowe umiejętności i stosować bezwzględne metody zawsze, ilekroć obskurantyzm i biurokracja będą jej przeszkadzać w ratowaniu zdrowia i życia ludzkiego.

Do tej pory nie było jeszcze konfliktu między księciem a rządem jej królewskiej mości. Ale już słyhać dalekie pomruki, zwiastujące nadciągającą burzę. Ministrowie nie mają zastrzeżeń co do wizyt królewskiej pary we Francji, Belgii, w Niemczech czy w siedzibach angielskiej arystokracji. Ale gdy Albert nigdzie nie wyjeżdża - ma zwyczaj wtrącać się do spraw, które nie powinny go obchodzić.

Kiedy ministrowie otrzymują raporty od ambasadorów i innego rodzaju wysłanników, Albert ma już swoje informacje - z osobistej korespondencji z władcami. Punkt widzenia w tych wszystkich relacjach rzadko bywa taki sam. Ministrowie rządu brytyjskiego przekonują się, że księżę małżonek i jego wierne echo, królowa, często kwestionują nie tylko wnioski rządowe, ale i informacje przysyłane z ambasad, na podstawie których decyzje i wnioski rządowe są formowane. Rodzą się podejrzenia - słuszne, jak się okaże - że księżę małżonek kieruje się lojalnością w stosunku do „książęcej kasty w ogóle, a własnej rodziny w szczególności”, a mało dba o zachowanie lojalności w stosunku do rządu jej królewskiej mości, swej małżonki.

W roku 1845 Anglia prowadzi pertraktacje w sprawie nowej umowy handlowej z Portugalią i w łonie rządu brytyjskiego powstaje różnica zdań. Rozdźwięk powstaje na skutek rozbieżności między interesami ekonomicznymi a politycznymi, chodzi o to, czy kierować się własnymi interesami ekonomicznymi, czy raczej nawet poświęcić te interesy w pewnym stopniu, a w zamian osiągnąć ugruntowanie przyjaźni z Portugalią. Sir Robert Peel opowiada się po stronie interesów ekonomicznych; minister spraw zagranicznych, lord Aberdeen, po stronie interesów politycznych. Księżę małżonek, działając na prośbę króla Ferdynanda portugalskiego, którego jest kuzynem, popiera lorda Aberdeena. Najpierw interesy rodzinne, a potem potrzeby ekonomiczne kraju! Albert pisze do kuzyna Ferdynanda, ujawniając szczegóły różnicy zdań w łonie gabinetu brytyjskiego, a na zakończenie dodaje: „Napisałem długi list do Sir Roberta Peela, występując w roli Twojego adwokata, a nawet zaatakowałem i jego, i Izbę Handlu za ich stanowisko”. Niezbyt to fortunate posunięcie ze strony człowieka, który wciąż upomina królową, aby ściśle przestrzegała konstytucji.



Postępek księcia pachnie zdradą. Królowa, ponieważ chodzi o Alberta, na wszystko się zgodzi. Zresztą, jest znowu w ciąży.

Albert nie tylko wetknął swoje trzy grosze, ale na dobre zainstalował się w sprawach dotyczących polityki zagranicznej Anglii. Dojrzewają już problemy, które w przyszłości doprowadzą do poważnego zatargu wewnętrznego. Księżę dał się już bowiem poznać ministrom i sferom rządzącym.

## Rozdział III

# PIERWSZEŃSTWO INTERESOM NIEMIECKIM

W pierwszych latach swego panowania Wiktoria była zwolenniczką stronnictwa wigów, ponieważ darzyła serdeczną przyjaźnią lorda Melbourne, a nienawidziła przywódcy torysów, Sir Roberta Peela, szurającego nogami i postukującego czubkiem buta. Teraz za swych przyjaciół uważa torysów, a za wrogów wigów, ponieważ pod wpływem Alberta zaczęła cenić charakter Sir Roberta. Gdy w roku 1846 rząd musi ustąpić, królowa gniewa się i martwi z powodu konieczności współpracy z nowym premierem, wigiem lordem Johnem Russellem, tak jak niegdyś irytowała ją konieczność współpracy z ministrami torysowskimi pod przewodnictwem Peela. Do takiego pomieszania pojęć doprowadził ją własny brak obiektywizmu i kierowanie się sympatią lub antypatią w stosunku do poszczególnych mężów stanu. Tym razem jej niechęć okaże się uzasadniona, bo istotnie niejedyn minister ze stronnictwa wigów przysporzy wiele kłopotów zarówno królowej, jak i księciu małżonkowi, a raczej - jak oni sami by powiedzieli - niejednemu z ministrów ze stronnictwa wigów królowa i jej małżonek przysporzą wielu kłopotów. Najwybitniejszym z polityków jest nowy minister spraw zagranicznych, lord Palmerston.

Dziwnym paradoksem rozdzwięk wewnątrz stronnictwa torysów i upadek gabinetu Peela został spowodowany uchwaleniem wniosku, którego domagał się cały kraj. Dwaj świetni działacze i błyskotliwi mówcy, wigowie ze średnich klas -

John Bright i Richard Cobden, przeprowadzili skuteczną propagandę na rzecz zniesienia Ustaw Zbożowych. Dowodzą oni, że podnosząc ceny żywności, zmniejszając siłę nabywczą i zniechęcając do eksportowania manufaktury w zamian za importowane zboże, Ustawy Zbożowe wywołują nędzę i hamują rozwój przemysłu.

Klasy średnie, związane z kupiectwem i fabrykantami, żądają zniesienia Ustaw Zbożowych. Miejska klasa robotnicza, nie rozumiejąc jeszcze, że tańszy chleb posłuży pracodawcom za wymówkę do obniżenia płac, popiera pracodawców. Ziemianstwo przeciwstawia się zarządzeniu, które zmusiłoby je do sprzedawania zboża po niższej cenie, ale - doprowadziwszy własną chciwością do ruiny drobnego rolnika i chłopca - nic ma żadnego poparcia.

Peel, przywódca stronnictwa, którego przedstawiciele w parlamencie są przeważnie protekcjonistami - czyli zwolennikami utrzymania istniejących Ustaw Zbożowych - sam w roku 1845, przekonany argumentami i takimi faktami ekonomicznymi, jak klęska nieurodzaju kartofli w Irlandii, a zbóż w Anglii, podejmuje decyzję” że Ustawy Zbożowe należy znieść. W styczniu roku 1846 ogłasza swój program ekonomiczny, obejmujący również zniesienie Ustaw. Opozycja przyjmuje jego decyzje entuzjastycznie, natomiast widlu posłów z jego własnego, torysowskiego stronnictwa, opuszcza go. Peel zdobędzie dość głosów z obu krańców Izby, by jego wniosek przeszedł, ale w stronnictwie następuje podział. Niezadowoleni w szeregach jego własnej partii, czekają na sposobność zemsty. W czerwcu poddany zostaje pod głosowanie wniosek, któremu sprzeciwiają się wszyscy wigowie.

Wówczas dysydenci wśród torysów przyłączają się do nich i Robert Peel ponosi klęskę w Izbie Gmin tego samego dnia, kiedy Izba Lordów uchwała ostatecznie zniesienie Ustaw Zbożowych.

Dysydenci wśród torysów protestują nie tylko przeciw swemu premierowi. W dzień wielkiej mowy Peela na rzecz zniesienia Ustaw Zbożowych książę Albert - z mniejszą może niż zazwyczaj rozważą - zasiadł również w Izbie Gmin, wcale nie ukrywając, że jest stronnikiem premiera i aprobuje jego mowę. Protekcjoniści wznoszą wielką wrzawę protestów, oskarżając księcia o stronniczość. Nigdy więcej Albert nie będzie mógł przysłuchiwać się żadnej ważniejszej debacie w Izbie Gmin. Królowa wpada w pasję z powodu takiego potraktowania jej „najdroższego anioła” przez „jegomościów, którzy nic nie robią, tylko przez cały dzień polują, a całą noc piją portwajni i nigdy nie studiowali ani nie czytali niczego o tych problemach”. W podnieceniu Wiktoria pisze nonsensy. Przywódcą protekcjonistów jest Benjamin Disraeli, który z pewnością „studiował i czytał” o tych problemach nie mniej od Alberta, a dużo więcej od Wiktorii.

Wolność handlu czy protekcjonizm, lepsze czy gorsze warunki życia jej poddanych - mało obchodzi Wiktorię. Cała bitwa o Ustawy Zbożowe, która tyle obudziła gorących dyskusji i kontrowersji, jak kraj długi i szeroki, poruszyła Wiktorię tylko o tyle, że w jej rezultacie utraciła Sir Roberta, a „polujący i pijący jegomości z Izby Gmin” zmusili jej Alberta do niechlubnego odwrotu.

„Izba Gmin staje się kłopotliwa i trudna do kierowania” - pisze królowa do wuja Leopolda.

Ale w tradycji parlamentu nie leży poddawanie się woli monarchy - jak się już przekonał Karol I, a nawet tak popularna i lubiana królowa, jak Elżbieta I.

Na miesiąc przed upadkiem gabinetu Peela urodziło się piąte dziecko królowej - księżniczka Helena. Trudno się dziwić, że tak płodna marka rzeczywiście niewiele już znajduje czasu i energii na spełnianie funkcji monarchy i że pozostawia mężowi wszystkie ważne decyzje. Notuje nawet w swym pamiętniku, że „polityka musi ustąpić miejsca” życiu rodzinnemu. Życie rodzinne w pałacu toczy się teraz wieczorami przy jaśniejszym oświetleniu: na propozycję Alberta, entuzjasty postępu technicznego, zaprowadzono oświetlenie gazowe w miejsce tysięcy świec. Życie rodzinne w Osborne otrzymuje również nowe ramy; według książęcej wersji jest to jakby włoska willa: jedno skrzydło domu pod arkadami, loggia, ogrody zstępujące tarasami, i dwie kampanile, jedna flagowa, druga z zegarem. W pokoju, zwanym „Rogowym”, wszystkie meble zrobione są z jelenich rogów, a jedyną dekorację stanowią jelenie głowy z porożami. W sali audiencyjnej wisi olbrzymi żyrandol, wykonany ze szkła, przedstawiający liście i kwiaty powoju. Przywieziono go z Niemiec. Gabinet Alberta ma surowy charakter: biurko z półokrągłym wgłębieniem na kolana, przed nim stołek bez oparcia, stojak na parasol i kilka niskich stolików na których poustawiano wyrzeźbione w marmurze ręce i stopy wszystkich jego dzieci. W tej ilości wywierają trochę niesamowite wrażenie.

Królewska para wychodzi tego lata często na płaski *a la Italie*, dach swego domu, by podziwiać podwójny szereg cedrów i ostrokrzewu i przypatrywać się statkom; nawijającym do portu Southampton i Portsmouth. Według rysunku księcia wykonano na plaży półkolistą altanę z mozaikową posadzką i kopulastym dachem w kolorach błękitnym, złotym i różowym. A Wiktoria posiada „maszynę kąpielową” - wspaniałe urządzenie, rodzaj altany na kółkach, którą podwożono tuż nad wodę i w której Wiktoria przebierała się w kostium kąpielowy przypominający rozmiarami namiot, suto ozdobiony falbanarni. Wiktoria chlupie się i brodzi w morzu z zachwytem i „bardzo ją to bawi”, dopóki nie spróbuje zanurzyć głowy pod wodę - „myślałam, że się uduszę”. Życie w Osborne płynie rozkosznie, ale ma dwie wady: ministrowie mogą tu przyjeżdżać prawie tak często, jak do pałacu buckinghamskiego; po drugie, klimat jest wilgotny i osłabiający. Niebawem Sir James Clark, nadal

lekarz nadworny, znajdzie dla królewskiej rodziny nowy raj, o setki kilometrów od Londynu, położony na suchym, żwirowatym podłożu, wśród ukochanych przez Wiktorię szkockich gór.

Premierem nowego rządu stronnictwa wigów zostaje lord John Russell, mężczyzna tak drobnej budowy, że jako żona-tęgo z wdową, przezywają go powszechnie „wdowim Grosikiem”. To człowiek mądry, ale brak mu charakteru i konsekwencji; jest na przemian zbyt pobłażliwy i zbyt surowy, łatwo też zmienia zdanie, często ulegając ‘sprzecznym naciskom współkolegów i tronu. Zupełnie nie potrafi kontrolować poczynań „człowieka czynu” w swoim gabinecie, ministra spraw zagranicznych, lorda Palmerstona, bardzo przedsiębiorczego, a przy tym równie olbrzymiego i silnego fizycznie, jak Russell jest drobny i słaby. Ale lorda Palmerstona nikt nie potrafi ujarzmić na długo, nawet księżę Albert.

Królewska para nie aprobuje nowego ministra spraw zagranicznych przede wszystkim ze względów moralnych. Palmerston ożenił się z owdowiałą młodszą siostrą lorda Melbourne, lady Gowper, kobietą o nieprzeciętnej inteligencji i gościnną panią domu, która poprzednio długie lata była jego kochanką. A Wiktorja nigdy nie pochwałała wdów, które po raz drugi wychodzą za mąż, tak jak Albeit nie pochwała „roz-więzłych obyczajów”. A do tego Palmerston niegdyś, jeszcze przed swoim ożenkiem, przebywając w zamku Windsor, wszedł pewnego wieczoru do nie zamkniętego pokoju jednej z dam dworu i zaczął ją napastować. Do „najgorszego” nie doszło tylko dzięki interwencji pokojówki, która przybiegła wezwana wołaniem swej pani.

Ale są i inne przyczyny. Palmerston gorszy angielską parę królewską skłonnością do krytykowania innych europejskich monarchów, zwłaszcza Habsburgów i Romanowów, których nie waha się - na własną rękę, ale w imieniu rządu angielskiego - oskarżać o despotyzm i tyranję. Jeszcze w gabinecie lorda Melbourne, utworzonym w roku 1830, Palmerston wnosił protesty do cara, ujmując się za Polską, jako reprezentant jednego z państw sygnatariuszy traktatu wiedeńskiego, którego postanowień Rosja nie dotrzymała. Wypominał Rosji między innymi:

„Zniesienie narodowych barw polskich, wprowadzenie języka rosyjskiego do aktów urzędowych, zagarnięcie bibliotek narodowych i fundowanych; likwidację szkół i innych instytucji oświatowych, wywożenie w głąb Rosji polskich dzieci pod pretekstem uczenia ich na koszt państwa, transportację całych rodzin w głąb Rosji, rozmiary i surowość branki do wojska, mianowanie Rosjan na wszystkie ważniejsze urzędy polityczne w Polsce... Wydaje się, że są to wszystko objawy świadomego zamiaru wyniszczenia polskiej świadomości narodowej i stopniowego przekształcenia Polaki w jedną z prowincji rosyjskich”.

Co prawda, car słusznie mógł zauważyć, że protest ten grzeszy brakiem konsekwencji, pochodząc od ministra mocarstwa, które dosłownie dziesiątkowało ludność Irlandii represjami. Ale Palmerston nie miewał skrupułów co do konsekwencji i logiki.

Jako polityk, Palmerston działa instynktownie; nic krępuje się zasadami, rzadko kiedy wstrzyma się, by rozważyć do głębi jakiś problem, decyduje błyskawicznie, ignoruje wszelkie próby kontrolowania swoich poczynań. Według niego zadaniem ministra spraw zagranicznych jest prowadzenie polityki zagranicznej, podejmowanie decyzji i kontaktowanie się z obcymi państwami bez czyjejkolwiek interwencji. Cieszy się w Anglii wielką popularnością z powodu bezceremonialnego traktowania obcych potentatów i z powodu gotowości zaryzykowania nawet wojny z każdym mocarstwem, by osiągnąć zadośćuczynienie za krzywdę lub obrazę, wyrządzoną brytyjskiemu obywatelowi. Jak niegdyś mawiali starożytni Rzymianie: „*Civis Romanus sum*” tak Palmerston powtarza z równą dumą: „Jestem obywatelem brytyjskim”.

Taki jest człowiek, przeciw któremu książę Albert - bardzo czuły na przejawy lekceważenia godności suwerena - będzie musiał walczyć przez resztę swego życia. Trudno sobie wyobrazić dwóch ludzi tak pod każdym względem krańcowo różnych. Konflikt jest nieunikniony.

Newralgicznym punktem niezgody między Albertem a Palmerstonem są ich przeciwstawne poglądy na sprawę ruchów rewolucyjnych, które w owym roku 1846 już dają o sobie znać, jak grzmoty przed burzą, by za dwa lata wybuchnąć powszechnymi, gwałtownymi zamieszkami w całej Europie. W oczach Palmerstona ludzie, śmiało wyzywający do walki despotyzm i tyranie, są bohaterami; dla Alberta są to kryminaliści i rebelianci, nie uznający prawowitych autorytetów, a ich żądania i cierpienia w ogóle go nie obchodzą. „Prawowity autorytet” jest w wielu wypadkach reprezentowany przez monarchów, spokrewnionych z nim samym albo z jego żoną. Palmerston w ogóle nie dba o tradycyjne uprawnienia małych, niezależnych księstw; Albert, który sam pochodzi z takiego księstwa, troszczy się bardzo o ich losy.

Przedmiotem głównego zainteresowania księcia jest nie przyszłość państwa, którego królową jest jego żona, lecz przyszłość rodzinnych Niemiec. Jego światopogląd nie kształtował się pod wpływem brytyjskich poglądów, lecz niemieckich. Obawia się zarówno „czerwonego republikanizmu” Francji, jak reakcyjnego despotyzmu carów. Projektuje zjednoczenie państw niemieckich i sprzymierzenie ich z Anglią jako barierę przeciw Francji.

Momentem, od którego Albert Wkracza do brytyjskiej polityki zagranicznej, jest sprawa aneksji Krakowa przez Austrię w roku 1846. Wprawdzie Rosja i Prusy wyraziły zgodę, ale innych sygnatariuszy traktatu wiedeńskiego wcale o zgodę nie zapytano. Książę potępia aneksję, nie z powodu sympatii dla Krakowa i Polaków, ale dlatego że, jak pisze do króla pruskiego: „cała struktura europejskiej równowagi sił została zagrożona”, a obowiązujący traktat pogwałcony.

Palmerston, który ma umysł praktyczny, nie dba o to, że reakcyjne mocarstwo złamało traktat. To posłuży mu jedynie jako argument w obronie liberalnych ruchów rewolucyjnych, które mogą w przyszłości obalić istniejące przywileje. Szkoda Krakowa, ale trudno. Protesty Anglii i tak nic nie pomogą. Palmerston uważa, że poufny list z wyrazami niezadowolenia do Metternicha zupełnie wystarczy. Lord Russell zwleka. Naradza się z księciem, który wpada w święte oburzenie, prawi kazania na temat braku zasad i amoralności Palmerstona oraz o lekceważeniu przez niego obowiązującej równowagi sił. Nalega na oficjalny protest - premier ustępuje. Albert wygrał pierwszą rundę z Palmerstonem, ale minister wyniósł z tej lekcji naukę, która przyda mu się bardzo w niedalekiej przyszłości: najpierw działać, a później stawiać królową, księcia małżonka i premiera wobec faktu dokonanego.

Wprawdzie w sprawach polityki wewnętrznej Albert nie czuje się tak pewny siebie, jak w polityce zagranicznej, jednakże interesuje się problemami społecznymi, szpitalami i warunkami mieszkaniowymi, dokami i kolejami, organizacjami samopomocy i samokształcenia. Król Leopold przysłał mu niemieckie wydanie „Położenia klasy robotniczej w Anglii” Fryderyka Engelsa. Czyta też powieść Beniamina Disraeliego pt. „Sybil”, w której autor przedstawia pod postacią splendorów zamku Mowbray i nędzy sąsiedniego miasta Mowbray „dwa narody” Anglii - „Bogaczy” i „Nędzarzy”. Prasa radykalna podkreśla intencje tej powieści, przypomina o kontraście między nędzą wielkich miast a zbytkiem pałacu budkinghamskiego. Albert zwiedza fabryki w wielu okolicach kraju, co zyskuje mu znaczną popularność wśród sfer przemysłowych i kupieckich.

Książę małżonek próbuje zainteresować Wiktorie sprawami społecznymi. Ale królowa, która uważa czartystów za „kryminalistów z rynsztoków londyńskich”, w której życiu „polityka zajmuje

tylko drugie miejsce”, posłuży się wymówką, że nie ma czasu. Czasem istotnie trudno królowej tak postąpić, by zyskać uznanie. Kiedy pałac buckinhamski przekaże pewną sumę na Fundusz Pomocy Irlandczykom i jako symboliczny gest wprowadzi ograniczenie w spożyciu chleba, książę Wellington określi dotację jako „łatwy sposób zdobycia chwilowej popularności”, a ograniczenie chleba nazwie ofiarą narzuconą służbie pałacowej, która zwykle zjadała dużo chleba, podczas gdy za książęcym i ‘królewskim stołem’ bardzo mało się go jada.

Początkowo Wiktoria nazwie cierpienia i głód irlandzkich chłopów „zbyt strasznymi, by o nich myśleć”. Ale gdy angielscy właściciele ziemscy w Irlandii zdefraudują pieniądze z Funduszu Pomocy, a głodujący nędzarze sami wymierzą im sprawiedliwość, pałac, rabując i linczując, Wiktoria powie o nich, że są „okropnymi ludźmi”.

Wiktoria nie odczuwa również sympatii dla dzieci, których tanią siłą roboczą wyzyskują fabrykanci. Kiedy rząd stronnictwa wigów będzie próbował ograniczyć dzień pracy robotników w fabrykach i warsztatach tkackich - gdzie pracowało dużo dzieci - do dziesięciu godzin dziennie, para królewska wyrazi niezadowolenie. Takie zarządzenie, powtarzają za przemysłowcami, pozbawi przemysł siedmiu tygodni rocznie pracy każdego dziecka i osłabi pozycję Anglii na rynkach zagranicznych, choć Engels obalił już te argumenty, które „nie dowodzą niczego poza tym, że przemysłowa potęga Anglii może być utrzymana tylko przez barbarzyńskie traktowanie robotników, tylko przez niszczenie zdrowia, przez społeczne, fizyczne i duchowe uwstecznienie całych pokoleń”.

Powstanie na Sycylii w styczniu 1848 roku zwiastuje ogromny, rewolucyjny ruch, który wstrząśnie całą Europą. Albert od razu przestaje się troszczyć - w właściwy mu patriarchalny sposób - o niedolę ubogich klas angielskich. W grę wchodzi teraz jego rojalistyczne uczucia. Trony się chwieją! Trony jego krewniaków! Może i tron Wiktorii zdrzży w posadach?

Dnia 3 marca Wiktoria - która w najbliższych dniach spodziewa się kolejnego, szóstego rozwiązania - otrzymuje list, podpisany skromnie „*Louis Philippe*”, nie zaadresowany, jak zwykle: „*Ma Soeur*” (wszyscy monarchowie uważali się za braci i siostry, pomazańców z łaski Boga), ale „*Madame*” - wysłany z Newhaven, małego portu rybackiego na południowym wybrzeżu Anglii. Król Francji, obalony rewolucją w Paryżu, przeprawił się przez kanał La Manche w przebraniu „pana Smitha” - bez peruki, broda zgolona, w okularach i czapce z daszkiem. Albert zajmuje się dostarczeniem ubrań i wszystkiego, co potrzebne francuskim uciekinierom, a Wiktoria przy-pomina aby zorganizować kwarantannę dla tych, którzy zachorowali: „Nigdy nie wiadomo, czy nie przywłoką jakiejś epidemii!” W tym samym roku Włosi i Węgrzy powstają przeciw despotyzmowi Habsburgów. Wiktoria pisze z trwogą: „Wydaje się, jakby cała twarz Europy się zmieniała!”

I Albert także się boi - o Niemcy, gdzie ferment rewolucyjny zagraża Hanowerowi, Bawarii, wielu pomniejszszym księstwom, a nawet Prusom. Albert widzi ratunek jedynie w zjednoczeniu Niemiec. Palmerston, którego doktryna - nielogiczna, ale realizowana z uporem - brzmi: „liberalizm na eksport dla obcych, konserwatyzm w kraju” - jest zachwycony każdymi nowymi rozruchami. Ale na każdym kroku przeciwstawia mu się systematyczna i dobrze poinformowana opozycja, którą stanowi para królewska. Rozpaczliwe listy od koronowanych głów, wielkich i pomniejszych, napływają niemal codziennie do pałacu buckinhamskiego. Palmerston orientuje się, że jego głównym przeciwnikiem jest Albert, a Wiktoria tylko kładzie swój podpis na depesze, memoranda, listy, przygotowane przez jej pracowniczego małżonka.

Jeszcze baron Stockmar uczył Alberta, że przyszłość Niemiec leży w zjednoczeniu pod pruską hegemonią. A Palmerston ma zakorzenioną głęboką nieufność do państwa pruskiego. Spełnienie

niemieckich aspiracji narodowych jest największym pragnieniem Alberta. Palmerston odpłaca mu jego własną monetą: argumentuje, że zjednoczenie księstw niemieckich pod władzą Prus z pewnością nadweręży „równowagę sił”.

Różnice zdań między księciem Albertem a ministrem spraw zagranicznych wybuchają otwartym konfliktem w związku z aferą księstw Szlezwiku i Holsztynu. Dania wykorzystała okazję zamieszek rewolucyjnych, by upomnieć się o te księstwa. Niemiecka konfederacja protestuje, a pruskie i federalne wojska Wkraczają nie tylko do Szlezwiku i Holsztynu, ale i na tereny Danii. Niepodległość terytorium duńskiego była pod opieką gwarancji brytyjskich od roku 1720. Palmerston uznaje, że w tym wypadku należy realizować postanowienia gwarancji, choćby dlatego, że lepiej zachować drogę morską z Morza Północnego na Bałtyk w ręku państwa słabszego, a przyjaznego Anglii, jak Dania, niż dopuścić, by przeszła w ręce potencjalnie wrogiego mocarstwa.

Księżę Albert jest urażony sugestią, że Niemcy mogłyby być potencjalnie wrogim mocarstwem. Najstarsza z jego córek ma poślubić dziedzica tronu pruskiego. Więzy krwi, łączące angielski dom panujący z pruskim, zapewnią przymierze polityczne itd. itd. Zresztą Albert w gruncie rzeczy zgadza się naj-zupełnie z Fryderykiem pruskim, że kwestia dwóch spornych księstw stwarza doskonałą sposobność zdławienia ruchów rewolucyjnych w Niemczech, a posunięcia naprzód sprawy zjednoczenia Niemiec przez wyzyskanie nacjonalistycznych aspiracji niemieckich. Ma więc za złe angielskiemu parlamentowi ataki na sprawę niemiecką (przemawiał oczywiście Benjamin Disraeli), jak również angielskiej prasie, zwłaszcza „*Timesowi*”, którego głos ma niebagatelne znaczenie. Lord John Russell odpowie nawet dość ostro na te próby pałacowej cenzury. Królowa staje oczywiście po stronie Alberta, argumentując „elementarnie”, jakby powiedział Melbourne, że skoro księżę małżonek sam pochodzi z kontynentu, musi o sprawach kontynentu wiedzieć więcej od Palmerstona.

Minister spraw zagranicznych doprowadza do wściekłości królową i księcia małżonka, ponieważ wprowadza w życie lekcję, jakiej wyuczył się przy sposobności aneksji Krakowa. Albo wcale nie przedstawia depesz, które ma wysłać, albo przedstawia je królewskiej parze tak późno, że już nie można uwzględnić żadnych sugestii, albo wreszcie najzwyczajniej ignoruje propozycje poprawek i wysyła takie teksty, jakie sam pierwotnie sformułował. Z wyrazem zdziwionej niewinności przyjmuje wymówki królewskiej pary. Och, doprawdy! Jak to się mogło zdarzyć? Jego urzędnicy musieli czegoś nie dopilnować. Więcej nic podobnego się nie zdarzy. Oczywiście, zdarza się znowu - i znowu. Życzenia Alberta są celowo i świadomie wykpiwane. Wiktorii to „nie bawi”. Czy lord Palmerston zapomina, że ona jest królową Anglii? Premier przekazuje gniewne oskarżenia królowej, ale Palmerston odpowiada z niewinną miną, że co roku przez ministerstwo spraw zagranicznych przechodzi około dwieście osiem tysięcy depesz i że nie można całej korespondencji wstrzymywać przedkładaniem jej do królewskiej krytyki.

Taktyczne zwlekanie Palmerstona w sprawie Szlezwiku-Holsztynu pozwala na uniknięcie wybuchu wojny. Palmerston zdołał w międzyczasie nastawić odpowiednio mocarstwa europejskie, nawet włącznie z Austrią, przeciwko pruskiej agresji. Król Fryderyk uznał, że lepiej jeszcze nieco dłużej kultywować niemiecki nacjonalizm, zanim się go wystawi na próbę. Każe wycofać wojska nie tylko z terytorium Danii, ale również z księstw Szlezwiku i Holsztynu.

Tak więc w drugiej rundzie zawodów między pałacem a ministerstwem spraw zagranicznych zwycięstwo przypada Palmerstonowi. Ale do ujarznienia księcia małżonka jeszcze daleko. Każdy z zawodników wygrał po jednej rundzie. Upadek torysów w roku 1846 postawił naprzeciw siebie na ringu dwóch zapamiętałych zawodników ubiegających się o nagrodę prowadzenia polityki

zagranicznej. Palmerston rzuca się, rozdając ciosy trochę na oślep. Książę Albert wyczekuje, broni się i atakuje z zimną krwią. Walka trwa.



## Rozdział IV

# POMAZANIEC BOŻY W WERSJI KSIĘCIA MAŁŻONKA

W okresie zmagania księcia małżonka z ministrem o brytyjski punkt widzenia na sprawę ruchów rewolucyjnych na kontynencie, w Anglii również rozpoczęły się zamieszki.

Dnia 3 kwietnia, gdy królewska para siedziała jeszcze przy śniadaniu w sali jadalnej pałacu buckinghamskiego, przyniesiono wiadomość od lorda Russella. Na polach Kenningtonu ma się odbyć olbrzymi wiec czartystów, a potem wielki masowy pochód uda się do gmachów parlamentu, by wręczyć nową, kolejną petycję, ponoć zaopatrzoną w pięć milionów podpisów ludzi, żądających realizacji postulatów „Karty Ludu”. Księżę Wellington przybył na konsultacje w sprawie przedsięwzięcia środków zapobiegawczych na wypadek wybuchu rewolucji.

Albert podaje bez słowa list Wiktorii i wstaje od stołu. Wychodzi do ogrodów pałacowych, spaceruje niespokojnie. Czartyści... petycje... powszechne żądania... rewolucja. Albert zatrzymuje się na moment, blednie. Sycylia... Francja... Hanower... Bawaria... tyle koron już spadło, tyle trzyma się bardzo niepewnie! Czartyzm! Co to jest czartyzm? Zainteresowanie Alberta problemami społecznymi nie zaprowadziło go tak daleko, iżby miał rozumieć przyczyny ruchów, zmierzających ku szerzej pojętej demokracji. Czartyzm opowiada się przeciwko istniejącemu autorytetowi. To wszystko, co księżę chce wiedzieć. Bo autorytet, to w ostatecznym rozrachunku, autorytet królewski, autorytet Wiktorii i Alberta. Drugą petycję czartyści przedstawili w roku 1842, ale nie wywarła ona większego wrażenia. Albert nawet nie zwrócił na nią uwagi. Zresztą, zajęty był wówczas reorganizacją dworu. Oczywiście, należy zadbać o ubogich i bezrobotnych - domy pracy, zatrudnienie zorganizowane przez lokalne samorządy i rząd krajowy - w dobrze rozumianym interesie własnym. Nic tak nie pobudza do rozruchów, jak głód, a podczas rozruchów okna królewskich pałaców bywają rozbijane, monarchowie wywlekani do więzień - a bywa jeszcze gorzej. Trzeba zapobiec rozruchom. I oczywiście, Sir John ma rację - wojsko, księżę Wellington. Ale ci agitatorzy, którzy włóczą się po kraju, podżegając do buntu, namawiając prostych ludzi, by upominali się o swoje prawa: to przewraca cały porządek społeczny, piramidę, na której szczycie stoi tron. Agitatorzy... podżeganie do rewolucji... agitatorów trzeba bezwzględnie ścigać, karać, więzić.

W ogrodach pałacowych Albert podejmuje decyzję, którą później sformułuje i uzasadni w „rekomendacji”, napisanej dla premiera:

„Praca dla potrzebujących i bezrobotnych, utrzymywanie porządku przy pomocy policji i wojska, surowe ściganie agitatorów”.

Uspokojony powzięciem takiej decyzji, wraca księżę do pałacu, gdzie Wiktorii płacze w ataku zdenerwowania, bliska hysterii.

- Go się stanie z nami, z dziećmi, z naszym dwutygodniowym małżeństwem?

Koronowane głowy, z których pospadały korony, znajdowały przytulne schronienie w zaciszu Anglii. Ale gdzie zdetronizowany monarcha angielski miał szukać schronienia? W Australii - wśród

skazańców, deportowanych tam przez sądy królowej? W Kanadzie - wciąż dopominającej się o usamodzielnienie, a w dodatku rozrywanej waśniami między osadnikami angielskimi a francuskimi? W Indiach - o trudnym klimacie, wśród nędzy, brudów i epidemii?

Księżę usiłuje uspokoić zrozpaczoną żonę. Wiktorija powinna się opanować, powinna zachować spokój, zaufać jemu i środkom obrony, które podejmuje rząd - i księżę Wellington. Można polegać na starym Wellingtonie.

Jak zwykle, pouczenia Alberta jeszcze bardziej rozdrażniają Wiktorię.

- Nie dbasz o własną żonę... ani o twoje dzieci... będziesz siedział na miejscu i czekał, aż nas wszystkich tu pomordują... albo gorzej, wywloką na ulice, wydadzą na pośmiewisko, zedrą suknie... Louis Philippe miał też policję i żołnierzy - a czy mu to pomogło? Nic cię nie obchodzi, że swoją żonę zgwałcą londyńscy kryminaliści! I ty nazywasz siebie mężczyzną, a na rażasz własną żonę na taki los.

Tego już za wiele nawet dla opanowanego, zimnego Alberta. On też wpada w pasję, krzyczy, wymyśla. Wiktorija nazywa go „brutalnym Niemcem”. Awantura jest o wiele gwałtowniejsza od wszystkiego, co spowodują czartyści. Wiktorija wybucha znowu potokiem łez. Albert wychodzi z godnością, oddając ją w ręce dam dworu i posyła po premiera. Tylko su-weren ma prawo żądać przybycia premiera gabinetu ministrów, ale i Albert, i lord John wiedzą dobrze, kto w rzeczywistości jest suwerenem Anglii.

\* Królowa i dzieci muszą opuścić Londyn - oznajmia księżę premierowi.

\* Dla zachowania spokoju w stolicy byłoby raczej wskazane - odpowiada Russell - by rodzina królewska pozostała w pałacu.

\* Przeciwnie, świadomość ich obecności będzie podniecać tłum do tym gwałtowniejszych rozruchów - odpowiada ostro Albert.

Premier dowodzi logicznie, że w takim razie argumenty księcia należy zastosować równie dobrze do niego samego, jak do królowej i dzieci. Ostatecznie postanawiają, że cała rodzina królewska musi uciekać do Osborne.

Kiedy Albert wraca z tą wiadomością, Wiktorija już się trochę uspokoiła. Z flakonem soli trzeźwiących w ręku prosi o przebaczenie, cofa swoje rekryminacje, nazywa go „najdroższym aniołem”, jedynym człowiekiem, któremu może zaufać. Albert odtrąca jej wyrazy miłości i pieśczęty. To nie po raz pierwszy Wiktorija urządza mu scenę, a później chce zatuszować jej wrażenie kilku miłymi słowami, tylko po to, by przy najbliższej okazji znowu wpaść w gniew.

Kiedy wyjeżdżają z pałacu, Wiktorija jest tak wycieńczona i słaba, że trzeba ją znieść do karety, a później, w pociągu, musi leżeć. W Osborne, które wąski, ale użyteczny pas morza dzieli od „kryminalistów londyńskich”, Wiktorija wkrótce odzyska zdrowie. Za to nie dopisuje jej pamięć. W liście do wuja Leopolda donosi:

„...wielkie wydarzenia przyjmuję ze spokojem, to raczej drobnostki irytują moje nerwy”.

Jeden człowiek tylko naprawdę przyjmuje te zdarzenia ze spokojem. Lordowi Palmerstonowi nie grożą już wymówki, że nie przedstawia korespondencji do aprobaty królowej i księciu małżonkowi, uciekającymi przed niebezpieczeństwem, które im jeszcze nie zagrażało i może nigdy nie zagrozi.

W Londynie i na prowincji władze - i kupcy w trwodze o swój dobytek - są niewiele mniej przestraszeni od królowej. Nie udzielono pozwolenia na marsz czartystów z Kenning-ton do gmachów parlamentu. Urzędnicy państwowi otrzymują broń i barykadują okna biur segregatorami. Ministerstwo spraw wewnętrznych pośpiesznie werbuje około piętnastu tysięcy osób do ochotniczej

milicji, do której zgłasza się między innymi książę Ludwik Napoleon, niebawem prezydent, a później cesarz Francji. Magnaci sprowadzają z majątków do swych miejskich pałaców tęgich parobków, stawiają u drzwi gajowych ze strzelbami.

Książę Wellington zwołuje radę wojenną. Stary marszałek dobiega osiemdziesiąci i trochę dzieciennia. Widzi siebie w roli siwowłosego świętego Jerzego, którego powołano, by ocalił królową i kraj od czartystowskiego smoka. Ale jego zgarbione plecy się wyprostowują, a głos odzyskuje dawny dźwięczny, rozkazujący ton, gdy wydaje zarządzenia pułkownikom tych samych regimentów, które niegdyś prowadził przeciw Bonapartemu i jego marszałkom. Rozkłada mapy na stołach. Artyleria stanie na mostach i przy stajniach królewskich. - Poza tym, zarządza stary książę, wojsko trzymać w ukryciu, ale jednocześnie w stanie pełnej gotowości bojowej.

Całe to podniecenie zrodziło się z nerwowej atmosfery, panującej na kontynencie europejskim, a także z nieczystego sumienia sfer rządzących, klas przemysłowych i kupieckich. Czartyści nie zamierzają użyć siły, ani zagrazać nikomu. Postanowili wręczyć swoją petycję, ufają, że zostanie przyjęta pod naciskiem opinii publicznej i chcą osiągnąć swoje cele na drodze pokojowej perswazji. Ich przywódcy wiedzą, że zbrojna insurekcja jest skazana na klęskę i tylko przyczyniłaby się do represji, do pogłębienia nieszczęść i nędzy. Feargus O'Connor surowo karci tych, których hałaśliwość skłoniła rząd do podjęcia specjalnych środków ostrożności.

Dnia 10 kwietnia tłumy ruszają w stronę Pól Kennington-skich przez puste, jakby wymarłe ulice - sklepy pozamykane, okna zabezpieczone deskami. Pochód idzie spokojnie, w ładzie, w nastroju bliższym niedzielnej wycieczki, niż zamierza-nych gwałtów. Narodowa Petycja, na której widnieją w rzeczywistości tylko dwa miliony podpisów, umieszczona jest w powozie, zaprzężonym w cztery konie i udekorowanym trójkolorowymi flagami: czerwono-zielono-białymi. Gdy Feargus O'Connor zbliża się już do olbrzymiego zbiorowiska tłumów na Polach Kennington-skich, otrzymuje od szefa londyńskiej policji zaproszenie na konferencję w pobliskiej tawernie. Ludzie spostrzegają, że O'Connor odchodzi z dwoma policjantami. Wybucho wrzawa:

Zabrali go! Aresztowali!

Tłumy kołyszają się, cisną naprzód. Ale przyjaciele O'Connora wstrzymują ludzi, uspokajają, zapewniają, że przywódca bynajmniej nie został aresztowany. Jest to jedyny w czasie wiecu i pochodu incydent, który można by nazwać awanturą i który mógłby usprawiedliwić przygotowania, poczynione przez rząd.

W tawernie szef policji częstuje przywódcę czartystów piwem. Zasiadają obaj nad pełnymi kufkami i rozpoczynają się pertraktacje. Szef policji powiada, że władze nie będą absolutnie przeszkadzać w wiecu, ale wysuwa zastrzeżenie, że o ile ponownie uformuje się pochód, to będzie musiał temu przeszkodzić. O'Connor zapewnia go, że do żadnych awantur nie dojdzie. Obaj wychylają do końca kufle z piwem i podają sobie ręce. Pojawiającego się z powrotem na Polach Kennington-skich O'Connora wita potężny okrzyk tłumów. Przywódca oznajmia tysiącom słuchającym, że jakiegokolwiek wyłamanie się spod dyscypliny, naruszenie ładu, atakowanie policjantów „...zaszkodzi w katastrofalny sposób naszej sprawie, tej sprawie, o którą ja sam walczyłem całe życie. Niechaj ci, którzy chcą mnie popierać i unikać awantur, podniosą w górę ręce!”

Nieprzebrany las dłoni unosi się do góry. Mało kto przyszedł na wiec ze świadomą intencją wmieszania się w zatarg z policją i wojskiem. Nikomu ani się śni mordowanie królowej i jej dzieci, czy też wywlekanie ich na ulicę i odzieranie z szat. Ci, którzy pod wpływem europejskich wzorów

rewolucyjnych przygotowywali się do odparcia buntu, oskarżają później czartystów o tchórzostwo. Aby „zachować twarz”, własną zawstydzoną twarz, aby uprasiedliwić panikę i ucieczkę, muszą udawać, że użycie siły leżało w zamierzeniach czartystów.

Policja londyńska tak bardzo chce utrzymać przyjazne nastroje, że oddaje do dyspozycji manifestantów trzy powozy, którymi „Petycja Narodowa” jedzie do parlamentu. Petycja zostaje oczywiście odrzucona. A do Osborne nadejdzie depesza od premiera: „Lord John Russell ma zaszczyt złożyć swoje pokorne służby jej królewskiej mości i donieść, że wiec na Polach Kenningtońskich zakończył się klęską”.

Ale największą chyba klęską tego dnia była ucieczka pary królewskiej. Ponieważ w ich żyłach płynie niemiecka krew, Wiktorja i Albert nie potrafią trafnie ocenić pokojowych intencji swoich poddanych ani wyczuć ich lojalności. Nawet później, gdy już petycja została odrzucona, a czartyści rozeszli się do swych nędznych pomieszczeń i ciężkiej pracy, rodzina królewska nie może się zdecydować na ryzyko powrotu do Londynu. Jeszcze w czerwcu w Osborne nagle wybucha panika, bo czterdziestu rzekomych czartystów wylądowało ponoć na wyspie Wight i zmierza w kierunku „naszego drogiego, małego domku”. Mobilizuje się pośpiesznie siły policyjne na wyspie, ściągają się parobków z pól, murarzy z drabin, uzbraja się ich w kije i widły. Książę Albert z myśliwskim sztu-cerem w rękę, obejmuje komendę nad siłami obrony. Gały incydent jest w miniaturze powtórzeniem farsy, rozegranej poprzednio w Londynie. „Czartystowscy napastnicy” okazali się niedzielną wycieczką Towarzystwa Przyjaciół, które wybrało się na zwiedzenie wyspy i obejrzenie z dala sławnej „włoskiej” willi królewskiej!

Ruch społeczny tylko wtedy ponosi klęskę, gdy nie osiąga swoich celów. A zasady czartyzmu nie zawiodły. Bez dalszych petycji wszystkie postulaty - wyjąwszy jedno, niezbyt praktyczne żądanie corocznych wyborów - zostały zrealizowane, a chociaż nie wszystkie od razu, to w każdym razie za życia następnego pokolenia: dzieci tych, którzy w roku 1848 przedstawili petycję - prawo głosu dla wszystkich mężczyzn, równe okręgi wyborcze, zniesienie warunków kwalifikacji finansowej dla posłów, diety poselskie i tajność wyborów.

Może jeszcze ważniejszym był powiew nowych idei, który czartyzm wniósł do społeczeństwa angielskiego. Propaganda czartystów nie minęła bez echa. Wielu wybitnych ludzi - między innymi Karol Dickens - podjęło w swej twórczości sprawę krzywd społecznych. Czartyzm był pierwszym, szeroko rozpowszechnionym i konsekwentnym ruchem samopomocy wśród klasy robotniczej: dążył do poprawy warunków życia mas pracujących, do demokracji parlamentarnej i do reformy konstytucji; nadał rozpęd z jednej strony reformom politycznym, a z drugiej organizowaniu związków zawodowych.

Albert odpowiada na „zwycięską” wieść Russella z westchnieniem głębokiej ulgi:

„Dzień wczorajszy (Der Tag!) zakończył się chlubnie dla Anglii! Muszę panu pogratulować... środki, przedsięwzięte przez rząd, były doskonałe”.

Tron, który książę podpira, jest znowu bezpieczny. To główna przyczyna jego satysfakcji. Jednak te angielskie klasy rządzące wiedzą, jaik trzymać masy „na właściwym miejscu”.

I Wiktorja znowu jest zadowolona ze swego kraju.

„Nasza rewolucja była rewolucją wzorową” - pisze. „Najwyżsi i najskromniejsi, lordowie i sklepikarze dają przykład lojalności i stanowczości, na którym mogłyby się wzorować inne, mniej szczęśliwe kraje”.

„Najwyżsi i najskromniejsi”. Wiktorii wydaje się, że już nic „skromniejszego” od sklepikarza w

ogóle nie istnieje. Nie zauważa tych „podludzi”, których zdyscyplinowanie było istotną przyczyną ocalenia okien pałacu buckinghamskiego. Nie należy się temu dziwić, bo spogląda przecież z takiej wysokości, według jej własnych słów, jak bóstwo. Powróciwszy w sierpniu do Londynu oznajmi uroczyście Johnowi Russellowi:

„Posłuszeństwo prawom i suwerenowi jest posłuszeństwem siłom wyższym, ustanowionym z łaski Boga dla dobra ludów”.

Jest to wiernym powtórzeniem wersji Alberta o boskich prawach królewskich.

## Rozdział V

# KSIĄŻĘ SCHWARZENBERG WYDAJE BAL

„Królowa może niebawem uznać, że już dłużej nic ścierpi lorda Palmerstona, a to będzie bardzo nieprzyjemne i kłopotliwe” - tak pisze Wiktoria do swego premiera w roku 1848. Oczywiście, pod dyktando, a nawet wskutek uporczywych nalegań Alberta, który w tej sprawie korespondował z baronem Stookmarem i stosuje teraz metody niemieckich władców.

U podstaw rozdzwiewku między księciem małżonkiem a ministrem spraw zagranicznych leży zadawniona kłótnia o stosunek do ruchów narodowo-rewolucyjnych z jednej strony, a do niemieckich władców z drugiej. Różne państewka włoskie - Wenecja, Lombardia, Mediolan - wykorzystując powszechnie panujące w Europie nastroje, a zachęczone przez Francję, powstały przeciwko austriackiemu panowaniu. Palmerston, chcąc uniknąć wojny, która wciągnęłaby Francję i Austrię w konflikt, próbuje namówić Quai d'Orsay na kompromisowe pertraktacje. Albert się opiera, oficjalnie dlatego, ponieważ rząd, który obalił króla Ludwika Filipa, nie jest ukonstytuowany legalnie, ale w rzeczywistości dlatego, ponieważ uważa to za upokorzenie swoich kuzynów na tronie Austrii.

- Austria musi mieć Wenecję dla bezpieczeństwa własnego i Niemiec - nalega w memorandum.

A gdy w lipcu marszałek Radetzky zwycięży Włochów pod Custozą, Albert pisze:

„Bardzo jestem z tego rad, zarówno ze względu na zanego wodza, jak i na dzielną armię austriacką i honor niemieckich żołnierzy...”

Kogo interesują aspiracje narodowe Włochów? Z pewnością nie Alberta. Razem z królową posunie się tak daleko w lekceważeniu konstytucji i w nielojalności wobec brytyjskiego rządu, iż poprosi wuja Leopolda, by zechciał w ich imieniu przekazać dworowi austriackiemu wyrazy sympatii i ich osobistą dezaprobatę polityki zachęcania włoskich rebeliantów, prowadzoną przez Palmerstona.

Wtedy właśnie królowa napisze do premiera, że „już dłużej nie ścierpi lorda Palmerstona...” Russell, zdając sobie sprawę ze znaczenia, jakie ma popularność tego ministra dla jego rządu, łagodzi królewską parę obietnicami, że powściągnie samowolę Palmerstona - choć z całą pewnością nie potrafi tego dokonać ani „Wdowi Grosik”, ani nikt inny na świecie. Ale konflikt wybucha na nowo, kiedy w styczniu roku 1849 „Times” ujawnił, że Palmerston po cichu dostarczał broni z królewskich arsenałów *via* angielscy dostawcy sycylijskim rebeliantom, by mogli prowadzić walkę przeciw tamtejszemu tyranowi, Fryderykowi II, królowi Neapolu i Sycylii, zwanemu Królem Bombą. Albert pieni się z wściekłości. Wiktoria dostaje ataku hysterii, a potem narzeka, litując się nad samą sobą:

„A wszystko skrupia się na mnie!”

W ciągu dwugodzinnej audiencji królowa wyjaśnia premierowi, że nie będzie mogła więcej przyjmować Palmerstona na dworze.

- Mam zastrzeżenie natury osobistej. Poza tym nie potrafiłabym traktować go nawet z minimum

uprzejmości.

Albert nienawidzi ministra pewno jeszcze bardziej, ale jest zgorszony niedyplomatyczną frazeologią swojej żony. Poprawia ją pośpiesznie, upokarzając zarazem kompletnym odwróceniem wyrażonego przez nią zdania.

- Jej królewska mość chce powiedzieć, że nie ma zastrzeżeń co do osoby lorda Palmerstona, ale że byłoby przeciwne jej charakterowi okazywać respekt i łaskawość, których nie czuje.

Istotną przyczyną oburzenia królewskiej pary jest fakt, że Palmerston - zgodnie z konstytucją - uważa, że prowadzenie polityki zagranicznej nie należy do kompetencji Pałacu. Minister przeprosi, w formie dość lekceważącej, za złamanie oficjalnej neutralności Anglii w sprawie broni dla Sycylii - i tyle. A przecież cała Europa wie doskonale, że Palmerston gorąco przeciwstawia się wszelkiemu despotyzmowi, drobnemu czy mocarstwowemu. Palmerston zdaje sobie sprawę, że w walce, jaką podjął, jego przeciwnikiem jest książę Albert, a podporządkowana małżonkowi królowa jest tylko stronniczym sędzią, pretendującym do prawa wykluczenia go z walki wedle swego kaprysu. I choć Wiktorii uda się przekonać jego sekundanta, lorda Johna Russella, by rzucił na ring ręcznik na znak poddania się w jego imieniu, Palmerston walczyć nie zaprzestanie.

W maju 1849 roku, w celu zwrócenia uwagi na niedolę swoich rodaków, pewien bezrobotny Irlandczyk strzela, chybiając, z pistoletu do Wiktorii, która po uroczystościach urodzinowych przejeżdża koło Hyde Parku, wracając do pałacu. W rok później, gdy towarzyszący królewskiej karecie gwardziści pozostali nieco w tyle, wstrzymani przez tłumy, pewien zdymisjonowany porucznik zdoła dopchnąć się tuż do karety i uderzy Wiktorię pałką w głowę. Na chwilę zamroczona silnym ciosem, Wiktoria okazuje jednak wielką przytomność umysłu, bo zaraz zrywa się na równe nogi i stanąwszy w karecie, woła:

- Nie jestem ranna! Nic się nie stało!

Ale zupełnie zrozumiała, że incydenty takie wzmacniają w niej wrodzoną obawę przed tłumem, przed zgromadzonymi w masie własnymi poddanymi.

- Jeżeli człowiek dobrze urodzony tak potrafi się zachować bez żadnego na pozór widocznego powodu, to co mówić o tłumie?

Postanawia, aby w jej karecie obok stangreta siedział zawsze jakiś silny Szkot.

Porucznik, który uderzył królową, a jest synem wysokiego urzędnika w Cambridge, zostaje wysłany na pewien czas do luksusowego domu dla nerwowo chorych. Bezrobotny Irlandczyk, chociaż jego pistolet, jak się okazało, był w ogóle nie nabity, zostaje skazany na siedem lat zesłania. Różnice w potraktowaniu tych dwóch zamachowców wyraźnie świadczą o tym, że „dwa narody Anglii”, jak pisał Disraeli, bogaci i biedni, „nie są rządzeni tymi samymi prawami”.

Kiedy po takich zamachach królowa znowu wyjeżdża na ulice, zebrane tłumy witają ją owacjami. Lord Hardwicke cynicznie zauważa, że królowej opłaca się chyba dostać czasem „pałką w głowę”, jeśli to budzi taką - miłość poddanych. Wiwaty istotnie radują królową. Jednocześnie szczęśliwie przeciw- działają niepopularności, jaką ściągnęła na siebie królewska para wskutek niezgodnego z konstytucją potraktowania lorda Palmerstona. Wiktoria, wierząc jak zawsze, że książęta ulepieni są z innej gliny niż zwykli ludzie, zapisuje w dzienniku:

„Nawet najlichsi z moich poddanych są bardzo oburzeni”.

W sierpniu 1849 roku sytuacja w ojczyźnie „tych naprawdę strasznych ludzi” - Irlandczyków, o tyle się uspokoiła, że zaczęto rozważać ewentualność królewskiej wizyty, która, jak się spodziewano, ochłodziłaby buntownicze nastroje, budząc lojalność względem korony. Wiktoria i Albert na krótką

chwile wysiadają na ląd w Cóbh, na południowym wybrzeżu Irlandii. Miejscowość jest oficjalnie przemianowana na Queenstown - Miasto Królowej. Poza tym wcale nie opuszczają swego jachtu i tylko z pokładu podziwiają niezwykłą urodę dziewcząt i kobiet, które przychodzą na nabrzeże portowe, by zobaczyć, jak wygląda królowa. Kobiety rozczarowuje niska, tęga postać Wiktorii, której potrzeba podwyższonej platformy, szat koronacyjnych i całej ceremonialnej fanfary, by nadać jej imponujący, królewski wygląd. Ze swej strony Wiktoria zauważa, że to dziwne doprawdy, iż te kobiety „nawet nie naprawiają swoich podartych sukien”. Feargus O’Connor, irlandzki przywódca czartystów, przesłał królowej ironiczne wyrazy żalu, że nie może za-prosić najjaśniejszej pani i jego książęcej mości do swej siedziby Fort Robert, albowiem sprzedał wszystkie meble, by zapłacić Podatek na Ubogich. Wizyta nie przyniosła spodziewanych rezultatów. Irlandczycy nie odczuwają żadnej lojalności w stosunku do obcych monarchów. Chcą wolności i chleba, a raczy się ich w zamian widokiem stojącej na pokładzie statku pary królewskiej.

Nieco później tego samego roku królewska para wyjeżdża do Balmoral w górach Szkocji, by odpocząć od konfliktów z Palmerstonem i wyczerpującej wizyty w uciskanej kolonii irlandzkiej. Dopiero Balmoral ma być odpowiednią według królewskiego lekarza miejscowością dla Wiktorii po wilgotnym klimacie i nadmiernej dostępności siedziby w Osborne. Wiktoria i Albert wynajmują więc drugi „kochany mały domek” z czterema malowniczymi wieżami, stromym dachem i wąskimi, wysokimi oknami w średniowiecznym stylu. Albert rozkoszuje się pobytem tutaj, bo Balmoral przypomina mu ukochaną Turyngię. Wiktoria też jest rada:

- To cudowne nie widzieć nikogo, ani nie słyszeć żadnego innego hałasu prócz szumu wiatru, wołań cietrzewi i przepiórek!

Ten okrzyk z głębi serca, to okrzyk kobiety tęskniącej do schronienia przed światem, który jest dla niej zbyt wielki, zbyt hałaśliwy, który nawet tej kobiecie, ceniącej tak wysoko (królewską krew we własnych żyłach, daje odczuć jej małość, a może nawet - podświadomie - jej nieprzygotowanie do funkcji, które powinna pełnić.

Wiktorii podoba się szacunek, okazywany jej przez górali szkockich, i na swój patriachalno-feudalny sposób posyła im podarunki: ciasto, odzież, materiały.

- Nigdy nie są wulgarni, zawsze pełni szacunki i tacy trzeźwi, skromni, uprzejmi z natury.

W Balmoral można sobie pozwolić na cudowny brak wszelkich formalności. Nie ma gwardzistów na straży, tylko jeden policjant, który ma zadanie nie dopuszczać intruzów. Z ministrami, którzy muszą podróżować kilkaset kilometrów, aby wyjaśnić królowej jakieś zarządzenie i zdobyć jej podpis na dokumencie, rozmawia Wiktoria siedząc na brzegu łóżka. Tu po raz pierwszy na liście domowników pojawia się nazwisko człowieka, który miał odegrać dość znaczną rolę w życiu Wiktorii, a nawet wywołać coś zbliżonego do skandalu. John Brown. Dowiedzie on niebawem, że w każdym szczególe jest przeciwieństwem opinii, jaką Wiktoria w swym entuzjazmie wydała szkockim góralom. Ale wtedy, gdy to się okaże, Brown będzie już mocno usadowiony w sercu Wiktorii, na co zasłużył sobie zresztą szczerym przywiązaniem do swej owdowiałej pani.

Jedna rzecz budzi niezadowolenie królowej. Nikt w tej posiadłości nie nosi „kiltu” - szkodzkiej spódniczki. Wobec czego niemiecko-angielska para i ich rodzina dają przykład. Książę Walii i książę Alfred pierwsi paradują w narodowym stroju szkockim. Później i Albert poddaje się temu zwyczajowi i spóźnia się na obiad z powodu trudności, jakie ma z przywdzieniem „kiltu”. Wiktoria również nosi suknie z jedwabiu wyłącznie w szkocką kratę „tartan”. Szkoccy kobziarze przygrywiają na swych instrumentach podczas każdego posiłku i kiedy królewska para opuszcza dom lub powraca



- może w rezultacie sugestii służby, która nie mając ochoty być przyłapaną na leniuchowaniu podczas nieobecności swych państwa, chętnie przyjmuje ostrzegawczą melodię kobz. Wiktoria zapisuje: „Oboje polubiliśmy bardzo muzykę kobz”, ale co bardziej nerwowi goście źle znoszą to nieustanne przenikliwe zawodzenie.

Gdyby królewska para nie upierała się przy anachronizmach, nie usiłowała sprawować niemal absolutnej władzy w epoce, kiedy rządy parlamentarne pozostawiły monarchom tylko funkcje mistrzów ceremonii i dostawców publicznej rozrywki - Albert i Wiktoria mogliby być bardzo miłymi ludźmi, panem i panią dworu. Ale ponieważ są parą królewską, więc niebawem rozkosze prostoty i braku formalności wydają się im niestosowne. Wspaniałość musi ich otaczać nawet podczas wakacyjnego wypoczynku. W Osborne willa w pseudowłoskim stylu; w Balmoral postanawiają zastąpić istniejący dom zamkiem, budowanym według projektu uniwersalnego eksperta, księcia Alberta.

I chociaż w Balmoral królewska rodzina bawiła się noszeniem „tartanów” i „kiltów”, a mężczyźni świecili gołymi kolanami - nosząc spodenki pod „kiltami” lub nie, któż to wie! - po powrocie do Londynu pruderia i surowa etykieta dworska nie ulegną zmianom. Żona lorda kanclerza Sugdena uciekła z nim, kiedy jeszcze studiował i żyła z nim przez parę lat, zanim się pobrali - nie jest więc przyjmowana na dworze. Ci romantyczni kochankowie liczą sobie dziś około siedemdziesięciu lat i w ciągu pięćdziesięcioletniego, szczęśliwego pożycia małżeńskiego dowiedli, że ich dawna niekonwencjonalność nie była wynikiem lekkomyślnego pożądania, lecz prawdziwej miłości. Kanclerz otrzymał właśnie tytuł para Anglii i premier zwrócił się do królowej z prośbą o uchylenie zakazu wobec lady Sugden. Wiktoria odmawia. A wierny stary małżonek z pogardą odpowie, że wobec tego i on więcej nie pojawi się na dworze i prosi o nietrudzenie się przysyłaniem zaproszeń.

W lutym roku 1850 Albert i Wiktoria obchodzą dziesiątą rocznicę ślubu. Oboje przez ten czas poznali się trochę nawzajem, również obserwatorzy dowiedzieli się o nich niemało. Ale chyba żadne z nich dwojga nie zdaje sobie sprawy, że jest zbyt wielkim egoistą, by poznać samego siebie.

Albert jest sumienny, praca jest dla niego ideałem, a obowiązkom poświęca się bez reszty. Idealistycznie i trochę naiwnie wierzy w naukę i religię, w sztuki piękne i przemysł, w organizacje samopomocy i służbę społeczną, w rzekomą współzależność kapitału i pracy. Rodzinie umie okazywać dobroć i względy. Budzi przywiązanie swego koniuszego, sekretarza, kamerdynera. Jednakże jest człowiekiem bezwzględny, twardym, w osobistych stosunkach nieugiętym, sztywnym w towarzystwie. Otacza się jak murem dworską etykieta, aby nigdy mu nic nie można było zarzucić. Podziwia angielskie instytucje, ale Anglików nie lubi. Uważa, że każdy człowiek może nieograniczenie doskonalić własny charakter, jeśli tylko będzie do tego dążył szczerze i z silną wolą. To się odnosi zwłaszcza do Wiktorii. Albert ma nieuleczalny nawyk wtykania nosa w cudze sprawy, jak przekonało się o tym już niejednokrotnie ministerstwo spraw zagranicznych. A jego wścibstwo nie jest wcale łatwiejsze do przyjęcia tylko dlatego, że robi to z poczucia obowiązku - obowiązku wobec żony, stanowiska, ojczyźnych Niemiec.

Dla Wiktorii małżonek był dotychczas przede wszystkim emocjonalną i fizyczną koniecznością. Teraz stał się niezastąpiony w wypełnianiu jej funkcji monarszych. Dawno minęły te czasy, kiedy drażniło ją jego wtrącanie się w sprawy polityki i jego widoczna wyższość intelektualna. Jest teraz kimś znacznie ważniejszym, niż tylko osobistym sekretarzem, ale Wiktoria z kolei stała się niestety czymś (mniej, niż królową Anglii. Albert przymusza ją do wielogodzinnego siedzenia przy biurku obok siebie i odczytywania depesz albo wysłuchiwanie odpowiedzi, które przygotowuje jej do podpisu. Praca ta stanie się dla Wiktorii ciężkim ale koniecznym obowiązkiem. Albert wymaga, aby

Wiktoria wiedziała, co podpisuje, chociaż z wyżyn swojej inteligencji wcale nie spodziewa się, aby rozumiała - pewno nawet nie chciałby tego. Wiktoria nosi koronę i uśmiecha się łaskawie. Albert pociąga za sznurki, które kierują jej poruszeniami, a z jej ust wychodzą jego zdania. Czasami się wydaje, że Wiktoria nie zdaje sobie sprawy, do jakiego stopnia ulega mężowi. Rozmawia z ministrami takim tonem, jak gdyby opinie, które wyraża, poprawki, które wnosi, były jej własne. Nie jest świadoma własnej pustki, aż dopóki ten, który uczynił z niej swoje odbicie, nie pozostawi jej samej z chwilą własnej śmierci, choć i tak zawsze już będzie tą Wiktorią, którą ukształtował i która działać będzie automatycznie, jakby nadal każdym jej krokiem kierował Albert.

Być może Wiktoria była szczęśliwa z Albertem na swój własny, burzliwy, nieświadomy, emocjonalny sposób. Na-pady złego humoru i złości, które na nim wyładowuje, męczą go niepomernie, ale dla niej nie są niczym więcej, jak znakami przestankowymi w monotonnie płynącym rytmie jej domowego zadowolenia. Wiktoria kocha męża prawie do bałwochwalstwa, może nie tyle za to, czym jest, ile za to, co jej z siebie daje. Rozumie go niewiele więcej, niż człowiek religijny rozumie Boga, którego czci. I jak religijny człowiek szuka tylko zbawienia własnej duszy, tak i Wiktoria jest egoistką, nie widzi żadnej potrzeby rozumienia tego, którego wielbi. Nie pojmuje, że jej mąż jest człowiekiem bardzo samotnym, a powodem jego osamotnienia są w równym stopniu jego własne kompleksy i wewnętrzne rozterki, jak i jej wybuchy nieopanowanego temperamentu. A jej wylewne pochwały wcale go nie zaspokajają. Potrzeba mu towarzyszkę tego pokroju, co on sam: racjonalnie myślącej, pracującej spokojnie i cierpliwie, nieubłaganej w dążeniu do celu, zainteresowanej w filozofii, prawie, sztukach, nauce i technice. Albert kroczy przez życie sam i rzadko kiedy jest świadom obecności swojej żony - może jedynie w momentach, gdy go irytuje.

Uwielbienie Wiktorii dla Alberta sprawia, że łatwiej przejmuje jego metody i sposób myślenia. Nie potrafi oczywiście przyswoić sobie jasnej logiki jego rozumowania i ścisłości - chociaż w języku angielskim nie zawsze gramatycznej - jego wyjaśnień. Ale powieliła na swój sposób takie skrawki jego inteligencji, jakie jej ograniczona umysłowość przyswoić sobie mogła i przyjmuje jego poglądy za własne - zapożycza nawet jego anegdoty. Przyznaje, że „my, kobiety, nie”jesteśmy stworzone do rządzenia”, ale kurczowo trzyma się zewnętrznych form królowania, pozorów, że czasami samodzielnie decyduje o czymś.

Wbrew - a częściowo może wskutek - nieustannych wysiłków Alberta „udoskonalania” żony, charakter Wiktorii pozostanie na zawsze takim, jakim ukształtował go pałac kensing-toński, księżna Kentu, Sir John Conroy i „najdroższa Lehzenka” - impulsywny, pełen przeciwieństw, niezdolny do chłód-nego obiektywizmu, zaborny, podejrzliwy. Zawsze będzie wylewnie czuła wobec tych, których obdarza przywiązaniem, pozostając jednak nadal histeryczną egoistką. Pożycie z nią sprawia, że Albert czuje się wciąż jak w obliczu wulkanu, który w każdej chwili może wybuchnąć płomieniami złości i lawą łez. Męczy go to nerwowo, a nawet fizycznie, ale cała jego wiedza i inteligencja nie nauczyły go jagoś, że wulkanu nie można ugasić pisaniem listów z kilkumetrowej odległości na temat samoopanowania i wyrabiania siły woli.

W roku 1850, w dwa miesiące po urodzeniu siódmego dziecka, księcia Artura, Wiktoria wyraża zwątpienie co do mądrości Stwórcy; nie pozwoliłaby sobie zwątpić o mądrości Alberta. Sir Robert Peel, którego zaledwie przed kilku laty, kiedy przeciwstawił się propozycjom stronnictwa wigów co do apanaży dla księcia Alberta, nazywała „nikczemnym hipokrytą”, spadł z konia w czasie przejażdżki i odniósł poważne obrażenia. Wiktoria, nawrócona do Peela wzajemną przyjaźnią, która zbliżyła tego polityka do Alberta, teraz rada by była zaproponować Wszechmocnemu taki targ:

zaoferować na wymianę Palmer-stona i jeszcze paru innych wigów w zamian za dawnego premiera stronnictwa torysów:

„O Boże, który jedyny wiesz, co dla nas najlepsze, niech się stanie wola Twoja - ale doprawdy wydaje się dziwne, że w tych ciężkich i niespokojnych czasach Bóg zabiera nam tego właśnie człowieka, którego trudniej zastąpić niż kogokolwiek innego”.

Albert niebawem znowu kłóci się z Palmerstonem, który po dawnemu wysyła depesze, nie przedstawiając ich do aprobaty pałacu, albo zapomina o wprowadzeniu królewskich poprawek. Księżę napisał do Stockmara pp radę i otrzymał w odpowiedzi projekt procedury w sprawie korespondencji ministerstwa spraw zagranicznych. Albert tłumaczy projekt na język angielski i daje królowej do podpisania.

„...Jej królewska mość uważa, że aby uniknąć pomyłek w przyszłości, należy pokrótce wyszczególnić, czego jej królewska mość sobie życzy i wymagać będzie od ministra spraw zagranicznych...” Albert-Wiktoria chcieliby zrównać ministra ze stangretem. „...Jej ‘królewska mość oczekuje, że 1° minister zechce wyraźnie i jasno formułować własną propozycję w danej sprawie, aby jej królewska mość wiedziała, na co będzie dawać swoją królewską sankcję; oraz, że: 2° gdy królowa wyrazi swoją aprobatę i udzieli sankcji, decyzja ta nie będzie już więcej w żadnym szczególe zmieniana arbitralnie przez ministra: tego rodzaju posunięcie jej królewska mość będzie zmuszona uznać za nieszczerłość, która spotka się ze sprawiedliwą dezaprobatą i egzekwowaniem konstytucyjnego przywileju udzielenia ministrowi dymisji.”

Królowa nie posiada takiego konstytucyjnego przywileju, ale błędów w interpretacji brytyjskiej konstytucji, która ma charakter roboczy i nie jest ujęta w żelazne reguły, można się spodziewać po monarchini, wyrażającej poglądy swego niemieckiego małżonka, który za doradcę ma Szweda, pozostającego na służbie Belgów. Ale Palmerston przezornie unika kryzysu rządowego. Chytry lis z niego: zjawia się przed księciem Albertem z miną zawstydzonego uczniaka i ze łzami w oczach pyta:

- Co ja takiego zrobiłem?

Załamuje swoje olbrzymie ręce przekonując, że nigdy, przenigdy, nie chciał w niczym urazić Majestatu, dla którego żywi najgłębszy szacunek i którego wszelkie najdrobniejsze życzenia będą w przyszłości wiernie wypełniane. Albert czuje się skrępowany taką pokorą, a Wiktoria zauważy później, że jej małżonek był wyczerpany emocjonalnym napięciem tej rozmowy. Palmerston wychodzi i udaje się do pałacu najmodniejszej pani domu w Londynie, której opowie, jak udawał wycofanie się „*pour mieux sauter*” [\* Dla lepszego ataku.] przy najbliższej sposobności.

Sposobność lepszego ataku nadarzy się w miesiąc później, kiedy austriacki generał Haynau, osławiony kat włoskich i węgierskich powstańców, przybywa z wizytą do Anglii. Generał wyraża chęć zwiedzenia kraju, między innymi chciałby obejrzeć słynny londyński browar. Robotnicy rozpoznają jego wysoką postać, krzaczaste brwi, obwisłe wąsy i głęboko osadzone, złośliwe oczka, bo w radykalnej prasie ukazała się karykatura, przedstawiająca generała, óchloszczącego kobietę. Robotnicy porywają go i usiłują ostrzyc. Gdy udaje mu się wyrwać z ich rąk - zostaje poczęstowany całą stertą słomy, rzuconą mu na głowę. Wywlekając go spod niej za wąsy i wyciągając na ul'c, aż w końcu policja uwalnia go z ich rąk i zabiera do najbliższego domu.

Królowej aż trudno uwierzyć, że takiej obrazy dopuścili się jej zwykle spokojni i lojalni poddani. Oskarża, węgierskich i polskich emigrantów politycznych, których sama obecność w Anglii denerwuje księcia małżonka. Otrzymuje jednak informację, że się myli. Za austriackie wąsy ciągnęły ręce stuprocentowych Anglików, piwem karmionych browarników. Albert nalega, żeby wysłać do

rządu austriackiego oficjalną notę z przeproszeniem. Projekt tej noty uzyskuje aprobatę królowej. Ale zanim zostanie wysłana, nienawidzący tyranów Palmerston doda od siebie ostre słowa ataku na brak liberalizmu reżimu austriackiego.

Wybucha skandal. Albert-Wiktoria żądają od lorda Johna Russella natychmiastowej dymisji jego ministra spraw zagranicznych. Russell zablokuje sytuację oświadczeniem, że jeżeli usunie się popularnego Palmerstona, w kraju wybuchnie takie niezadowolenie, że jego rząd się nie utrzyma i w rezultacie Palmerston powróci zapewne jako premier.

Jednakże w rok później niemiecki zapaśnik, który z chłodną cierpliwością wyczekiwał odpowiedniej chwili, nareszcie znokautuje swego porywczego oponenta, stronnika uciśnionych narodów. Do Londynu przyjeżdża wielki patriota węgierski Kossuth. Królową i księcia małżonka ogromnie irytuje „kossu-towska gorączka” jak ją nazwali, której ulegli Anglicy z kół liberalnych i radykalnych. Manchester wita Kossutha uroczyście i z większym entuzjazmem niż niegdyś królewską parę. I na dobitkę perfidny minister spraw zagranicznych oznajmia, że zamierza przyjąć Kossutha. Albert protestuje u premiera. Palmerston - bez łez w oczach tym razem - odpowiada, że nikt mu nie będzie dyktował, kogo może, a kogo nie może podejmować we własnym domu.

W tydzień później, Palmerston atakuje znowu. Przyjmuje deputację londyńskich radykałów, którzy wręczają mu petycję - tekst jednocześnie ogłoszony w prasie - wychwalającą Kossutha i wyliczającą jego zasługi, a potępiającą władców Rosji i Austrii za krwawy ucisk Polaków i Węgrów. Palmerston nie odcina się od tych poglądów - istnieją nawet podejrzenia, że on sam tę petycję inspirował. Znowu królewska para protestuje namiętnie, ale bezskutecznie. Lord John Russell pisze, że gabinet ministrów „nie zamierza powziąć oficjalnej rezolucji w tej sprawie... Lord Lansdowne i inni członkowie gabinetu nie zgadzają się na wyrażenie jakiegokolwiek nagany ministrowi spraw zagranicznych”. Palmerston zadał swemu przeciwnikowi na ringu kilka celnych ciosów, ale jak to często bywa, chwilowe powodzenie oszołomiło go i uczyniło nieostrożnym.

Kiedy w grudniu roku 1851 Ludwik Napoleon przeprowadza swój zamach stanu, Albert-Wiktoria są wstrząśnięci i oburzeni. Projektowali, że jeden z ich orleańskich kuzynów zasiądzie ewentualnie na tronie Francji. Gabinet oficjalnie zgadza się „pozostać biernie neutralnym” wobec Napoleona III. Palmerston, oczywiście, bynajmniej nie jest wstrząśnięty ani oburzony, a bierna neutralność nie leży w jego charakterze. Polityka Napoleona III jest dość podobna do jego własnej - zachowawczy konserwatyzm w kraju, liberalizm na eksport. Palmerston zapewnia ambasadora francuskiego o swoim osobistym serdecznym poparciu dla nowego cesarza. Lord Normanby, brytyjski ambasador w Paryżu, od dawna intrygował przeciw Palmerstonowi. Jego żona przyjaźni się z królową i utrzymuje stale korespondencję z nią i jej damami dworu. Ambasador komunikuje, że jego oficjalne oznajmienie o „biernej neutralności” przyjęto na Quai d'Orsay z porozumiewawczym uśmiechem i poufną wymówką, że przecież lord Palmerston wyraził inne zdanie.

Nawet Palmerston nie może sobie pozwolić na taką nieostrożność na ringu. Albert pochwycił okazję znokautowania przeciwnika. Russell, chociaż sam osobiście w prywatnej rozmowie z ambasadorem francuskim wyraził opinię podobną do Palmerstona, teraz zdradziecko udziela księciu pomocy. Premier mógłby ująć się za swym ministrem, zmusić Pałac do wycofania się albo sprowokować kryzys rządowy. Zamiast tego, ulegając naciskowi Alberta, pisze do ministra spraw zagranicznych, że jego „brak przezorności i taktu” czyni go niezdolnym do sprawowania urzędu. Palmerston ma teraz do wyboru: albo odmówić przyjęcia dymisji, wywołać kryzys rządowy i samemu później uformować rząd, albo też wspaniałomyślnie „ratować twarz” swojej monarchini i

księcia małżonka, którzy poświęcili go na rzecz swych niemieckich krewnych. Wybiera wspaniałomyślność.

Palmerston leży na deskach ale jeszcze powstanie, by w następnym meczu znowu zademonstrować swoje celne ciosy i błyskawiczne uniki. A i teraz, nawet pokonany, dowiedzie dwoma gestami swej niepokonanej arogancji: gdy mu na osłodę zaofiarują gąbkę z octem pod postacią stanowiska gubernatora Irlandii - odrzuci propozycję z uwagą, że na tym stanowisku też chyba trzeba mieć „przezorność i takt”; a gdy ma stawić się na zamku Windsor, by złożyć swoją rezygnację, pozwoli królowej czekać na siebie przez półtorej godziny - i w końcu nie przyjdzie wcale.

A kto ma powody najbardziej cieszyć się z chwilowego triumfu Alberta, dowodzi bal, wydany w Wiedniu przez księcia Feliksa Schwarzenberga, wodza austriackich konserwatystów, na cześć upadku niesforne go poplecznika ruchów nardo-dowo-wyzwoleńczych.

## Rozdział VI

# ZE SZCZYTU W PRZEPAŚĆ

W zwycięskiej walce z Palmerstonem walnie dopomagała Albertowi świadomość, że jest coraz popularniejszy w sferach przemysłowych i kupieckich. Księżę posiada sam wiele zalet, typowych dla tych sfer, a także niektóre ich wady: jest pracowity, punktualny, systematyczny; jest też arogancki i zarozumiały, a swoich ostentacyjnie głoszonych zasad trzyma się o tyle, o ile nie hamują jego ambicji. Główne, szybko rozrastające się ośrodki przemysłowe, jak Liverpool, Manchester, Birmingham, York zapraszają księcia w odwiedziny. Wybrano go prezesem Stowarzyszenia Sztuk Pięknych, w którego zarządzie mało kto zna się na sztukach pięknych, a za to prawie każdy świetnie orientuje się w finansach i interesach. Księżę pilnie uczęszcza na odczyty w instytucjach naukowych - o magnetyzmie, architekturze, chemii, matematyce, historii - czyta również dużo dzieł poświęconych tym dziedzinom nauki, a także prace poświęcone sztukom pięknym.

Wiktoria na odczyty nie chodzi. Ale zachęca męża, gdy wybiera się posłuchać tego czy innego profesora, angielskiego lub gościa z zagranicy. Ona jedna zdaje sobie sprawę, jak naprawdę ciężko Albert pracuje; każdy dzień wypełnia mu odczytywanie korespondencji, pisanie memorandumów, wydawanie opinii (najczęściej niepożądanych) o polityce rządu - a przy tym przymusza jeszcze do regularnej pracy swoją żonę. Ten surowy, narzucony sobie dobrowolnie rygor okaże się szkodliwy dla jego organizmu, zwłaszcza, że zawsze był słabowitego zdrowia. Sypia o wiele za mało, teraz już nie z powodu upodobania Wiktorii do zabaw i tańców, ale z powodu własnej sumienności. Zarazem wciąga Wiktorię w kierat rutyny, której będzie podporządkowywała się tak długo, dopóki zdoła utrzymać pióro w ręku - po części dlatego, że tak ustalił Albert, a po części, ponieważ posłuży jej to za wymówkę, by nie uczestniczyć w publicznych ceremoniach.

W epoce, kiedy Dawid Livingstone okrywa sławą angielskich podróżników, przebywając pustynię Kalahari, kiedy Richard Burton wędruje po Środkowej Arabii, gdzie żaden biały człowiek przed nim nie postawił stopy, kiedy przemysł brytyjski przewodzi światu, a Palmerston w imieniu Anglii chłoszcze słowami krytyki despotów Europy i zachęca do buntów przeciw nim - księżę małżonek tworzy własną koncepcję wielkiego festiwalu „pracy i pokoju”. Albert dostrzegł, że nowo powstałe bogactwa powodują nieprzewidziany rozwój klas społecznych, których potencjału politycznego nie doceniają przywódcy państwa, i którym nie przydzielono ani właściwego miejsca, ani obowiązków w ramach ustroju społecznego. Chciałby te klasy i ich osiągnięcia przedstawić rządowi, opinii publicznej, całemu światu. Jest to w gruncie rzeczy szlachetna intencja, ale w nieunikniony sposób zrodzi ona arogancję i szowinizm. „Wielka Wystawa” księcia Alberta ma się odbyć w maju 1851 roku.

Początkowo pomysł tej pierwszej wystawy międzynarodowej, która miała zapoczątkować tyle następnych wystaw i targów na całym świecie, nie budzi entuzjazmu Wiktorii. Albert będzie wciąż w towarzystwie ludzi, z którymi Wiktoria źle się czuje - daleko im do „jej własnej rangi” - i

zaabsorbowany sprawami, w których ona sama nie będzie mogła brać udziału, ani zbierać laurów, jak to lubi robić, kiedy mąż jej przeprowadzi na przykład jakąś udaną akcję polityczną. Później jednak, zwłaszcza wobec entuzjazmu prasy, orientuje się, że jest chyba jedyną osobą, która tego entuzjazmu nie podziela. Jednakże jej uwagi w dzienniku mają nadal odcień opiekuńczej pobłażliwości, jakby była jego matką - przewyższającą go chociażby wiekiem i doświadczeniem - a nie żoną i marionetką w jego ręku.

„Doprawdy, dumna jestem z idei, którą stworzył wielki umysł mojego ukochanego Alberta”. Jakie ma powody do dumy? Nie miała przecież żadnego wpływu na kształtowanie tego „wielkiego umysłu.”

Umysł Alberta stworzył projekt ogromnej sali wystawowej pod szklanymi kopułami, nazwanej potem Kryształowym Pałacem. Tu narody świata mają demonstrować produkty swego przemysłu, dzieła swej pracy, poświęconej pokojowym celom. Albert ufa, że wystawa zbliży narody do siebie, każąc im myśleć raczej o przyjaznym współzawodnictwie handlowym, niż o nienawiści i wojnie, a poza tym przyczyni się do postępu technicznego, umożliwiając porównywanie osiągnięć.

Rzym symbolizuje w myśli człowieka podboje, Jerozolima - wiarę i religię, Ateny - sztuki piękne, Paryż - dyktaturę mody. A Londyn, ze swymi wielkimi portami i nabrzeżami, z dokami i niezliczonymi okrętami, z eksportem i manufakturą ze wszystkich stron Anglii, z importem z całego świata - stał się symbolem współczesnego handlu. Tylko w Londynie może Albert urządzić pierwszą na świecie Wielką Wystawę. Więc Kryształowy Pałac dźwiga pomału *swe* szklane ściany na terenie Hyde Parku, pod kierownictwem Sir Josepha Paxtona, słynnego architekta i założyciela wspaniałych parków. Kpiarze dworscy przezywają cały projekt „Paxton vobiscum”.

Nie wszystko idzie gładko z realizacją projektów wystawy. Rząd odmawia finansowania. Kiedy Albert tłumaczy, że wystawa przyniesie znaczne zyski - ministrowie słusznie odpowiadają, że to jeden powód więcej, aby wystawę finansowali prywatni przedsiębiorcy. Przemysłowcy podejmują się istotnie zagwarantowania pokrycia kosztów i w rezultacie udziałowcy podzielą się zyskiem, który wyniesie olbrzymią sumę dwustu tysięcy funtów szterlingów. Ale ledwie Albert uporał się z gwarancją kosztów, powstaje nowy kłopot. Olbrzymia szklana konstrukcja ma objąć w swym wnętrzu nawet wyniosłe wiązy z bujnym listowiem, a co gorsze, będzie zawadzać wytwornym jeźdźcom w ich codziennych przejażdżkach po parku. Powątpiewa się poza tym, czy szklane kopuły wytrzymają na przykład gradobicie, zwłaszcza że niedawno cieplarnie pałacu buckingham-skiego porozbijał właśnie grad. Wróble zakradły się do wnętrza Kryształowego Pałacu i zagnieździwszy się w pięknych wiązach, grożą zabrudzeniem eksponatów, bo chociaż są mniejsze od gołębi, ale zawsze... Rozmawiając o tym ostatnim kłopotcie ze starym księciem Wellingtonem, który stał się teraz czymś w rodzaju generalnego powiernika pałacu buckinghamskiego, Wiktoria usłyszy od niego radę, typową dla „zdrowego rozsądku”, z którego stary wódz słynął:

- Na wróble najlepszy jest sokół kobuz!

Ten prosty środek okazał się rzeczywiście skuteczny.

Albert popycha naprzód prace, sporządza plany, dogląda wykonania, odbywa konferencje prasowe, wita delegacje przemysłowców. Zawistni i złośliwi - najczęściej próżnujący bogacze w odróżnieniu od pracujących bogaczy - za wszelką cenę starają się spiętrzyć trudności na jego drodze. Głoszą, że cudzoziemscy wystawcy sprowadzą do Anglii dżumę, spowodują wzrost przestępczości, a co gorsza - wykorzystają okazję wystawy do uprawiania agitacji politycznej.

Z drugiej strony pomniejsi książęta i więksi despoty Europy, którzy po Wiośnie Ludów z roku

1848 utrzymali się jeszcze jakoś na tronach, są zdania, że Albert po prostu zwariował. Uważają jego adoptowaną ojczyznę za pole ćwiczebne dla Palmerstona, gdzie trenuje się królobójców, radykałów i demokratów. Cały ten zwariowany pomysł Wielkiej Wystawy zapewne wylął się w głowie ministra spraw zagranicznych, by mógł nawracać przybyszów na liberalizm - albo jeszcze coś gorszego. Car odmawia wydawania zezwoleń na wyjazd rosyjskiej arystokracji w obawie, aby się nie zaraziła „liberalną atmosferą” wysp brytyjskich. Zabrania także swemu ambasadorowi przyłączyć się do korpusu dyplomatycznego podczas ceremonii otwarcia. „Król Bomba” odmawia wszelkiego uczestnictwa. Król pruski, za poduszczeniem Petersburga i Wiednia, zapytuje swego kuzyna Alberta, czy następca tronu pruskiego i jego rodzina będą bezpieczni „pod tym szkłem”. Albert odpowiada z pewną irytacją i może nie bez świadomej dwuznaczności:

- Nikomu nie grozi niebezpieczeństwo tutaj.

Szeroką publiczność w Anglii ogarnia takie podniecenie, jak w przededniu koronacji albo królewskiego wesela. Mają się zebrać olbrzymie tłumy. Lord John Russell wnosi zastrzeżenie do programu ceremonii otwarcia wystawy: salut z dział, który ma być oddany w innej części Parku, spowoduje jego zdaniem roztrzaskanie tych akrów szkła, z których wzniesiony jest Kryształowy Pałac.

Nawet królowa ulega podnieceniu. Albert zaprosił ją, by otworzyła Wielką Wystawę, a jej częste wizyty na budowie, gdzie pracuje ponad dwadzieścia tysięcy robotników, przekonały ją, że „idea, którą stworzył wielki umysł mojego ukochanego Alberta” jest na tak wielką skalę, że i na nią w związku z tym padnie odblask zasługi. Albert przepędza w Kryształowym Pałacu po kilka godzin dziennie, odpowiadając na setki pytań ze wszystkich stron, cierpliwie, jasno, rzeczowo, zupełnie nie poruszony hałasem ani dyktowanymi najczęściej głupotą pytaniami.

Na ceremonię otwarcia Wiktoria przystraja swoją okrągłą postać w różowe jedwabie i srebro - miniaturowa korona na głowie, szeroki błękitny pas Orderu Podwiązki na ukos przez piersi i wielki diament, zwany Koh-i-Noor, zdobyty przemocą od indyjskiej rodziny książęcej przez brytyjskich „ludzi interesu”, którym właśnie oddaje honory Wielka Wystawa. Z dział oddano salut powitalny. Wielkie kopuły szklane ani drgnęły. Ktoś mniej sztywno oficjalny od Alberta byłby na jego miejscu wypomniął w tej chwili lordowi Johnowi jego niewczesne obawy o całość szklanych ścian. Albert wita królową przed Krysz-





Królowa Wiktorja (ck. r. 1858)



Królowa Wiktorja i księżę małżonek talowym Pałacem, prowadzi ją do środkowej nawy, obok szumiącej fontanny, do wzniesienia pod błękitnym i złotym baldachimem - jak ojciec prowadzący córkę do ślubu. Tysiące, zebrane na udekorowanych galeriach i w salach wystawowych za

balustradami, wiwatują, aż drżą szklane kopuły. Ulubione instrumenty Alberta, organy, grają marsza.

W przemówieniu Albert powiedział: „żyjemy w niezwyklej i wspaniałej epoce przeobrażeń, które zdążają szybko do osiągnięcia tego celu, na który zaiste wskazuje cała historia - realizacji zjednoczenia ludzkości”. Trudno określić, na jakich podstawach oparł ten oratorski popis. Idealistyczna euforia - czy świadomy fałsz? Fracją rządzi awanturnik, Prusy zmierzają - wspomagane przez Alberta! - do opanowania całych Niemiec, Rosja grozi Turcji, a wspólnie z Austrią uciska Polaków, Węgrów. I jeszcze coś, co stanowi może nawet groźniejsze niebezpieczeństwo dla tych klas angielskich, których uwagę ma przyciągnąć Wielka Wystawa: północnoamerykańskie pola rodzą coraz więcej zbóż, północnoamerykański potencjał przemysłowy, rozporządzając prawie wszystkimi surowcami, rozwija się gwałtownie. Zbyt wczesne są jeszcze nadzieje na zjednoczenie ludzkości.

Tłumy zwiedzają systematycznie Wystawę, dział po dziale: efektowne francuskie stoiska, maszyny ze środkowych hrabstw angielskich obok nowszych, amerykańskich modeli, perły z Indii, długie noże ze stali, wyrabiane w Sheffield specjalnie na eksport do Ameryki, kasy z zamkami o skomplikowanym systemie otwierania, elektryczny telegraf, cenne drewna z Afryki, korzenie z Azji. A także sporo zwariowanych wynalazków, w rodzaju maszyny, wyrabiającej pięćdziesiąt milionów medali tygodniowo.

Benjamin Disraeli spotka na Wystawie pewną starszą wdowę, która uczyni go wykonawcą swego testamentu i pozostawi mu 30 000 funtów szterlingów - bez tej sumy zapewne nigdy nie mógłby zostać premierem gabinetu ministrów i drugim z romantycznych, a podstarzałych doradców Wiktorii. Lord

John Russell, zirytowany, ponieważ nie spełniła się jego przepowiednia o pękaniu szyb z powodu salwy armatniej, węszy z kolei jezuicką infiltrację i protestuje przeciw krucyfiksom, umieszczonym na niektórych stoiskach. Albert, którego cierpliwość wyczerpuje się po prostu z przemęczenia, odpowie sarkastycznie, że krucyfiksy są zneutralizowane posągami bóstw ze Wschodu.

Królowa miała wspaniały dzień. Zapisuje wrażenia z tak częstą u niej przesadą, a zarazem oddaje sprawiedliwość księciu z pobłażliwą wspaniałomyślnością:

„Największy dzień w naszej historii, najpiękniejszy i najbardziej imponujący spektakl... najszcześniejszy, najdumniejszy dzień w moim życiu... Drogie imię Alberta unieśmiertelnione dzięki tej wielkiej idei, jego własnej”. Jakby się dziwiła, że Albert zdolny był wymyślić tę ideę bez pomocy drugiego „wielkiego umysłu” - jej własnego.

Nawet zawzięci krytycy nawrócili się i zachwycali Wystawą, którą w ciągu sześciu miesięcy jej trwania zwiedziło ponad sześć milionów osób. Jest to szczyt kariery księcia Alberta. Nigdy już nie będzie tak popularny wśród przemysłowców i kupców, nigdy arystokracja i nawet dwór nie będą się do niego odnosić z takim uznaniem.

Następne przedsięwzięcie, którego podejmie się Albert, będzie związane ze śmiercią w roku 1852 osiemdziesięcioletniego księcia Wellingtona. Albert postanawia sam zająć się zorganizowaniem uroczystości pogrzebowych. Zamawia gigantyczny, siedmiometrowej długości karawan z brązu, przy którym niknie trumna, choć w rzeczywistości jest bardzo duża - ponad dwumetrowa. Wiktoria opisuje tego przeładowanego ornamentami lewiatana, produkt „wielkiego umysłu ukochanego Alberta”, jako triumf prostoty, dzieło skromne, lecz imponujące wspaniałością. Trochę nieład zakradło się do tego doboru przymiotników. Nieład zakradł się również do ceremonii pogrzebowych. Jedno koło karawanu ugrzęzło w błocie na Pall Mall, co spowodowało znaczne opóźnienie, również przeniesienie ciężkiej trumny na katafalk przed katedrą Św. Pawła trwa pełną

godzinę. Wiktoria zapełnia całą stronicę dziennika wylewnymi pochwałami „tego starego buntownika”, którego nie tak dawno jeszcze nie chciała zaprosić na swoje wesele:

„Duma Brytanii, jej chwała, jej bohater, największy człowiek, jakiego nasza ojczyzna wydała... głęboko szanowany przez wszystkich... przyjaciel Domu Panującego, oddany, lojalny i wierny”.

Ale pamięci zwycięzcy spod Waterloo nie zaszkodzą nawet apologie Wiktorii. Gdyby żył, na pewno skomentowałby złośliwie te słowa, podobnie jak podczas ostatniej publicznej ceremonii, w której brał udział, w obecności królowej. Wiktoria nadawała Order Łaźni czterem zgrzybiałym ze starości generałom. Kiedy ostatni z nich kuśtykał, cofając się tyłem, z powrotem na swoje miejsce, głuchy stary marszałek powiedział swoim drewnianym głosem, zaskakująco donośnym w ciszy Sali Inwestytury:

- Wydaje mi się, że żaden z tych kawalerów nie umie chodzić!

W roku 1853 królową zajmują sprawy rodzinne. W sierpniu przychodzi na świat jej ósme dziecko, księżę Leopold, a Wiktoria po raz pierwszy otrzymuje podczas porodu chloroform. Nowo narodzone niemowlę cierpi na hemofilię i będzie zawsze przedmiotem głębokiej troski matki, aż do chwili jego śmierci - umrze na siedemnaście lat przed matką. Hemofilia, choroba dziedziczna, zdarza się głównie u mężczyzn, ale przenoszona jest przez kobiety, które mogą być zdrowe. Wiktoria przenosi hemofilię na swoje potomstwo. Ani Wiktoria, ani jej małżonek nie wiedzą o tym, że ich małżeńskie łóżko jest najcenniejszą bronią w ręku Palmerstona, bo za pośrednictwem córek tej królewskiej pary, choroba przeniesie się na większość panujących dynastii Europy.

Familijne nastroje skłaniają Wiktorię *do* sentymentalnych wynurzeń na temat szczęścia, jakie znajduje w wypełnianiu przysięgi, którą złożyła podczas ceremonii zaślubin, obiecując

„kochać, czcić, służyć i słuchać” swego męża. Na szczęście dla niej, w przysiędze małżeńskiej nie było ani słowa o zachowaniu spokoju i pogodnego usposobienia. W maju 1853 roku królewska para przegląda i układa reprodukcje. Albert myli się przy układaniu, a Wiktoria, zawsze skora do gniewu, wybucha irytacją, jest zdania, że robił to świadomie, na przekór jej woli. Przez godzinę histeryzuje, a później oboje przez dwadzieścia cztery godziny są obrażeni i nieszczęśliwi. Księżę małżonek, nie chcąc się narażać na ponowną awanturę, powraca do metody pisania listów do żony, zarzucając jej „nieostrożne przechowywanie wielkich zapasów łatwopalnych i wybuchowych materiałów”. Pisze dalej Albert, że jeśli udowodnia, jak bezpodstawne są jej skargi, to ona dąsa się całymi dniami, jeśli zachowuje milczenie, to ona obraża się i żąda odpowiedzi na nielogiczne pytania, jeśli odchodzi do swego pokoju, by dać jej czas ochłonąć, to biegnie za nim, stuka do drzwi, przypomina mu, że jest królową Anglii i żąda, żeby wszystko wyjaśnić, jeśli próbuje zapomnieć o historycznej scenie, to usłyszy wyrzekanie, że on wcale nie dba ani o jej gniew, ani o spokój. Albert radzi żonie, aby raczej wypisywała swoje skargi i żale do niego w listach, zamiast pozwalać eksplodować „łatwopalnym materiałem”.

Tak mało się nawzajem rozumieją, tak zupełnie nie pasują do siebie usposobieniem, temperamentem! A jednak oboje twierdzą, że są szczęśliwi - on w poczuciu spełnianego obowiązku, ona: żyjąc w atmosferze tego, co miało być czarodziejską bajką, a teraz z powodu jej wybuchowości i braku opanowania zmieniło się w serię melodramatycznych scen z pauzami domowego spokoju.

Taką pauzą mogą się cieszyć zwykle każdej jesieni - czasami częściej - kiedy wyjeżdżają do Balmoral. Nowa budowla, według projektu Alberta, to coś w rodzaju zamku z licznymi wieżyczkami, bastionami, murami, w stylu „szkockiej baronii”. Wiktoria zajmuje się dekoracją wewnątrz - także według gustu Alberta. Wszędzie króluje szkocka kolorowa krata -

„tartan”. Ściany obite są tapetą tartanową, okna zakrywają firanki tartanowe, na podłogach leżą dywany tartanowe, a na pokrytych tartanami krzesłach i fotelach zasiada królewska rodzina, przybrana - włącznie z tęgą i niską Wiktorią - w spódniczki z tartanu.

Jeden z gości, mniej od Wiktorii ulegający entuzjamowi, nazywa zamek w Balmoral „koszmarem kameleona”. Inny, nawiązując do nagminnie w Balmoral panującego elementu dekoracyjnego, ostu - narodowego emblematu Szkocji - pisze, że byłby tu raj dla osłów. (To prawie zdrada stanu: przecież królowa szczególnie upodobała sobie oset!) John Brown pomału wysuwa się na czoło ulubionych domowników: prowadzi teraz wierzchowca Wiktorii podczas przejażdżek po górach. Część dworzan mieszka w oddzielnych, pseudowiejskich chatkach w parku, dokąd przywożą im śniadanie „ekspresowymi taczkami”. Nowy minister spraw zagranicznych, następca Palmers tona; lord Clarendon, podsumowuje rozrywki królewskiej pary, jako wiejsko-królewskie brewerie.

Wszystko to istotnie może się wydawać komiczne, ale ostatecznie każdy ma prawo do własnego gustu. Niefortunne jest tylko to, że rodzina królewska musi wciągać w swoje wiejskie brewerie tylu innych ludzi - dworzan i damy dworu, szambelanów, stewardów, koniuszych, biskupów, ministrów, doradców, sekretarzy - dla których brewerie te są po prostu niewygodą i udręczeniem.

Plamą na szczęściu spokojnych okresów w pożyciu małżeńskim królewskiej pary są słabe postępy w naukach księcia Walii. Albert ze swoim irytującym nałogiem „udoskonalania” każdego, opracował razem z baronem Stoćkmarem drobiazgowy plan wychowywania i kształcenia najstarszego syna. Wiktoria, pomimo zachwytów nad pierworodnym, uważa go w gruncie rzeczy za głupiego. Rzeczywiście, księżę Walii nie robi wielkich postępów w nauce. Rodzice wzywają frenologa, by zbadał guzy na czaszce chłopca! Niewiele to pomogło, lekcje nadal idą tępo. Albert uważa to za osobistą zniewagę, rzuconą mu w Europie i Azji i czy nie zawładnie drogą lądową do Indii. Angielscy liberałowie, a przede wszystkim robotnicy, żywią uzasadnioną nienawiść do dynastii carskiej za rozbiory Polski, za ucisk Węgrów, za reakcyjne wpływy wywierane na całą Europę. A euforia, wywołana Wielką Wystawą wśród średnich klas angielskich, zostaje wykorzystana nie na rzecz „dobrego pokoju”, lecz „dobrej wojny”. Idealistyczny apel Alberta o „zjednoczenie ludzkości” okazał się przedwczesny. Całe prawie społeczeństwo angielskie, choć z rozmaitych przyczyn, życzy sobie wojny.

Pałac królewski jest zupełnie odosobniony w swym sprzeciwie prowadzenia wojny z „kozackim carem”. Opinia publiczna zwraca się przeciw Wiktorii i Albertowi. Prasa, dobrze wiedząc, kto w tym małżeństwie siedzi pod pantoflem, niecierpliwi się powolnością rządu, wzywa Palmerstona do powrotu na stanowisko ministra spraw zagranicznych, bo gdy on obejmie ster, Anglia nie będzie zwlekała z wypełnieniem swego obowiązku. Pojawiają się wzmianki, zarzucające Albertowi spisek, uknuty celem usunięcia Palmerstona z zajmowanego poprzednio stanowiska, oskarża się również księcia małżonka o prowadzenie intryg ze swymi zagranicznymi kuzynami, by popierać despotyzm Romanowów i Habsburgów. Zarzuty te nie są zupełnie bezpodstawne. Lord Maidstone pisze, że księżę nie ma prawa uczestniczyć w audiencjach, których królowa udziela ministrom, nie ma prawa występować jako jej osobisty sekretarz. Jest małżonkiem, nie współwładcą. Szlachetny lord mógł z całą słuszością dodać, że Albert nie ma również prawa dyktować Wiktorii wszelkich jej posunięć. Zamiast tego jakiś nieostrożny dziennikarz, uniesiony gniewem, bo Anglię wstrzymują od udziału w wojnie, w której musi okryć się chwałą - bo czyż nie Anglia wygrała bitwę pod Waterloo? - oskarża księcia o to, że jest rosyjskim szpiegiem. Pospółstwo londyńskie przełknie nawet i to oszczerstwo.

Jeszcze bardziej zirytuje królewską parę baron Stockmar, przesyłając im analizę przyczyn ich

niepopularności. Torysi są degeneratami, wigowie po prostu republikanami, pisze Stockmar. Wiktoria musi działać z większą stanowczością: „królowa jest wyższa ponad chwilowego szefa rządu, jest sama stałym, niezmiennym premierem”. Wiktoria zapamięta sobie tę swobodę i niebezpieczną interpretację konstytucji. Nadejdzie czas, kiedy spróbuje tym hasłem „stałego, niezmiennego premiera” zagrozić „chwilowemu szefowi rządu”, Williamowi Ewartowi Gladstone’owi i dopiero wtedy dowie się, jak szkodliwa może być rada Stockmara.

Chwilowo królewską parę uspokajają członkowie parlamentu, którzy za podszeptem rządu wygłaszają pochwalne mowy. Królowa i książę małżonek pocieszają się myślą, że gorączka wojenna „uderzyła ludziom do głowy”.

Popularność królewskiej pary, tak niedawno wzniesiona na szczyty dzięki „idei wielkiego umysłu ukochanego Alberta”, w ciągu kilku krótkich miesięcy zupełnie opada.

Pewnego ranka te same tłumy, które wiwatowały na cześć koronacji dziewczęcej królowej, na cześć królewskiego wesela, otwarcia Wielkiej Wystawy - zbierają się znowu, by wyczekiwać innego widoku: brukowa gazeta zawiadomiła, że królową i księcia małżonka będą dziś prowadzić **przez** Bramę Zdrajców do więzienia stanu - Tower of London.

## Rozdział VII

### „MOI DRODZY ŻOŁNIERZE”

Dwudziesty ósmy lutego, rok 1854. Wielka Brytania wspólnie z Francją popierając Turcję, wypowiada wojnę Rosji. Prasa i szerokie tłumy w obliczu ważniejszych spraw, zaprzestają nagonki na królewską parę.

Łatwo przewidzieć reakcje królowej i księcia małżonka wobec wojny. Albert z rezygnacją przyjmuje porażkę swych osobistych dążeń do triumfu despotycznych monarchii i zabiera się do wypełniania tego, co teraz jest jego podstawowym obowiązkiem. Niedawne życzenia Wiktorii szybkiego zwycięstwa Rosjan, ulegają radykalnemu przeobrażeniu w ciągu jednej nocy. Teraz składa na „jednego człowieka - cara” winę za wybuch wojny. Z nieprawdopodobną naiwnością miesza sprawy ważne z drobnostkami i dowodzi, że błędy i wady cara Mikołaja i jego podwładnych są rezultatem „okropnie niezdrowej atmosfery”, wynikającej ze zwyczaju trzymania okien zamkniętych przez całą zimę! „Naszym postępowaniem”, pisze Wiktoria, „kierowały stale względy altruizmu i uczciwości”. Niekoniecznie, ale niech będzie.

Nikt z poddanych królowej nie okazuje teraz większego entuzjazmu wojennego od niej samej. Wstaje o wpół do siódmej w mglisty poranek, by pożegnać „swoich drogich żołnierzy”, odpływających na Krym. Nawiedzają ją atawistyczne tęsknoty za przywdzianiem lśniącej zbroi, wzywają ją cienie Joanny d’Arc i Elżbiety I. Wszystko to jest w jej oczach jeszcze jedną wariacją na temat „księżniczki z czarodziejskiej bajki”.

Może ta dziecinada mniej szkód przynosi od świadomego wścibstwa księcia Alberta. Gdy jego żona adoruje każdego umundurowanego potencjalnego bohatera, Albert przyjmuje generałów krótkim, sztywnym ukłonem, wcale nie zachęcającym do heroicznego wysiłków. Księżę małżonek pracuje od bladego świtu do północy - z jego biurka płynie potok dokumentów, korespondencji, zaleceń. W ciągu tej wojny zapisał pięćdziesiąt tomów *in folio*. Niektóre z jego ocen i rad przejawiają niewątpliwie zdrowy rozsądek. Ale płyną takim potokiem, że ministrowie nie umieją sobie z tym zalewem poradzić i popadają ze znużenia w bezczynność.

Elektryczny telegraf wynaleziono akurat w samą porę, by skrócić łączność między Londynem a Krymem z dziesięciu dni do dwudziestu czterech godzin. Cały sztab polowy po czternaście godzin dziennie zajęty jest odpowiadaniem na korespondencję. Księżę proponuje utworzenie Niemieckiej Legii Cudzoziemskiej, by pomóc „drogim żołnierzom” Wiktorii. Ale wojsko brytyjskie czuje się tym głęboko urażone. Dlaczego niemiecka? - pytają i ironicznie proponują zaciągnąć do Legii - czerwonoskórych Indian. Jeden z posłów do parlamentu nosi się z zamiarem oskarżenia księcia o niekonstytucyjne interweniowanie w sprawy wojskowe.

Tymczasem wojskom brytyjskim pomoc rzeczywiście bardzo by się przydała. Nie ma doskonałego żołnierza, jakim niegdyś był młody Wellington, który swoją energią przepchnąłby się przez butwiejącą niekompetencję sztabu. Lord Raglan, naczelny wódz ekspedycji, wprowadzie służył

pod Wellingtonem podczas wojny na Półwyspie Iberyjskim, ale było to przed pół wiekiem. Staruszek do końca wojny krymskiej będzie nazywał nieprzyjaciół „Francuzami”, jak niegdyś w Hiszpanii... Wszyscy generałowie dywizji prócz jednego przekroczyli siedemdziesiątkę. Jedyna taktyka, jaką znają, to ta, którą stosowali przeciw napoleońskim marszałkom. Nikt po stronie sprzymierzonych nie zna terenu, na którym mają walczyć. Uznano, że półwysep Krymski łatwo będzie odciąć od ładu ogniem zaporowym z dział okrętowych - dopóki się nie okazało, że morze z trzech stron przesmyku pod Sewastopolem ma ledwie metr głębokości.

Broń i ekwipunek żołnierzy są w podłym gatunku i do<sup>1</sup> tego w niedostatecznej ilości, oprócz broni palnej: rozporządzają bowiem najnowszymi strzelbami przeciw przestarzałym muszkietom rosyjskim. Nikt nie pomyślał, że zimą na Krymie potrzebna będzie ciepła odzież. Brak statków do przetransportowania nawet tych skromnych ilości dostaw, które są do dyspozycji. Transport drogą lądową prawie nie istnieje.

Na szczęście, wojska rosyjskie są w niewiele lepszym stanie. Wszystko tu skrzypi i kuleje. Organizacja przypomina czasy feudalizmu. Regiment należy do pułkownika, nie pułkownik do regimentu. Jeśli pułkownik się zmęczy i wyjeżdża do domu, regiment idzie razem z nim!

We wrześniu 1854 roku królowa radośnie celebruje zwycięstwo swoich i francuskich żołnierzy pod Almą. Niewiele było warte to zwycięstwo, ale wywalczyli je żołnierze, można powiedzieć, na przekór własnemu dowództwu. Alianccy generałowie nie ustalili wspólnego planu. Spróchniałych sztabowców ze złotym szamerunkiem uratowało od klęski doskonałe połączenie - francuskiej brawury z angielską, zdyscyplinowaną wytrzymałością. W listopadzie znowu sukces - pod Inkermanem. Żadna z tych bitew nie przynosi większych rezultatów. Generałowie są tak zdumieni własnymi zwycięstwami, że nie potrafią ich wyzyskać, nie prowadzą wojsk do natychmiastowego szturm na Sewastopol. Nie ma, nie ma młodego, energicznego Wellingtona... Nie myśląc o trudach, na jakie będą narażone wojska, nie zabezpieczone na zimę, sztab decyduje się na konwencjonalne, długie oblężenie miasta - za którego murami młody rosyjski oficer zaczyna spisywać wrażenia z wojny, które zapewnią mu nieśmiertelność. Nazywa się Lew Tołstoj.

Talent administracyjny Alberta, chociaż nadmiernie płód-ny, jest jednak bardzo potrzebny Anglii. Wśród sporej ilości plew jego krytyk i sugestii jest też dużo zdrowego ziarna, które okazuje się cenne i wartościowe, gdy sprawy przybierają zły obrót. Formuje się Legię Cudzoziemską, nie tylko niemiecką; powstają magazyny wojskowe na Malcie, co ułatwia transport, wprowadza się regularne sprawozdania o kondycji oddziałów na Krymie. Albert proponuje również „obóz przygotowawczy”, który będzie zalążkiem przyszłego wielkiego ośrodka mobilizacyjnego i szkoleniowego w Aldershot, o 40 km od Londynu. Książę - którego jeszcze tak niedawno oskarżano o szpiegostwo na rzecz Rosji, żądając uwięzienia go razem z żoną w Tower of London - teraz staje się fanatycznym zwolennikiem kontynuowania wojny. Próbuje wciągnąć jako sprzymierzeńca króla Fryderyka Wilhelma pruskiego i spotyka się z odmową; zbyt wiele łączy Prusy z carskim despotyzmem. Nadludzkie, nieustanne trudy Alberta, które wyczerpują siły ministrów, dla niego samego są już przysłowiowym gwoździem do trumny.'

Jest to pierwsza kampania wojenna, w której cywilna ludność Anglii otrzymuje dokładne informacje o sytuacji i stanie wojsk. William Howard Russell, korespondent wojenny „Timesu”, zdobywa sobie stawę szczegółowymi sprawozdaniami, w których przedstawia rozpaczliwe cierpienia żołnierzy, beznadziejną nieudolność maszyny militarnej i jej dowództwa. Jego depeche budzą falę gniewu przeciw premierowi, lordowi Aberdeen - „którego energia nie dorównuje jego

zacności”, jak pisze współczesny pamiętnikarz - i przeciw ministrowi wojny. Prasa i opinia publiczna łączą się w żądaniu zmiany rządu. Rozlegają się głosy, żądające postawienia u steru rządów „silnego człowieka”. O kim mowa - jasne jest zarówno dla Wiktorii-Alberta, jak i dla wszystkich innych. W tej krytycznej godzinie kraj wzywa dawnego zawadiackiego bohatera - lorda Palmerstona.

Lord Aberdeen, dawny poplecznik Sir Roberta Peela, ugina się przed burzą. Albert rozumie jasno, że tylko Palmerston potrafi stworzyć i pokierować silną administracją, zdolną po-pchnąć tę przeciągającą się wojnę do szczęśliwego zakończenia. Wiktoria uważa tę myśl za „osobiście dla niej bardzo przykrą”. Albert przekonuje ją, że koalicja wigów i dawnych zwolenników Sir Roberta Peela, na której oprze się nowy rząd, skutecznie pohamuje nazbyt ekscentryczne wybryki Palmerstona. Dnia 4 lutego 1855 roku dawny przeciwnik księcia w polityce zagranicznej, teraz siedemdziesięcioletni, z powrotem wraca na ring.

Ale tym razem Albert i Palmerston nie mają o co się kłócić. Obaj mają przed sobą jeden główny cel. Do tego nowy premier wcale nie przejmuje się tym, że jest „osobiście bardzo przykry” dla królowej, która tylokrotnie już zmieniała swoją opinię - i o Sir Robercie Peelu, i o księciu Wellingtonie, i o innych swych doradcach.

Wiktoria nadal entuzjazmuje się wojną. Początkowo powracający generałowie odmalowywali w różowych barwach położenie „jej drogich żołnierzy” na Krymie. Jednakże korespondencje Russella przekłuły ten balon zakłamania. Nawet generałowie muszą teraz przyznać, że ludzie padają ofiarą cholery i dżynterii, że obłazi ich robactwo, że żywią się wiecznie tą samą peklowiną bez żadnych warzyw, że nie mają tytoniu ani mydła. „Wojsko waszej królewskiej mości wygląda bardzo brudno” - powie ze wstydem jeden z wyższych oficerów. Nie strzyżone wąsy zamarzają nad ustami żołnierzy.

A młoda latorośl rodu Nightingale’ow, której dano imię miasta Florencji, wbrew oburzeniu i sprzeciwom rodziny została wykwalifikowaną pielęgniarką szpitalną. W szczęśliwym przebiegu zdrowego rozsądku rząd lorda Aberdeena wysłał ją z małą grupką pielęgniarek - ochotniczek na Krym, by niosła ulgę cierpiącym żołnierzom i wprowadziła trochę ładu do służby zdrowia, kierowanej przez zbutwiałą biurokrację, załamującą się pod ciężarem dziesiątek tysięcy rannych i chorych. Florencja Nightingale obliczy później, że z dwudziestu pięciu tysięcy „drogich żołnierzy”, którzy zginęli w kampanii krymskiej, szesnaście tysięcy oddało życie z powodu nieudolnej organizacji.

Wiktoria przestaje wymachiwać szabelką i sięga po igły. Szyje odzież, szydełkuje rękawice i szaliki. Mówi, że chciałaby pojechać razem z Florencją Nightingale - może nawet sama w to wierzy. Wie ostatecznie, że nie grozi jej ryzyko przetłumaczenia tej wiary na uczynek. Brud, nędza, cierpienie, krew, rany, choroby - Wiktorię mierziło to zawsze, a na miejscu Florencji Nightingale zwyczajnie zachorowałaby, sprawiając swoją osobą jeszcze więcej zamieszania i kłopotów. Do> tego, Florencja nie zareagowałaby na sążniste listy o wyrabianiu charakteru atakiem hysterii, lecz po prostu uderzeniem w twarz. W każdym razie Wiktorię pożera zazdrość, bo kiedy Florencja ulega fetorze podczas swej pracy w szpitalu polowym, żołnierze zasypują ją owocami i kwiatami, które zdobywają najdziwniejszymi, im tylko wiadomymi sposobami.

Oblężenie Sewastopola przeciąga się w nieskończoność. Między oficerami i żołnierzami sprzymierzonych armii wybuchają stale waśnie. Albert decyduje, że należy uczynić jakiś gest na najwyższym szczeblu, który wpłynąłby na poprawę atmosfery. Cesarz i cesarzowa Francji otrzymują zaproszenie do Anglii. Wiktoria oczekuje tej wizyty z niepokojem. Mało wie o Napoleonie III, prócz tego, że zajął miejsce jej przyjaciół, króla Ludwika Filipa i jego rodziny.



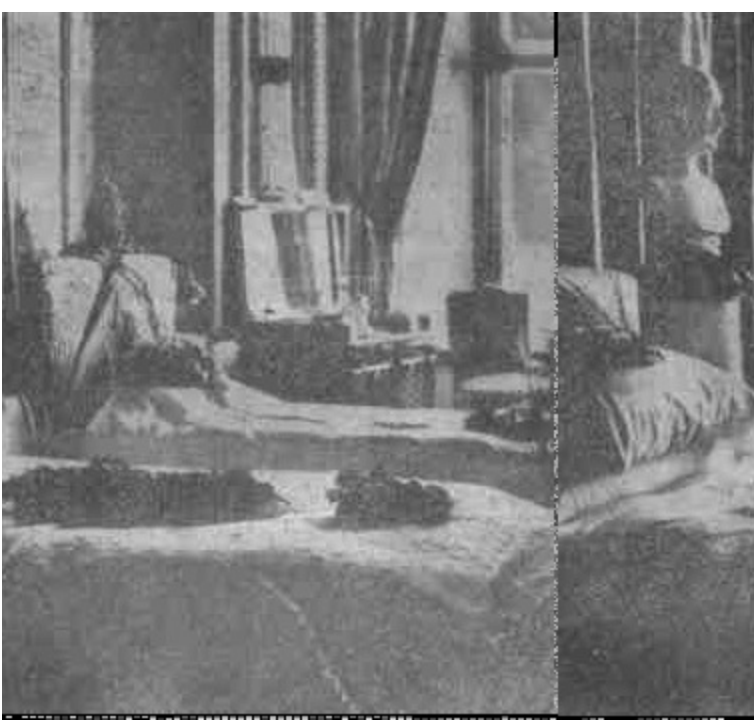
Cesarz Francuzów chciałby, jak się zdaje, rywalizować z osiągnięciami Napoleona I, ale nie ma za grosz geniuszu, który cechował Bonapartego. Dopóki był na wygnaniu, głosił patriarchalne idee, które miały przede wszystkim ulżyć doli ludzi pracy. Teraz upiększa Paryż i stara się uczynić go ośrodkiem sztuk pięknych i życia intelektualnego całej Europy - nie bez powodzenia. Naśladuje Alberta w popieraniu handlu i planowaniu międzynarodowych wystaw.

- Imię Napoleona - oznajmia - jest programem samo w sobie.

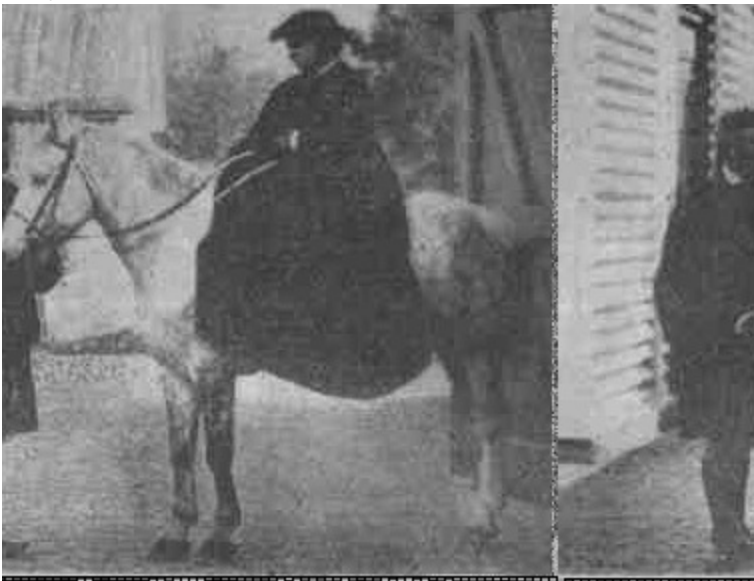
W rzeczywistości jest to program wojen, czasem po stronie sił postępowych, czasem zachowawczych, ale zawsze zaspokajających osobiste ambicje cesarza. Jest tak wojowniczy, że chciał-by wyjechać na Krym i objąć osobiście naczelne dowództwo. Jednym z celów zaproszenia go do Anglii jest wyperswadowanie mu tego zamiaru, który oczywiście utrudniłby sytuację dowództwa wojsk brytyjskich.

Więc gdy coraz więcej brytyjskich i francuskich żołnierzy umiera z powodu zimna, głodu i epidemii pod Sewastopolem, w Londynie i Windsorze czyni się gorączkowe przygotowania na przyjęcie pary cesarskiej. Przepych jest rozkazem dnia. Należy zaimponować cesarzowi i jego świcie. Do apartamentów przeznaczonych dla dostojnych gości kupuje się nowe obicia, dywany, meble. Baldachimy nad łózkami są z fioletowego jedwabiu, obszywanego piórami, ze złotym orłem i literami LN i El, wyhaftowanymi zieloną nicią. Czy rzeczywiście koronowane głowy lepiej sypiają dzięki temu jaskrawemu blichtrowi? Sala Waterloo zostaje taktownie przemianowana na Salę Muzyczną. Na ceremonialnym obiedzie pierwszego dnia wizyty, sala bankietowa roi się od gości, błyszczą od szamerowań i jaskrawych mundurów, gwiazd, orderów, lśniących jedwabi i klejnotów. Na ścianach portrety angielskich bohaterów, na stołach złota zastawa angielskich królów.

Cesarz jest niskiego wzrostu, cienki w pasie, o głowie zbyt dużej w stosunku do ciała, o wysokim czole, wąsach długich, nawoskowanych. Wiktorię ten Francuz początkowo trwoży. Pamięta, że wuj Leopold po objęciu władzy przez jej obecnego gościa wyraził się: „To jakby się nagle znalazło źmiję we własnym łóżku i leżało nieruchomo, by nie zirytować tego okropnego stworzenia”. Jednakże Wiktorię niebawem podbija osobisty urok cesarza, jego galanteria, dowcip, wysokie mniemanie, jakie ma o „najdroższym Albercie” - którego nawiasem mówiąc, Albert nie odwzajemnia. Zręczny dyplomata, Napoleon schlebia jej, do niej się wciąż zwraca, zasypuje ją taktownymi komplementami i traktuje jak piękną kobietę - czym biedna Wiktoria już dawno nie jest. Francuzi lepiej od Niemców potrafią to robić, ale ponieważ Wiktoria ma sympatię do Niemców, a żadnej do Francuzów, więc upiera się przy twierdze-



Błękitna Komnata



Królowa Wiktorja i John Brown niu, że jej gość bardziej przypomina Niemca niż Francuza. W oczach realistycznego Alberta cesarz w niczym nie przypo-pomina Niemca. Jest tylko Francuzem - i wobec tego von Coburg nie może mu ufać.

O cesarzowej Eugenii jedni powiadają, że jest córką lorda Palmerstona, inni, że lorda Clarendona. Jej matka, Manuela, żona hiszpańskiego księcia de Montijo, kładzie kres tym wszystkim plotkom, oznajmiając w rozmowie ze swoim zięciem:

- *Mais Sire, les dates ne correspondent pas!*\*

Cesarzowa Engenia nosi krynolinę, którą modne panie po raz pierwszy oglądają na ziemi angielskiej i ujmuje Wiktorję, ponieważ chętnie ustępuje jej prawa pierwszeństwa we wszystkich ceremoniach, jest spokojna i małowówna i nie próbuje flirtować z Albertem. Cicha woda brzegi rwie. Eugenia opanowała Napoleona prawie w takim samym stopniu, w jakim Albert opanował Wiktorję.

Główny cel wizyty zostaje w każdym razie osiągnięty. Zdołano przekonać cesarza, że nie byłoby rozsądnie opuszczać Francji, gdzie jego stryj, były król Hieronim i jego kuzyn, książę Napoleon, z pewnością spróbują intrygować przeciw niemu podczas jego nieobecności. Podejrzenia, jakie żywi

cesarz w stosunku do swych krewnych, jeszcze się pogłębiają, gdy wkrótce po powrocie cesarza do Paryża, tylko szczęśliwym trafem udaje mu się uniknąć śmierci z rąk zamachowca.

Albert powraca do swoich depesz i sprawozdań. Wiktoria, przystrojona w suknię koloru lila, zieloną mantylkę i biały cze-peczek, na uroczystej ceremonii w maju 1855 dekoruje medalami bohaterów krymskiej wojny - niektórych o kulach, innych w fotelach na kółkach, albo z pustym rękawem na piersi. Królowa jest rozentuzjasmowana.

„Wielu z tych żołnierzy uśmiechało się do mnie, inni nie odważali się spojrzeć... wszyscy dotykali mojej ręki, po raz pierwszy prosty żołnierz mógł dotknąć ręki swego suwerena...

\* Ależ Sire, daty się nie zgadzają!

Dumna jestem że dzisiejszego dnia zadzierzgnięty został nowy węzeł łączący tych nisko urodzonych wiarusów z ich suwerenem.”

Ceremonia odbywa się gładko. Zachowano *decorum*. Nikt nie wykrzyknął obraźliwego słowa. Ale „prości żołnierze... nisko urodzeni wiarusi”, marznący w lodowatym błocie pod Sewastopolem, z irytacją i pogardą mówią o nagrodzie, jalką okaleczeni koledzy otrzymują z rąk suwerena. Srebrne medale - może wybijane przez ową zwariowaną maszynę, wynalazek eksponowany na Wielkiej Wystawie? - nazywa się powszechnie „półkoronówką i wstążeczką za groszaka”. Woleliby dotknąć kojącej cierpienie ręki Florencji Nightingale, ich dobroczynnego anioła, który niesie im ulgę, wrywa chorobie i terroryzuje zbiurokratyzowaną, nieudolną służbę zdrowia na froncie.

W trzy miesiące po wizycie francuskiej pary w Windsorze odbywa się z równą pompą rewizyta w Paryżu. Wiktoria uważa Paryż za „najweselsze, najprzyjemniejsze miasto, jakie sobie można wyobrazić”, zachwyca się jego czystą, bez mgieł i dymów atmosferą, jasnym słońcem, białymi domami, trzymającymi straż ciemnoskórymi żuawami. Wiktoria: „bardzo dobrze się bawię!” Sztuczne ognie w Wersalu, włącznie z tym klasycznym okropieństwem: oświetlonym modelem zamku Windsor, przypadają do gustu Wiktorii, skłaniającej się ku wulgarnemu przepychowi. Określa to jako „śliczny dowód uwagi”. Paryska wizyta jest dla Wiktorii jakby krótkim powrotem do tych dni, kiedy zaznawała nieskrępowanej wesołości jako młodzianka dziewczęca królowa - a powrót ten wyczarował zręczny cesarz, a nie sztywny i przyciężki Albert. To cesarz planuje śmiało wyprawy ‘karetami, pędzącymi na złamanie karku, przepyszne bale i galowe przedstawienia w teatrze, wycieczki na prowincję, urocze, kameralne przyjęcia w komnatach, po których niegdyś przechadzali się dawni monarchowie Francji.

Kiedy Napoleon - „nadzwyczajny”, „romantyczny”, „fascynujący” - używa całego swego uroku, by oczarować królową w imię potrzeb polityki, dla Wiktorii - pozbawionej zainteresowań intelektualnych - jest to wszystko cudowną odmianą po wieczorach z „najdroższym Albertem”, spędzanych na lekturze, muzyce i kazaniach o wyrabianiu własnego charakteru i obowiązkach suwerena.

Cesarzowa jest wysoka, smukła, dystygowana, nieskazitelnie ubrana - i oczekuje dziecka. Stojąca obok niej królowa usiłuje zachować monarszą godność pomimo niskiego wzrostu i pokaźnej tuszy. Nic dziwnego, że paryżanie śmieją się w kulak. Świta cesarza szeroko otwiera oczy i potrzasa głowami na widok najpiękniejszego kapelusza Wiktorii, mieszczącego wszystkie kwiaty ogrodów, jej sukni w deseń z ogromnych pelargonii, jej ordynarnego zielonego parasola i torebki z wyhaftowanym białym pudlem. Stary generał Ganrobert pomrukuje:

- Niemiecka wulgarność!

Cesarz flirtuje zapamiętałe ze swym królewskim gościem. Wiktoria przybywszy do St. Cloud

zauważa, że gdyby nie nieobecność jej pieska, czułaby się tu zupełnie jak u siebie w domu. Cesarz wzywa sekretarza, szeptem wydaje mu polecenie. W trzy dni później, gdy Wiktoria wraca z przejażdki do swych apartamentów, wita ją jej piesek. Przy innej sposobności Napoleon zrywa kwiat pomarańczy i ofiarowuje go jej z westchnieniem, a ruszając znacząco długimi wąsikami, wyszeptuje prośbę, aby ten kwiat zasuszyła i zachowała na pamiątkę po nim. Matka ośmiorga dzieci zdobywa się w odpowiedzi również na westchnienie. Ostatecznie Wiktoria nie ma jeszcze czterdziestki, a niewiele zaznała w życiu komplementów. A jeśli uroda jej już przekwitła - to komplementy i atencje tego rodzaju stają się tym cenniejsze. Poza tym dodają jej miłej pewności siebie, którą zatraciła w pożyciu z Albertem.

Zachowanie Alberta jest szczególnie irytujące. Nie okazuje ani cienia zazdrości. Jest uprzejmy, nawet bardzo uprzejmy w stosunku do pary cesarskiej. Ale też Albert wybrał się z tą wizytą tak, jak wybrał się poślubić Wiktorię - to jego obowiązek. Więc starannie obowiązek ten wypełnia w miarę swoich sił i uzdolnień. Prócz tego, nie przywykły do wybornej, ale odmiennej kuchni francuskiej, Albert nabawia się niedyspo-zycji żołądkowej, co nie nastraja go przyjemnie. W towarzystwie lorda Glarendona przesiaduje długimi godzinami na naradach z cesarzem albo z jego ministrami. Tańczy poprawnie, ale sztywno, widać, że mu to żadnej przyjemności nie sprawia. Późno wieczorem jeszcze pisze zalecenia dla generałów na Krymie i dziennik podróży. Bierze udział we wszystkim, nie cieszy go nic. Nawet gdy wydaje się, że jego ciało odpoczywa, umysł nadal pracuje. Wszedł już w koleinę nieustannej pracy ponad siły, której niedalekim kresem będzie przedwczesna śmierć.

Nawet dla Wiktorii, która chodzi oszołomiona drugą wiosną swego życia, wizyta nie jest pozbawiona nieprzyjemnych epizodów: złośliwy i zawistny książę Napoleon, o wyglądzie zawodowego zabójcy, wypowiada rozmaite przykre uwagi z diabo-licznym uśmiechem; stryj cesarza, Hieronim, odmawia uczestniczenia w ceremoniach, ponieważ musiałby ustąpić prawa pierwszeństwa Albertowi. Wreszcie spotkanie z księciem Bismarckiem, ciężko zbudowanym i' posepnym, który za dwadzieścia pięć lat zdławi piękny Paryż swoim żelaznym butem.

Razem z Wiktoria i Albertem przyjechali do Paryża ich najstarsza córka i najstarszy syn. Czternastoletni książę Walii przyciąga oczy wszystkich: krępy, dobrze zbudowany, w klasycznym szkockim stroju: spódniczka, króciutka kurtka, kraciaste pończochy do kolan, wysadzany klejnotami sztylecik, oprawny w srebro „*sporran*”, czyli torba, i beret - „*tam o' shanter*”. Z rodzicami i cesarską parą udaje się do grobu Napoleona I - przy świetle pochodni - i tam, „dziwne to zaiste”, według słów Wiktorii, klęka obok matki, by modlić się za człowieka, którego niespełnionym snem był podbój Anglii. Chłopiec ulega urokowi i żywotności obecnego cesarza, i kiedy podczas przechodki z nim powie:

- Chciałbym być pana synem - słowa te są jakby nieświadomym wyrokiem na własnego ojca.

Młody książę błaga cesarzową Eugenię, by poprosiła jego rodziców, żeby pozwolili jemu i jego siostrze pozostać jeszcze we Francji.

- Ale rodzicom będzie was brakowało - odpowiada Eugenia.

- Nas brakowało? - wykrzykuje chłopiec. - Z pewnością nie! Jest tam jeszcze sześcioro w domu i nikomu nie będzie nas brakowało.

Ma może niezupełnie rację, jest to tylko półprawda. Wiktoria niby kocha swoje dzieci, ale najwięcej zależy jej na tym, by przynosiły jej zaszczyt. Dla Alberta jego dzieci - oprócz najstarszej córki, do której jest szczerze przywiązany - są obiektami, na których może praktykować swoją namiętność udoskonalania innych.

- Gzy to nie dziwne - powie Wiktorja do lorda Clarendona ostatniego wieczoru w Paryżu - że cesarz pamięta każdą suknię, w której mnie widział?

Minister spraw zagranicznych zastanawia się, czy cesarz miał może sposobność zapamiętać Wiktorję - bez sukien. Niesłusznie. Zręczny cesarz bez wątpienia asystował Wiktorji tak zapamiętane, że teraz i ona wyobraża sobie, że jest w nim odrobinę zakochana i pod wpływem mocniej bijącego serca pozwala sobie nawet wyrazić zdanie, którego nic podyktował jej na pewno Albert:

- Nie obawiałabym się powiedzieć mu niczego. Czuję się przy nim - nie wiem jak to wyrazić - taka bezpieczna!

Błyskotliwość Napoleona przypada jej do gustu. Drugi pochlebca, który również będzie zasypywał ją komplementami - z górą dziesięć lat później - będzie równie błyskotliwy i efektowny. Benjamin Disraeli. Teraz Wiktorja nieostrożnie zapisuje w swoim dzienniku przepowiednie o trwałości „unii dwóch narodów i dwóch suwerenów... najściślejsze przymierze, jakie może istnieć między dwoma niepodległymi, wielkimi narodami”. Długie, nawoskowane wąsy, zasuszone kwiaty, szepty i westchnienia istotnie osiągnęły cel: oczarowały Wiktorję.

Albert bynajmniej nie „czuje się bezpieczny” przy Napoleonie. Nie podziela też optymistycznych zapewnień swojej żony: „Myślę, że potrafimy utrzymać go na właściwym kursie” - niezależnie od tego, co właściwie Wiktorja ma na myśli. Albert rozpoznaje awanturnika w tym świetnym cesarzu. A jego przewidywania, nie zaćmione żadnymi kwiatami ani westchnieniami, okazują się słuszne. Przymierze z ledwością przetrwa do końca wojny krymskiej. Napoleon nie kochał się w Wiktorji ani „odrobinę”: flirtował z nią po to, by zapewnić sobie poparcie Anglii albo przynajmniej jej neutralność w odniesieniu do własnych planów owładnięcia Europą. Kiedy następnym razem Napoleon i Wiktorja się spotykają, nie będzie już westchnień ani zasuszonych kwiatów. Napoleon III będzie już miał kochankę - panią Walewską, żonę nieślubnego syna Napoleona I.

Londyn wydaje się po powrocie szary, i nawet Albert nudny. Ale rodzina królewska wyjeżdża wkrótce do Balmoral, a tam przygnębienie, które opanowało Wiktorję po tylu podniecających wrażeniach, rozpędzi wiadomość, że padł Sewastopol. Na kamiennym kopcu rozpala się ognisko, a rodzice ze starszymi dziećmi, świętą i dzierżawcami tańczą dokoła coraz prędzej i prędzej wielkim kołem. Albert nazwie to w liście do brata: „prawdziwym sabatem czarownic, popędzanych alkoholem”.

Kiedy pierwsze wrażenia dobrej nowiny i alkoholu wyparowały, wraca posępna reakcja, wywołana zresztą nie tylko bólem głowy. Dokładniejsze informacje podają, że atak Brytyjczyków na Sewastopol został odparty; twierdza dostała się w ręce Francuzów. „Drodzy żołnierze” zawiedli, pomimo srebrnych medali. Albert i Wiktorja nie chcą słyszeć o zawarciu pokoju. Wojsko brytyjskie musi odnieść najpierw wspaniałe zwycięstwo. „Drodzy żołnierze” muszą udowodnić, że cenią sobie te wszystkie poświęcenia, jakie Wiktorja dla nich ponosi, włącznie z szydełkowaniem rękawic. Muszą zostać na Półwyspie Krymskim jeszcze przez jedną długą zimę - dopóki głód, mróz, błoto i choroby nie zbiorą drugiego, straszliwego żniwa.

Albert wraca do swojej własnej, papierowej wojny z rządem i generałami. Wiktorja, w zacisznej komnatce, z irytacją rzuca na ziemię szydełkową robótkę.

## Rozdział VIII

# CZYŻBY DZIEDZICZNA CHOROBA?

Po dziedzińcu zamku Carisbrooke na wyspie Wight bez przestanku, w koło i w koło, chodzi osioł, obracając kierat. Albert przygląda się zwierzęciu przez dłuższą chwilę, wreszcie odwraca się i przykładając rękę do czoła, mówi jakby do siebie:

- Doskonały wizerunek mojego życia.

W letnich rezydencjach Wiktoria odpoczywa, bawi się z dziećmi, odgrywa rolę dobrej wróżki wieśniaków, entuzjazmuje się przejażdżkami konnymi, urządza pikniki. Albert zawsze uparty, chce być niezastąpiony. Ma uraz na tym tle. Więc nie tylko w pałacu bućkinghamskim i na zamku Windsor, ale także w rezydencjach w Osborne i Balmoral, na wycieczkach jachtem, zamęcza się sprawami administracyjnymi, z których większość to drobiazgi i powinien by je pozostawić swoim sekretarzom i kancelistom. Zapomina, że istnieją granice wytrzymałości nawet dla osła w kieracie.

Upiera się również przy próbach rozwiązywania różnych problemów domowo-familijnych - jak „zapasy materiałów łatwopalnych” jego żony - metodami, którymi nie dadzą się one rozwiązać. Chciałby także rozstrzygać każdy kłopot z dziećmi. Zachowuje się rzeczywiście tak, jakby już zdawał sobie sprawę z szybko zbliżającego się kresu.

Niefortunna taktyka, jaką stosuje wobec żony, nie przyczynia się do wyrobienia u niej „siły woli”. Z latami jej kaprysy, wybuchy irytacji i wynikające stąd kłótnie z mężem raczej się nasilają, zamiast ustawać. Jeżeli minie jakiś trudniejszy okres - połóg, kryzys polityczny - a Wiktoria nie wpadnie w gniew, Albert nie pominie sposobności, by jej tego pogratulować. A gdy królowa zgadza się przyjąć w Balmoral grupę uczonych, Albert chwali ją za ten uczynek, jako dowodzący, że chciałyby być „dobra, towarzyska i nieegoistyczna”. Psychologiczne rezultaty tej taktyki są jak najgorsze. Wiktoria zarzuca mu brak zrozumienia i sympatii. Albert odpowiada, że to wytwór jej wyobraźni: powinna zachowywać spokój i pogodę ducha i okazywać mu zaufanie.

Wiktoria lojalnie próbuje przebrnąć przez lekturę, którą Albert wyznaczył jej celem „kształcenia, doskonalenia i informowania” jej umysłu. „Chata wuja Toma” Harriet Beecher-Stowe bardzo jej przypada do gustu, ale wielotomowa „Historia Anglii” Macaulaya, chociaż pisana przepięknym stylem i chociaż ponoć nawet samoucy z klas rzemieślniczych zachwycają się tym dziełem, okazuje się ponad siły i możliwości Wiktorii. Albert bywa zdumiewająco ślepy. Tylko ślepiec może się spodziewać, że jego „elementarna”, kierująca się instynktami i emocjami żona, oceni walory takiej książki.

Lektura Alberta z owego okresu zawiera długą serię tak zwanych „świeckich kazań” - zatytułowanych: „Zapobiegliwość i oszczędność”, „Wyrabianie charakteru”, „Obowiązek” itp. - o cnotach uczciwości i pracowitości, które mają być oczywiście wynagrodzone materialnym powodzeniem. Jest to wiara zamożnych przemysłowców i ludzi interesu, którzy rozpowszechniając owe świeckie kazania, mają nadzieję osłabić bojowość klas robotniczych i „złośliwość” szybko

rozwijających się związków zawodowych, głoszących potrzebę własnej zjednoczonej działalności, zamiast ufania banałom, wygłaszanym przez pracodawców. Albert czyta esej Johna Stuarta Milła „*O wolności*” z niechęcią i oburzeniem, a Darwina „*O pochodzeniu gatunków*” z mieszaniną intelektualnego podniecenia wobec naukowych horyzontów, jakie otwiera i instynktownego strachu przed wpływem tego dzieła na „objawioną” religię.

Wiktoria musi wyrzec się nadziei, że jej „drodzy żołnierze”, których jeszcze tysiące zmarło zimą na przełomie lat 1855 i 1856, odniosą chlubne zwycięstwo, zanim wolno im będzie opuścić krymskie cmentarzysko. Francuzi, dziesiątkowani chorobami, odmawiają kontynuowania wojny. W marcu 1856 Albert-Wiktoria zgadzają się na pertraktacje pokojowe - z których Francja, jak to zaplanował zręczny cesarz, wychodzi jako pierwsze mocarstwo Europy.

Jeśli chodzi o Anglię, to tylko jedna osoba zyskała w tej wojnie wielką i dobrze zasłużoną sławę - Florencja Nightingale. Zatriumfowała nad najwyższymi oficerami i zapleśniałymi tradycjami wojskowej biurokracji. Kobieta o wybitnym talencie organizacyjnym i administracyjnym, o nieprzeciętnej, więcej niż męskiej sile charakteru, Florencja wbrew przeszkodom i na przekór złośliwym kalumniom dygnitarzy lekarskich, ratowała życie tysięcy chorych i rannych „drogich żołnierzyków”, założywszy w Skutari nowoczesny szpital polowy, pierwszy tego typu na świecie z kwalifikowanymi pielęgniarkami i potrzebnym ekwipunkiem. Dzięki jej pracy śmiertelność wśród pacjentów spadła z 42 na 100 do 22 na 1000. I tę kobietę nawiedza teraz widmo - widmo chorób, którym można było zapobiec (73% tych, którzy wyjechali na ekspedycję krymską, zmarło), widmo krwi i ran tej armii zjadanych przez robactwo szkieletów ludzkich, często umierających na jej oczach, zanim jeszcze wniesiono ich do szpitala. Przez wiele lat wciąż będzie wracała do tych słów:

- Nie mogę zapomnieć. Nie zapomnę nigdy!

I rzeczywiście, dlatego że nigdy nie zapomniała tamtych widoków, Florencja Nightingale, największa może humanistka epoki wiktoriańskiej, fizycznie zniedołężniała po krymskich przeżyciach, będzie jednak nadal pracowała i działała i dojdzie do dalszych, nadzwyczajnych osiągnięć w reformowaniu i tworzeniu nowoczesnej służby zdrowia, zarówno wojskowej, jak i cywilnej. Rezultaty jej pracy będą się rozchodziły coraz dalej, jak kręgi na wodzie, a skorzystają z nich niezliczone miliony ludzi, którzy pewno nawet nie słyszeli jej nazwiska.

Nic dziwnego, że Wiktoria jej zazdrości. Nie została przez naturę wyposażona ani w zdolności, ani w usposobienie odpowiednie do takiej pracy. A ponieważ prócz tego jest tym, „kim jest”, więc z natury rzeczy jej działalność ogranicza się do dekorowania inwalidów medalami, przezwanymi „półkoronówką i wstążeczką za groszaka” i do pisania:

„Dniem i nocą królowa myśli o swoich ukochanych żołnierzach. Tak samo księżę... Wiem, że naszą sympatię cenią sobie ci szlachetni chłopcy”.

Podkreślenie słowa „nasza” jest bardzo charakterystyczne. Jak zupełnie inna, bardziej dystygowana, cenniejsza musi być „ich” sympatia od sympatii tych na przykład „nisko urodzonych prostaczków”!

Wezwana przed oblicze majestatu do Balmoral, Florencja wywiera głębokie wrażenie na księciu, z którym rozmawia o metafizyce i religii, nie tylko o sprawach krymskich. Wiktoria tylko się przysłuchuje.

„Przedstawiła nam - pisze Albert o Florencji - wszystkie wady naszego obecnego szpitalnego systemu wojskowego i plan koniecznych reform. Bardzo nam się podobała: jest niezwykle skromna”.

Wiktoria zaspokaja swoje ciągoty do militarnej chwały na manewrach w Aldershot:

„Nigdy nie byłam tak absolutnie w środku wojskowych przedsięwzięć - otoczona oddziałami żołnierzy ze wszystkich stron. To bardzo podniecające”.

Florencja Nightingale wie, jak mało „podniecająca” bywa czasem prawdziwa wojna.

Szczytem tych wojennych ceremonii jest uroczysta parada wojskowa, którą Wiktoria przyjmuje przystrojona w szkarłatny mundur ze złotymi szamerowaniami i mosiężnymi guzikami, złoty pas, spódnicę koloru granatowego, wykończoną marszczoną, białą falbanką i okrągły kapelusz filcowy z biało-czerwonymi piórami, złoto-purpurową opaską i złotymi frędzlami. Po tej trzydziestosiedmioletniej matce ośmiorga dzieci, która zachwyca się okropnościami w rodzaju „zamku Windsor”, zakreślonymi na niebie Paryża linią sztucznych ogni, można istotnie spodziewać się zachwytów nad własną, okrągłą postacią, przyodzianą w ten operetkowy kostium.

Wiktoria dosiada wierzchowca, nazwanego na cześć zwycięskiej bitwy Almą i jedzie w towarzystwie lorda Palmerstona i ministra wojny, Sir Sidneya Herberta. Żołnierze pocą się w upale w grubych mundurach i ciężkim ekwipunku, stojąc w szeregach na baczność.

\* Imponujący widok - mówi lord Palmerston.

\* Bardzo - odpowiada królowa. - Ale czy nie sądzi pan, że unosi się tu jakby... - leciutkim skrzywieniem podnosi do nosa koronkową chusteczkę.

Sir Sidney odwraca głowę, by ukryć uśmiech. Jego przyjaciółka, Florencja Nightingale, umiała w Skutari zdyscyplinować swoje powonienie, drąc chusteczki na bandażu. Złośliwy stary premier chichocze:

- Och, to właśnie, najjaśniejsza pani, nazywamy „*esprit de corps*”\*.

Dopóki trwała wojna, Albert doceniał energię i talenty swego dawnego antagonisty - Palmerstona. Teraz jednak wracają dawne waśnie i napięta sytuacja. Albert nie należy do ludzi, którzy z obojętnością śledziliby powstania, kierowane przez Garibaldiego, albo walkę Camillo Cavoura o niepodległość Włoch. A Palmerston oczywiście opowiada się całym sercem po stronie wolności Włoch. Zamienili się miejscami z lordem Johnem Russellem; ale gdy poprzednio Palmerston, jako minister spraw zagranicznych, miał przeciwko sobie nie tylko dwór, ale i premiera Russella, to teraz minister spraw zagranicznych, Russell, w swoich utarczkach z Dworem może polegać na poparciu groźnego Palmerstona. Takie połączenie to już za wiele dla

\* Duchem korpusu (wojskowego).

Wiktorii. Anglia oficjalnie opowiada się po stronie ludu i przeciwko austriackim zaborcom. Ale dzieje się to na zasadzie upartej przyjaźni pałacu buckinhamskiego z habsburskimi kuzynami.

Natomiast w innej sprawie, bardzo ważnej dla księcia, Palmerston okazuje niespodziewaną przychylność. Alberta drażni dominująca w Europie po wojnie krymskiej pozycja Francji. Do tej roli przeznaczył zjednoczone pod hegemonią Prus Niemcy, które, niezbyt realistycznie, wyobraża sobie jako monarchię konstytucyjną według wzorów angielskich. Zdaje sobie sprawę, że Fryderyk Wilhelm, aby nie utracić ziem zabranych Polsce, nie da się wyrwać z uścisku Rosji. Albert zabiera się więc do zapewnienia sobie realizacji swych planów dla Prus - w następnym pokoleniu.

Vicky, najstarsza córka, była ze wszystkich dzieci królewskiej pary angielskiej najbardziej podatna na ideologiczne kształcenie Alberta, który projektuje umieścić ją, z jej politycznym wykształceniem, jak kukulcze jajo w gnieździe Hohenzollernów. Zapewniwszy sobie współdziałanie Wiktorii i - nadspodziewanie - zgodę Palmerstona, książę zaprasza księcia Fryderyka Wilhelma (Fritza), syna następcy tronu pruskiego, do królewskiej stajni rozplodowej w Balmoral. Fritz, odpowiednio już przygotowany, gra swoją rolę doskonale. Podpowiada, kiedy chciałby zostać sam na



sam z wybraną dla niego przez hodowlanych ekspertów przyszłą oblubienicą. Nad gałązką wrzosu, którą trzyma Vicky, Fritz oświadcza się o jej rękę. Wiktoria wmawia sobie, że młoda para kocha się i jest uszczęśliwiona. Księżniczka Vicky ma znacznie mniej złudzeń. Wkrótce po swoim przybyciu do Niemiec, napisze do ojca:

„Użyteczne przymierze było prawdziwym powodem mego mariażu”.

Oficjalne oznajmienie o zaręczynach nie spotyka się z entuzjazmem w Anglii. Zdaniem opinii publicznej angielską księżniczkę poświęcono dlatego, że księżę małżonek więcej troszczy się o swoje umiłowane Niemcy, niż o przybraną ojczyznę.

„Times” drukuje artykuły, w których określa się rodzinę Fritza jako „plebejuszowską, marną dynastię niemiecką... niedawno zaangażowaną w interesie obcego protektora\* w zdławieniu ostatnich tłących się płomyków ludowego rządu”. We Francji Napoleon III jest zdumiony i obrażony. Bismarck przeżywa Koburgów „stajnią rozplodową Europy”, jakby przeczuwał, że syn tej młodej pary - odziedziczywszy porywczy temperament i władcze maniery swojej babki - przyspieszy kres ery własnej potęgi.

Pod wpływem tych odgłosów dezaprobaty z różnych stron entuzjazm Wiktorii szybko opada.

„Nie podoba mi się myśl, że nasze dziecko będzie w Berlinie.”

Jeszcze bardziej oburza się, gdy rodzice przyszłego pana młodego żądają, żeby zgodnie z tradycją ślub odbył się w Niemczech. Wiktoria pisze:

„Jakikolwiek są zwyczaje pruskich księżniczek, nie co dzień poślubia się córkę królowej Anglii”.

Berlin ustępuje. Albert upiera się przy tym małżeństwie, wbrew eksplozjom „nagromadzonych zapasów łatwopalnych materiałów”. Wiktoria sprzeciwia się małżeństwu córki teraz już nie tylko dlatego, że chodzi o Hohenzollernów. Opowiada się przeciw małżeństwu w ogóle, chociaż w swoim dzienniku nadal rozpląwa się na temat szczęścia, jakie znajduje we własnym pożyciu małżeńskim. W dzień siedemnastych urodzin swojej córki pisze:

„Ostatnie szczęśliwe urodziny naszej biednej, drogiej Vicky... małżeństwo przynosi zmartwienia, niebezpieczeństwa i próby”.

Tymczasem ojciec rygorystycznie przygotowuje Vicky do wyznaczonej jej roli nawrócenia Prus na konstytucjonalizm. Albert poświęca każdą wolną chwilę - choć miewa ich niewiele - na instruowanie jej w różnych przedmiotach, włącznie z historią starożytnego Rzymu. Fritz w ciągu trzyletniego okresu narzeczeństwa często przesiaduje w Anglii, ale nie zdradza oznak porzucenia niekonstytucyjnych poglądów pruskiego dworu ani zerwania przyjaźni z Rosją. Ale bynajmniej nie jest niezadowolony, kiedy Albert-Wiktoria wymuszają na niechętnym parlamencie posag w wysokości 40 000 funtów szterlingów i 8000 rocznych apanaży. Ma wszelkie powody do zadowolenia. Natomiast daleko do zadowolenia przegłosowanym radykałom. Dlaczego angielski podatnik ma łożyć na utrzymanie pruskiego dworu? Jeśli Albert-Wiktoria chcą, żeby ich córka dysponowała własnymi pieniędzmi i mogła kupić męża i rangę, niech sami się wykosztują. Czego jak czego, ale pieniędzy im nie brak.

Przygotowania do zaślubin córki nie przyczyniają się do większej harmonii w domowym pożyciu królowej i księcia małżonka. Wiktoria jak zawsze, rozpląwa się nad „najdroższym Albertem”, a on zrozumiałe zapewnia, że jego „miłość i sympatia są nieskończone i niewyczerpane”. Ale kłótnie się mnożą - Wiktoria jest w dziewiątej ciąży, a Albert coraz bardziej znudzony ciężarem obowiązków, które sam na siebie nałożył. Wiktoria się skarży, że Albert ma zwyczaj łajać ją w obecności dzieci.

Albert odpowiada, że gdyby Wiktoria spróbowała się opanować i nie wpadała w złość, żadne łajanie nie byłoby potrzebne.

W otoczeniu królowej wyraża się obawy, czy te nieustanne cięższe nie wyczerpią jej sił i zdrowia. Lekarz królewski oznajmia, że więcej obawia się „o stan umysłowy niż o zdrowie”. Nie po raz pierwszy pojawia się nad Wiktoria widmo jej obłąkanego dziada.

W tym samym czasie Florencja Nightingale, odrzuciwszy order, wyróżnienia i admirację, którą chciano ją otoczyć po powrocie z Krymu, prowadzi osobistą, zaciętą i pełną goryczy wojnę przeciw strupieszalnym urzędnikom w ministerstwie wojny. I ostatecznie dochodzi do powołania Królewskiej Komisji do Spraw Zdrowia w Wojsku. Tej komisji Florencja była na-tchnieniem, duchem ożywiającym, siłą napędową, a zarazem matką każdego pomysłu, który na jej posiedzeniach opracowano.

W kwietniu 1857 roku Wiktoria wydaje na świat swoje dziewiąte i ostatnie dziecko, księżniczkę Beatrycze. Oznaką różnicy między warunkami życia rodziny królewskiej a ich poddanych może być fakt, że gdy śmiertelność wśród dzieci w Anglii jest jeszcze wciąż ‘bardzo wysoka (154 na 1000, wyłączając martwe porody i niemowlęta, które umierają podczas porodu), para królewska wydała na świat dziewięcioro dzieci, nie utraciwszy żadnego i żadne z nich nie zmarło wcześniej, jak w wieku lat: trzydziestu jeden (książę Leopold) i trzydziestu pięciu (księżniczka Alicja); oboje zresztą w chwili śmierci mieli już własne rodziny i żyli na kontynencie. Przeciętna długość życia pozostałych siedmiorga wyniesie 75 lat, a dwoje z nich przeżyje dziewięćdziesiąt rocznicę urodzin. W Anglii dziewiętnastego wieku przeciętna długość życia wynosi około 45 lat. Wytrwałość i takt Florencji Nightingale doprowadzą do dokładnego poinformowania królowej i księcia małżonka o rozpaczliwym stanie opieki lekarskiej i pielęgnarskiej, zarówno w szpitalach cywilnych, jak i wojskowych. Jej świetne osiągnięcia obudziły sumienia i zyskały dla niej poparcie pary królewskiej. Ale ci, którzy krok po kroku rozwijają organizacje związków zawodowych i ideologię socjalistyczną, nie wywarli przychylnego wrażenia w pałacu buckinghamskim. Związkowców i socjalistów zrównuje się z buntowniczymi republikanami - a któryż suweren odniesie się do nich łaskawie? I Albert, i Wiktoria są jawnymi przeciwnikami demokracji. A jeśli chodzi o położenie najbiedniejszych spośród ich poddanych, to dwór stara się zawsze odgradzić od nieprzyjemnych widoków i nieprzyjemnej informacji. Królewska para nie wie właściwie nic o życiu mas społecznych poniżej wyższych warstw klasy średniej, to znaczy wyższych urzędników państwowych, ludzi interesu, sędziów, prawników, wybitnych lekarzy, uczonych.

A chociaż wiedzą o nieszczęsnej doli Irlandczyków, nie pobudzi ich to do wielkich wysiłków na rzecz poprawienia sytuacji w tym kraju. Ale w roku 1857 zrywają się do rozpaczliwego buntu ludy, zamieszkujące ziemie między Gangesem a Jumną. Ostatnią iskrą, która doprowadziła do wybuchu, było zarządzenie, zmuszające żołnierzy-krajowców w szeregach armii brytyjskiej do używania naboju smarowanego wołowym łojem. Ich koniec należało odgryźć przed nabiciem, a przecież połykanie wołowego łoju sprzeciwiało się przykazaniom religii Hindusów. Oddziały krajowców zbuntowały się i wymordowały angielskich oficerów. Łój wołowy był ostatnią iskrą, ale przyczyny buntu sięgały głębiej. Cały kraj uważano dotąd wyłącznie za pozycję aktywną w bilansie angielskich kupców, przybywających do Indii. Praktykowano tu każdą formę wyzysku. Przekupywano indyjskich książąt, którzy za łapówki zezwalali na sprowadzenie życia niższych kast do warunków gorszych od zwierzęcych. Nababowie, jak nazywano angielskich kupców i urzędników wracających do Anglii, bogacili się w przeciągu paru lat, a olbrzymie masy ludności indyjskiej dosłownie marły z głodu. Co

więcej, gubernatorzy generalni jeden po drugim, przy pomocy chrześcijańskich misjonarzy próbowali wykorzeniać dawne tradycje indyjskie, modernizować kraj na modłę zachodnią i wprowadzać zachodni obyczaj. Niechęć wzrastała we wszystkich klasach społeczeństwa.

Hinduscy patrioci zdobyli Delhi i rozpoczęli oblężenie dwóch brytyjskich twierdz wojskowych, Cawnpore i Lucknow. Całe północne i środkowe Indie stanęły w ogniu. Okrucieństwa, popełniane na najeźdźcach przez naród długo ciemiężony, rywalizowały z okrucieństwami tym bardziej odrażającymi, że popełnianymi w imię „cywilizacji” i „nawracania Indii na wiarę chrześcijańską”.

Wiktoria jest wstrząśnięta - cierpieniami jej białych poddanych. Palmerston spokojnie ocenia sytuację. Królowa, oburzona na niego, z władczym gestem woła:

- Gdybyśmy tylko mieli silną, liczną armię, dobrze wy-ekwipowaną przez parlament, nie taką nędzną, jak dzisiaj... moglibyśmy wszystkich na świecie usunąć nam z drogi!

Nawet gdyby Wiktoria była czystej pruskiej krwi, nie mogłaby wyraźniej sformułować koncepcji „rasy panów”, utrwalających swoje panowanie krwią i żelazem. Florencja Nightingale, bardziej obiektywna, pyta:

- Czym są morderstwa, popełniane przez tych nędzarzy, Bengalczyków, w porównaniu z mordami, których dopuszczają się wykształceni, kulturalni Anglicy?

Bunt w Indiach, niezorganizowany, pozbawiony jednolitego dowództwa, stłumiono szybko. W parlamencie odzywają się żądania krwawych represji. Brytyjscy oficerowie w Indiach rzeczywiście sprawiają krwawą łaźnię. Hinduskich jeńców ze sznurem na szyi, uwiązanych do drzewa, sadzają na słońcach, potem słońce pędzą. Sześć tysięcy osób („niezależnie od płci i wieku” - według oficjalnego sprawozdania) wymordowano w samym tylko Allahabadzie.

Funkcje administracyjne w Indiach sprawowała Kompania Wschodnio-Indyjska, której jedynym celem było wyciąganie zysków, a która była zupełnie obojętna na warunki życia tubylców. W angielskim parlamencie odpowiedzią żadnym krwi mścicielom udzieli Benjamin Disraeli, który właśnie chwilowo poróżnił się z innymi przywódcami partii konserwatywnej i którym powodują nie tyle względy humanitarne, ile troska o to, by nie zrazić definitywnie ludności Indii:

„Protestuję przeciwko odpowiadaniu okrucieństwami na okrucieństwa. Słyszałem i czytałem ostatnio rzeczy, które kazałyby mi nieomal przypuszczać, że ludzie w Anglii nagle zmienili swoją religię i że zamiast chylić głowy przed imieniem Jezusa, chcą odnowić kult Molocha...Można wpływać na poglądy narodów Wschodu tylko za pomocą działania na ich wyobraźnię. Monarcha łatwiej mógłby wyrzucić taki wpływ od zwyczajnej kompanii handlowej”.

Disraeli przygotowuje grunt do chwili, kiedy proklamuje królową Anglii cesarzową Indii. Dnia 23 listopada Wiktoria zapisuje w swoim dzienniku: „Indie powinny należeć do mnie”.

Panowanie Kompanii Wschodnio-Indyjskiej, wyjąwszy działalność czysto handlową, dobiega końca. W tym właśnie momencie Palmerston, którego niekonsekwentna Wiktoria uważa teraz za niezastąpionego, zostaje przegłosowany w parlamencie. Wniosek nie dotyczył wcale problemów indyjskich. Następny kolejny rząd torysowski, mniej skłonny zgodzić się z tym, by Indie „należały” do królowej, powołuje Komisję do Spraw Indii, wyposażoną w dość obszerny zakres władzy, Komisja ma prawo mianować oficerów armii, stacjonującej w Indiach - do tej pory było to prerogatywą korony - a także egzaminować urzędników państwowych, wyznaczonych do służby w Indiach, których dotąd nominowano na zasadzie zwykłego nepotyzmu. Wiktoria z irytacją narzeka, że zmienia się ją wyłącznie w „maszynę do podpisywania”. Oczywiście, była już od dawna taką „maszyną do podpisywania”, niczym więcej, w rękach Alberta, ale nie chce się przyznać do tego

publicznie. Albert zachęca ją do oporu: lord Derby, obecny premier, grozi dymisją: królewska para poddaje się.

Kiedy jeszcze ważyły się losy Indii - czy będą należały do korony, czy też władzę będzie sprawowała Komisja - w styczniu 1858 roku odbyło się wesele księżniczki Vicky w królewskiej kaplicy w zamku Windsor, w asyście groźnego zastępu spokrewnionych Hohenzollernów i Koburgów. Królowa na tę uroczystość nałożyła na siebie całą fortunę w diamentach, a prócz tego udekorowała suknię i włosy - polnymi kwiatami i ziołami. Panna młoda miała suknię ślubną z białej jedwabnej mory, ozdobioną angielską koronką. Księżę Albert pozwolił sobie raz w życiu na luksus wzruszenia i smutku. Tego samego dnia wieczorem pisze w liście do Vicky:

„Nie zwykłem okazywać moich uczuć i dlatego nie możesz zdać sobie sprawy z tego, jak bardzo drogą mi byłaś...”

Wiktoria innymi słowami skomentuje to wydarzenie: „Ostatecznie, to jest tak, jakby się jagnię na rzeź wydawało...”

Trudno powiedzieć, czy określenie to jest tylko odwrotnością komplementu w stosunku do męża, którego bez końca wychwala, czy też tylko wyrazem świadomości, że pierworodną, ukochaną córkę poświęcono jako politycznego zakładnika.

Wiktoria ma teraz korespondentkę, w listach do której może wylewać wszystkie swe żale, obsesje, namiętności, sprzeciwy i macierzyńskie rady. Kiedy Vicky będzie oczekiwać dziecka, listy te staną się tak częste i obszerne, że Albert zaprotestuje.

„Twój ojciec parę razy zwracał mi uwagę, a doprawdy, kiedy piszę do ciebie bez względu na zmęczenie i trudy, i słyszę, że moje listy nudzą osobę, do której piszę, tego już chyba za wiele.”

Wiktoria uważa, że Albert jest zazdrosny o te dowody odwzajemnianego przywiązania do jego ukochanej córki. Ale i baron Stockmar, z okazji wizyty w Niemczech, uzna, że Vicky niepotrzebnie się zamartwia, jeśli dostanie od matki list z naganą, ponieważ nie zastosowała się do jej rady, takiej choćby, jaki gorset powinna nosić podczas ciąży. Ostrzega więc lorda Glarendona, że księżniczka może się rozchorować i księżę Albert powinien położyć kres temu zalewowi nadmiernej matczynej troskliwości. Clarendon odpowiada, że księżę małżonek nie chce sprzeciwiać się woli królowej z obawy, aby nie spowodować u niej „dziedzicznej choroby”. Tłumaczy to w pewnym stopniu, dlaczego Albert uparcie traktuje Wiktorię raczej jak pacjentkę niż żonę - wychodzi od niej, gdy wpada w gniew, aby jej więcej nie prowokować, pisze do niej listy, przygotowuje sprawozdania o jej „postępach” w wyrabianiu charakteru i siły woli. Być może obawia się o jej zmysły.

Dnia 27 stycznia 1859 roku przychodzi na świat pierwszy wnuk Wiktorii. W czasie trudnego i skomplikowanego porodu lewe ramię niemowlęcia ulega wykręceniu. Zgodziwszy się zostać chrzestną matką tego dziecka, które miało zostać cesarzem Wilhelmem II, Wiktoria odpowiada w korespondencji z córką na jej list, wyrażający dumę z powodu tworzenia nowego życia:

„To, co piszesz, jest bardzo piękne, moja droga... ale ja raczej myślę o tym, że jesteśmy jak krowy lub suki w takich momentach...”

Wiktoria ma zwyczaj albo nadmiernie siebie wywyższać, albo nadmiernie poniżać. Na jej palecie nie ma barw pośrednich. W dalszym ciągu listu doradza młodej żonie Fritza - która tej rady nie posłucha - aby zaczekała z następnym dzieckiem, i zapuszcza się w dość konwencjonalną w dziewiętnastym wieku tyradę przeciwko mężom:

„Degradowanie naszej biednej i pogardzanej płci (bo cóż to innego, kiedy jesteśmy zrodzone tylko dla zabawy i rozkoszy mężczyzny) leży w naturze wszystkich, nawet inteligentnych mężczyzn;

nawet twój drogi papa nie jest całkowicie od tego wolny, chociaż by się do tego nie przyznał”.

Nawiasem mówiąc, plotki dworskie głoszą, że na „zabawach i rozkoszy” więcej zależy Wiktorii, niż „drogiemu papie”, ale prawda o tym pozostała tajemnicą małżeńskiego łóża.

Księżniczka Vicky żyje przynajmniej swoim własnym życiem, jakkolwiek „zdegradowana i pogardzana”. Jej brat, książę Walii, wciąż jest w okowach programu „udoskonalania i wyrabiania charakteru”, opracowanego przez Alberta. I ten program nie daje rezultatów. Kiedy Edward dobiega już osiemnastego roku życia, nie potrafi na temat historii starożytnej napisać więcej, jak sześć i pół linijki. W historii współczesnej lepiej mu się wiedzie - pisze rzeczowy szkic o księciu Wellingtonie. Ani rodzice, ani guwernerzy nie mają na tyle zdrowego rozsądku, by odtąd więcej miejsca w programie nauk poświęcać tematyce współczesnej, która go najwyraźniej interesuje. Tradycja wymaga, aby książę panującego domu miał wykształcenie klasyczne i nie można mu zezwalać na żadną swobodę.

Choć posiada własną świątę, książę nie może jednak z rodzicielskiego rozkazu wychodzić z domu, nie zameldowawszy się swojemu guwernerowi. Wysłany do Oksfordu, nie może zamieszkać w college’u razem z kolegami-studentami. Wynajmuje się dla niego posepny dom, aby guwerner mógł go nadal pilnować i kontrolować jego przyjaźnie. Gdyby Albert był innym, bardziej tolerancyjnym człowiekiem, to Wiktorii, pamiętająca własną, więzienną, skrepowaną młodość, byłaby pozwoliła synowi na większą swobodę. Ale Wiktorii nie ma już w ogóle własnego zdania, kompletnie opanowana przez Alberta, pruderyjnego i sztywnego, który wprowadza w życie instrukcje, wpajane mu niegdyś przez nadmiernie sumiennego barona Stockmara. Zdając sobie sprawę z jej intelektualnych ograniczeń, książę małżonek przekonał Wiktorię, że jej powodzenie jako królowej, a co za tym idzie - powodzenie jej syna jako króla, zależy wyłącznie od surowej moralności dworu, harmonii życia rodzinnego i „właściwego wychowywania naszych dzieci”. Na siedemnaste urodziny pierworodnego syna, rodzice ofiarowali mu w prezencie memorandum, podpisane przez nich obojga, a zatytułowane: „Życie składa się z obowiązków”. Wydaje się wątpliwe, by takie memorandum mogło sprzyjać wytworzeniu miłego i wesołego nastroju urodzinowego, jak też atmosfery zaufania w stosunku do rodziców.

W roku 1860 Edward książę Walii odwiedza Kanadę, gdzie ma dokonać otwarcia wielkiego mostu kolejowego na rzece Sw. Wawrzyńca w Montrealu i położyć kamień węgielny pod budowę parlamentu dominiów kanadyjskich w Ottawie. Przed wyjazdem faszerują go ścisłymi instrukcjami, jak ma się zachowywać, surowymi zaleceniami unikania pokus i zaopatrują w z góry napisane dla niego mowy, które ma wygłosić. Na szczęście, młody książę wyrzuca cały ten ładunek papierzysków do morza i zabiera się na swój miły i naturalny sposób do podbijania serc wszystkich, z którymi się styka. Z Kanady jedzie do Detroit, następnie do Chicago, wtedy właściwie jeszcze rozległej wioski, a później do Waszyngtonu. W dzień jego odjazdu prezydent Stanów Zjednoczonych napisze o nim do Wiktorii:

„W naszym otoczeniu podbił wszystkie serca. Jego swobodny, niewymuszony sposób bycia zdradza zarówno szlachetność serca, jak i wiele rozumu”.

Trudno sobie *życzyć* lepszej opinii. A jeśli Edward zdradza skłonności do pohulania sobie czasem, albo do nawiązania romansu z aktorką - czy to takie straszne u młodego, pełnego życia mężczyzny? Ale po powrocie do domu, rodzice nadal traktują go jak osobę niedorozwiniętą umysłowo. Może w obawie, że znowu ktoś ją weźmie pod pantofel, Wiktorii do końca swego życia będzie kategorycznie odsuwała syna od udziału we wszelkich sprawach państwowych.

Oczekując od syna, wbrew własnemu stosunkowi do niego, przywiązania i miłości, Wiktoria zapomina, jak mało miłości okazywała niegdyś ona sama swojej matce. Ale w roku 1861 zaczyna odczuwać coś na kształt wyrzutów sumienia za całą przeszłość, i tę w pałacu kensingtonskim, i tę po wstąpieniu na tron, w pałacu buckinghamskim, ponieważ księżna Kentu w marcu tego roku poważnie zapada na zdrowiu i poddaje się operacji. Jej stan jest krytyczny. Wiktoria czuwa dniami i nocami przy łóżku matki, słuchając tykania tego samego, inkrustowanego sztylkretem zegara, które słyszała co nocy za swoich dziewczęcych lat.

Dnia 16 marca umiera siedemdziesięcioletnia księżna Kentu. Wiktoria ulega czemuś w rodzaju załamania nerwowego, wywołanego bolesnymi wspomnieniami i wyrzutami sumienia. Zaczyna teraz kanonizować matkę - co się nierzadko zdarza ludziom o niepokohamowanym temperamentem, którzy za życia swoich bliskich nie widzieli w nich zalet i niewiele się troszczyli o ich szczęście. A tak długotrwały i nieopanowany jest żal Wiktorii, że znowu zaczynają krążyć plotki o tym, że postradała zmysły. Człowiek tak bliski królewskiej rodziny, jak lord Clarendon, pisze do przyjaciela o „chorobliwej melancholii”, na którą zapadła królowa i donosi, że jeden z lekarzy wyraził się, jakoby stan jej umysłu wcale nie był zadowolający. Stockmar, Albert, lord Clarendon, królewscy lekarze - wszyscy miewają chwile wątpliwości co do umysłowej równowagi królowej.

Ale na razie bardziej pożądane byłoby, żeby ktoś zatroszczył się o stan zdrowia Alberta. „Kierat” codziennych obowiązków, wciąż na nowo podejmowane wysiłki przekształcenia żony w kobietę o chłodnym, zrównoważonym rozsądkiem, me-lodramatyczne sceny po śmierci teściowej - wyczerpują go krańcowo. Ale nie ustanie w swym trudzie - pisze, przemawia, jeździ po kraju. To nie on porusza kierat, to już kierat nim kręci. A Wikotria nadal, proklamując swoją adorację dla niego, urządza awantury - wybucha gniewem, biega za nim z pokoju do pokoju, potem błaga go o przebaczenie. Tego rodzaju „adoracja” wyczerpuje człowieka o usposobieniu Alberta, który pogrąża się w coraz głębszą depresję.

Pewnego dnia, kiedy już trochę ochłonęła po paroksyzmie żalu za matką, Wiktoria wyjawia mu, że źródłem jej rozpaczki była świadomość, że ona sama kocha życie, więc cierpi, a nawet buntuje się na myśl o tych, którzy od życia odchodzą. Albert odpowiada:

- Co do mnie, nie zależy mi na życiu. Gdybym uległ poważniejszej chorobie, zapewne nawet bym nie walczył o własne życie.

Królowa uważa słowa męża za wyraz świątobliwego poddania się woli Boga. Inni, którzy o tej wypowiedzi usłyszeli, widzą w niej pragnienie wyzwolenia się, ucieczki nawet w objęcia śmierci. Oczy zwierzęcia postępującego w kieracie, zachodzą szklistą mgłą.

## Rozdział IX

# W KOMNACIE KRÓLA

Grudzień, dzień czternasty, rok 1861. Przez długie, zawieszane obrazami korytarze zamku windsorskiego rozbrzmiewa echem przeszywający, oszalały rozpaczą krzyk kobiety: Wiktorię siłą odrywają od łóżka, od martwych zwłok, które jeszcze przed chwilą były Albertem, księciem małżonkiem Anglii, księciem von Sachsen-Coburg-Gotha.

\* \* \*

W ciągu miesięcy, które mijały po śmierci księżnej Kentu, Albert z coraz większym znużeniem ciała i ducha kontynuował swój codzienny trud. Dokumenty państwowe i funkcje publiczne, plany na przyszłość dla każdego członka rodziny, kontrolowanie nauki niesfornego księcia Walii, zebrania, posiedzenia i odczyty, wydawanie ścisłych instrukcji co do hodowli stad krów, stanowiących własność korony, rozwieszanie obrazów, zmiany w planach ogrodów w Osborne i Balmoral, zmaganie się - z coraz bardziej wzrastającą niecierpliwością - z chorobliwą melancholią Wiktorii.

I on sam cierpi teraz na melancholię - melancholię człowieka samotnego. Może jakieś podświadome przeczucie bliskiej śmierci sprawia, że odczuwa nostalgię za krajobrazami swojej młodości, za Rosenau, za ojczystym językiem, za tą niegdyś dobrze znaną solidnością niemieckich twarzy i postaci. Na dworze nigdy nie spotkał się z czymś więcej, jak z poprawną uprzejmością. Nie zaprzyjaźnił się bliżej - jego pozycja i właściwa mu sztywna natura były przeszkodą nie do przezwyciężenia - z żadnym z tych uczonych, artystów, ludzi pióra, finansistów, przemysłowców, których umysły i plany zawsze go fascynowały. Prostoduszna adoracja ze strony żony, połączona z okresowymi detonacjami „łatwopalnych materiałów”, nie zastąpiła mu towarzystwa intelektu, który dorównywałby jego własnemu. A rygorystyczna surowość wobec młodocianych eskapad odcięła go od bliższej przyjaźni z najstarszym synem. Jedyne z jego dzieci, z którym czuł się swobodnie, którego obecność go nie drażniła - zakłada własną rodzinę i zawiązuje życie osobiste na dworze Hohenzollernów.

Coraz wcześniej i wcześniej ciemnymi rankami Albert zapala na swoim biurku lampę - taką, jakiej używali niemieccy studenci - i pracuje przez kilka godzin, zanim ta, której ruchami on kieruje, przychodzi zająć miejsce obok niego, by zgadzać się, na co on jej każe się zgodzić, by podpisywać, co poda jej do podpisu. Nie zaprzestanie pracy. Nie może już zaprzestać. Kierat kręci osłem. Jeśli nogi przestaną postępować naprzód, osioł padnie.

Cierpi na różne dolegliwości, ale odtrąca je niecierpliwie, nie pozwoli, by naruszały ustalony od lat porządek. Cerę ma żółtą, oczy podpuchnięte, ciało miękkie, sflaczałe, kąciki ust opadają, nadając twarzy wyraz wiecznego niezadowolenia. Chodzi przygarbiony. Jego niegdyś bujne, wijące się włosy, cofnęły się aż na tył głowy - ma łysinę. Czterdzieści dwa lata - pełnia sił męskich! Ani śladu nie pozostało po tym pięknym Adonisie, który przed dwudziestu laty podbił serce dziewczęcej królowej, obudził zmysły jej spragnionego, młodego ciała. I w ciągu tych dwudziestu lat pozbawił ją

możliwości własnego rozwoju, nagiął jej „elementarny” umysł do własnej woli, nie zostawił jej prawie żadnych własnych cech, prócz władczości i porywczego usposobienia. A ona, żądająca wciąż jego uwagi, egocentryczna, niezdolna do panowania nad własnymi humorami, wysysała jego siły witalne.

W piątek dnia 22 listopada Albert jest przeziębiony, ale udaje się na inspekcję nowego sztabu wojskowego w pobliżu Aldershot. Wraca przemoczony do nitki, ma dreszcze. Ale do łóżka się nie położy. Zresztą, od kilku dni już nie sypia. Dręczony reumatycznymi bólami stawów, wyjeżdża w poniedziałek 25 listopada do Cambridge, gdzie obecnie, po pobycie na uniwersytecie w Oksfordzie, studiuje książkę Walii. Młodzieniec uwikłał się w jakieś miłosne tarapaty. Ojciec nie może ominąć sposobności nagany, wyrzutów, ewentualnego przebaczenia. Rozumna miłość rodzicielska zwykle nazywa „niedyskrecją” to, co purytański Albert potępia z fanatyzmem mnicha, jako „niemo-ralność zasługującą na najsurowszą naganę”.

Albert wraca do Windsoru obolały od stóp do głowy. Wiktoria traktuje lekko jego skargi. Jednakże dnia 29 listopada jego wygląd przestrasza ją. Wzywa lekarza, doktora Williama Jennera, który niedawno wslawił się badaniami nad zarazkiem tyfusu. Albert mówi Wiktorii, że czuje się tak, jakby mu nieustannie po plecach spływał potok zimnej wody. Wiktoria doradza lekarzowi, by nie niepokoił księcia jego stanem zdrowia i nie wpędzał go w tym większą depresję. Lekarz nadworny, doktor Sir James Clark, ze swej strony doradza koledze, żeby nie przestraszał królowej, która łatwo ulega atakom hysterii. Dwaj lekarze oznajmniają, że choroba księcia nie jest wcale poważna.

Ale Albert wie już lepiej od nich. Ostatniego dnia listopada nie ma siły, by kazać się ubrać. Zwłoka się z łóżka i chodzi po pokoju w pikowanym szlafroku z czerwonym kołnierzem. Zmusza się do przejrzenia ważnych dokumentów, tym samym przekonując Wiktorię, że nie czuje się zbyt źle. Jej miłość do niego nie otwiera jej oczu, może właśnie przeszkadza jej widzieć cień nadchodzącej śmierci na jego czole.

Ważne dokumenty związane są z amerykańską wojną domową. Krążownik należący do wojsk federalnych zatrzymał na oceanie angielski parowiec „Trent” i zabrał z pokładu dwóch pasażerów, przedstawicieli stanów południowych, w drodze do

Anglii, gdzie mieli prosić o pomoc. Lord John Russell przedstawił do podpisu bardzo kategorycznie sformułowane żądanie przeproszenia i ekstradycji dwóch uwięzionych posłów, pod karą odwołania ambasadora brytyjskiego, a nawet wypowiedzenia wojny. Albert uważa, że styl tego listu jest niepotrzebnie obraźliwy. Formułuje zdania inaczej, tak, aby umożliwić rządowi federalnemu wycofanie się „bez utraty twarzy”. Lord John Russell przyjmuje poprawki z niechęcią. Kiedy Albert podaje królowej poprawiony tekst do podpisu, mówi:

- Ledwie mogłem pióro w rękę utrzymać, taki jestem osłabiony.

Ten poprawiony dokument jest ostatnim aktem państwowym, do którego Albert się wtrąci. Nigdy więcej nie usiądzie za biurkiem obok Wiktorii.

Nic nie je. W nocy leży bezsennie, wstrząsany dreszczami. Doktor Jenner, ponownie wezwany dnia 2 grudnia, zmienia swoją pierwszą, nazbyt optymistyczną diagnozę. Książę jest rzeczywiście chory, ale „powodu do alarmu nie ma”. Wiktoria chwyta się tych słów, które ją demobilizują właśnie wtedy, kiedy powinna by wyżyć wszystkie siły do walki o życie „najdroższego anioła”. Książę na przemian leży na sofie lub chodzi na wpół przytomny z pokoju do pokoju. Ale wysyłane codziennie przez Wiktorię do klanu Koburgów na kontynencie biuletyny o jego stanie zdrowia, powtarzają słowa Jennera: „Powodu do alarmu nie ma”.



W Anglii sporo osób się niepokoi, a zwłaszcza ministrowie. Niepowściągliwy lord Clarendon mówi o lekarzach księcia:

- Nie oddałbym im pod opiekę chorego kota!

I dowodzi, że doktor Jenner z powodu zawodowej zawiści nie chce wezwać trzeciego specjalisty na konsylium.

Albert kaszle i jęczy po nocach, a dnia 7 grudnia pyta Wiktorię, jaki mógłby być powód jego choroby, której natura wciąż jeszcze nie została zidentyfikowana przez lekarzy. Albert wie, że znaczną winę ponoszą tu urządzenia sanitarne na zamku Windsor, będące w opłakanym stanie.

- Przepracowanie, zmartwienia i irytacja - odpowiada Wiktorcia.

Później zaś wytłumaczy, że „zmartwienia” spowodowały tarapaty miłosne księcia Walii, a „irytację” - incydent z parowcem „Trent”, a Albert dodaje, iż również niezdolność ministrów do taktownego załatwienia tego incydentu.

- Za dużo mam pracy - kaszle Albert. - Musisz pomóc z ministrami. Niech mnie nie przymuszają...

Bliski delirium, zapomina już może, kto kogo do pracy przymusza.

Wiktorcia uzupełni swoją poprzednią odpowiedź:

- I nie tylko to, jeszcze twoje własne kłopoty.

Zawsze irytowało ją, że miał jakieś zainteresowania prócz pracy dla niej.

Wszystkie te czynniki bez wątpienia wyczerpały jego organizm do tego stopnia, że nie miał sił bronić się, gdy zaatakowała choroba. Ale bezpośrednią przyczyną obecnego, ciężkiego stanu jest coś innego. Sir James Clark i doktor Jenner nie rozpoznali tyfusu. Przy ówczesnym stanie medycyny mogło się to zdarzyć. Ale ani lekarzom, ani Wiktorii nie można wybaczyć, że człowieka, który sam powtarzał, że jest poważnie chory, nie trzymano stanowczo w łóżku pod opieką wykwalifikowanej pielęgniarki, lecz pozwalano mu wędrować po zimnych - w grudniu! - korytarzach kamiennego zamczyska.

Nadchodzi ranek, kiedy Albert nie poznaje Wiktorii, wchodzącej do jego sypialni.

\* *Wer ist das*\* - pyta swego lokaja, Lohleina, o którym powiadano, że jest nieślubnym, przyrodnim bratem księcia.

\* *Weibchen!*\*\* - odpowiada Wiktorcia.

Księżniczka Alicja, druga według starszeństwa córka królewskiej pary, jest w Windsorze. Albert, oprzytomniawszy nieco, pyta ją, czy zawiadomiono Vicky o jego stanie.

\* Kto to jest? \*\* Żoneczka!

\* Tak, pisałam do niej, że ojciec jest bardzo chory.

\* Źle zrobiłaś: trzeba była napisać, że umieram. Tak, umieram.

W ciągu swego życia książę Albert nie osiągnął czegoś, co pozostałoby jako trwałe, pozytywne wkład w podniesienie dobrobytu poddanych jego żony. Nawet jego osobiste, znacznie głębsze przywiązanie do niemieckiej ojczyzny, nie przyniosło poważnych rezultatów; i nie będzie już mentorem swego zięcia i córki - króla i królowej Prus. A jednak dobrze zasłużył się swojej żonie i jej następcom na tronie angielskim. Gdyby monarcha kontynuował politykę krańcowej stronnictwa, jak za czasów poprzednich Hanowerczyków, gdyby nawet Wiktorcia sama kontynuowała swoje postępowanie z okresu baronowej Lehzen i Spisku Królewskiej Sypialni - mogłoby się zdarzyć, że monarchia nie przetrwałaby długo. Republikanizm, jeśli nie rewolucja, musiałby w Anglii zatriumfować.

Albert nauczył królową przyjmowania zmian rządu bez wybuchów wrogości, jaką okazywała na przykład Sir Robertowi Peelowi po pierwszej rezygnacji lorda Melbourne. Nauczył ją przynajmniej udawać, że stoi ponad stronnictwami politycznymi. Nauczył też jej ministrów, że chociażby niechętnie przyjmowali interwencje królewskie, jednakże rada monarchy - uwzględnivszy czysto ludzkie emocje, namiętności, błędy - jest teoretycznie bezstronna. Stworzył dobry wzór rządów monarchii konstytucyjnej. Osiągnięciem Alberta - cokolwiek jest to warte - było umocnienie królowej na tronie dzięki wprowadzeniu królewskiego wpływu w miejsce skazanej na zagładę królewskiej władzy.

Księżniczka Alicja usiłuje przygotować matkę do przyjęcia nieuchronnego ciosu, ale Wiktorja wzgardliwie ją odtrąca, nie chce słyszeć posępnych zapowiedzi. Piszze do króla Leopolda:

„Nie czuwam w nocy... Nie ma powodu do alarmu”.

Albert znowu błądzi po korytarzach, wreszcie wybiera sobie komnatę, którą Wiktorja nazwała Błękitną, ale która tradycyjnie zwi się Komnatą Króla. Nie dane było Albertowi nosić korony, ale chce teraz leżeć w tym samym łóżku, w którym ostatnie tchnienie wydali Jerzy IV i William IV.

Dnia 13 grudnia oddycha z trudem, szybko, oczy zachodzą mu mgłą. Księżniczka Alicja wzywa z Cambridge najstarszego brata.

Lord Palmerston pieni się już od wielu dni z powodu tego, co nazywa Ślepotą królewskiego dworu. Ukradziono człowiekowi życie z powodu niekompetencji lekarzy! Odrzucono jego nalegania, by wezwać innych jeszcze specjalistów, by zwołać konsylium lekarskie. Teraz jednak wymusza niemal tę decyzję na królowej, poważa się nawet podnieść głos, urządza prawdziwą awanturę. Ostatecznie przyjeżdża doktor William Watson, specjalista chorób tyfusowych. Wiktorja nie chce go przyjąć i upomina Palmerstona, że należy uważać, aby Sir James Clark i doktor Jenner nie poczuli się urażeni. Bez wielkiego trudu doktor Watson stawia diagnozę: tyfus. I wie, że tę diagnozę postawił za późno. A jednak, uprzedzony przez Sir Jamesa Clarka, by nie ryzykował naruszenia delikatnej równowagi stanu umysłowego Wiktorii, mówi królowej, że widzi „poprawę”. Wyjaśnia jej, że toczy się teraz próba sił między organizmem pacjenta a chorobą i dodaje na zakończenie z pogodną beztróską:

- Przy chorobach gorączkowych nigdy nie desperuję!

Jeśli był moment, kiedy poważny lekarz miał podstawy do desperacji, to właśnie teraz. Żaden spisek przeciw życiu księcia nie mógł być skuteczniejszy od tych wszystkich pechowo nieudolnych ludzi, w których dobrą wolę trudno jednak wątpić.

Aż do ranka dnia 14 grudnia Sir James Clark i doktor Jenner uważają, że mają „podstawy sądzić, że kryzys minął”. Kryzys może i minął, ale z nim razem kończy się życie pacjenta.

Obwisłe policzki księcia jakby stwardniały, opuchnięcie dookoła oczu ustąpiło, jego twarz odmłodniała, podobny jest do dawnego Alberta.

Wieczorem nawet lekarze rozpoznają przerażającą oczywistość własnej klęski. Wszyscy członkowie rodziny księcia, oprócz niemowlęcia, podchodzą kolejno, by ucałować jego rękę. Tuż przed godziną jedenastą Albert zaczyna rzezić tak głośno, że Wiktorja, usłyszawszy to w sąsiednim pokoju, przybiega do Komnaty Króla i schyla się nad konającym, wołając:

- *Es ist das Heine Frauchen!* [\* To ja, twoja żonka!]

Drzwi są otwarte. Na korytarzu stoją dworzanie ze świty, jak sępy czekające na zgon. W Komnacie Króla - Wiktorja i Alicja klęczą po obu stronach łóżka, dalej księżę Walii, księżniczka Helena, brat przyrodni Wiktorii - Ernest Leiningen, lekarze, kapelan księcia i jego lokaj.

Jeszcze parę długich, swobodnych oddechów, jakby z ulgą, wdzięcznością... i po korytarzach zamku Windsor rozbrzmiewa echem przeszywający, długi, rozpaczliwy krzyk kobiety.

W dwa miesiące później Wiktoria obciąża winą za nerwowe wyczerpanie Alberta troski z powodu postępowania księcia Walii, dodając:

„Musiał umrzeć - zdaje się, że nie zależało mu na życiu. Umarł dlatego, bo brak mu było chęci do życia”.

Nie zabrakło panegiryków, wszelkich pochwał - w prasie, w Izbie Lordów, w Izbie Gmin, w każdej katedrze w całym kraju, w każdym stowarzyszeniu naukowym czy artystycznym, wśród przemysłowców. Pochwalne mowy są przesadne, ale banalne, a Karol Dickens nazwie je „panoszącym się pieczeniarsstwem”.

Jeden człowiek, dalekowzroczny, mądry, rozumiejący ludzi i politykę lepiej może od kogokolwiek ze ‘współczesnych mu, Benjamin Disraeli, w krótkim epigramie wyraził jednocześnie osobiste osiągnięcie życiowe tego „niemieckiego<sup>1</sup> książątka” i przepowiednię przyszłości:

„Z księciem Albertem pochowaliśmy naszego monarchę”.

*Część czwarta*

WDOWA Z WINDSORU

# Rozdział I

## ZAPAMIĘTANIE W BOLEŚCI

„Niemożliwością jest wyrazić całą głębię rozpacz i cierpienia; wszelkie uczucia pochłonął jeden bezmierny żal! Królowej się zdaje, że to jej własne życie skończyło się tego okropnego dnia...”

Tak pisze o sobie Wiktoria w jednym z niezliczonych listów, które słała do swych niemieckich krewnych i powinowatych w zapamiętaniu w boleści. Jej rozpacz nie jest głęboka - Wiktoria niezdolna jest do uczuć prawdziwie głębokich, wymagających altruizmu i odrzucenia teatralnej pozy - chociaż z pewnością jest szczerą. Ale będzie się odtąd posługiwała własnym cierpieniem jako wybornym orężem do obrony tego, co stało się jej ulubionym stylem życia - izolacji od poddanych, od ludzi, aby cudze nieszczęście przypadkiem nie przeszkodziło jej w uroczystym celebrowaniu własnego nieszczęścia.

Wiktoria kazała sfotografować Błękitną Komnatę (dawniej zwaną Komnatą Króla), aby po sprzątaniu każdy przedmiot można było umieścić dokładnie w tym samym miejscu, w którym znajdował się w dzień śmierci „najdroższego anioła”. Innym, mniej przejętym czcią niż królowa, wizja Alberta ze skrzydłami, w aureoli i białych szatach, wydaje się raczej komiczna. Ale Wiktoria, sypiająca z jego koszulą nocną w ramionach i z gipsowym odlewem jego ręki obok poduszki - zatraciła poczucie komizmu. Nad śmiertelnym łóżem Alberta kazała zawiesić jego portret, który ozdobiła wieńcem z nieśmiertelników i gałązek wiecznie zielonych krzewów. Zawiesiła również fotografię siebie samej wraz z dziećmi - z gromadką tak liczną, jaką była w stanie na tę okazję zgromadzić - siedzących pod marmurowym popiersiem Alberta. Drugie popiersie, przyozdobione wieńcami - kwiaty i wieńce składa się co dzień na łóżku, na którym umarł - każe ustawić w Błękitnej Komnacie. Jego ubranie rozkłada się codziennie na krześle wraz z czystą bielizną, ręcznikiem i gorącą wodą. Chusteczki i papier listowy Wiktorii noszą już żałobny szlak na znak nieco spóźnionego szacunku dla niedawno zmarłej matki. Teraz szerokość czarnego szlaku zostaje podwojona.

W lipcu roku 1862 Wiktoria jest obecna na ślubie księżniczki Alicji z wielkim księciem von Hesse-Darmstadt. Napisze później, że uroczystości weselne „bardzo były podobne do pogrzebu”. Ceremonia zaślubin odbywa się w posępnej, ciemnej komnacie, panna młoda występuje nie w bieli, lecz w czerni, królowa we wdowim welonie, pogrążona w letargicznym otępieniu. Wiktoria więcej zajmuje się pośmiertnym czczeniem zmarłego, niż błogosławieństwem żywych. W Kensington wzniesiono wielki pomnik, „który widać z dużej odległości”, przedstawiający Alberta, trzymającego na kolanach katalog Wielkiej Wystawy; na pomniku w Perth, w Szkocji, Albert nosi szkocką spódniczkę z brązu; koło Balmoral położono kamień dla upamiętnienia miejsca, gdzie Albert zabił swego ostatniego jelenia, a drugi kamień w Windsorze, w miejscu ostatniego polowania, w którym brał udział.

W żałobie Wiktorii jest również odcień żalu za własną, utraconą indywidualnością:

„Postanowiłam, że teraz absolutnie nikt - chociażby to był najbardziej do mnie przywiązany z

moich poddanych - nie będzie mną kierował, ani mi dyktował, co mam robić”.

Znikła wdzięczna, młodzianka dziewczyna, która podejmowała ogrom odpowiedzialności z powagą i przejęciem, już wtedy władcza, nawet kapryśnie despotyczna, ale nie pozbawiona uroku w swej naiwności i „elementarności”. Znikła też królowa-marionetka w ręku męża. Wiktoria postanawia teraz odgrywać w jednej osobie rolę Alberta-Wiktorii:

„Postanowiłam również nieodwołalnie, że jego życzenia, jego plany - we wszystkich sprawach - jego poglądy i opinie będą dla mnie prawem. I żadna ludzka siła nie zmusi mnie do odstąpienia choćby na krok od tego, co on zdecydował i czego sobie życzył”.

Ale państwem nie można rządzić zza grobu. Raz po raz będą się zdarzały sytuacje, kiedy królowa będzie musiała ustąpić przed wolą ministrów, przypominających, że wiele się zmieniło od czasów, kiedy Albert „decydował i życzył sobie”.

Jak znudzony aktor, który ma drobną rolę w wielokrotnie powtarzanej sztuce i popadłszy w rutynę, tak samo gra na ostatnim przedstawieniu, jak i na premierze, tak Wiktoria pod koniec stulecia będzie grała w sztuce, idącej przez czterdzieści lat i to nie po parę godzin wieczorami, ale przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, na odludnych scenach Windsoru, Balmoral i Osborne, gdzie wszyscy zdali się zapomnieć, że w ciągu tych czterdziestu lat świat dookoła zmienił się nie do poznania.

Wiktoria nie może być despotą, skoro tylko wypełnia wolę zmarłego w złudnym mniemaniu, że zatrzymała czas. Ale do swego otoczenia odnosi się despotycznie, a gdy ktoś sprzeciwi się jej woli chwyta natychmiast za broń swego wieczystego zmartwienia, samotności, złego zdrowia, przepracowania. W częstych chwilach żalu nad sobą, nazywa siebie „biedną, słabą kobietą” - nikt inny jej za taką nie uważa.

Za swój pierwszy obowiązek Wiktoria uważa zajęcie miejsca Alberta w kieracie codziennej pracy administracyjnej. Natomiast nie chce pamiętać, że wbrew sztywnej nieśmiałości i niezręczności w towarzystwie, Albert zmuszał się do uczestniczenia w zebraniach, odczytach, komisjach, przyjmując również przeróżne funkcje publiczne. W tym nie będzie go naśladować. Odczytywanie raportów, korespondencji, komentowanie jej, sugerowanie zmian w memorandach i oficjalnych listach - nie jest dla niej uciążliwe. Jeszcze za czasów lorda

Melbourne wyznała: „Kocham tę pracę”. Kocha ją nadal i może konieczność tej pracy ocaliła jej umysł od „dziedzicznej choroby”. Tym niemniej podkreśla, jak ciężki jest ten obowiązek.

„Królowa... samotnie pełni odpowiedzialne i trudne funkcje, walcząc, by wywiązać się z obowiązków swego wyniosłego stanowiska, z sercem złamanym i z jedyną tylko pociechą: że połączy się z Nim znowu, by się już nigdy nie rozstać”.

Niegdyś z dumą podkreślała, że chce być „sama, zupełnie sama”. Ale jeśli teraz samotne pełnienie odpowiedzialnych funkcji sprawia jej więcej trudności niż niegdyś - to decyduje o tym jej konsekwentny upór. Zamiast wziąć za towarzysza pracy dwudziestoletniego księcia Walii i przekazać mu część swych obowiązków - Wiktoria’ świadomie i celowo odsuwa go, a nawet wydaje rozkaz, by nie pokazywano mu żadnych ważniejszych dokumentów państwowych. Zalewa przy tym ministrów i sekretarzy (przyjęła m. in. Sir Charlesa Greya, osobistego sekretarza Alberta) potokiem pisemnych nagan, wyrzutów, zaleceń i rozporządzeń, które sprawiają, że nie wywiera wpływu, lecz tylko irytuje wszystkich.

Oprócz kieratu codziennej pracy, Wiktoria prowadzi z rozrastającą się ciągle rodziną coraz obszerniejszą korespondencję, która ma jej zastąpić opłakiwany „brak konwersacji z osobami swojej

własnej rangi”. Propozycje ministrów w sprawach politycznych często odrzuca z powodu ewentualności nieprzychylnych „reakcji za granicą”. Te „reakcje za granicą” to opinie jej książęcych powinowatych, którym obca jest myśl demokratyczna, a *często* nawet konstytucjonalizm - i których oczywiście interesują korzyści ich krajów, a nie Anglii. Kontakty Wiktorii z tymi „reakcjami za granicą” stale się rozszerzają. Jej wuj jest królem Belgów, jej najstarsza córka żoną pruskiego następcy tronu, księżniczka Alicja - wielkiego księcia Hesji. Niebawem księżę Walii poślubi księżniczkę Aleksandrę duńską, księżę Artur - księżniczkę Luizę pruską, księżę Alfred - Marię, córkę cara Aleksandra II, księżę Leopold - siostrę królowej Holandii. Jedna z wnuczek wyjdzie za mąż za następcę tronu Norwegii, druga - za następcę tronu rumuńskiego. Istotnie, Wiktoria ma wielkie możliwości sprzeciwiania się swoim ministrom na podstawie „reakcji za granicami”.

Oprócz „kieratu” i korespondencji Wiktoria prowadzi swój dziennik, założony niegdyś według wskazówek baronowej Le-hzen jako ćwiczenie, później źródło wielu przyjemności, a teraz dodatkowy obowiązek, spełniany w interesie potomności. Dziennik dobrze odzwierciedla charakter Wiktorii - jest melodramatyczny, pełen żalu autorki nad samą sobą, przesadny, historyczny. Ale jednak zdradza pewien talent literacki i stanowi wyjątkowy dokument, jako kronika działalności monarchii brytyjskiej w dziewiętnastym wieku, w obrębie ciasnego koła dworu i gabinetu ministrów.

Wiktoria unika Londynu, gdzie tłumy mogłyby gapić się na nią - przebywa wyłącznie na zamku Windsor i w dwóch rezydencjach, wybudowanych przez Alberta. Próbuje nawet nie udzielać osobistych audiencji ministrom. Oznajmia, że muszą się z nią komunikować za pośrednictwem księżniczki Alicji, wiernie przywiązanej do matki, albo generała Greya. Lord John Russell, raz przynajmniej zdobywszy się na dyplomatyczną zręczność, napisze do niej, aby ponownie rozważyła swoją decyzję, ponieważ wydaje się, że świętej pamięci księżę małżonek nie zaaprobowałby jej. Wiktoria poddaje się natychmiast przywołanemu cieniowi skrzydeł „najdroższego anioła”.

Nic jednak nie może zmienić jej postanowienia, że nie będzie uczestniczyć w uroczystości otwarcia parlamentu. Dowodzi, że nawet gdy podtrzymywał ją na duchu Albert, ceremonia ta przyprawiała ją nieodmiennie o ból głowy, a teraz „musi się wystrzegać wszelkiego wysiłku, który by mógł wywołać wstrząsy psychiczne, jak również wielkiego zmęczenia”. Dlaczego właśnie w Izbie Lordów czy w Izbie Gmin królowa ulegałaby wstrząsom psychicznym - trudno zrozumieć.

Kiedy indziej, kiedy powinna wypełnić jakąś niemiłą jej funkcję, albo gdy się obawia, że grozi kryzys polityczny, Wik-toria potrząsa głową, jakby w oszołomieniu, uderza się w czoło i mruczy:

- Moja głowa, moja głowa!

Niezależnie od tego, co inni mogli o tym sądzić, Wiktoria sama nie powątpiewała we własny rozsądek. Ale szantażowała w ten sposób swoje otoczenie, które wbrew własnej opinii pozostawia królową jej kaprysom i zgadza się izolować ją od wszelkich zmartwień.

Do tych kaprysów należały ponoć seanse spirytystyczne z udziałem czteroletniego chłopca jako „medium”, które miało nawiązać kontakty ze zmarłym księciem małżonkiem. Dowcipnisie na dworze powtarzają, że chłopiec będzie mianowany Medium Rezydentem. Z pewnością w tych plotkach więcej jest złośliwości niż prawdy, ale Wiktoria sama pisze: „Chciałam położyć kres memu życiu tutaj, ale usłyszałam głos, który mi powiedział: wytrzymaj jeszcze!”

W każdym razie plotki te wskazują, co ludzie myślą o stanie królowej i jej zachowaniu pod wpływem nieszczęścia.

Dwór plotkuje za plecami królowej, jak zwykle otoczenie wysoko postawionych osobistości, ale w oczy schlebiają jej wszyscy co do jednego. Monarchów trzeba wciąż upewniać, że są ulepieni z

innej gliny, odpowiedniej do ich stanowiska, a tym więcej, im bardziej w głębi serca pojmują własną zwyczajność. Benjamin Disraeli, który umiał pokierować Wiktoria z większą zręcznością i powodzeniem, niż ktokolwiek inny od czasu śmierci Alberta, twierdzi, że monarchom należy „łopatą zgarniać pochlebstwa”.

Wiktoria jest wymagająca w stosunku do swego otoczenia i odpłaca się za przywiązanie brakiem wszelkich względów. Krytykuje charakter pisma jednego z młodych pracowników sekretarza, ale odcyfrowanie notatki, którą ona sama skreśliła na przepisany przez niego dokumencie, trwa pełnych piętnaście minut. Sir Thomas Biddulph, skarbnik koronny, wyraził się, że „królowa, siedząc w ogrodzie w Balmoral, wydaje arbitralne rozkazy równie stanowczo, jak w chwilę później je odwołuje lub zmienia”. Podobnie, jak unika widywania ministrów, tak samo nie chce widywać swego osobistego sekretarza i innych ważniejszych urzędników dworu. Przesyła im swoje instrukcje i rozkazy za pośrednictwem dam dworu, a najczęściej przez szkockiego sługę Johna Browna. Niektórzy się obrażają, innych ratuje poczucie humoru. Sir Henry Ponsonby, liberał, następca generała Greya na stanowisku osobistego sekretarza królowej, otrzymuje pewnego razu za pośrednictwem francuskiej guwernantki królewskich dzieci informację, że premier stronnictwa torysów podał się do dymisji. Przyjaciele doradzają sekretarzowi, że powinien zaprotestować z uwagi na własną godność. Piwne oczy Ponsonby’ego mrugają wesoło, sekretarz uśmiecha się pod wąsem i odpowiada:

- Jeden torys mniej czy więcej, to sprawa tak małego znaczenia, że doprawdy nadaje się do załatwienia przez francuską guwernantkę!

Nie zawsze jednak tak łatwo traktować z humorem bezwzględność, z jaką królowa odnosi się do swego otoczenia. Po obiedzie cały dwór i goście muszą bez końca stać w salonie, podczas gdy Wiktoria obchodzi ich kolejno, zamieniając z każdym z nich parę słów banalnych uprzejmości. Któregoś wieczoru podczas takiego bezmyślnie formalnego „*cercie*”, pewien sławny chirurg, człowiek starszy i schorowany, mdleje; wynoszą go z salonu nieprzytomnego. Królowa pyta, co się stało. Dowiedziawszy się, zauważa:

- I to ma być doktor!

\* \*

Wobec powstania styczniowego w Polsce w roku 1863 królowa i Palmerston zajęli diametralnie różne stanowiska. Ponieważ stłumienie powstania przez Rosję odpowiada Prusom, Wiktoria decyduje, że Albert nie protestowałby przeciw okrucieństwom, popełnianym z rozkazu cara. Palmerston w liście do rosyjskiego ambasadora nazywa powstanie „słuszną karą nie-bios”. Ale Polakom ani nie przydała się osobista sympatia Palmerstona, ani nie zaszkodził gruboskórny oportunizm Wiktorii. Wbrew królowej i pod naciskiem głosu opinii publicznej, Anglia składa wraz z Francją oficjalny protest u cara. Ale cara wcale ten protest nie poruszył. Władca Wszechrosji wie dobrze, że Anglia, w obawie powszechnej wojny, w wyniku której Napoleon III mógłby zagarnąć Nadrenię, nie zechce walczyć u boku Francji. A Francja nie wypowie wojny na własną rękę. Tak więc powstańcy w Polsce, którym przed wybuchem powstania obiecywano na Zachodzie poparcie, pozostają zdradzeni, opuszczeni. Palmerston nie może pomóc Polsce, choćby chciał, Wiktoria nie chce pomóc Polsce, nawet gdyby mogła. Wynikłą z tego sytuację dobrze określono w deklaracji londyńskich robotników w sprawie: „najbezwzględniejszych okrucieństw i zniewag zadawanych szlachetnemu a nie-nieszczęśliwemu narodowi polskiemu; królowie i cesarzowie spotykają się i uczują, w ceremoniale i przepychu... na tych spotkaniach usprawiedliwiają zbrodnicze zwycięstwa,



a pozbawieni skrupułów ministrowie legalizują przestępstwa i honorują zbrodniarzy; podczas gdy... ludzie, którzy głoszą wolność narodom i prawa dla wszystkich, jeśli unikną śmierci, zakuwani są w łańcuchy nieskończonej niewoli, albo z rodzinami, wypędzeni bezwzględnie, by szukać schronienia u obcych, gdy ich pozbawiono rodzinnych domów...”

W marcu roku 1863 księżę Walii poślubia księżniczkę duńską Aleksandrę. Tym razem ślub nie odbywa się w ciemnej komnacie, lecz z całą pompą królewskiej kaplicy Św. Jerzego na zamku Windsor. Królowa bezbłędnie urządza wszystko tak, żeby ani ona sama, ani nikt inny nie mógł się cieszyć tą uroczystością. Skonstruowano specjalny zakryty pasaż, by królowa mogła wejść do kaplicy przez nikogo nie widziana i ukryć się w łoży wysoko nad ołtarzem aż do chwili rozpoczęcia ceremonii. Benjamin Disraeli, człowiek ciekawy, podnosi głowę i wkłada monokl do oka. Odpowiada mu spojrzenie urażonego Majestatu tak lodowate i pełne nagany, że Disraeli pośpiesznie wypuszcza monokl. Matka pana młodego nie bierze udziału w uczcie weselnej, co przytłumia wesołość - ale gdyby była na uczcie, przytłumiłaby dobry humor gości jeszcze skuteczniej. Zrozumiałe, że Wiktoria nie lubi zaspokajać bezlitosnej ciekawości gapiów, gruboskórnie przypatrujących się cudzemu cierpieniu. Ale Wiktoria jest królową - jak sama nieustannie przypomina ministrom i adresatom swoich listów. Ukazywanie się publicznie, w odpowiednich szatach, by dodawać blasku oficjalnym ceremoniom, reprezentacja - należy do jej obowiązków, za których wypełnianie państwo wypłaca jej apanaże.

Trochę ożywienia na tym weselu wywołuje czteroletni księżę pruski Wilhelm, który wcześniej zaczyna wprowadzać zamieszanie wśród władców europejskich. Wyrzuca zarękawek księżniczki Alicji przez okno karety, zwraca się do swej posępnej, wyniosłej babki per: „Kaczuszko”, podczas kazania wydlubuje cenne kamienie z rękoności swej małej szpady i rzuca je na podłogę kaplicy. Gdy jego młodzi wujowie upominają go, żeby się przystojniej zachowywał, Wilhelm niespodziewanie kąsa ich mocnymi, białymi zębami w gołę pod szkockimi spódniczkami kolana.

Młody Wilhelm nie jest jedynym przedstawicielem Prus, który tego roku wywoła niepokój wśród członków angielskiej rodziny królewskiej. Jego dziad mianuje Bismarcka swoim pierwszym ministrem. Następcą tronu i jego żona, księżniczka Vicky, gwałtownie się temu sprzeciwiają, a ten ich jawny protest wywołuje taką falę niepopularności w kraju, że oboje postanawiają wycofać się chwilowo z życia publicznego.

- Niech przyjeżdżają tutaj - oznajmia Wiktoria. - Tego by sobie życzył mój najdroższy anioł.

I rzeczywiście przyjeżdżają na kilka tygodni.

Później tego samego roku Wiktoria znowu powołuje się na życzenia Alberta, tym razem wykorzystując je przeciwko angielskim mężom stanu. Po śmierci króla Danii sprawa Szlezwi-ku-Hdlsztynu zaognia się znowu. Obydwa ksiąstewka żądają prawa do samostanowienia. Wiktoria przypomina sobie, że Albert popierał pretensje Prus: „Odszukałam wszystko, co On z taką mądrością pisał na ten temat i kazałam to skopiować”. Księżniczka Vicky przypomina nieustannie w swoich listach o tej sprawie. Ale teraz w gnieździe Koburgów jest również pisklę duńskie: żona księcia Walii jest córką nowego króla duńskiego. Nie do pozazdroszczenia jest pozycja królowej. Każdy zatarg prusko-duński odbija się echem w komnatach zamku windsorskiego.

Powszechna opinia w Anglii zwykle opowiadała się z sympatią po stronie mniejszego państwa - Danii, która, jak przypuszczano, potraktuje dwa ksiąstewka z większą sprawiedliwością. Prócz tego młodzianka żona księcia Walii przypadła Anglikom do serca. Razem z mężem prowadzi bardzo ruchliwe życie, dość bywa, jeździ, wciąż jest na oczach publiczności i rozjaśnia mglisty Londyn

swoją pięknoscia, ślicznymi strojami, pogodą i uśmiechem. Palmerston znowu staje jako mediator między królową a jej skłóconymi poddanyimi. Stary polityk oświadcza, z charakterystycznym u niego umiłowaniem paradoksów, że tylko trzy osoby na świecie naprawdę rozumiały problem Szlezewiku-Hoisztynu: księżę Albert, który nie żyje, pewien niemiecki profesor historii, który popadł w obłąkanie i on sam - a on już zapomniiał, o co w ogóle chodziło.

Francja, odwzajemniając się za odmowę Anglii wypowiedzenia wojny za Polskę, oznajmia, że nie będzie walczyć za Danię. Austria popiera Prusy. Palmerston uznaje, że Anglia na własną rękę i bez żadnej pomocy nie może wszczynać wojny ze wszystkimi państwami niemieckimi. Tak więc Bismarck wygrywa. Ale dla królowej Anglii nie jest to jeszcze zakończenie sprawy. Jej sympatia do Prus staje się głośna w całym kraju. Palmerston czyni jej prywatnie gorzkie wyrzuty, lord Ellenborough wygłasza to samo publicznie - w parlamencie. Uginając się przed burzą, Wiktoria potwierdza swój zgodny z konstytucją obowiązek uznawania decyzji, powziętych przez rząd, jako ostatecznych. W ten sposób ratuje tron, ale bynajmniej nie odzyskuje jeszcze popularności.

Do Anglii przybywa z wizytą Garibaldi i jest fetowany przez znaczną część artystokracji, a gdy przejeżdża ulicami, tłumy „nisko urodzonych” wiwatują na jego cześć. Wiktoria to irytuje, a już prawdziwym gniewem wybucha, gdy księżę Walii bierze udział w przyjęciu, wydanym na cześć włoskiego patrioty przez księżnę Sutherland. Garibaldi - dla arystokracji ucieleśnienie romantyczności, dla ludu bojownik o wolność swego kraju - jest dla Wiktorii tylko krwawym buntownikiem, a jego prawości, odwagi i niepodległości ducha w ogóle nie bierze w rachubę. Píše do Vicky o „niewiarygodnej głupocie i lekkomyślności jej najstarszego brata”.

W stosunku do młodej pary, księcia Walii i jego żony, Wiktoria przerzuca się z jednej skrajności w drugą: raz dowodzi, że księżna Aleksandra „nie jest warta ceny, którąśny za nią zapłacili”, to znowu nalega, że cała rodzina powinna ją szczególnie czcić i kochać, raz uskarża się na to, że Aleksandra za dużo się bawi, kiedy indziej mówi, że „nikt od niej nie jest miłszy i droższy”. Przyjaciół księstwa Walii uważa za „lekkomyślną kompanię”, bo palą, grają na wyścigach i zadają się z Amerykanami. Księżę wyrósł na człowieka zupełnie odmiennego od swego kanonizowanego ojca. Tym samym musi być człowiekiem złym, a przynajmniej bezwartościowym. Syn niegodzien jest dzielić z matką jej ciężary i obowiązki - wyjąwszy obowiązki reprezentacyjne, których Wiktoria nie lubi. Księżciu Walii nie pokazuje się żadnych poufnych dokumentów państwowych, nie przygotowuje się go do „kieratu”, chociaż obecnie poruszająca kieratem monarchini wciąż wyraża nadzieję, że już niebawem przyjdzie jej spocząć obok Alberta w mauzoleum windsorskiego zamku.

Edward jest rzeczywiście przeciwieństwem swego ojca. Ma sposób bycia swobodny i miły, talent mówienia odpowiednich słów w odpowiedniej chwili i miejscu, kocha się w sportach i wielkich sportowych zawodach, chętnie występuje publicznie, ma piękną żonę, a dodatkowo lubi się zadawać z popularnymi aktorkami. Miliony poddanych królowej mają ciepły kącik w sercu dla sympatycznego księcia i wołałyby widzieć koronę Anglii na jego skroniach, nie Wiktorii. To on kładzie kamień węgielny pod budowę wielkich gmachów, rozbija butelki szampana o nowe okręty, przewodniczy posiedzeniom komisji, pracujących nad rozwojem opieki społecznej czy też sztuk pięknych. W marcu roku 1864 przed pałacem buckinghamskim - gdzie królowa w ogóle nie mieszka - pojawia się afisz, przed którym gromadzą się tłumy, zanim go nie zerwie oficer gwardii:

„Niniejsze panujące nad miastem budynki są do wynajęcia lub sprzedania, ponieważ ostatni właściciel wycofał się ze swego przedsiębiorstwa”.

Dnia 1 kwietnia w dzienniku „Times” ukazuje się prima aprilisowy artykułik:

„Loyalni poddani jej królewskiej mości z radością dowiedzą się, że ich rnonarchini zamierza przerwać swoje nadmiernie przedłużające się odosobnienie”.

Król Leopold dolewa oliwy do ognia, zwracając uwagę Wiktorii, że księstwo Walii „zagarniają uwagę opinii publicznej i popularność”. Spostrzeżenie, którego mogłaby dokonać i sama Wiktorja, gdyby jej nie zaślepiły pouczenia Alberta, przydającego nadmiernego znaczenia „kieratowi” pracy papierkowej: „Anglicy mają osobiste podejście do wszystkiego i aby trwać w przywiązaniu i lojalności do osoby monarchy, muszą ją ciągle mieć przed oczyma”.

Za granicą rozchodzą się pogłoski, że Wiktorja zamierza abdykować. Wiktorja nie ma takiego zamiaru. Pogłoski są tylko echem tego, co ludzie sądzą, że powinna zrobić. Zamiast tego, królowa nareszcie dostosowuje się do rady Leopolda - w czerwcu roku 1864 wyjeżdża otwartym powozem po raz pierwszy od czasu śmierci Alberta. Zachwyca ją przyjęcie, jakie zgotowały jej tłumy. Ludność wiwatuje i na wszelkie sposoby okazuje swoją radość. Z nieco złośliwym egoizmem Wiktorja porównuje te wiwaty z popularnością jaką zyskali sobie księstwo Walii:

- Oczywiście, dla nich nikt się nie zatrzymuje, ani nie biegnie za pojazdem, jak to ludzie zawsze robili, gdy ja przejeżdżałam, a teraz widzę, że robią to z podwójnym zapalem.

A jednak ta pogładowa lekcja niczego jej nie nauczyła. Wiktorja powraca do swego odosobnienia i zamartwia się tym, że przestała być najważniejszą osobą w życiu swych dzieci. Mają własne rodziny. Wcale nie uważają jej za ostateczny autorytet. Nie chcą widzieć korony na jej głowie.

Trudno jest czasem, zarówno dzieciom Wiktorii, jak i członkom jej dworu, szanować matkę i królową, która stwarza pozory obdarzenia najpełniejszym zaufaniem sługi, „łączącego funkcje lokaja, stajennego, pazia, a nawet garderobianej, bo tak zgrabnie podaje szale i man tyłki”. Ci na dworze, którzy pamiętają, jak niesławnej pamięci Sir Johna Conroya przezywano „królem Janem”, teraz o Johnie Brownie mówią: „król Jan II”.

Brown jest człowiekiem z gruba ciosanym, chociaż nie pozbawionym znacznego sprytu, a w głowie mu łatwo - nic dziwnego! - zawróciły niezwykle względy, jakimi darzy go królowa Anglii. Ten „lokaj i panna garderobiana” w jednej osobie szybko się zorientował, że Wiktorję „ogromnie bawi”, gdy on traktuje ją bez tego szacunku, jakiego królowa surowo wymaga od innych. Pewnego razu, przypinając jej mantylkę pod brodą, Brown ukłął ją niechętnie, ale zamiast przeprosić, wykrzykuje szorstko:

- Kobieto, czy nie potrafisz wyżej głowy podnieść?

Dla samej Wiktorii jest to może zabawna zmiana po pochlebstwach płaszcących się dworzan. Ale w jej najbliższym otoczeniu bezceremonialność i arogancja Browna wywołują bez przerwy kłótnie. Co więcej, Brown upija się często i wtedy jego obowiązki spadają na barki innych. Osobisty sekretarz królowej niejedną raz musi powozić, bo Brown, jak powiada Wiktorja, „wstydzi się dzisiaj”. Powiadają również, że Brown rozwinął w Wiktorii talenty okultystyczne, które służą jej w próbach nawiązania nadprzyrodzonego kontaktu z Albertem.

Inni plotkarze głoszą zaś, że zainteresowanie królowej Bro-wnem bynajmniej nie ma charakteru nadprzyrodzonego. I ponoć naleganie królowej, aby Brown stale nosił szkocką spódniczkę, niewiele ma wspólnego z jej umiłowaniem narodowego stroju Szkotów. Udokumentowanych, rzeczowych dowodów na stosunki Wiktorii z jej szkockim sługą nie ma, tak samo, jak nie ma dowodów na jej uczestnictwo w seansach spirytystycznych. Tylko plotki. Na przykład jeden z gości, przebywających w Osborne, twierdzi, że królowa „rzuca nieprzystojne spojrzenia na kolana Browna” przez okno

swego pokoju, gdy ten przyprowadza wierzchowce.

Sugestie „nieprzystojności” są jednak chyba zbyt dalekie od prawdopodobieństwa i nie wytrzymują próby bezstronnej oceny. Ale dwór Wiktorii się nudzi. Każdy powiew nawet bezsensownej plotki dostarcza im chwili odetchnienia od jałowej pustki. I jak tu się spodziewać, że dworzanie nie będą plotkować, gdy królowa pozwala Johnowi Brownowi - jemu jednemu z całego swego otoczenia - na przywilej, którego niegdyś odmówiła swojej matce: szkocki sługa ma prawo wchodzić zawsze do pokoju, w którym królowa się znajduje, bez oznajmiania się, i nawet bez pukania. Dworzanie nie byliby ludźmi, gdyby w tych warunkach nie podejrzewali, że może jednak życie królowej... „nie skończyło się tego okropnego dnia”.

## Rozdział II

### „GDZIE JEST BRYTANIA?”

Poddani jej królewskiej mości domagają się teraz w pierwszym rządzie, aby Wiktoria przekazała „kierat” pracy administracyjnej swoim sekretarzom i urzędnikom, a sama zajęła się stroną reprezentacyjną. Monarcha jest instytucją państwową i winien funkcjonować na oczach poddanych. W roku 1866 Wiktoria zgadza się raz jeden pokazać publicznie. Od śmierci Alberta stale odmawiała uczestniczenia w ceremonii otwarcia *parlamentu*. Raz jako *wymówkę podała, że noszenie wydekoltowanego stroju galowego może ją nabawić przeziębienia*. A kiedy jej poradzono, żeby włożyła na suknię etolę gronostajową, odparła, że to będzie nie do wytrzymania w dusznym upale Izby Lordów.

W lutym roku 1866 Wiktoria oznajmia nagle, że podejmie się tej funkcji. Zmiana taktyki? Wyjście z odosobnienia? Nie. Wiktoria nie ma dość fantazji ani wyobraźni, żeby samej opracować nową taktykę. Postanowiła otworzyć obrady parlamentu, ponieważ podczas tej sesji ma być dyskutowana sprawa wysokości apanaży dla księcia Alfreda, który właśnie osiąga pełnoletność i dla księżniczki Heleny, która ma poślubić narzeczonego bez grosza - księcia Christiana von Schlesvig-Hdstein. Królewska obecność ma ułatwić rozsypywanie państwowych sakiewek dla potomstwa Wiktorii, która zasłynie jako jedna z najbogatszych monarchiń świata.

Kiedyś, jeszcze z Albertem odwiedzając okolice Anglii, zwane Czarnym Krajem, gdzie dobywa się węgiel, rudy żelaza i glinę, Wiktoria wstrząsnął widok okropnych warunków życia robotników. Ale chociaż na swój ogólnikowy sposób Wiktoria zdaje sobie sprawę z nędzy tak wielu jej poddanych, to stale domaga się od państwa dla swojej licznej progenitury pieniędzy, które mogłyby być przeznaczone na cele pomocy dla najbiedniejszych, na budowę wodociągów i kanalizacji, opiekę nad dziećmi, szpitale. Czy Wiktoria sądzi, że jej dzieci mają pierw szeństwo? Czy może uważa, że pieniądze państwowe i tak się marnotrawi, więc ostatecznie mogą być równie dobrze wyrzucane na Koburgów i ich niemieckich współmałżonków? Czy też w wyniku długiego odosobnienia zatraciła poczucie rzeczy wistości?

Chciwości, która przyciągnęła Wiktoria do parlamentu, towarzyszy histeryczny atak żalu nad samą sobą. Opisuje otwarcie parlamentu jako męczarnię, egzekucję, najwyższe poświęcenie z jej strony. Wreszcie zauważa, że „to tylko widowisko”. To przynajmniej jest prawdą. Właśnie widowisk, reprezentacji domagają się od niej jej poddani. A Wiktoria świadomie broni się przed nimi. Nie chce robić widowiska ze swej osoby. Chce mieć władzę. Kiedy odczytuje dokumenty, kreśli uwagi na marginesach, sugeruje zmiany projektów, kładzie swój podpis na oficjalnych papierach państwowych - wówczas może się łudzić, że jeżeli nie sprawuje władzy, to w każdym razie wywiera wpływ - wpływ w duchu Alberta - na zdarzenia i politykę. Przed ową „egzekucją” płacze nad własnym opisem wdowy o złamanym sercu, w głębokiej żałobie, samotnej w uroczystym przejeździe. Takimi argumentami operuje, przeciwstawiając się woli swych poddanych.

Wiktorii ma dodatkowe powody, by czuć się jeszcze bardziej samotną, niż w chwili, gdy opuścił ją „najdroższy anioł”. Dawny nieprzyjaciel, który pokonał osobiste uprzedzenia Wiktorii, jak też niechęć księcia Alberta i w roli premiera stał się cenionym przyjacielem - lord Palmerston, umiera w wieku osiemdziesięciu jeden lat

„Times” zamieszcza artykuł po jego śmierci: „Nie pozostawił nikogo, który by jak on, potrafił skoncentrować wokół siebie tylu zwolenników o tak różnych poglądach politycznych... jego miejsca w sercach ludności Anglii nikt nie zapełni”.

Rzeczywiście, cały kraj go opłakiwał. Ale najbardziej charakteryzującym go faktem było to, że śmierć jego wywołała radość na wszystkich dworach despotycznych monarchii europejskich, gdzie jego czynna i żywa sympatia dla ruchów narodo-dowo-rewolucyjnych nieraz mąciła im imperialistyczne sny.

Odszedł już również Leopold król Belgów, który niegdyś w sercu Wiktorii zajął miejsce jej ojca, pierwszy mężczyzna, którego obdarzyła zairfaniem i przyjaźnią, który aż do końca swoich dni otrzymywał od niej sążniste epistoły w sprawach rodzinnych i publicznych.

Kto zastąpi tych przyjaciół, na których w przeszłości Wiktorii się wspierała - Leopolda, Melbourne'a, Alberta, Palmerstona? Koteria dworska wyznacza do tej roli Johna Browna, który niedawno otrzymał tytuł „Szkockiego Sługi Jej Królewskiej Mości”, a zachowuje się w stosunku do królowej z poufałością, na jaką żaden sługa by sobie nie pozwolił. Towarzyszy jej stale, w rezydencji czy na przejażdżkach, otrzymuje ciągle podwyżki pensji - od 120 funtów szterlingów do 400 lw ciągu paru lat. O jego moralnej odwadze i dyskrecji Wiktorii pisze: „Na tym Dworze, gdzie tyle jest osób, tak wiele niedyskrecji, a teraz bez silnej męskiej ręki, która by wszystkim pokierowała - osoba jego pokroju jest nieoceniona... Taki prosty, inteligentny, i tak niepodobny do zwyczajnego sługi”. Nikt nie zakwestionuje tego ostatniego stwierdzenia, natomiast co do prostoty charakteru Johna Browna zdania są rozbieżne. Królowa próbuje przełamać niechęć dworu i pisze w liście do niego:

„...pragnę okazywać coraz wyraźniej, czym jesteś dla mnie”.

Jakkolwiek królowa ceni „dyskrecję” swego sługi, sama jednak nie grzeszy dyskrecją, przelewając na papier takie słowa.

Wiktorii powróciła do naiwnych i niedoświadczonych początków swego panowania, kiedy ufała tylko niemieckiej guwernantce.

Podczas ceremonii otwarcia parlamentu Wiktorii chciałaby, jakby przez przekorę, w jak najmniejszym stopniu zaspokoić życzenia swoich poddanych. Daje im tak mało „widowiska”, jak tylko się da - za te dziesiątki tysięcy funtów, których żąda od państwa dla swego liczego potomstwa. Nie zgadza się jechać do parlamentu w wielkim, otwartym powozie, specjalnie do tego celu przeznaczonym, aby wszyscy mogli widzieć ‘królową. Wyklucza trębaczy z ich uroczystym hejnałem, bo - jak powiada - zanadto przypominają jej dzień pogrzebu Alberta. I żeby podkreślić swoją męczarnię, nie wkłada korony, lecz czarną czapkę, taką, jaką nosiła Maria Stuart w dzień swojej egzekucji. Odrzuca purpurową szatę - którą ze względu na tradycję musiano położyć na poręczy tronu - i ubiera się w czarną suknię i welon. Patrzy nieruchomo przed siebie, bez poruszenia, bez wyrazu, jakby głucha na wszystko, co się dzieje. Wzywa sercem ducha Alberta, by zajął niższy tron obok niej - i ten duch-widmo rzuca posępny cień na całą uroczystość.

W roku 1866 położono pierwszy kabel transatlantycki. Świat się kurczy. Minęły płynące wolno dni, kiedy parę tygodni czekało się, nim zza Atlantyku nadeszła odpowiedź na depezę z Anglii. Teraz

informacje o wydarzeniach są dostarczane w przeciągu godzin i wymagają szybkich decyzji, odpowiedzi, działania. Ale dla Wiktorii czas stoi w miejscu. Natychmiast po otwarciu parlamentu wyjeżdża z powrotem do Osborne, potem do Balmoral, do swego ustronia, do duchowego połączenia z Albertem, poza zasięgiem oczu poddanych. A wtedy ministrowie muszą być stale w pogotowiu, a to oznacza jednocześnie, że któraś z gałęzi administracji państwowej pozostaje na dłuższe okresy bez kierownictwa, bo minister, który ma do omówienia z monarchą pilną sprawę, musi podróżować setki kilometrów i może po to tylko, by po pośpiesznej i uciążliwej podróży usłyszeć, że królowa wyjechała na piknik albo<sup>1</sup> na konną przejażdżkę z Johnem Brownem, prowadzącym jej wierzchowca. Tak więc części informacji, błyskawicznie przekazanych z Ameryki, nie można należycie wykorzystać tylko dlatego, że nominalna głowa państwa mieszka na stałe poza stolicą.

W momentach krytycznych - gdy gabinet ministrów się chwieje albo gdy formuje się nowy rząd - Wiktoria musi poddać się konieczności i przyjechać przynajmniej do Windsoru, aby wypełniać swe formalne funkcje. Takiej sposobności koniecznego przyjazdu nastęrczało wznowienie walki o reformę parlamentarną. W czerwcu 1866 roku odrzucono większością jedenastu głosów wysunięty przez stronnictwo wigów projekt rozszerzenia uprawnień wyborczych. Lord John Russell wysłał do Balmoral depeszę, w której zawiadamia o swej rezygnacji ze stanowiska premiera. Ale Królowa nie przyjmuje rezygnacji i przesyła lekarskie zaświadczenie, podpisane przez doktora Jennera, stwierdzające, że stan jej zdrowia nie pozwala na podróż. Wiktoria kazała właśnie niedawno wybudować sobie uroczą chatkę nad strumieniem, a nad drzwiami wyryć napis w języku gaelickim: RUID NA BAHN RIGH - - „Dom Królowej”. Jeżeli chce uniknąć odwiedzających ją ministrów, albo gdy taka wizyta zagraża, królowa wymyka się do tego jeszcze dalszego ustronia, razem z dokumentami i korespondencją, by tam w spokoju „pracować w kieracie”. Teraz więc również wynosi się do swojej ustronnej willi, oznajmiając, że nie pozwoli, by jej spokój „deranzowała ta nieznosna reforma”.

Jednakże kryzys rządowy nie znika na jej skinienie, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Lord John nie może wybrnąć ze swego trudnego położenia. Prasa i opinia publiczna domagają się głośno powrotu królowej. Obrażona, Wiktoria podróżuje na południe, a jej widocznie doskonały stan zdrowia wystawia na pośmiewisko biednego doktora Jennera z jego świadectwem lekarskim. Lord Derby, przywódca stronnictwa torysów, uformował nowy rząd, w którego skład wszedł jako minister skarbu Benjamin Disraeli. Królowa jest w złym humorze. Nienawidzi wszelkich zmian, nie chce dostrzegać niczego dobrego w nowym. Zadowolona była z wigów, nie lubi torysów, chociaż nawet nazwali się teraz konserwatystami.

Tak powszechne są żądania „tej nieznosnej reformy”, że nowy rząd konserwatystów musi podjąć dawne projekty wigów. Królowa ma nadzieję temu się przeciwstawić. Jednakże zmienia zdanie po wydarzeniach z dnia 23 lipca, kiedy olbrzymie masy ludności, demonstrujące na ulicach Londynu, nie wpuszczone do Hyde Parku wylamują żelazne sztachety, wdzierają się do parku, przewracają latarnie, niszczą krzewy, tratują kwietniki.

Królowa przypisuje te zajścia „ludziom najgorszego pokroju”. W rzeczywistości. w demonstracji brali udział szanowani rzemieślnicy, praktykanci i robotnicy ze wszystkich londyńskich przedsiębiorstw. Niewątpliwie zastraszyli królową. Dawne dni czartyzmu dowiodły już, że Wiktoria nie ma na tyle męstwa, by rozprawić się z demonstrantami albo choć wysłuchać żądań tłumów, domagających się demokratycznych praw. Przejeżdżając przez Londyn, dostrzega „morze wstrętnych twarzy”, krzyczących, rozgniewanych. Królowa jest wstrząśnięta. Znowu śnią się jej po nocy, jak w

roku 1839 i 1848, wdzierające się do pałacu rozjuszony tłumy, pędzące po schodach, wyrzucające przez okna meble, a „najgorsze kobiety”, wkładające jej własne suknie... terror... gilotyna...

Zdaniem królowej, w chwilach, gdy „masy wymykają się z ręki”, monarcha powinien być nieobecny. Oczywiście, w „Domku Królowej” jest o wiele zaciszniej. Jednakże gdyby Wiktoria mniej przebywała w Balmoral i w Osborne, mniej byłoby tych „wstrętnych twarzy”, rozgniewanych jej dobrowolną banicją, jej unikaniem reprezentacji i niewywiązywaniem się z poważnej części obowiązku suwerena. „Wstrętne twarze” sprawiają, że królowa nalega na pośpieszne wprowadzenie nowej ustawy o reformie wyborczej. Ustawa ta, która wchodzi w życie w 1867 roku, dopuszcza do głosowania mniejszych farmerów i rzemieślników na prowincji, a lepiej płatnych robotników w miastach.

Nawet po reformie w Izbie Gmin nadal zasiada osiemdziesięciu synów parów królestwa. Z tego królowa jest zadowolona. Nie życzy sobie żadnego poważnego naruszenia przewagi „dżentelmenów”, przedstawicieli warstw posiadających, na rzecz ludzi stojących poniżej „szanowanych obywateli”. Albert opowiadał się za konstytucją, ale nie za demokracją. Więc i ona pisze: „Nigdy się nie zgodzę na monarchię demokratyczną”.

Strach Wiktorii przed tłumami potęguje się z powodu jej odosobnienia. Gdyby знаła bliżej własnych poddanych nie prześladowałyby jej widma szturmów na pałac, terroru i gilotyny. Wzrost uprawnień wyborczych dla mas nie przyczynia się do rozwoju idei republikańskich w Anglii. Republikanizacja rozwija się pod wpływem ucisku i frustracji. W miarę jak zanika władza monarchy, obawa przed monarchą również się zmniejsza. Królowa jest już tylko tradycyjnym zabytkiem, patriotycznym symbolem, „widowiskiem”, zniczem, na który zawsze są zwrócone oczy budowniczych imperium. Lud angielski, słusznie czy nie, nie pragnie republiki: chce mieć monarchę, rozumiejącego nową rolę korony, światło, którego blask padałby i na niego.

Dla Wiktorii ród Koburgów jest właściwie imperium sam w sobie. Stale zdarzają się jakieś sprawy rodzinne, które trzeba rozstrzygać, obżalowywać albo uroczyście celebrować. Wiktoria i jej niezliczeni krewni i powinowaci piszą do siebie o księżętach jako o klanie, o superelicie.

Jednakże Wiktoria wyznaje: „Nie znajduję szczególnej przyjemności w towarzystwie moich starszych dzieci”. Pomimo tego i chociaż często podkreśla swoją awersję do naturalnych procesów, Wiktoria nalega, by wzywano ją do narodzin każdego z jej wnuków, pod warunkiem oczywiście, że połóg odbywa się w Anglii. Siedzi godzinami przy łóżku położnicy, trzyma za ręce swe córki i synowe w bólach, odsyła mężów, dyryguje akuszerkami, terroryzuje lekarzy, wprowadza panikę i chaos do do - mu. Później dziwi się, że coraz częściej powiadomiam ją o takich okazjach dopiero wtedy, gdy już dziecko przyszło na świat. Wtedy wpada w gniew albo dowodzi, że jest chora. Przyszły do siebie po ataku gniewu, posyła rodzinną sukienkę z angielskiej koronki do chrztu, również srebrny talerzyk dla niemowlęcia albo kplderki, szyte i pikowane własnoręcznie przez babcię. Te dowody miłości nie są prezentami. Kiedy dziecko podrośnie i jest już za duże na talerzyk albo kołderkę, trzeba je zwrócić Wiktorii. Zostanie w odpowiednim czasie wysłane następnej szczęśliwej matce. Nie należy niczego marnować.

Jeśli Wiktoria „nie znajduje przyjemności w towarzystwie swoich starszych dzieci”, ona sama w dużej części ponosi za to winę. To prawda, że ponieważ są młode, bywają zarozumiałe, lecz są tylko ludźmi, mają wady. A Wiktoria drażni ich swoim „zapamiętywaniem się w rozpacz” połączonym z natrętnym wtrącaniem się do wszystkich spraw rodzinnych i osobistych każdego z nich. Ponsonby, później sekretarz osobisty królowej, pisze do swojej żony:



„Gzy królowa nigdy się nie przekona, że miałaby dziesięciokrotnie więcej wpływu na swoje dzieci, gdyby odnosiła się do nich z dobrocią, zamiast rządzić nimi despotycznie? Dzieci nie mogą z nią niczego otwarcie przedyskutować. Za bardzo się matki boją”.

Ale nawet „despotyczne rządy” nie wychowa żadnego z dzieci Wiktorii na wzór Alberta. Najgorsze wyniki da ta metoda wychowawcza w zastosowaniu do księcia Walii, który jest już żonaty i ma własne dzieci. Tak mało podobny jest do Alberta, że daje się uwikłać w sprawę rozwodową. Przed sądem odczytane zostają jego listy do pewnej mężatki. Listy te są dość niewinne i sędzia odrzuca je, jako nie stanowiące dowodu winy, a zebrana w sądzie publiczność wiwatuje na cześć księcia. Jednakże pozbawieni swej ofiary co złośliwsi plotkarze, a zwłaszcza grupa purytanskich nonkonformistów w Anglii, rozpoczynają kampanię przeciw księciu. Wiktoria gani hulanki swoich dzieci, a w liście do księżniczki Vicky dodaje:

„Dzieci sprawiają tyle kłopotów, że zmartwienia których przyczyniają, większe są od przyjemności, jakie przynoszą”.

Ale Wiktoria również jest powodem troski swoich dzieci.

Jeśli nie chcą stosować się do jej rad, jeśli sprzeciwiają się jej woli, to dlatego, że ich zdaniem właśnie ona szkodzi sprawie wszystkich ksiąząt angielskich, sprawie tronu.

Księżniczka Alicja, obecnie wielka księżna Hesji i Darmstadt, jest oskarżona o „podburzenie” rodziny, ponieważ próbowała namówić braci i siostry do wspólnego wystąpienia z żądaniem powrotu matki do normalnego pełnienia funkcji monarchy. Księżniczka dowodzi, że to uporczywe pustelnicze życie matki szkodzi interesom korony. A jeśli szkodzi interesom korony, to odbija się również niekorzystnie na interesach dziewięciorga owoców małżeńskiego pożycia Wiktorii i Alberta. Królowa powinna być narodowym symbolem w życiu publicznym, jak tego oczekują od niej jej poddani. Powinna skończyć raz na zawsze ze swoim pustelniczym trybem życia - albo też ustąpić miejsca księciu Walii. Gdziekolwiek Wiktoria się obróci, wszędzie spotyka się z tym żądaniem - ale pozostaje nadal niewzruszona i tylko nie pośle księżniczce Alicji i jej rodzinie zwykłego zaproszenia, by jak corocznie przyjechali do Anglii z wizytą.

Wydaje się, że Wiktoria często woli towarzystwo swoich psów niż ludzi. Jej czworonożnym ulubieńcom najzupełniej odpowiada życie w cichym ustroniu. Wcale nie nalegają, by wyjeżdżała na ulicę, między szpalery gapiących się tłumów. Więc Wiktoria im zwierza się z trosk, jakich jej przyczynia rodzina, i opowiada, jak bezwzględni są w stosunku do zbolącej wdowy ministrowie i lud. A psy liżą jej twarz i wcale się nie sprzeciwiają. **Gdy** któryś z nich rozstaje się ze światem, Wiktoria zaleca wzniesć piękny nagrobek na terenie pałacowych parków. Namiętne przywiązanie do psów każe jej bezkompromisowo zwalczać wiwisekcję. Gdy nowo założona akademія medyczna zwraca się do królowej z prośbą o zezwolenie nazwania uczelni jej imieniem, Wiktoria zastrzega, aby „nie włączono do gmachu żadnych pomieszczeń przeznaczonych do wiwisekcji”. Profesorowie wycofują się dyskretnie i obierają dla uczelni imię innego patrona.

A gdy królowa zajmuje się wyciąganiem od parlamentu pieniędzy na apanaże dla dzieci Alberta, gdy wyraża poglądy o demokracji, które wpoił jej Albert, gdy terroryzuje rodzinę w zastępstwie pedantycznych memoriałów wychowawczych Alberta - przez cały ten czas do jej niechętnych uszu dobiegają narzekania dworu na Szkockiego Sługę jej Królewskiej Mości, i nawzajem - narzekania Szkockiego Sługi na dwór.

Królewscy koniuszowie narzekają, bo Brown chce się nimi wysługiwać, jakby byli chłopcami na posyłki. Brown poskarży się Wiktorii, która napisze do ochmistrza dworu:

„Mój biedny Brown ma tyle zajęć... kładzie się spać z opuchniętymi stopami i nie może zasnąć z przemęczenia... Nie można robić z niego sługi do wszystkiego... prócz tego, to obniża jego pozycję”.

Brown skarży się, że książęta i ich goście, przesiadując do późna wieczór w palarni (w rezydencjach Wiktorii nie wolno było palić w żadnym innym pokoju, jak tylko w specjalnie na ten cel przeznaczonej palarni), dokąd każą sobie przynosić trunki, hałasują i nie dają mu spać. Królowa wobec tego zarządza, aby palarnię zamykano o północy. Skargi Browna na pewno nie były bezpodstawne, ale żaden inny sługa nie ośmieliłby się iść z taką skargą wprost do królowej. A jej metoda załatwienia sprawy nie budzi u młodych książąt i ich przyjaciół sympatii ani do niej, ani do jej Szkockiego Sługi. Brown nikogo nie traktuje z respektem, przeciwnie, szczyci się swoją bezceremonialnością nawet w stosunku do królowej: jeśli nie podoba mu się jej strój, pyta pogardliwie:

- A cóż to dzisiaj nosimy na sobie?

Nic dziwnego, że w modnych salonach kursują pieprzne plotki o „pani Brown”, że ukazuje się oszczerczy pamflet pod takim właśnie tytułem. Odważny kpiarz rozdaje fikcyjny biuletyn dworski, datowany rzekomo w Balmoral:

„Pan John Brown spacerował dzisiaj po wzgórzach. Następnie spożył posiłek, na który złożył się „hagis”. Wieczorem pan John Brown raczył zagrać na kobzie. Pan John Brown wcześniej udał się na spoczynek”.

Gazety przyłączają się do kampanii. Wspominają o tym, że Brown folguje sobie w nadmiernym pijaństwie. I w prasie szwajcarskiej ukazuje się wzmianka, że królowa Anglii zamierza poślubić zwykłego sługę. Czyżby zapomniała „Kim Ona jest”? Dla tygodników satyrycznych plotki są manną z nieba. Publikują karykaturę, przedstawiającą brytyjskiego lwa, który szykuje się do skoku na mocarnie zbudowanego Szkota z kobzą w jednej ręce, a butelką whisky w drugiej.

Ministrowie i sekretarze królowej są zdesperowani. Wiktorია pieni się z gniewu, tupie na nich nogą, żąda wstrzymania oszczerczej kampanii, chłostania winnych. Ale sama nie podejmie tego jedyne kroku, który mógłby plotkarzom zamknąć usta. Nadal zezwala Brownowi na poufałą bezceremonialność, której nie toleruje u nikogo innego. Nadal względy na wygodę i humory Browna przekłada nad względy na członków własnej rodziny i dworzan. Księżniczka Vicky i najbliżsi przyjaciele żądają poświęcenia Johna Browna. Ale Wiktorია, wdowa w średnim wieku, tak samo niesłusznie upiera się przy zatrzymaniu Browna, jak niegdyś jako młoda dziewczyna słusznie upierała się przy odmowie tolerowania Sir Johna Conroya. Upływające lata nie zawsze dodają rozsądku.

Na zmianę jej decyzji nie wpłynie nawet karykatura, przedstawiająca pusty tron, z przewieszonymi przezeń szatami koronacyjnymi i chwiejącą się nad nim koroną, z lwem brytyjskim, śpiącym u jego stóp. Napis pod karykaturą głosi: „Gdzie jest Brytania?” Nie poruszy Wiktorii list, adresowany do „Mojej Drogiej Królowej”, od prostej robotnicy:

„...piszę, by poprosić o wielką łaskę... niechaj ukochany syn naszej najjaśniejszej pani zostanie regentem na resztę jej życia...”

Wiktorię zarówno własna córka, jak i ci „najniżsi z niskich” namawiają do tego samego kroku.

Karykatura i list stanowią klucz do rozwiązania zagadki prawdziwej przyczyny nagonki na osobę Szkockiego Sługi Jej Królewskiej Mości. Nie byłoby żadnych poważnych zastrzeżeń co do melodramatycznego sentymentalizmu Wiktorii, jej Błękitnej Komnaty i mauzoleum; poddani gotowi byliby nazywać ją „wesołą staruszką”, gdyby Brown był rzeczywiście, i nawet na wpółjawnie jej kochankiem, wybaczone by jej prawie wszystko, gdyby tylko zechciała odgrywać swoją rolę

królowej, jak tego jej poddani oczekują, gdyby obudziła ponownie swoje własne dziewczęce sny o królowej z bajki i białym rumaku. Ni<-wydaje się, by żądali od niej zbyt wiele w zamian za setki tysięcy funtów szterlingów, wypłacanych rocznie królowej i jej potomstwu.

Istnieje wśród polityków człowiek, które zdaje sobie z tego wszystkiego dokładnie sprawę, człowiek, który zarazem wie, jak pokierować tą łatwo ulegającą emocjom, historyczną monarchią. Jest nim Benjamin Disraeli, ten sam, który wyraził się, że księżętom pochlebstwa należy zgarniać łopata”. A w lutym 186K roku Disraeli zostaje premierem gabinetu ministrów.

Przed szesnastu laty, kiedy po raz pierwszy Disraeli, już wtedy wybitna postać w świecie literackim i politycznym, złożył wizytę w pałacu buckinghamskim, Wiktoria opisała go w swoim dzienniku:

„...uderzająco niezwykły - wygląd ma bardzo żydowski, śniadą cerę, czarne oczy i brwi, włosy w czarnych lokach... Maniery ma gładkie, a sposób mówienia niezwykle kwiecisty”.

Teraz, gdy jest już premierem, Wiktoria zauważa:

„Piękne to osiągnięcie dla człowieka, który wzniósł się z nizin. Ostatecznie, jego ojciec był nie tylko Żydem, ale zwykłym literatem”.

W rzeczywistości trudno nazwać Disraeliego człowiekiem „z nizin”. Jego dziad był zamożnym finansistą, znanym dobrze na giełdzie londyńskiej, jego matka pochodziła ze starej, hiszpańsko-żydowskiej rodziny. Nie jest też, ściśle biorąc, Żydem, ponieważ ochrzczono go w dzieciństwie, gdy jego ojciec, wybitny pisarz i krytyk literacki, zerwał ostatnie więzy, łączące go z wyznaniem przodków. Ale ta wyniosła pobłażliwość Wiktorii, chociaż oparta na niesprawdzonych danych, stanowi jednak pewien postęp w stosunku do określeń: „pozbawiony skrupułów, śmiały i nie zasługujący na szacunek”, którymi go niegdyś obdarzała. Jej obecna przychylność zrodziła się tego dnia, gdy Disraeli - któremu, nawiasem mówiąc, Albert nie ufał - wygłosił przy odsłonięciu pomnika Alberta błyskotliwą ora-<sup>C</sup>JC; wywołując łzy w oczach Wiktorii, zawsze skorej do płaczu.

Całując jej rękę podczas pierwszej audiencji jako premier. Disraeli od razu wyznacza linię swego przyszłego stosunku do tej, którą zręcznie ochrzcił „Królową Wróżek”:

- Z lojalnym uwielbieniem i ufnością...

Proponuje, aby ich współpraca układała się na podstawie „z jej strony absolutnego zaufania, z jego strony absolutnego oddania”. Wygłasza komplementy na temat jej wielkiego doświadczenia, „przewyższającego doświadczenie wszystkich żyjących książąt i większości ludzi”, i prosi ją o nieszczerzenie mu wskazówek i rad. Wszystkie ważne sprawy, zapewnia, będą przedkładane jej do osądu, wszystkie drobiazgi będzie brał na siebie, by ją odciążyć. W rzeczywistości Disraeli będzie postępował wprost przeciwnie: mniej ważne sprawy zostawi królowej, a ważne decyzje będzie jej przedstawiał, gdy sam już je rozstrzygnie.

Zresztą, Disraeli większość decyzji w ważnych sprawach powziął już dawno, a co więcej, wyjaśnił je i opisał w swoich powieściach. Gdy stronnictwo torysów, do którego należy, zmieniło nazwę na stronnictwo konserwatystów, Disraeli zapytał:

\* Co chcecie konserwować?

\* Koronę, Izbę Lordów, kościół anglikański i interesy ziemiaństwa - brzmiała odpowiedź.

Wykpił ich. To wszystko puste frazesy. Pierwsze - bez prerogatyw, drugie bez samodzielności, trzecie bez wiary, czwarte bez poczucia obowiązku. Ale jego własna odpowiedź, zważywszy, że pochodzi z ust człowieka z klasy średniej, była dość zaskakująca:

- Zachowamy arystokrację, ale zreformujemy ją.

Disraeli jest wielbicielem arystokracji, starych pałaców i zamków, wytwornego życia. Ale chce, żeby arystokracja miała poczucie odpowiedzialności. Jest tradycjonalistą. Opiera się na historii. W przeszłości Anglii król i naród sprzymierzyli się, by zwalczyć wszechmoc baronów. Teraz Disraeli widzi przyszłość arystokracji w przymierzu z... klasą robotniczą, by wspólnie poskromić wzrost potęgi finansistów i magnatów przemysłowych. Klasy średnie stanowią zagrożenie dla arystokracji. Mają siłę ekonomiczną. Nie zadowolają je ograniczone możliwości stworzenia państwa ludzi interesu. Z drugiej strony sfery robotnicze nie mają żadnej siły ekonomicznej i są jeszcze słabo zorganizowane. Nie stanowią zagrożenia dla arystokracji. Przyjęłyby, zdaniem Disraeliego, arystokrację w charakterze przewodniczki, jeśli by arystokracja - wywierając nacisk na pracodawców - zapewniła im dobre zarobki, dobre warunki mieszkaniowe i dostęp do edukacji dla ich dzieci. Jest to ciekawy program bystrego umysłu, zmierzającego do wyzwolenia i jednocześnie osłabienia potencjalnej bojowości klasy uciskanej, by posłużyć się nią jako podporą dla klasy zdegenerowanej przeciwko zakusom klasy sfrustrowanej.

Gładko i wymownie, kwiecistym stylem wyklada Disraeli swe idee królowej, już zafascynowanej, już gotowej wpaść w pajęczynę utkaną przez tego zwinnego pajaka. Premier wtajemnicza ją stopniowo i tak, by uwierzyła, że jego pomysły są właściwie od dawna pomysłami Alberta. Umiejętnie przekręca zwroty, którymi posługiwał się zmarły książę małżonek, by zademonstrować, że „najdroższy anioł” na pewno zaaprobowałby wszystko.

Wiktorię łatwo omotać. Liberalów - niegdyś zwanych wigami - uważa królowa za niewiele lepszych od socjalistów, czyli królobójców, grabieżców, adwokatów wolnej miłości. Konserwatyści, pod egidą Alberta, zęcnie przywołanego przez

Disraeliego, stają się jedynymi ludźmi godnymi zaufania, skarbnicą prawdziwego liberalizmu. Czyż Albert wielokrotnie nie potępiał próżniaczego, bezużytecznego życia arystokracji, oddającej się hazardom, grze na wyścigach i w karty? Ale wcale nie chciał znieść arystokracji. Tak jak ten czarujący nowy premier, Albert chciał zmienić arystokrację, udoskonalić ją, nauczyć ją poczucia odpowiedzialności, współmiernej z ich przywilejami. I jeżeli arystokracja dopomoże w polepszeniu doli robotników, mniej będzie „wstrętnych twarzy”, mniej wyłamywania sztchet w Hyde Parku. Lepiej odżywieni, nie będą żądali prawa głosu. Pozostawią rządy w rękach tych, którzy się na tym rozumieją. Tak więc pomysł Disraeliego popchnięcia klas robotniczych w kierunku miłości dla arystokracji, a nienawiści do przemysłowców, będzie idealnym rozwiązaniem. Wielu z tych przemysłowców to wstrętne republikanie. Jakie to proste!

Wiktoria poddaje się tak łatwo romantycznemu urokowi Disraeliego, jak niegdyś ulegała ojcowskiemu urokowi lorda Melbourne czy fizycznej urodzie Alberta. Gdy nadchodzi wiosna, Wiktoria posyła już pierwiosnki z Osborne premierowi, który stawia je na stole biesiadnym, mimochodem napomykając swym gościom, skąd przybyły. Disraeli odpowiada królowej listami, w których pełno jest plotek z gabinetu ministrów, i często załącza swoje powieści. Opowiadając jej ze szczegółami o drobiazgach, podtrzymuje fikcję, że Wiktoria jest nareszcie „w środku” spraw rządowych. Królowa napisze do przyjaciół:

..Nigdy przedtem nie wiedziałam o wszystkim”.

Disraeli otrzymuje zaproszenie do Balmoral i w ciągu pięciu dni nudnego zamknięcia w zamku, podczas padającego nieprzerwanie deszczu, potrafi delikatnymi, dyskretnymi komplementami i romantycznymi aluzjami jeszcze głębiej wkraść się do serca, tęskniącego za przywiązaniem, które by jednocześnie przynajmniej pozornie było adoracją. Dziwna sprzeczność musiała istnieć w naturze tej

kobiety, której pełne zaufanie zdobywa z jednej strony analfabeta, szorstki, nieokrzesany szkocki pijak, a z drugiej strony i niemal w tym samym czasie ten wysoce kulturalny, genialnie inteligentny i wytworny syn bogatej i utalentowanej rodziny żydowskiej.

Disraeli zdołał nawet namówić Wiktorię, by wybrała się dla odpoczynku w podróż za granicę, oczywiście incognito. Wybrany celem jest Lucerna, do której Wiktoria udaje się pod nazwiskiem hrabiny Kentu, a Disraeli pisze do niej: „Nasza droga hrabina”. Doktor Jenner krytykuje urządzenia sanitarne i przepędza czas na wyszukiwaniu nowych, czy raczej starych zapachów. John Brown upiera się, by traktować Szwajcarię, jak jedną z prowincji Wielkiej Brytanii i żąda wszystkiego - „Królowa powiada, że musi to mieć!” - jakby byli na wind-sorskim zamku. W sumie jednak podróż ta była przyjemna, a „hrabina” bawiła się dobrze i odpoczęła wyśmienicie.

W rodzinie Koburgów, wśród ministrów i ludności Anglii budzą się nadzieje, że czar, jaki Disraeli rzucił na Wiktorię, przetrwa i po tym pierwszym sukcesie doprowadzi nareszcie do wyciągnięcia królowej z jej pustelni.

## Rozdział III

### „MIARA JEJ STOPY”

- My, autorzy, najjaśniejsza pani...

Tak jesienią roku 1866 zwraca się do królowej z ręczny pochlebca, Disraeli. Królowa wcale nie przyjmuje tego za niezasłużony komplement. Zgadza się bez zastrzeżeń na zaliczenie siebie do tej samej kategorii, do której zalicza i pisarza, którego nazwisko ma już zapewnione honorowe miejsce w historii angielskiej literatury. Bo Wiktoria opublikowała książkę - bardzo popularną, pierwszy nakład w ilości 20 000 egzemplarzy rozchodzi się w ciągu kilku dni, a następne wydania ukazują się jedno po drugim w szybkiej kolejności. Jest to jej osobisty hołd złożony pamięci Alberta, a nosi tytuł: „*Kartki z dziennika naszego życia w górach*”. Ilustracje wykonała również królowa. Zieloną zamszową okładkę ozdabiają wytłaczane złote jelenie rogi.

Nikt nie zaprzeczy poważnego osiągnięcia - królowa przygotowała do druku wyjątki z obszernych foliałów swego dziennika. Ale „*Punch*”, tygodnik satyryczny, pokpiwa sobie, ponieważ ponoć najważniejszym z realiów występujących na każdej stronie książki, jest taca z herbatą. Mniej dobrotliwi krytycy zauważają, że butelka whisky rywalizuje z herbatą co do częstotliwości występowania. Wiktoria przypisuje olbrzymie powodzenie książki jasnej i prostej narracji, opisom szczęścia familijno-małżeńskiego i „przyjacielskich stosunków” ze szkockimi góralami w Balmoral.

Ministrowie i dworzanie oceniają książkę jako sprytne fałszerstwo od początku do końca. Narracja jest rzeczywiście prosta, przedstawia niewinny i raczej sentymentalny obraz wyłącznie familijnych wydarzeń, przyjazdów i wyjazdów członków rodziny, wycieczek, domowych uroczystości, krajobrazów wiejskich, urodzin, ślubów i zgonów. Nie ma oczywiście wzmianek o wybuchach nieopanowanego złego humoru z jednej strony, a z drugiej zarozumiałego uporu i pouczenia wszystkich dookoła. Gdyby to była powieść oparta na fikcji, nie można by mieć żadnych zastrzeżeń. Ale jako fragmenty z biografii królowej i jej małżonka, dokument ten jest jednym zakłamaniem. Czytając tę książkę, najsurowsi krytycy Wiktorii mogliby dojść do przekonania, że jeśli istnienie monarchii jest koniecznością, to nie ma nic złego i niebezpiecznego w takiej monarchii i księciu małżonku, jak ci, którzy przepędzają czas sposobem tak prostym i domowo-rodzinnym.

Ale najbliższe otoczenie Wiktorii zna odmienną wersję, którą ogół pozna znacznie później, kiedy zostanie mu udostępniona korespondencja królowej oraz dokumenty państwowe. Historycy będą wówczas mogli wybrać sobie dowolną datę z „Kartek”, pod którą opisano jakiś drobny domowy incydent bez znaczenia i odszukać oznaczony tą samą datą list Alberta, z podpisem Wiktorii, na przykład do premiera gabinetu ministrów, list stanowiący jawne pogwałcenie zasad konstytucji, otwartą interwencję w sprawy polityki rządu, nierzadko w interesie Niemiec. Taka monarchini i taki książę małżonek są oczywiście i szkodliwi, i niebezpieczni. Ale takiej monarchini i takiego księcia małżonka nie poznają czytelnicy „Kartek”.

Być może Wiktoria nie uświadamia sobie swego brzemiennego w niebezpieczne skutki polityczne

oszustwa, jakiego dopuściła się w stosunku do swoich poddanych. Ale wierzy, że książka zapewni jej ponownie popularność, bez potrzeby drastycznego naruszania odosobnionego trybu życia, który sobie upodobała.

Dwór obserwuje z pewnym rozbawieniem, jak po ukazaniu się książki królowa „nastawia się” na literaturę. Wyraża życzenie poznania Karola Dickensa, najpopularniejszego, najbardziej uwielbianego pisarza tej epoki. Przed dziesięciu laty kazała mu się stawić przed swoim obliczem podczas przerwy w przedstawieniu amatorskim, które odbywało się w pałacu bućkinghamskim. Dickens wymówił się grzecznie, ponieważ był ucharakteryzowany i w kostiumie stosownym do roli, którą grał. Królowa powtórzyła rozkaz, ale Dickens uparł się - jeden z niewielu, który miał odwagę odmówić królowej! - tłumacząc, że wstrętna mu jest myśl, iż miałby się przedstawić królowej „w przebraniu i wyglądzie, który nie jest jego własnym”.

Teraz jednakże Dickens przyjmuje królewskie zaproszenie. „My, autorzy” omawiają wizytę Dickensa w Stanach Zjednoczonych, problemy służby domowej i wysokich kosztów utrzymania. Królowa ofiarowuje autorowi „*Dawida Copperfielda*” egzemplarz „*Kartek z Dziennika*” z autografem, a w zamian prosi o komplet jego dzieł, który Dickens jej prześle. Komplet jest pięknie oprawiony w czerwoną skórę ze złożonymi napisami. W ciągu półtoragodzinnej rozmowy królowa nie poprosi tego „tylko literata”, chociaż jest schorowany i utyka na nogę, by usiadł. Na dworze etykieta bierze pierwszeństwo przed względami na czyjeś niewygody.

Nie nadeszła jeszcze chwila definitywnego porzucenia pustelniczego trybu życia przez Wiktorię. Drzwi, które się już otwierały, znów zostają gwałtownie zatrzaśnięte, gdy pod koniec roku stronnictwo Disraeliego ponosi porażkę w wyborach, a do Westminsteru wchodzi William Gladstone na czele większości liberalnej. Jak można było pozwolić tym głupim politykom, by do tego stopnia zakłócali królowej jej samozadowolenie i spokój umysłu? Doprawdy, ludzie nie mają żadnych względów.

Gladstone ma lat pięćdziesiąt dziewięć i uderzający wygląd: jest mężczyzną bardzo wysokim, zawsze sztywno wyprostowanym, o płomiennych oczach, wyrazistych rysach twarzy i donośnym, dźwięcznym głosie. Zajmuje się namiętnie sprawami religijnymi; jego przemówienia, a nawet zwykłe rozmowy, cechuje zawsze pewien odcień kaznodziejski. Aczkolwiek jest człowiekiem o większej prawości i niepodległości charakteru niż Disraeli, Wiktoria nie lubi Gladstone’a. Jak niegdyś bała się Sir Roberta Peela i chciała go usunąć, ponieważ zajął miejsce jej uwielbianego lorda Melbourne, tak obecnie boi się i chciałaby usunąć Gladstone’a, zwycięskiego rywala czarującego Disraeliego. Jako następca tego miódoustego znawcy taktyki, nowy premier w sprawach osobistych stosunków z królową przypomina słonia w składzie porcelany. Pomimo zaleceń własnej żony, by schlebiał Wiktorii, Gladstone rozmawia z nią, według określenia Disraeliego, „jakby była departamentem ministerialnym, a nie kobietą”. Przywódca liberałów nie umie niczego udawać, a sama myśl o pochlebstwie jest mu wstrętna.

Disraeli w ciągu kilku miesięcy tak dokładnie nawrócił królową na konserwatyzm - tę nietypową odmianę jego własnego chowu - że teraz we wszelkich poczynaniach liberałów Wiktoria widzi podstępne próby osłabienia władzy i stanowiska monarchy. Gladstone jest w jej oczach wcieleniem nowych, odstręczających tendencji politycznych - republikanizmu, radykalizmu, ataków na Izbę Lordów, idei samorządu Irlandii. I budzi w niej emocję jeszcze silniejszą od strachu, chociaż z nim spokrewnioną - zazdrość: bo Gladstone wywiera wpływ na masy może jeszcze większy niż niegdyś Palmerston. Dzierży władzę natchnionego kaznodziei. Nazywają go faworytem ludu. Wiktoria sama

nie zniża się do ubiegania się o popularność, oprócz opublikowania „*Kartek z Dziennika*”, ale gniewa ją widok cudzej popularności.

W chwili otrzymania depechy z zawiadomieniem, że został premierem, Gladstone oddawał się swemu ulubionemu zajęciu - ścinał drzewa. Przerywa, by odczytać depechę, mówi:

- Moją misją będzie pacyfikacja Irlandii. - I wraca do swojej siekiery.

Wszystkie środki, jakie Gladstone przedsięwzię, albo do jakich zmuszą go okoliczności, by utrzymać się przy sterze rządu i zapewnić sobie głosy irlandzkich posłów w Izbie Gmin, pomyślane są właśnie jako „pacyfikacja” - nic więcej. Zabiera się do likwidacji kościoła protestanckiego w Irlandii, reprezentowanego tylko przez nieznaczną mniejszość mieszkańców. Katolicka większość nie będzie dłużej zmuszana do płacenia dziesięciny obcej instytucji religijnej. Wiktoria aprobejuje, bo był to jeden ze sposobów uspokojenia Szmaragdowej Wyspy, co planował już Albert. Gladstone przeprowadza Irlandzką Ustawę Ziemską, która w praktyce przyniesie więcej korzyści wielkim właścicielom ziemskim niż dzierżawcom. Wiktoria znowu popiera projekt. Królowa nie żywi sympatii do Irlandczyków, nie zależy jej na tym, by ich wreszcie potraktowano sprawiedliwie - boi się ich. Ciągłe rozchodzą się pogłoski, że Irlandczycy knują spiski na jej życie. Balmoral otoczono oddziałami angielskich żołnierzy dla ochrony osoby monarchi-ni. Środki, jakimi posługuje się Gladstone, z góry skazane są na niepowodzenie, bo najlepsi spośród irlandzkich patriotów nie chcą pacyfikacji, lecz pełnej niepodległości. Wiktoria nazywa ich „tymi okropnymi ludźmi”, a gdy usiłują zwrócić uwagę na swój nieszczęsny los jakimś śmiałym atakiem na brytyjskie pozycje, oznajmia”.

- Będziemy musieli powywieszać ich trochę, należało to zresztą zrobić już dawno.

A kiedy to nastąpi, Wiktoria wzruszy się o tyle, iż napisze:

- Modliłam się ostatniej nocy za tych biedaków. Łatwa droga uspokojenia sumienia.

W roku 1870 pułkownik Sir Henry Ponsonby, dotąd królewski koniuszy, zajmuje miejsce generała Sir Charlesa Greya na stanowisku prywatnego sekretarza jej królewskiej mości. Ponsonby jest człowiekiem o zdrowym rozsądku, rozumiejącym słabości ludzkiej natury, poza tym posiada dużo taktu, cierpliwości... i nieocenione poczucie humoru. Mało kto zazdrości mu objęcia tego stanowiska, bo na barki jego spadnie znaczny ciężar „kieratu”, a także występowanie w charakterze buforu między królową a jej ministrami, organizowanie ceremonii ślubnych i pogrzebowych, przyjmowanie obcych książąt. Wiktoria obciąża siebie i jego tysiącem drobiazgów. Gdy na przykład pewna księżniczka, przebywająca z wizytą na dworze, prosi prywatnego sekretarza o powóz na przejażdżkę, Ponsonby musi przekazać jej życzenie królowej, która przesyła za pośrednictwem jednej z dam dworu odpowiedź:

- Księżniczka może dostać powóz na jutro, ale Sir Henry powinien jej wyjaśnić, że to nie może się powtórzyć.

Ciężar tysiąca takich drobiazgów, ciężar przejęty od pedantycznego Alberta, sprawia, że królowa, obecnie pięćdziesięcioletnia, narzeka, że jest zbyt przepracowana, by zająć się funkcjami reprezentacyjnymi.

Sposoby, znane później pod nazwą „Metody Ponsonby’ego”, którymi posługuje się sekretarz, by łagodzić nie znoszącą żadnego sprzeciwu królową, najlepiej przedstawia jego własny list do żony w Balmoral:

„Wszelkie rady, jakie chciałbym udzielić jej królewskiej mości, muszą być dozowane z wielką starannością. Jeśli królowa się upiera, że dwa plus dwa równa się pięć, mówię, że nie mogę się powstrzymać od przypuszczenia, że czasami dwa plus dwa jest cztery. Królowa odpowiada mi, że



może coś w tym jest, co ja mówię, ale jednak ona wie, że to jest pięć. Wobec czego zaprzestaję dyskusji. Kiedy następnym razem poruszamy ten temat, królowa zacznie od stwierdzenia, że dwa plus dwa to jest cztery... Nigdy nie próbuję udowodnić słuszności mego argumentu. Królowa nie znosi, gdy się jej jasno wykaże, że się myliła”.

Gdy w lipcu roku 1870 niezdarność Napoleona III w połączeniu z bezwzględnością Bismarcka doprowadziła do wybuchu wojny francusko-pruskiej, królowa całym sercem jest po stronie Prus.

Trudno się temu dziwić, zważywszy, że jej szwagier i dwóch zięciów walczy za Wilhelma I.

Więzy rodzinne decydują o jej polityce zagranicznej. W ciągu kilku tygodni równowaga sił w Europie ulega najgwałtowniejszemu wstrząsowi. Dnia 2 września Napoleon poddaje się w obliczu swej głodującej pod Sedanem armii i odjeżdża kareta, w otoczeniu lokajów i stangretów, by zamieszkać w pięknym zamku. Niemcy najeżdżają Paryż, co zachwyca Wiktorię, ale budzi niepokój jej poddanych, których sympatie są po stronie pokonanej Francji, mężnie znoszącej brutalność prusackiej okupacji. „Chodźmy na Montmartre” - powiada jeden z niemieckich oficerów do drugiego - „stamtąd najlepiej widać, jak Paryż płonie”. Dnia 18 grudnia w Sali Zwierciadlanej w Wersalu urzeczywistnia się jeden ze snów Alberta: król pruski zostaje ogłoszony cesarzem Niemiec.

W Anglii co światlejsze umysły zarzucają Monarchii, Kościołowi i Izbie Lordów, że są bastionami reakcji i ciężarem, niesionym na barkach klas wytwarzających. Wiktorja potępia te głosy - jak to zrobiłby i Albert, chociaż może stosując dyskretniejsze słownictwo - określając je jako „dzikie, szalone” i pochodzące od „najgorszych ludzi”. Chroni się do Balmoral, by o nich zapomnieć. W swoim ustroniu może nie dbać o nie, jak nie dba o nędzę wśród wzrastającego bogactwa, jak nie dba o wiadomość, która nadeszła z Niemiec, o śmierci baronowej Lehzen, niegdyć nazwanej w dzienniku:

„...moją anielską, najlepszą, najdroższą mateczką... najcenniejszy skarb, jaki kiedykolwiek będę posiadać”.

Królowa nadal toczy upartą wojnę w obronie swej samotności. Bronią, którą najczęściej się posługuje, jest zły stan zdrowia. Gladstone nadaremnie stara się dojść sedna sprawy i dowiedzieć, czy jej zdrowie istotnie wymaga absolutnego wycofania się z publicznego życia. Premier podejrzewa, że to wola Wiktorii jest słaba, nie jej zdrowie. Umacnia go w tym podejrzaniu wiadomość, która przecieka z Balmoral, że domniemane słabe zdrowie nie przeszkadza królowej w trudnych, pieszych wycieczkach górskich. Dotkor Jenner wyjaśnia ministrowi, któ-ry w danej chwili znajdował się przy dworze, dlaczego popiera pretensje Wiktorii do słabego zdrowia:

- Czy nie lepiej powiedzieć, że królowa z powodu złego zdrowia nie może robić tego, o co ją proszą, niż mówić, że zrobić tego nie chce...? Jej unikanie ludzi i świata jest spo wodowane nerwowością, ale nerwowość ta ma w sobie cechy obłąkania...

Znowu widmo „dziedzicznej choroby”.

Sir Henry Ponsonby pisze do żony, że królowa „rządzi krajem, przesyłając nam rozkazy za pośrednictwem lokai... Jeśli nie jest ona ani głową władzy wykonawczej, ani przykładem honoru (jest to aluzja do plotek o „pani Brown”), ani też ośrodkiem reprezentacji, to godność królewska zupełnie zaniknie”.

Wiktorja broni się, popłakując, jak zwykle, z litości nad sobą.

„Dlaczego umarł najdroższy małżonek królowej? Z przepracowania i troski... a królowa, słaba kobieta, już niemłoda, ma sprostać wszystkiemu...”

I prowadzi do zawołowanych pogróżek abdykacji:

- Królowa musi uroczyście powtórzyć, że o ile jej mini strowie nie będą jej podtrzymywali, to królowa nie będzie mogła podolać i złożyć ciężar w młodsze ręce.

Nikt nie bierze na serio przepracowania ani pogróżek abdykacji. W Londynie ukazuje się pamflet, którego autor sugeruje, że odosobnienie królowej ma inne powody od zwykle przypisywanych „żałów i żaloby”. Podobno oszczędny tryb życia w cichym ustroniu pozwala jej odkładać 200 000 funtów szter-lingów rocznie z sum, wypłacanych królowej przez brytyjskich podatników.

Disraeli, jeden z niewielu, występuje w swych przemówieniach w obronie królowej. Przygotowuje grunt do swego powrotu do władzy. Natomiast Gladstone nie umie znaleźć dla niej usprawiedliwienia. Podsumowuje postępowanie królowej - jej odmowę uczestniczenia w ceremoniach publicznych, które pozbawione obecności suwerena, tracą, nawet tę resztę symbolicznego znaczenia, jaką jeszcze zachowały - jako najbardziej zniechęcające doświadczenie, jakiego zaznał w ciągu czterdziestu lat działalności publicznej. Pisz do Ponsonby'ego:

„Głupszej przyczyny próchnienia tronu nie można sobie wyobrazić. To jakby robak, który draży pień szlachetnego dębu i powoli przecina źródła jego życia”.

Właśnie w chwili, gdy ta cicha wojna dosięgła zenitu, gniew opinii publicznej nagle przekształca się w szczerą sympatię. Kampanię przeciw odosobnieniu królowej przerywa ta sama straszna choroba, która zawiadła do grobu Alberta. Księżę Walii zapada na tyfus.

Wiktoria niewiele do tej pory okazywała miłości, a jeszcze mniej szacunku swemu najstarszemu synowi. Ale jest on dziedzicem tronu. Królowa śpieszy do Sandringham, rezydencji księstwa Walii w pobliżu wschodniego wybrzeża. Zabiera ze sobą świtę, składającą się z dziewięćdziesięciu jeden osób - o wiele więcej, niż się może pomieścić w rezydencji, toteż od razu powstaje rozpaczliwy chaos. Ale Wiktoria troszczy się bardzo o syna, a jej niepokój przeradza się w panikę dnia 14 grudnia - w rocznicę śmierci Alberta. Ponsonby, w swój rzeczowy sposób dowodzi, że nawet jeżeli choroba ta ma się okazać śmiertelna dla księcia Walii, to według prawa prawdopodobieństwa mniej jest możliwości, by umarł tego dnia, niż jakiegokolwiek innego.

Zdrowy organizm księcia i chęć życia okazały się silniejsze niż u ojca. Z triumfem przezwycięży kryzys. W katedrze Sw. Pawła odbywa się publiczne nabożeństwo dziękczynne. A pobyt królowej w Sandringham kończy się incydentem, który dobrze ilustruje stan nieustannej obawy, w jakim Wiktoria trzymała swoje dorosłe dzieci i domowników. Sir Henry Ponsonby opisuje, jak ostatniego dnia pobytu królowej wyszedł z przyjacielem:

„...do ogrodu przez boczne drzwi, kiedy nagle wpadło na nas i prawie zagarnęło stado książąt, ogarniętych paniką, a uciekali, jak mogli najprędzej. Myśleliśmy, że ściga ich rozjuszony byk, ale oni tylko zawołali: „Królowa, królowa!” i wszyscy razem uciekliśmy z powrotem do domu i tam przeczekaliśmy za drzwiami, aż droga będzie znowu bezpieczna... To jest tak zwana solidarna jedność królewskiej rodziny, o której tak często się słyszy”.

Rodzina i dwór w tym są przynajmniej zjednoczeni, że wspólnie uciekają z drogi królowej, jeśli tylko mogą.

Po wyzdrowieniu księcia Walii Gladstone proponuje, aby następca tronu przejął na siebie część „kieratu” - niech czyta i komentuje przynajmniej część korespondencji państwowej. Wówczas Ponsonby musi wyznać, że właściwie opowieści królowej o wielkiej ilości papierkowej roboty są bałamuctwem. Wiktoria obciąża się drobiazgami, a jeśli chodzi o czytanie dokumentów państwowych, to gdyby wszystko przekazała synowi, jeszcze nie miałby wypełnionego dnia. W ten sposób Wiktoria traci kontakt nie tylko z własnymi poddanymi, ale również ze sprawami

państwowymi. Książę spełnia nadal za matkę większość funkcji reprezentacyjnych. Nadaje się do tego doskonale - przystojny, układny, dowcipny, ujmująco skromny. A tak pilnie zajmuje się reprezentacją, że królowa karci go, ponieważ „za wiele bywa”. Zwykle książę Walii tak się boi matki, że nie dyskutuje z nią o niczym, ale tym razem odpowie:

- A co mam robić, jeśli mama bywa za mało?

Wiktorii nie rozgniewała nawet ta cięta odpowiedź. Jest w doskonałym humorze, i ma po temu powody. Dowiedziała się właśnie, że w powszechnych wyborach (rok 1874) liberałowie ponieśli kompletną klęskę. Nareszcie opuści Wiktorię gladstońska surowa posepność i kazania. Idylla z Pisraelim rozpocznie się znowu, wzniesiona na jeszcze wyższy poziom romantyczności.

Tak zafascynowana jest królowa swoim premierem, że z oburzeniem odwraca się od Ponsonby'ego który miał nieszczęście skrytykować „bardzo dziwny” manifest wyborczy Disraeliego. W okresie wygnania, jako wódz opozycji, Disraeli stale korespondował z królową. Na pierwszej oficjalnej audiencji Wiktorii przyjmuje go z radosnym rumieńcem na twarzy, jak młoda dziewczyna swego pierwszego adoratora. Ofiaruje mu przywilej, którym nie zaszczyliła żadnego premiera od czasów lorda Melbourne: zaprasza go, by usiadł w jej obecności:

Niebawem para ta knuje plany, jakim sposobem podnieść prestiż Anglii, który mocno ucierpiał wskutek chwiejnej polityki zagranicznej rządu Gladstone'a. Podstawą wszelkich stosunków z innymi państwami ma być odtąd połączenie wład-czości i zasad moralnych - „dobry ton”, jak to określa Wiktorii. Disraeli, jak zawsze, zachowuje pozory ulegania jej, podczas gdy właściwie sam kieruje wszystkim. Do swojej korespondencji z królową wprowadza szczęśliwą nutę sentymentu, nie przekraczającego jednak nigdy granic tego, co wypada. Gdy otrzyma śnieżyczki, przysłane z Osborne, podziękuje za „wróżebny dar królowej Tytanii”. Pierwiosnki z tego samego ogrodu są „znakiem, że berło jej królewskiej mości dotknęło ziemi zaczarowanej wyspy”. Go prawda, literackie aluzje bywają ryzykowne w odniesieniu do Wiktorii, ale nawet ona zna Szekspira i pamięta „*Burzę*” i „*Sen nocy letniej*”.

Ponsonby, który z przekonania jest liberałem, a poza tym bynajmniej nie kocha Disraeliego i jego zręcznej dyplomacji, nie może jednak opanować odruchu podziwu dla jego mistrzostwa.

- Dizzy wziął miarę stopy jej królewskiej mości z nieomylną precyzją.

To Disraeli włada czarodziejskim berłem - to na jego skinienie żałobna Wdowa z Windsoru uśmiecha się, łagodnieje, okazuje ludzkie względy, nawet kokieterię. I od tej pory staje się serdeczniejsza również w traktowaniu swego otoczenia.

Jak wielu ambitnych i nerwowych mężczyzn u władzy, Disraeli rzeczywiście potrzebuje kobiecego poparcia. Zawsze traktował kobiety w swoim życiu - kochanki, przyjaciółki i żonę - z subtelnym połączeniem rycerskości i uczucia. Wiedział, czego od każdej chciał - namiętności, inteligentnego zrozumienia, czy koleżeńskiej przyjaźni - i prawie zawsze osiągał, czego chciał. Teraz ten siedemdziesięcioletni i bezdzietny, wciąż ambitny polityk, który marzy, że nareszcie swoje sny o potęgę angielskiej na Wschodzie przekształci w fakty historyczne, pisze:

„Kocham królową - może to jeszcze jedyna na świecie osoba, którą kocham...”

Genialny wirtuoz kocha się w instrumencie, z którego wydobędzie melodię, stanowiącą treść jego życia.

## Rozdział IV

### „REGINA ET IMPERATRIX”

„Indie powinny należeć do mnie” - powiedziała Wiktorja w okresie buntu indyjskiego. Nie była aż ‘tak „elementarna”, by przywiązywać do tych słów literalne znaczenie. A ówczesny premier, lord Derby, nie był aż tak przenikliwy, by pojąć, o co jej chodziło. W styczniu roku 1873 Wiktorja wyjaśnia w rozmowie ze swym prywatnym sekretarzem:

- Jestem cesarzową, i w potocznej mowie często nazywają mnie cesarzową Indii. Czemu właściwie nigdy nie przyjąłam oficjalnie tego tytułu? Czuję, że powinnam...

Uraziło ją ogłoszenie cesarzem króla pruskiego, gdy ona pozostaje tylko królową. Cesarz Niemiec, cesarz Austrii, cesarz Wszechrosji - a nie ma cesarzowej angielskiej. W grę wchodzi sprawy pierwszeństwa, cesarz Wilhelm zadziera nosa. Disraeli, który rozumie mentalność kobiecą, a zwłaszcza starannie studiował kaprysy swojej „Królowej Wrózek”, dobrze wie o tym. Wie też, że Wiktorja mało interesuje się polityką wewnętrzną, że jak niegdyś Albert, głównie troszczy się o sprawy zagraniczne. Odwraca więc jej uwagę od bliskich problemów europejskich i otwiera przed nią horyzonty imperium na romantycznym Wschodzie, zgodnie z przepowiedniami, zawartymi w jednej z jego powieści („*Tancred*”, rok 1847). A ponieważ Rosja również zdradza oznaki budzącego się ponownie zainteresowania Wschodem, ogłoszenie angielskiej monarchini cesarzową Indii byłoby doskonałym ostrzeżeniem dla postronnych, by trzymali się z dala od Wschodu. Najpierw jednak należy przygotować odpowiednio grunt również w kraju, bowiem oponentów wobec ustawy o nowym tytule na pewno nie zabraknie.

Disraeli namawia Wiktorję, by zgodziła się na wizytę księcia Walii w Indiach. Nakłania również parlament by poniósł wydatki tej reprezentacyjnej podróży - około 200 000 funtów szterlingów. Podatnik poniesie koszty, kilku kupców londyńskich zbierze zyski, a indyjscy książęta wydadzą w samym Londynie 250 000 funtów szterlingów na prezenty dla królewskiego gościa.

Książę Walii zaskoczy matkę swą kompetencją. Przed wyjazdem przeprowadzi poważne studia nad problemami indyjskimi, strukturą ludności i w ogóle specyfiką tych miast, które będzie odwiedzał i w których ma wygłaszać przemówienia. Książęca wizyta jest jednym wielkim sukcesem, choć oczywiście, składają się na nią głównie przejazdy z jednego do drugiego pałacu maharadzów, utrzymywanych łapówkami w przyjaznych stosunkach z Anglią. Ludność Indii zobaczy książę tylko z daleka. Nędza, głód, epidemie - o tym nikt z gościem mówić nie będzie.

Wraca do domu w roku 1876 okrętem załadowanym darami dla królowej. Ale wszystkie bezcenne klejnoty i dzieła sztuki nie sprawiły jej takiej przyjemności, co hołd, złożony jej pióru - egzemplarz „*Kartek z Dziennika*”, przełożony na język hindustani i oprawny w kosztowną, inkrustowaną okładkę. Wiktorja wydaje dla powracającego podróżnika uroczysty obiad rodzinny, o którym później napisze: „wszyscy byli zadowoleni i przyjacielscy”, dodając sarkastycznie: „Rzadka i wielka rzecz”.

Jeszcze Anglia nie ma cesarzowej, ale już wykazuje wzrastające tendencje imperialistyczne. Stosunki z nowymi albo zacofanymi krajami nie tyle opierają się na handlu z obopólną korzyścią, ile na eksploatacji surowców, osadnictwie, ustanawianiu najwyższej władzy administracyjnej. Nowa Zelandia była kolonią brytyjską od roku 1839. W krótkim czasie. Anglia zagarnęła całą Australię, która od czasu odkrycia złota w Bal-larat przyciągnęła falę imigrantów, którzy wkrótce porzucili jednak poszukiwanie złota na rzecz gospodarowania i rzemio<sup>1</sup>-sła. W Kanadzie osadnicy angielscy i francuscy współżyją nie zawsze spokojnie pod władzą własnego rządu i generalnego gubernatora, występującego w imieniu królowej. W Anglii jedni uważają ten imperialny rozwój za spełnianie misji narodu wybranego, inni za wyzysk słabszego przez mocniejszego.

Wreszcie zbliża się chwila nadania królowej upragnionego tytułu. Jednakże nie wszystkich ucieszyło powodzenie podróży księcia Walii i taktowne orędownictwo Disraeliego. Liberalowie nie pominą sposobności zaatakowania rządu. Republikanie rykoszetem wymierzą w królową. Sporo osób o zdrowym rozsądku - wśród nich Sir Henry Ponsonby, a tym bardziej jego inteligentna żona - zapatruje się na proponowaną zmianę tytułu jako na zbędną, rażącą ostentację. Szeroki ogół z niechęcią odnosi się do propozycji ogłoszenia cesarzową Wielkiej Brytanii i zamorskich dominiów Wiktorii, która prowadzi pustelniczy tryb życia. Ludziom, którym tytuł cesarski nasuwa na myśl despotyzm Juliusza Cezara i Napoleona, skojarzenia wydają się alarmujące. I znowu, gdyby Wiktoria, była „widzialną” monarchinią, stale na oczach, chętnie spełniającą reprezentacyjne funkcje podczas uroczystości i ceremonii, opozycja byłaby słabsza. Wyjście ze ślepej uliczki znalezione, modyfikując proponowany tytuł na „królową Wielkiej Brytanii i Irlandii, cesarzową Indii”, przy czym nie dokonano żadnych zmian w tytułach następcy tronu i królewskich dzieci. Oczywiście, mieszkańców Indii nie zapytano, czy chcą mieć cesarzową, ani nie uprzedzono, że prawdopodobnie nigdy tej swojej nowej cesarzowej nie zobaczą. Ale na terenie Indii nie można zorganizować powszechnego entuzjazmu - Indie są daleko, ludność ponoć barbarzyńska. Ustawa o tytułach królewskich staje się prawem.

Dnia 1 maja 1876 roku królowa podpisuje się z dodatkowym zakreślasem: „Victoria Regina et Imperatrix” i przy-strojona w bezcenne klejnoty indyjskie bierze udział w bankiecie, podczas którego jej syn, książę Artur, wznosi toast na cześć „cesarzowej Indii”. Sir Henry Ponsonby wyraźnie się niepokoi. Jego żona zagroziła, że jeśli goście podejmą ten toast, to ona uciszy ich donośnym okrzykiem: „Zdrowie królowej!” A pogróżek Mary Ponsonby nie wolno lekceważyć. Słynie z tego, że jest jedyną kobietą w Anglii, nie wyłączając nawet Florencji Nightingale, która nie zmieni swoich planów, intencji ani poglądów tylko po to, by dostosować się do woli królowej. Ale na szczęście, na sławetnym bankiecie odzywa się tylko jeden głos: Disraeli zrywa się z kielichem w dłoni i woła z dyskretnym uwielbieniem w głosie:

- Wasza Cesarska Wysokość!

Wytrawny stary dyplomata w chwilę później zapyta, czy cesarzowa nosi w tej chwili na sobie wszystkie klejnoty indyjskie, jakie posiada.

- Och, nie! - odpowiada Wiktoria. - Każę przynieść resztę.

Trzy wspaniałe skrzynie bezcennych klejnotów - warte tyle co królestwo - zostają wniesione na salę i otwarte, by wszyscy mogli podziwiać ich migotliwą zawartość.

Godność cesarska w nieunikniony sposób pogłębia skłonność Wiktorii do uważania swej królewskiej władzy jako „danej z łaski Boga”. Wszelkie idee głoszące, że uprawnienia suwerek mogą pochodzić od ludu, uważa za „absolutnie republikańskie”. Jej nowo nabyta wspaniałość staje

się obsesją. Ponsonby pisze:

„Królowa jest teraz kompletnie cesarzową Indii... żąda przysłania oddziałów jazdy plemienia Sikhów w charakterze gwardii cesarskiej...”

Do tej pory Wiktoria Szkocję zaszczyciała honorem dostarczenia jej zaufanego sługi, który nadal budzi najwyższą irytację jej rodziny i dworu, niebawem honor ten przeczuci na Indie, z tym samym rezultatem, jeśli chodzi o jej najbliższe otoczenie.



Beniamin Disraeli



Królowa Wiktoria w otoczeniu rodziny

Disraeli - podniesiony do godności para, jako lord Bea-consfield - z zadowoleniem spogląda na otwarte drzwi do podjęcia na nowo kampanii, jego własnej jednoosobowej kampanii, mającej na celu wywabienie królowej z jej pustelni. Wiktoria od tak dawna zamykała się przed promieniami słońca, że teraz, co Disraeli dobrze pojmuje - zapomniała prawie, jak ciepłe mogą być jego promienie. Ci, którzy chcieli ją wyprowadzić na światło dzienne, zwykle stosowali jako środki nakłaniania jej tylko zimny prysznic nagany, przypominanie o niespełnionych obowiązkach. Disraeli próbuje odmiennej taktyki. Wiktoria nie chce wyjść na słońce - dobrze, on przyprowadzi słońce do niej i przekona ją na nowo o jego życiom dajnych własnościach. Jego pochlebstwa nie zamykają się tylko w komplementach - to pochlebstwa odnoszące się do nowego tytułu. Wszystko to niezbyt dobrze świadczy o dojrzałości Wiktorii, ale za to jest dowodem nieomyślnej przenikliwości Dis-raeliiego.

Pozostaje mu jeszcze zadanie wywabienia królowej z tej fortecy, w której murach przepędza ona po sześć miesięcy w roku - Balmoral. Nawet Disraeli narzeka, że „rządzenie krajem z odległości sześciuset mil od stolicy podwaja pracę”.

Balmoral jest ulubionym schronieniem Wiktorii. Każdy zakątek wiąże się tu wspomnieniami z Albertem, z owymi dniami, które po wyselekcjonowaniu opisała w „*Kartach z Dziennika*” Nie zgadza się nigdy, by najpilniejsze nawet sprawy opóźniły choćby o jeden dzień wyznaczoną datę jej wyjazdu na północ. Królowie i cesarze mogą zapowiadać swoje wizyty w Londynie, ministrowie błagać o jej obecność, zapracowana urzędnicy przeklinać tysiąckilometrową podróż, która ich czeka, by zdobyć jej podpis, w prasie mogą ukazywać się ostre komentarze - wszystko to absolutnie nie wpłynie na zmianę jej decyzji. Wyjeżdża do Balmoral wyznaczonego od dawna dnia. Ta cecha jej

charakteru, której Albert za życia nie potrafił wykorzystać - upór - nie zanika i po jego śmierci. Tylko w Balmoral Wiktoria naprawdę czuje, jak-by Albert był jeszcze przy niej - na nagich zboczach górskich, w chłodnych komnatach zamkowych.

Chłodne rzeczywiście są pokoje w zamku Balmoral dla tych, których nie rozgrzewają wspomnienia o „najdroższym aniele”.

- Wszyscy lekarze - twierdzi królowa - powiadają, że gorąco źle wpływa na zdrowie, a zimno jest zbawienne.

Toteż w salach i na korytarzach zamkowych nigdy nie pali się w piecach ani kominkach, a w sypialniach tylko wyjątkowo. Zapytana przez Gladstone'a, jak jej się podoba Balmoral, niejaka lady Dalhousie odpowiada:

- Nigdy nie widziałam domu bardziej niewygodnego, ani którego bym mniej pragnęła być właścicielką.

Atmosfera towarzyska - nazywana przez dworzan „bal-moralnością” - jest równie chłodna, jak panująca tu temperatura. Domownicy komunikują się między sobą listownie; zwyczaj wprowadzony przez Wiktorię, która nie lubi osobistego omawiania ani spraw drobnych, ani ważnych, z obawy przed opozycją lub krytyką. Jak może sobie poradzić z opozycją czy krytyką, jeśli większość jej słów to tylko echa poglądów człowieka, który od piętnas lat leży w grobie? Jeden z gości określa życie w Balmoral jako klasztorne.

- Zbieramy się wszyscy na posiłki, a potem każdy wraca do swojej celi.

Etykieta panuje surowa. Nikomu nie wolno wyjść dopóki królowa nie wyjdzie. Gdy pewnego razu Ponsonby, w pilnych sprawach państwowych przełamuje ten punkt etykiety, otrzymuje czterostronicowy list z reprimendami w tonie, jakim tylko surowy nauczyciel mógłby przemawiać do nieposłusznego dzieciaka:

„...jej królewska mość czuje się zmuszona wyrazić życzenie, aby Sir Henry zapewnił, że to się więcej nie powtórzy...”

Szkoda doprawdy, że to nie żona Ponsonby'ego piastuje urząd prywatnego sekretarza, bo z pewnością „to by się powtórzyło” i może z dobroczynnym skutkiem.

Podczas posiłków nie wolno dyskutować o sprawach politycznych ani publicznych. Zdarza się, że ktoś odważniejszego ducha wszczyna dyskusję, zajmuje przeciwne stanowisko, sprzeciwiając się po prostu tylko dla przzerwania rozpaczliwej nudy. Wówczas królowa niezadowolona marszczy czoło. Rozpoczynanie konwersacji należy do prerogatyw, które Wiktoria rezerwuje wyłącznie dla siebie. A ponieważ nie ma szczególnego talentu w tym kierunku, rozmowy, żywione banalnymi ogólnikami, zamierają, ledwie się narodziły. Wszelkie próby „fry-wolności” spotykają się od szczytu stołu z surowym zastrzeżeniem: „To nas nie bawi!”

Sir Henry Ponsonby musi stale przebywać w Balmoral, gdy jest tam królowa, natomiast nie zachęca się do przebywania w zamku jego rodziny, bo to mogłoby przeszkadzać prywatnemu sekretarzowi, który winien być do dyspozycji królowej o każdej porze dnia i nocy. Wiktoria zdaje się zapomnieć, że potrafiła niegdyś wszczynać awanturę, jeśli Albert zamierzał opuścić ją na jeden jedyń dzień. Ponsonby wyraził najcelniej wpływ gnębiącej nudy życia w Balmoral na dworzan, mówiąc, że jedynej rozrywki dostarczyć mogłoby tylko wywołanie jakiejś porządnej kłótni. A gdy omawiając wiadomość w prasie, jedna z dam dworu zauważa, że ludzie popełniają niekiedy samobójstwo nawet z powodu chwilowej depresji, Ponsonby komentuje to w swoim liście do żony;

„Gdyby to było prawdą, mielibyśmy pod dostatkiem samobójstw tutaj.”



Żadna kobieta, obdarzona normalną ludzką uczuciowością, nie mogłaby miesiącami trzymać swego otoczenia w tej strasznej, zabijającej nudzie.

Od czasu do czasu Wiktoria znika na parę dni w swojej „chatce” - Domku Królowej. Kiedy przebywa tam - sama, w towarzystwie jednej tylko damy dworu - nikt nie ma do niej w ogóle przystępu. Nie można podjąć żadnych decyzji państwowych. Wszystko czeka w zawieszeniu, dopóki Wiktoria nie zechce powrócić na zamek.

Jedyną właściwie rozrywką, oprócz z rzadka urządzanych polowań, jest „góralski bal” - stosunkowo często organizowana przez Johna Browna hałaśliwa i rubaszna zabawa, wymagająca otwierania niezliczonych ilości butelek whisky. Królową, która surowo przestrzega zachowania „dobrego tonu” przy wszystkich innych okazjach, bardzo bawi ta cokolwiek wrzaskliwa forma rozrywki i zawsze tańczy sama po kilka razy z największym pijakiem ze wszystkich - swoim „Szkockim Sługą”.

Nie tylko „góralski bal” - który jest rodzajem pokuty dla dworzan i gości, dla wszystkich prócz królowej - ale również odwiedzanie chat góralskich, rozmowy z napotkanymi kobietami wiejskimi, osobiste zakupy w sklepiku - dostarczają Wiktorii rozrywki. Faktem jest, że królowa najlepiej czuje się w otoczeniu prostych ludzi. Oczywista wyższość jej pozycji w stosunku do nich pozwala jej nie starać się o okazywanie wyższości innymi sposobami. Natomiast wśród dworzan i gości odczuwa często braki swego intelektu albo talentów. W wiejskich chatach nie potrzebuje nalegać na przestrzeganie etykiety dworskiej. Spotyka się w sposób naturalny z należnym, jej zdaniem, respektem.

Znana jest anegdota, jak to pewnego razu Wiktoria, odwiedzając chatę robotnika rolnego, zauważyła, że gospodyni nalewa herbatę na spodeczek, by prędzej ostygła, i pije ze spodeczka. Wiktoria podobno poszła za jej przykładem, choć brzmi to mało prawdopodobnie, gdyż Wiktoria raczej nie lubiła herbaty, uważając, że szkodzi zdrowiu. Gdy pewnego razu królowa wychodziła gdzieś po południu, dworka spytała Johna Browna:

\* Na herbatę pewno?

\* Nie - odpowiada Szkocki Sługa. - Nie lubimy herbaty, zabieramy zamiast tego whisky i biszkopty.

Na taką więc „balmoralność” Disraeli przypuszcza ostateczny szturm. Z charakterystyczną dla niego romantycznością wyobraża sobie Wiktorię w roli „Królowej Wrózek”, zakłętej w skrytym w górach zamczysku pamięcią surowego księcia niemieckiego. On, Benjamin Disraeli, Żyd z urodzenia, teraz lord Beaconsfield, będzie błędnym rycerzem, który wyzwoli królową z jej samotni, zwróci jej blask majestatu, a ludowi przywróci jego królową. Nie przymusza więc Wiktorii żadnymi surowymi napomnieniami o obowiązku. Nie pisze na ten temat pompatyczno-kaznodziejskich listów do jej prywatnego sekretarza. Dosiada rumaka (a właściwie jego współczesnego odpowiednika - parowej lokomotywy) i przystępuje do szturmowania murów zamczyska.

Nie złości się z powodu kłopotów, jakich postępowanie Wiktorii przysparza rządowi, nie wypomina niechęci, jaką wśród poddanych wywołuje jej odosobnienie. Zbyt jest zręczny, by popełnić taką gruboskórność. Disraeli bierze do ręki czarodziejską różdżkę i odmalowuje przed oczami królowej obraz rządu, pozbawionego kierownictwa, gabinetu ministrów, zatopionego powodzią spraw, których nie umie rozstrzygnąć wobec braku doświadczonego doradcy, premiera, czującego się wprost bezradnie, o ile nie towarzyszą mu sympatia i zrozumienie mo-narchini, przedstawia naród nie tyle gniewny, ile wzdychający za widokiem ukochanej władczyni.

Jaka kobieta mogłaby się oprzeć uwodzicielskim pochlebstwom (tego mistrza komplementu)? Nawet widmo Alberta nie wytrzymuje konkurencji. Wiktoria zgadza się wyjechać ze Szkocji o wiele wcześniej, niż to poprzednio zaplanowała. Bramy zamczyska stają otworem, mury wał się w gruzy za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Disraeli wraca na południe, uszczęśliwiony sukcesem. Pieszcząc swe czarne loki, pisze do przyjaciela:

- Moja głowa nadal tkwi na karku.

Do takich subtelnych podstępów ucieka się premier, dźwigający rzeczywisty ciężar spraw państwowych, gdy ma do czynienia z samowolną, bezwzględną kobietą, która upiera się przy swej żalobie. Disraeli nie czuje o to urazy. Bawi go ta gra, cieszy własna moc, umiejętność pokierowania królową, na którą nikt inny nie ma wpływu. Znowu weźmie w rękę cza-rodzie jską różdżkę - i oto Wiktoria jedzie na otwarcie parlamentu wielką karetą o specjalnie dużych oknach, by wszyscy mogli ją widzieć. Czar ustronia w Balmoral nie został jeszcze całkowicie zniweczony, ale jego potęga bardzo już osłabła. Disraeli znowu uniesie magiczną różdżkę i jego „Królowa Wróżek” przybywa do Londynu - z „Johnem Brownem, szlachetnie urodzonym” - by samej dokonać otwarcia nowego szpitala, zorganizowanego przez Florencję Nightingale, albo by objąć patronat nad koncertami na cele dobroczynne. Dokonuje też przeglądu wojsk w Aldershot, i dekoruje medalami żołnierzy. Przyjeżdża nawet do siedziby Disraeliego pod Londynem na obiad.

Czy plany polityczne Disraeliego, uwieńczone powodzeniem, przyniosły Anglii trwałe korzyści - jest sprawą dyskusji. Natomiast nie można podać w wątpliwość jego rzeczywistych zasług dla samej królowej. Disraeli przywraca jej zaufanie we własne siły, którego niegdyś pozbawił ją Albert, przywraca jej szacunek i miłość poddanych, o co ona sama uparcie nie chciała się starać.

Wywabiając Wiktorię stopniowo z jej samotni, Disraeli jednocześnie wykuwa ściśle więzy, łączące stronnictwo konserwatywne z międzynarodową oligarchią finansową. Pożycza cztery miliony funtów szterlingów od Rotszyldów, aby zakupić blisko połowę akcji Towarzystwa Eksploatacji Kanału Sueskiego od zadłużonego kedywa Egiptu. Transakcja ta oznacza, że Anglia kupuje sobie skróconą drogę do Indii - bezcenny nabytek zarówno dla celów handlowych, jak imperialistycznych. Francja rywalizowała o zakup akcji, ale przegrała, ponieważ chciała obciążyć warunkami politycznymi tę transakcję, którą Disraeli przeprowadził jako wyłącznie finansową. Premier oznajmia o odniesionym sukcesie w sposób bardzo charakterystyczny. Składa ten sukces u stóp Wiktorii, jakby był średniowiecznym rycerzem i zdobył trofeum w pojedynku w turniejowych szrankach:

- Kanał Sueski nasz - dla pani, Madame...

Prestiż Anglii potrzebuje takiego zastrzyku, jak transakcja z nabyciem Kanału Sueskiego, jak ogłoszenie królowej cesarzową Indii - handel podupada, również ucierpiało ostatnio z powodu kilkakrotnych klęsk nieurodzaju rolnictwo, w miastach i na wsi wzrasta bezrobocie. Stany Zjednoczone i Niemcy z powodzeniem rywalizują o pierwszeństwo w przemyśle, do tej pory bezspornie należące do Anglii. Era wielkich odkryć i ekspansji minęła. Anglia, już uzależniona od importu, by wyżywić swą ludność, zaczyna żyć z procentów, wypłacanych za pożyczki udzielone obcym państwom i instytucjom. Anglia staje się lichwiarzem. Wiktorię mało interesują sprawy ekonomiczne, ale Disraeli wie, czym grozi rządowi zastój w handlu i upadek rolnictwa.

W polityce zagranicznej wybucha burza, która wprawdzie przyczyni się do podniesienia prestiżu Anglii na forum międzynarodowym, ale utrudni platoniczno-romantyczne stosunki Wiktorii z Disraelim. Powstają ponowne spory między Turkami a Rosjanami. Chrześcijańscy Bułgarzy

zbuntowali się przeciw panowaniu Turków, którzy zmasakrowali dwanaście tysięcy powstańców. Rosja chce tę sposobność wykorzystać do ogłoszenia wyprawy krzyżowej, co wzmocniłoby rosyjską pozycję na Bliskim Wschodzie. W Anglii Gladstone z surowością kaznodziei potępia okrucieństwa Turków. Wiktorja jest pewna., że Albert zrobiłby to samo. Nikt w tym stanie rzeczy nie chce pamiętać, że carska Rosja ma też na swym sumieniu niemało okrucieństw, i że to właśnie ona trzyma Polskę pod knutem. Jedynym racjonalnym poglądem dla humanistycznego moralisty, za jakiego Gladstone się uważa, byłoby - „niech licho porwie oba wasze domy”.

Disraeli nie jest moralistą, ale dostrzega, że żadna ze stron w tej dyspacie nie może pretendować do szczególnej cnotliwości. Obawia się wzrostu znaczenia Rosji na Bliskim Wschodzie, przeszerogowania sił, które mogłyby zagrozić Kanałowi Sueskiemu, brytyjskiej pozycji w Afganistanie, w Indiach. Jego złotousta wymowa przekonuje królową, że masakra chrześcijan wynika z winy Rosjan, którzy nakłonili Bułgarów do buntu. Go więcej, ciągnie Disraeli, sytuacja obecna to walka między Anglią a Rosją o panowanie w Europie - „kto będzie pierwszy, królowa czy car?” To celny strzał, aż zanadto celny. Disraeli trafia w dziesiątkę i wywołuje eksplozję.

Wiktorja robi gwałtowny zwrot i żąda wojny przeciw carowi, usprawiedliwiając to żądanie nieco spóźnionym przypomnieniem, że Albert zawsze obawiał się wzrostu potęgi Rosji. Gdy Gladstone i inni członkowie Izby Lordów przemawiają na mityngach antytureckich, Wiktorja żąda, by „tych ludzi postawiono w stan oskarżenia”.

Nawrócenie Wiktorji jest tak kompletne, że wybuch jej pasji przestrasza samego Disraeliego, który wcale nie chce wojować za Turków. Premier zamierza osiągnąć swoje cele zwykłym bluffem. A takie metody zbyt są subtelne dla Wiktorji, która teraz trąbi wojenną pobudkę.

„Gdyby królowa była mężczyzną - pisze o sobie - ©so-biście zabrałaby się do wygrzmocenia tych Rosjan”..

Wojska rosyjskie koncentrują się na granicy tureckiej. Wiktorja cztery razy ucieka się do groźby abdykacji, jeżeli Anglia nie chwyci za oręż przeciwko „tym barbarzyńcom, opóźniającym postęp wszelkiej cywilizacji i wolności”. Sporo osób uważa, że słowem wolność nie powinni szermować ani sułtan Turcji, ani twórcy brytyjskiej polityki imperialistycznej. Ale Indie i Afryka są za daleko, by zwracać uwagę na to, co tam się dzieje. Wiktorja podbija bębenka wyznawcom szowinizmu narodowego:

„Och! Gdyby Anglicy byli dzisiaj tacy, jak niegdyś! Ale my jeszcze upomnimy się o swoje prawa i Brytyjczycy nigdy nigdy nigdy nie będą niewolnikami”.

Wspaniały to melodramat, ale nie wiąże się z niczym, bo trudno powiedzieć, aby prawa Anglików były tu w jakikolwiek sposób zagrożone. Nawet Disraeli dochodzi do momentu, kiedy zastanawia się nad dymisją:

„Tylko, że nie umiałbym stawić czoła scenie, która by się rozegrała na szczytach, gdybym zrezygnował!”

Zastanawia się też zapewne, czy słusznie uczynił, przywracając Wiktorji wiarę we własne siły i zaczyna po trochu rozumieć kłopoty księcia Alberta.

Opinia publiczna, zwłaszcza w klasach średnich, podejmuje okrzyk: „Nie chcemy walczyć, ale poitrafimy się bić jak wszyscy diabli!” Minister spraw zagranicznych, nie posiadając zimnej krwi Disraeliego a obawiający się, że kraj będzie wpędzony w wojnę, rzeczywiście podaje się do dymisji. Ambasador rosyjski w Londynie określa sytuację jako „spisek narwanej kobiety z politycznym pajacem”. W istocie rzeczy spiskuje tylko premier, a pajacem na pewno nie jest.

Spiskowcy nie krzyczą z dachów domów o swoich zamierzeniach, jak królowa. A chociaż hałasuje, królowa nie ma wpływu na bieg wydarzeń. Echo Alberta mniejsze wywiera wrażenie od jego głosu, gdy żył. Disraeli był i jest jedynym, który trzyma wodze polityki brytyjskiej.

Los Anglii - zauważa Disraeli - jest w rękach Anglii.

Gdy wojska rosyjskie podchodzą pod Konstantynopol, flota brytyjska wpływa do Bosforu. Mobilizuje się rezerwy wojska. Disraeli bluffuje na dwie strony: wobec własnej królowej i wobec cara. Ten ostatni zgadza się na konferencję w Berlinie, której przewodniczyć będzie Bismarck. Królowej się zdaje, że wygrała wojnę, której nigdy nie było. Ze stolicy Niemiec Disraeli powróci przywożąc, według jego własnego określenia, „pokój z honorem”. Bezpieczeństwo Turcji zapewnione, Rosja odsunięta od Bliskiego Wschodu, Bułgarom ofiarowana nikła nadzieja niezależności; nie zostały uwzględnione tylko pretensje Greków i Serbów. A Wielka Brytania zyskała od Turcji wyspę Cypr i wszelki „honor”, jaki wiązał się z konferencją. Tylko „pokoju” na Bałkanach jeszcze długo nie będzie.

Osobisty sukces Disraeliego jest poważny. Oszukał Rosjan i zyskał sobie uznanie Bismarcka, który niebawem powie o nim:

„W ciągu kwadransa rozmowy wiedziało się dokładnie, o co

Disraeliemu chodzi, jasno określał granice, do których był gotów się posunąć, i bardzo szybko dochodziło się do podsumowania całej sprawy... to nadzwyczaj zdolny polityk... *Der alte Jude, das ist der Mann!*\*”

Po powrocie na ulicę Downing, do oficjalnej siedziby premiera, arcyliberał, prywatny sekretarz królowej, wręcza wodzowi konserwatystów, Disraeliemu, olbrzymi bukiet „od królowej”.

- Udało nam się - powiada Disraeli do Ponsonby'ego. - Ale praca, kłopoty, nerwowe napięcie, ciągłe negocjacje zupełnie mnie podcięły.

Może powinien był dodać, że do tego podcięcia sił przyczyniło się również popijanie piwa z szampanem, ulubionych trunków Bismarcka, którego Disraeli chciał wprowadzić w dobry humor.

Dnia 14 grudnia 1878 księżniczka Alicja, córka Wiktorii, która w okresie śmiertelnej choroby Alberta taką była podporą dla matki, umiera teraz na tę samą straszną chorobę - tyfus. Wiktoria nie pominie sposobności, by rozpisywać się o tym „wprost niewiarygodnym, zdumiewająco tajemniczym” zbiegu okoliczności, że jej córka „została wezwana” właśnie tego a nie innego dnia ze wszystkich możliwych dni roku.

Zadowolenie w kraju z powodu „pokoju z honorem” nie trwa długo. Przemówienia Gladstone'a wznecają niechęć do awanturniczej polityki zagranicznej, do niebezpiecznych bluffów Disraeliego. Wojny w Afryce i na granicach Indii, przeciw Zulusom i Afgańczykom, przekonują wyborców, że imperializm pokroju Disraeliego bywa dość kosztownym luksusem, przynoszącym małej grupie finansowe zyski, królowej zaś nowe tytuły, ale wielkim masom ludności tylko wzrost podatków i wojenne blizny.

Chociaż ostatecznie zwycięskie i korzystne wojskowo i politycznie, wojny w Indiach zaczęły się przecież od masakry

\* Ten stary Żyd ma głowę na karku.

Brytyjczyków w Isandhlawana i od zamordowania brytyjskiego rezydenta i jego urzędników w Kabulu. Ale Wiktoria nie chce myśleć o tym. Nabrała teraz wojowniczego temperamentu, skłonna jest uważać Anglików za rasę wybraną przez Boga, wyznaczoną do panowania nad tymi, których wielki piewca imperializmu Rudyard Kipling, na razie jeszcze zasiadający za szkolną ławą,

niebawem nazwie „pomniejszych rasami bez własnych praw”.

„Jeżeli mamy utrzymać naszą pozycję mocarstwa pierwszego rzędu - pisze Wiktoria - z koloniami i z imperium indyjskim, musimy być przygotowani na ataki i wojny, w którymś miejscu toczące się nieustannie”.

Gladstone ma własną odpowiedź na szowinizm królowej. Grzmi w północnych hrabstwach Anglii, dowodząc, że tytuł „cesarzowej Indii” jest „szaleństwem i teatralną pompą” i przypominając swoim słuchaczom, że:

„...szczęście skromnego domostwa Afgańczyka, świętość życia w małych wioskach górskich wśród himalajskich śniegów są tak samo nietykane w oczach Wszechmogącego, jak nasze własne”.

Oczywiście, religijna moralność i międzynarodowa polityka rzadko chodzą w parze. Gar nie uważa „świętości życia w małych wioskach górskich” za nietykane, nie kocha Anglii, ponieważ zahamowała jego plany bliskowschodnie, chętnie by się zemścił, wzniecając zamieszki „wśród himalajskich śniegów”. Ale tego nikt nie mówi angielskim wyborcom.

Gdy w roku 1880 Disraeli znowu stanie przed wyborcami, nie zgodzą się przedłużyć mu mandatu. Upadek handlu, sześć lat złych urodzajów dotknęły najbardziej nowych wyborców - sklepikarzy, rzemieślników i drobnych farmerów - a winę za to składa się na rządy konserwatystów. Przemówienia Gladstones, wygłaszane z wagonów kolejowych - co Wiktoria uważa za szczególnie „w złym tonie” - obudziły entuzjazm dla rzekomo postępowego stronnictwa liberałów. Szerokie warstwy robotnicze nie mają jeszcze prawa głosu, ale za pośrednictwem związków zawodowych organizują się coraz lepiej i mogą już wywierać pewien wpływ. Przedstawicielstwo oligarchiczne wchodzi w stan przekształcenia się w demokrację. Go prawda, rodzącej się autdkracji nie pohamowano.

Tak wielką niechęć budzi w królowej Gladstone, że jeszcze raz grozi abdykacją, jeżeli rząd stronnictwa liberalnego nie znajdzie innego premiera. Jak zwykle, Wiktoria stwarza kłopoty i przyczynia trudności, nie wywierając żadnego wpływu na bieg wydarzeń. Po rozważeniu wszelkich możliwych kombinacji personalnych Wiktoria musi się zgodzić na Gladstone'a. Oczywiście, stosunki między królową a nowym premierem nie poprawiają się, gdy Wiktoria tak naocznie udowadnia mu, że wolałaby każdego innego z ministrów widzieć na jego miejscu.

Wiktoria nigdy nie lubiła Gladstone'a, a teraz jeszcze gniewa ją fakt, że Gladstone wyrzucił z siodła Disraeliego. Tak absolutnie zafascynował królową ten, który uczynił ją cesarzową, że teraz każdą krytykę jego posunięć uważa za zdradę stanu. Do Ponsonby'ego pisze, że jedynym możliwym usprawiedliwieniem opozycji Gladstone'a w stosunku do Disraeliego (i królowej) jest fakt, że Gladstone „nie jest całkiem zdrow na umyśle”. Jak ci wiktoriańscy lubili się nawzajem posądzać o choroby umysłowe!

W rzeczywistości Wiktoria i Gladstone mają jedną wspólną cechę - są oboje głęboko przekonani, że to, co w danej chwili jest odpowiednie osobiście dla każdego z nich dwojga, musi być również zgodne z wolą Wszechmocnego: Ale ponieważ to, co jest odpowiednie dla jednego, rzadko nadaje się dla drugiego, więc zadanie Wszechmocnego staje się cokolwiek dwutorowe.

Królowa, która z większym przywiązaniem niż taktem utrzymuje ożywioną korespondencję z Disraelim, obecnie przywódcą opozycji, niebawem zapewnia go, jak dziewczyna broniąca się przed zazdrością kochanka:

„Nigdy nie piszę do premiera o niczym innym, jak tylko o ściśle oficjalnych sprawach”.

Ale królową czeka sroższy cios, niż utrata Disraeliego jako premiera. Utraci go całkowicie. W

roku 1881, w wieku siedemdziesięciu ośmiu lat Benjamin Disraeli umiera, żartując do ostatka. Gdy już wiadomo, że śmierć jest bliska, Wiktorja chce go odwiedzić. Disraeli odpowiada swemu sekretarzowi:

- Nie, lepiej nie. Jeszcze mnie poprosi, żebym zaniósł jakieś polecenie do Alberta...

Disraeli wie, że Gladstone - który, jak rosyjski ambasador, uważa go za politycznego pajaca - szydziłby z uroczystego pogrzebu w opactwie westminsterskim. Spłata więc ostatniego figla swemu staremu oponentowi. Jak w roku 1868, gdy po raz pierwszy ofiarowano mu godność para, nie przyjął jej, a tylko poprosił, by jego żona otrzymała tytuł samodzielnie, jak po konferencji berlińskiej odmówił wszelkich zaszczytów i honorów, którymi chciała go obdarzyć królowa, przyjmując jedynie Order Podwiązki, tak i teraz, po jego śmierci, okazało się, że zażądał, by pochowano go na wiejskim cmentarzu w pobliżu jego rezydencji, obok żony.

Na pogrzebowe uroczystości Wiktorja nadesłała wieniec z pierwiosnków z prostym, ale bardzo osobistym napisem:

„Jego ulubiony kwiat”.

W kościele nad ławką kolatorską Disraeliego wmurowano wielką tablicę pamiątkową z napisem, który jedni uznali za polityczny nietakt, inni za dobrze zasłużony dowód wdzięczności:

„...umieszczona przez wdzięczną monarchinię i przyjaciółkę, Wiktorję R. I.”.

Ani baronowa Lehzen, ani lord Melbourne, ani książę Wellington, ani Sir Robert Peel - o których Wiktorja pisała w dzienniku z wyrazami najwyższego zachwyty - nie doczekali się od niej takiego hołdu.

Niezasłużenie czy też zasłużenie, królowa ma z pewnością powody, żeby być wdzięczna Disraeliemu - i może więcej powodów, niż sobie z tego zdaje sprawę. Wywabiwszy ją pochlebstwami z pustelni, Disraeli uratował ją niewątpliwie od konieczności abdykacji, a na pewno od tego, by zesza do grobu potępiana przez swój naród. Gdyby nie Disraeli, potomni potępiliby ją jako upartą samotnicę, która tylko po to mieszała się do rządów państwem, by przeszkadzać. Disraeli wyniósł ją na piedestał, gdzie poddani mogli ją podziwiać - a w swoim czasie kanonizować. Ocalił tron dla jej następców. Legenda, która otoczy imię królowej Wiktorii na całym świecie, napisana została przez powieściopisarza i polityka, syna człowieka, nazwanego przez Wiktorję „Żydem i tylko literatem”.

*Część piąta*

# KRÓLOWA DWÓCH JUBILEUSZY



Królowa Wiktorja (ok. r. 1887)



Mauzoleum królewskie we Frogmore



# Rozdział I

## DWA JUBILEUSZE

Rok 1886. Niska, siwowłosa stara dama, ubrana całkowicie w czerń, prócz białych koronek przy czepeczku, jedzie karocą ulicami Londynu. Nie jest już tylko królową odcinka prywatnej plaży na wyspie Wight, kawałka wrzosowisk szkockich. Po krótkim okresie ponownego odosobnienia po utracie Disraelie-go, Wiktoria ugięła się przed wolą swoich poddanych, wyrażaną coraz energiczniej w obu Izbach parlamentu i w prasie: „Chcemy, by zamiast oddawać się hipochondrii, królowa wypełniała swoje obowiązki”. Wiktoria uzbroiła się w odwagę, by zostać „publicznym widowiskiem”, jak tego od niej żądają - i przekonuje się, że rola ta mniej jest przykra niż przypuszczała.

Królowa pojawia się teraz regularnie na bankietach, w salonach, na koncertach, na paradach wojskowych. Kładzie kamienie węgielne. Balmoral i Osborne nadal kuszą ją i poświęca im jeszcze stosunkowo dużo czasu, ale gdy nie jest w żadnym z tych ulubionych ustroni, odwiedza oficjalnie różne prowincjonalne miasta i z przyjemnością słucha entuzjastycznych powitań tłumów. W Londynie otwiera Wystawę Indyjską i Kolonialną i zasiadłszy na szczytym tronie - zawsze w żałobnych sukniach, w ćwierć wieku po śmierci Alberta - odczytuje odpowiedź na mowy powitalne. Od dawna nie słyszano już jej głosu na żadnej publicznej uroczystości.

Przeważającej większości swoich poddanych Wiktoria wydaje się po prostu miłą, owdowiałą staruszką, która przejeżdża-jąc ulicami, kiwa im głową w skromnym czepeczku, a czasem nawet pozdrawia skinieniem niezwykle małej ręki. Musi czuć się ogromnie samotna na tym tronie, myślą ludzie, bez pomocy i opieki księcia małżonka. Obdarzają ją nie tyle miłością, ile współczuciem. I przechowują w swej pamięci ten właśnie wizerunek Wiktorii, który ona sama stworzyła dla potomności na „*Kartkach z Dziennika*” i wydanych później „*Dodatkowych Kartkach*”.

Parowie, biskupi i dygnitarze woleliby widzieć mniej tych czarnych sukien i czepeczków, a więcej purpury, gronostajów, klejnotów, przepychu. Ale niech i tak będzie. Wiktoria wreszcie wypełnia główną funkcję, której wymaga się od dziewiętnastowiecznego suwerena: odwraca uwagę mas od nędzy ich własnego życia, od porównywania go w nazbyt bojowy sposób z bogactwem pałaców arystokracji i finansjery. Dla klas robotniczych czarne suknie, babciny czepeczek, liczna rodzina - są oznakami prostoty i przystępności. Instynkt Wiktorii trafniejszy jest od życzeń arystokracji. Prostota jej wyglądu pociąga ludzi i będzie pociągała przyszłe pokolenia. Klasy średnie darzą ją przywiązaniem jako przedstawicielkę ich własnego, po mieszczańsku solidnego stylu życia. Mało myślą o swojej hipokryzji - filantropią płacą za nadużycia i wyzysk, pozornie wzorowym życiem rodzinnym pokrywają istnienie ukrytych kochanek i domów publicznych. Nie wiedzą nawet, że ich królowa mogłaby sprostać im w hipokryzji. Rola samotnej wdowy w żałobie jest równie sztuczna, jak niegdyś rola potulnej żony, czy przepracowanej samotnicy. Wiktoria gra ją dobrze i oszuka swoich poddanych, a później niejednego historyka, który powinien by mieć więcej

przenikliwości. W połączeniu z długim życiem i długim panowaniem, rola ta zdobędzie dla Wiktorii sławę większą, niż zyskali sobie ci, którzy położyli rzetelne zasługi dla dobra ludzkości.

A za kulisami Wiktoria nadal rządzi rodziną i dworem tą samą metodą, co zawsze - wybuchami gniewu, melodrama-tycznymi scenami, kiedy to jednym gwałtownym ruchem ręki zmiata z biurka wszystko, co na nim stoi, atakami płaczu i żalonym litowaniem się nad samą sobą. Jest nadal histeryczną despotką, której nie potrafiła poskromić dogmatyczna cierpliwość Alberta, a tylko ojcowskie przywiązanie lorda Melbourne i złotouste pochlebstwa Disraeliego. Publiczność, która spogląda na przejeżdżającą karocą srebrnowłosą starą damę, nic nie wie o tym wszystkim, jak nie wie o tym, że wbrew pozorom słodczy, Wiktoria nadal bezwzględnie upiera się przy surowej etykiecie należnej cesarzowej i nie dba o uczucia tych, których wyniośle odtrąca.

W pewnym prowincjonalnym mieście Wiktoria zwiedza miejską bibliotekę. Przedstawiony królowej bibliotekarz korzysta ze sposobności i usiłuje przedstawić swoją córkę.

- Najjaśniejsza pani - to moja córka!

Ile emocji przeżywała młoda dziewczyna w oczekiwaniu tej chwili! A gdyby królowa podniosła rękę i uderzyła dziewczynę w twarz, wrażenie nie byłoby okropniejsze od tego lodowatego wzroku, od surowego odwrócenia się i od słów wypowiedzianych z kamienną obojętnością:

- Przyszliśmy zwiedzić bibliotekę.

Wiktoria nadal czuje antypatię do liberałów, których zrównuje z „demokratami, republikanami i socjalistami”. Do takiej oceny nie ma uzasadnienia, chociaż na pewnym bankiecie, wydanym dla liberalnych członków parlamentu, około stu gości nie wstało, gdy wzniesiono toast za zdrowie królowej. Niechęć Wiktorii ma swoje główne źródło w nienawiści, jaką w niej budzi przywódca liberałów, Gladstone, i jego wzrastająca popularność, której mu królowa zazdrości. W domkach i chatkach więcej wisi na ścianach portretów Gladstone’a niż królowej. Gdy stary premier odwiedza jakieś miasto, miejscowi liberałowie ogłaszają święto i wszystkie sklepy są zamknięte. W żadnym mieście nie ogłoszono święta i nie zamknięto sklepów z powodu przyjazdu Wiktorii. Gladstone kieruje nie tylko losami państwa, ale i losami jej poddanych w stopniu, którego Wiktoria nigdy nie osiągnie. Kiedy Gladstone poda się do dymisji, królowa przyjmie jego rezygnację bez jednego słowa podziękowania za jego usługi - a tym bardziej nie wyprawi dla niego tradycyjnego przyjęcia pożegnawego.

Ideologii demokratycznej Wiktoria po prostu nie rozumie. Gdy pewnego razu musiał ustąpić rząd konserwatywny, który Wiktoria uważała za „wygodny”, napisze:

„Wydaje mi się błędem naszej wychwalanej konstytucji, że trzeba się rozstawać z doskonałym rządem bez żadnego widocznego powodu, ani też z przyczyny sprawy o ważnym znaczeniu, a tylko i wyłącznie z powodu liczby oddanych głosów”.

Chociaż zdanie to robi wrażenie, jakby Wiktoria chciała sparodiować samą siebie, napisane było jednak najzupełniej poważnie. Wola większości narodu jest dla królowej Anglii „sprawą bez znaczenia”. Wiktoria jest już anachronizmem. Reformy, w których nie brała udziału, prócz prób ich opóźnienia, zmieniły scenę polityczną. Ale Wiktoria nadal sądzi, że mogłaby rządzić za pośrednictwem niezmiennej grupy ludzi, myślących tak samo jak ona. Jest to rezultat nauk księcia małżonka. W taki sposób Albert rządziłby ojczystym księstwem, gdyby zamiast swego brata, księcia Ernesta, a później księcia Alfreda, on sam wstąpił na tron sasko-koburski. I w taki sposób, poprzez Wiktorię, chciał rządzić Anglią. Gdyby Albert żył tak długo jak jego żona, może by mu się udało przywrócić władzę królewską i zgnieść „wychwalaną konstytucję”. Życia jego starczyło tylko na

pierwszą część kampanii: przywrócenie królewskiego wpływu w ramach konstytucji. Ale nadal każda opinia, każdy pomysł Alberta - jakkolwiek obce, jakkolwiek przestarzałe wobec zmieniających się okoliczności - dla Wiktorii są świętym prawem. Z punktu widzenia politycznego i w ogóle intelektualnego, umysł Wiktorii jest jak pusta skorupa orzecha, z którego jądro zabrano owego dnia 14 grudnia roku 1861.

Następna reforma prawa wyborczego, uchwalona w roku 1884, uprawniając do głosowania górników, robotników rolnych i w ogóle proletariat, wprowadza do Izby Gmin posłów, którzy uważają za swój obowiązek głosować tak, jak sobie życzą ich wyborcy, a nie tak, jak życzyłyby sobie dla własnego spokoju królowa. Albert był zdania, że klasy średnie, których interesy zawodowe i stopień zamożności skłaniały do podtrzymywania istniejącego ustroju, powinny otrzymać prawo głosu, ale nie klasy robotnicze, które mają wszelkie powody, by głosować za nowym porządkiem w społeczeństwie, bez arystokracji i bez monarchii. Toteż Wiktorii określa nowych, demokratycznie myślących posłów, z których wielu dąży do zniesienia ucisku Irlandii, jako:

„...chciwych dorobkiewiczów, którzy nie dbają o to, co musi wycierpieć ich stara monarchini”.

Można by odpowiedzieć że ta monarchini, jedna z najbogatszych na świecie, również nie dba o cierpienia swoich poddanych. Wiktorii, właścicielka pałacu, dwóch zamków i nadmorskiej siedziby, przeczytała wprawdzie sprawozdanie o warunkach życia w „slumsach”, czyli dzielnicach biedoty londyńskiej i powiedziała Gladstone’owi, że należy budować więcej nowych domów, ale gdy na placu Trafalgar zbierają się demonstracje, by żądać pracy i chleba, Wiktorii nie chce uznać demonstrantów za bezrobotnych, zasługujących na pomoc, lecz nazywa ich „bandą złodziei i socjalistów”.

Jedynym gestem - który stary książę Wellington wyszydziłby w ostrych słowach - pomocy bezrobotnym, jest szeroko rozgłaszane zarządzenie o skreśleniu baraniny z jadłospisu dworskiego na przeciąg trzech tygodni. Baraniny nie ma - ale za to stoły uginają się od wołowiny!

Zaobserwowano natomiast znaczną oszczędność w ekspensie whisky na królewskim dworze. John Brown nie żyje bowiem od trzech lat. Wiktorii opłakiwała go z takim samym prawie nieutulonym żalem, jak Alberta. Jej przywiązanie do tego sługi, którego bała się reszta służby, nie lubili dworzanie, a nienawidziła cała królewska rodzina, sięga korzeniami tych dni, gdy Albert chętniej powierzał konie Brownowi, niż komukolwiek innemu. Wiktorii wierzyła, że właśnie Brownowi Albert zdał opiekę nad nią. I czy to dzięki swej roli medium podczas seansów spirytystycznych, czy po prostu jako świadcowi tamtych dni, Brownowi udawało się utrzymywać królową w (kontakcie z przeszłością do takiego stopnia, że wreszcie prawie już identyfikowała swego „Szkockiego Sługę” z mężem. Albert może nie pochwalałby tego potopu czułych żalów, jakim wdowa po nim przyjęła śmierć Browna:

„...każde ogniwo wstrząśnięte i potargane... w każdym miejscu i o każdej chwili utratę tego silnego ramienia i mądrej rady, gorącego serca i sympatii odczuwam tak okrutnie...”

Cóż więcej mogłaby powiedzieć ta sześćdziesięcioletnia wdowa, gdyby była naprawdę, jak głosiły plotki, „panią Brown”?

Na terenach królewskich rezydencji, pojawiają się, jak wysypka, różne kopce, pomniki, tablice, napisy upamiętniające Johna Browna i ulubione miejsca dawnych pikników i podwieczorków z biskoptami i whisky, „bo herbaty nie lubimy”.

Ponsonby walczy po bohatersku, by nie dopuścić do wieńczącej wszystko niedyskrecji - jego królewska pracodawczyni chce opublikować pamiętnik o „Szkockim Słudze Królowej”, napisany

przez nią przy pomocy literackiej sekretarki, panny Macgregor. W „*Dodatkowych Kartkach z Dziennika*”, wydanych jako ciąg dalszy pierwszego pamiętnika, John Brown już wyszedł na bohatera Balmoral. Teraz jemu w całości poświęcony pamiętnik królowa daje do przeczytania Ponsonby'emu, a ten czyta ze wzrastającą zgrozą i decyduje się przekazać swą opinię autorce:

„W miarę czytania ośmielam się i chciałbym prosić Najjaśniejszą Panią o wybaczenie, jeśli wyrażę wątpliwość, czy te zapiski o najgłębszych i najświętszych osobistych uczuciach królowej powinno się podać do publicznej wiadomości. Są tu ustępy, które będą inaczej zrozumiane...”

Taktowny Sir Henry! Ostrożnie, ale stanowczo przeprowadza swoją wolę. Teraz wydaje się zrozumiałe, jakim sposobem ten zawzięty liberał (nazywany nawet „rewolucjonistą”) potrafił w ciągu dwudziestu lat zachować, mówiąc ogólnie, zaufanie królowej, która obecnie jest fanatykiem stronnictwa konserwatywnego. Dziekan Windsoru, Randal Davidson, któremu pamiętnik o Johnie Brownie również dano do przeczytania, wydaje otwarcie negatywną opinię - narażając całą swoją przyszłość. Inne osoby, stojące blisko królowej, przylączają swoje głosy do opinii Ponsonby'ego i dziekana. Wreszcie Wiktoria rezygnuje ze swego projektu, tak niebezpiecznego dla jedynej pozytywnej wartości jej panowania - reputacji wzorowej moralności, jaką cieszy się królewski dwór.

Szczerze rojalistyczni ministrowie i dygnitarze ocierają pot z czoła i oddychają z głęboką ulgą. Znają urywki z tego pamiętnika, nad którym publiczność chichotałaby znacząco, wiedzą o liście Wiktorii z noworocznymi życzeniami do jej sługi o włochatych łydkach: „ze słowami mojej miłości i ufności do Ciebie, najlepszy skarbie mego serca”, i kartkę posłaną przy podobnej okazji, zawierającą wzmiankę: „kiedy zimą noce były długie”.

W kołach dworskich nikt nie obżalowuje Johna Browna. Ponsonby potrafi jednak odsunąć osobiste uprzedzenia i zdobywa się na obiektywną ocenę:

„Sądzę, że był człowiekiem uczciwym, a chociaż bez wykształcenia, zabobonny i z wieloma grzechami na sumieniu, był jednak niewątpliwie oddanym i dobrym sługą królowej”.

Wiktoria stawia na swoim biurku, naprzeciwko popiersia Alberta, posążek Johna Browna, odlany ze szczerego złota. Jakie myśli nasuwa ta złota figurka, można tylko zgadywać. Może przywoła cię uśmiechu na usta starej kobiety wspomnienie chwili, kiedy podczas podróży do księstwa koburskiego, hałas nieustannie grającej pod jej oknami dętej orkiestry dokuczał Wiktorii. John Brown, w szkockiej spódniczce, z gołymi kolanami, długimi krokami podszedł energicznie do kapelmistrza, a nie znając w ogóle niemieckiego, skutecznie uciszył orkiestrę słowami:

- Nix bum bum!

Łatwo pojąć, że Wiktorię bawił ten Szkot i że mogła go szczerze polubić. Ona sama wypaczyła jego charakter, pozwalając na pozorne poufałości, choćby obsypując go takimi zwrotami jak „najlepszy skarb mego serca” albo „wspomnienia długich zimowych nocy”.

Przynajmniej pod względem politycznym John Brown nie stanowił niebezpieczeństwa. A nie są tego pewni ministrowie, gdy chodzi o indyjskiego sługę królowej, Abdula Karima, znanego pod przezwiskiem Munshi, który niebawem zastąpi Johna Browna jako zaufany królowej. Munshi rozpoczyna swoją karierę, jak Albert, od osuszania bibułą podpisu Wiktorii, ale niebawem już sam czyta dokumenty państwowe i odpowiada na listy w imieniu królowej. Ministrowie obawiają się oczywiście, czy Munshi nie przekazuje poufnych informacji komuś w Indiach. Munshi jest przeciwieństwem Johna Browna - to intrygant, schlebiający, uśmiechnięty i tajemniczy. A ponieważ przybiera wyniosłe pozy i powołuje się na swe wysokie urodzenie, podczas gdy ogólnie wiadomo, że

jest synem więziennego felczera, więc niebawem budzi na dworze i w królewskiej rodzinie jeszcze większą nienawiść, niż niegdyś John Brown. Boją się wszyscy, jak obawiali się za życia Browna, tego, do czego zdolna jest królowa w chwili nieodpowiedzialnego uniesienia, albo gdy ją szczególnie rozgniewa ktoś z rodziny. A w tej obawie, i w tej nienawiści kryje się również domieszka niechęci rasowej, zwłaszcza że kółowa nalega, aby Munshi - a nie czyniła tego nawet dla Browna! - spożywał posiłki z dworzanami, a nie ze służbą, i w ogóle, aby go traktowano jak „szlachetnie urodzonego”. Powstaje wyraźne niebezpieczeństwo, że tego rodzaju królewski zaufany, człowiek wyraźnie ambitny, może łatwo stać się narzędziem w ręku nieprzyjaciół Anglii. Wprowadzenie Munshiego i innych sług indyjskich wywoła odruch irytacji nawet u cierpliwego Ponson-by'ego, który pisze do żony, że trudno mu już znosić kaprysy królowej:

„Dopóki to byli Anglicy i Europejczycy, mogłem sobie ja-koś radzić. Ale ci ciemnoskórzy to więcej, niż potrafię wytrzymać”.

Inną cechą życia Wiktorii, ukrytą przed jej poddanymi, którzy widzą w niej postać patetyczną w swym osamotnieniu i kompletnie nieszkodliwą, jest jej nieustanne wtrącanie się - wzorem Alberta - w sprawy, które stanowią wyłączną domenę odpowiedzialności rządu. Disraeli, odsłaniając przed nią nie tylko oficjalne decyzje gabinetu, lecz również poglądy, wyrażane przez poszczególnych ministrów na posiedzeniach, stworzył niebezpieczny precedens. Wiktoria domaga się tego samego od jego następców. Gladstone skarży się, że takie żądanie jest „nie do zniesienia” i wybucha w obecności swego ministra spraw zagranicznych, lorda Rosebery, gorzkimi skargami, pod którymi pewno podpisałby się Albert:

- Królowa zabije mnie swymi żądaniami!

Między innymi Wiktoria wmieszała się w sprawę Sudanu, gdzie w roku 1884 wybuchł bunt przeciw panowaniu brytyjskiemu. Poległo dziesięć tysięcy egipskich żołnierzy razem ze swymi brytyjskimi oficerami. Gladstone decyduje ewakuować Sudan. Ewakuacyjne oddziały muszą sprowadzić rozproszone garnizony, zwłaszcza załogę Chartumu. Ale znaleźli się oponenti, przede wszystkim królowa, która niczym dalekie echo Melbourne'a powtarza:

- Źle oddawać to, co się już miało.

Generała Karola Gordona wybrano na wodza wyprawy, mającej ewakuować Chartum. Dziwny wybór. Ten pięćdziesięcioletni, niski mężczyzna odznaczył się wprawdzie w brytyjskiej imperialistycznej wojnie interwencyjnej w Chinach, trudno jednak wyobrazić sobie, aby zawodowy oficer, wojownik i poszukiwacz przygód, a zarazem religijny mistyk, potrafił przeprowadzić niewdzięczne zadanie wstydlivej ewakuacji Sudanu. Przypuszcza się, że wybrali go celowo i świadomie ci z członków gabinetu - a pomagała im skrycie królowa - którzy nie chcą „oddawać tego, co już mieli”. Istotnie, żadne posunięcia Gordona w czasie wyprawy nie mają nic wspólnego z ewakuacją. Gordon przygotowuje Chartum do odparcia oblężenia, najwyraźniej w nadziei, że zmusi rząd do wysłania odsieczy, z pomocą której mógłby pokonać Sudańczyków i przywrócić panowanie brytyjskie.

Gordon przypada do gustu Wiktorii. To ona bezustannie atakuje Gladstone'a żądaniami wysłania silnej odsieczy z pomocą Gordonowi. Albert nie zostawiłby dzielnego generała na pastwę „barbarzyńskich fanatyków”. Albert nie okazałby tak mało dbałości o prestiż Anglii, by zgodzić się na ewakuację imperialnej kolonii. Albert uważał powstańców, dążących do niepodległości, za bandytów. Trzeba ratować generała Gordona!

Gladstone wciąż oponuje. Jego opinie o Sudanie różnią się radykalnie od opinii, które według

Wiktorii byłyby opiniami Alberta. Premier jest zdania, że Sudańczycy „słusznie domagają się wolności”. Błędem byłoby posyłać przeciw nim więcej wojsk. Gladstone podejrzewa, że generał Gordon celowo ściąga na siebie ataki Sudańczyków, tym samym wyzywając rząd brytyjski, by się odważył zostawić go bez pomocy.

Oponenci ewakuacji Sudanu, podżegani przez królową, łatwo znajdują okazję wzniesienia prawdziwej burzy w prasie i opinii publicznej - „angielski generał wydany na pastwę krwiożerczych dzikusów” - na rzecz wysłania ekspedycji z pomocą oblężonemu Chartumowi. Do tego właśnie dążyli królowa i Gordon, i oponenci ewakuacji Sudanu. Premier ustępuje. Zostaje wysłana silna ekspedycja. Dociera do Chartumu w dwa dni po upadku miasta, gdzie wśród gruzów poległ Gordon i cały garnizon. Niczego nie osiągnięto prócz niepotrzebnego przelewu krwi Sudańczyków, Anglików, Egipcjan. Gdyby Gordon ewakuował Chartum od razu po przybyciu, mógłby to przeprowadzić prawie bez walk. Raz jeszcze stanęła Wiktoria po stronie przemocy, a przeciw wolności.

W sprawach wewnętrznych królowa tak mało dba o „wychwalaną konstytucję”, że przez cały czas rządów gabinetu Gladstone’a uparcie komunikuje się i szuka rady u przywódcy opozycji konserwatywnej, lorda Salisbury. Posyła mu do wglądu listy, które Gladstone pisze do niej. Usiłuje zorganizować w łonie gabinetu opozycję wobec posunięć, których Albert - jest tego pewna - nie pochwaliby, jak ustawa o nadaniu samorządu Irlandii. Kiedy parlament odrzuca projekt ustawy, Wiktoria „oddycha z ulgą”. Jak widać, bez skrupułów oddaje się organizowaniu opozycji w łonie gabinetu, wybranego głosowaniem przez naród - „tylko z powodu większości głosów” - aby rządzić państwem. Może nawet poszczycić się pewnymi osiągnięciami - przelew krwi, utrzymywanie w ucisku narodów dążących do wolności, lekceważenie konstytucji, której strzeżenie powinno być jej pierwszym obowiązkiem. Albert przemawia zza grobu, w którym od ćwierć wieku spoczywa, a ona słucha i działa.

O interweniowaniu królowej w sprawy polityczne mało wiadomo poza murami pałacu buckinghamskiego i gabinetu ministrów. A gdzie docierają takie wieści, bagatelizuje się je tym chętniej, że Wiktoria pokazuje się teraz publicznie, spełniając swoje podstawowe obowiązki reprezentacyjne. W tym przynajmniej zakresie zadowala większość swoich poddanych, którym z obawy przed groźnym widmem republikanizmu pozwala się wiedzieć tylko część prawdy o panowaniu i życiu królowej.

Natomiast dopuszcza się do powszechnej wiadomości takie różne słabostki i dziwactwa, jak np. kolekcjonerska pasja Wiktorii. Ściany, podłogi, stoły, komody i biurka w jej różnych domach zatłoczone są miniaturami, modelami, fotografiami, litografiami, miedziorytami, akwarelami, rzeźbami w brązie i marmurze, odlewami gipsowymi, haftami, robotami szydełkowymi, nizanymi paciorkami, zasuszonymi kwiatami. To baronowa Lehzen - „od kminku” - wycisnęła swą pieczęć na dekoracjach wnętrza epoki wiktoriańskiej. Większość tych bibelotów to prezenty, ofiarowane niegdyś królowej. Wiktoria nie pozwala niczego wyrzucać. Jej skarby muszą być wystawione, chociaż goście nie mają gdzie się obrócić w tym natłoku sprzętów, z obawy potrącenia jakiegoś stolika czy postumentu ze statuetkami jej psów albo wnuków. Nie noszone już suknie, czepeczki, rękawiczki także się przechowuje - pieczołowicie przesypane lawendą, złożone w kufrach i skrzyniach.

Na zamku Windsor obrazy zawieszono według wskazówek Alberta. Nie wolno ich wobec tego przesunąć ani na cal, w ogóle nie wolno niczego zmienić, niczego dodać. Aby ściśle w tym samym miejscu je zawiesić po czyszczeniu lub po odnowieniu ścian, fotografuje się je uprzednio z kilku różnych punktów. A każdy szczegół umeblowania - dywany, firanki, obicia mebli - który podlega

zniszczeniu, musi być zastąpiony reprodukcją wykonaną ściśle według pierwowzoru, aby się niczym od niego nie różnił. Tak było, kiedy Albert umarł - tak więc musi pozostać. Gorąca woda i jego wieczorne ubranie są co wieczór przynoszone do Błękitnej Komnaty na godzinę przed porą obiadu.

Wszystko to jest nieszkodliwe, chociaż jest na pewno dziwactwem. Ale ponieważ Wiktorii nie pozwala na żadną zmianę w swym najbliższym otoczeniu, więc wydaje jej się, że nigdzie i nic - w nauce, sztukach pięknych, polityce, technice - nie zmieniło się od chwili śmierci Alberta. Wiktorii nie uznaje żadnych zmian w społeczeństwie, zwłaszcza takich, jakie pod wpływem coraz silniejszego nacisku związków zawodowych, powszechnego prawa głosowania i radykalnej bojowości, stopniowo wydostają się na powierzchnię życia społecznego<sup>1</sup>. Wiktorii nie ma właściwie żadnego smaku artystycznego. Nie lubi prac sławnego malarza Millais tylko dlatego, że podczas malowania uwiódł modelkę, która zresztą później została jego żoną. Nauki i racjonalistyczne myślenie, zdaniem Wiktorii, są nieokielznane. Należało zatrzymać się na osiągnięciach z roku 1861, które były zupełnie wystarczające. Gdy zamachowiec na cesarza Niemiec okazał się doktorem filozofii, Wiktorii zauważy pogardliwie:

- Wiadomo, filozofia!

Wykształcenie nie powinno być wszystkim dostępne. Albert nie aprobował oświaty dla niższych sfer społecznych. Wiktorii pisze do swojej najstraszej córki, że:

„...wykształcenie wyrabia egoizm w ludziach... a w klasach robotniczych budzi niechęć do prostych, a potrzebnych w życiu zajęć”.

Z jaką gotowością ci, którzy nigdy sami nie zapną guzika ani nie włożą szpilki we włosy, nie mówiąc już o wyczyszczeniu sobie obuwia albo napaleniu w kominku, rozprawiają o radościach „prostych a potrzebnych w życiu zajęć”!

Natomiast o religii Wiktorii wyraża się z uznaniem, ponieważ, jak to podkreślał Albert, religia uczy poszanowania autorytetu, zwłaszcza autorytetu królewskiego. Co do literatury, Wiktorii zeszła teraz z tych wyżyn, gdy czytywała Dis-raeliego i Dickensa. Jej ulubione książki noszą takie tytuły, jak „*Kłopoty ciotki Małgorzaty*” i „*Niedobre słowa*”. Z przyjemnością czyta „*Alicję w krainie czarów*”, ale, gdy przedstawia jej autora, Lewisa Carrolla, królowa nieopatrznie zarzuci wędkę, którą wyłowi nieoczekiwaną rybę. Lewis Carroll - to pseudonim. Autor „*Alicji w krainie czarów*” znany jest w świecie naukowym pod innym nazwiskiem. Gdy więc Wiktorii powie mu, że będzie niecierpliwie oczekiwać zadedykowanego jej egzemplarza jego następnej książki, otrzyma niebawem tom, zatytułowany: „*Płaszczyzny algebraiczne w geometrii*” przez Karola Dodgsona.

Chociaż Wiktorii wznowiła swoją publiczną działalność, jednak z lękiem przygotowuje się do tej „orgii rozgardiaszu i krzątaniny”, jaka oczekuje ją w roku 1887. Dnia 20 czerwca 1837 roku arcybiskup i lord kanclerz po raz pierwszy powitali ją słowami: „Boże, zbaw królową!” Pięćdziesiąt lat na tronie! Nie można uniknąć uroczystości Złotego Jubileuszu.

Wiktorii czeka na wyznaczony dzień w nerwowym napięciu, które przejawia się wybuchami złego humoru, częstszymi u. i wet niż zazwyczaj. Rankiem dnia 20 czerwca znajduje czeka ją na nią w pałacu buckinghamskim wspaniały bukiet, wy-sokości czterech stóp, złożony z cudownych orchidei. Wieczorem tego dnia przybywa ponad pięćdziesiąt królewskich i książęcych wysokości. Na wieczornym bankiecie po prawej ręce Wiktorii zasiada król Danii, po lewej - król Grecji; naprzeciw - król Belgów. Wreszcie Wiktorii ma pod dostatkiem osób „swej własnej rangi” do rozmowy.

Na uroczyste nabożeństwo dziękczynne w opactwie west-minsterskim dnia 21 czerwca Wiktorii jedzie otwartym powozem, zaprzężonym w sześć kremowej maści koni, w eskorcie kawalerii

indyjskiej. Raz jeszcze odmówiła włożenia korony i ceremonialnych szat królewskich. Nie są odpowiednie dla wdowy w żałobie po mężu, oznajmiła. Może i ona na wpół świadomie zdaje sobie sprawę z tego, co niegdyś powiedział Disraeli: „Z księciem Albertem pochowaliśmy naszego monarchę”? Wiktoria jedzie na jubileuszowe uroczystości w czarnej sukni i czepeczku. Księżna Walii, wydelegowana przez rodzinę, próbowała wpłynąć na zmianę decyzji królowej: powróciwszy powiada, że nigdy w życiu nie potraktowano jej tak obraźliwie. Jeden z ministrów zauważa, że cesarstwem włada się berłem, nie czepeczkiem. Wszystko na nic. Zwycięża czarny czepeczek, chociaż błyszczy białą koronką i brylantami.

Za królową postępuje trzech synów, pięciu zięciów i dziewięciu wnuków. W opactwie:

„Siedziałam sama (och! bez mego ukochanego męża, dla którego byłby to taki piękny dzień)”.

Pod sklepieniem opactwa rozbrzmiewały w przeszłości modlitwy dziękczynne za ocalenie kraju od wielkich niebezpieczeństw, za słynne wygrane bitwy - jeszcze nie tak dawno za zwycięstwo, odniesione przez Nelsona pod Trafalgarem i Wellingtona nad Napoleonem pod Waterloo - pieśni chwały dla ludzi, którzy przynieśli ojczyźnie triumfy i sławę. Ale tego dnia nabożeństwo dziękczynne nie wysławia żadnego osobistego osiągnięcia. Dziękuje się za zwykły, naturalny fakt, na który sama jubilatka nie miała żadnego wpływu: młoda dziewczyna, która odziedziczyła tron w osiemnastym roku życia, przeżyła dalszych pięćdziesiąt lat. Może doktor Jenner raczej niż Wiktoria, powinien być ośrodkiem uroczystości.

Wieczorem, w sali balowej pałacu buckinghamskiego odbywa się uroczyste rodzinne wręczenie prezentów. Wobec tej bardziej intymnej atmosfery zamkniętego koła rodzinnego, Wiktoria decyduje się odrzucić czarne suknie i wkłada strój, który można by zaprojektować dla wołyżerki cyrkowej, cały zahaftowany różami, ostami i koniczyną, symbolizującymi Anglię, Szkocję i Irlandię. Znowu pominięto nieszczęsny por, narodowy emblemat Walii - za skromne to warzywo!

Ceremonie męczą Wiktorię. Ma lat sześćdziesiąt osiem i cierpi na reumatyzm w nogach.

„Myślałam, że zemdleję, usiadłam więc w fotelu na kółkach i kazałam się zawieźć do moich komnat.”

Ostatniego dnia uroczystości w Hyde Parku trzydzieści tysięcy ubogich dzieci otrzymało po słodkiej bułeczce i kubku mleka, przy czym kubek z portretem królowej - okropnym! - każde dziecko dostało w podarunku. Około czterech tysięcy synów szlacheckich rodzin, starannie oddzielonych od biedaków, przybyło również na zamek windsorski, by odśpiewać dla Wiktorii młodzieżowe pieśni. Gdy na zabawie dla dzieci w Hyde Parku, wypuszczono w górę olbrzymi, kolorowy balon, jedno z dzieci pociągnęło matkę za spódnicę i zawołało:

- Mamo, królowa Wiktoria idzie do nieba!

Kobiety angielskie zbierały ze składek sumę 75 000 funtów szterlingów na dar dla królewskiej jubilatki. Część tych pieniędzy Wiktoria przeznaczą na wzniesienie jeszcze jednego pomnika dla Alberta. Resztę bardzo energicznie zabrała kobieta, której zasługi dla ludzkości zawierały się w czymś więcej, niż tylko w osobistym dożyciu późnego wieku - Florencja Nightingale. Przykuta do łóżka, fizycznie prawie niedołączna, Florencja nadal czynnie kieruje zakładaniem nowych szpitali, reorganizacją służby pielęgniarskiej, reformami organizacji domów dla ubogich i sierocińców, zakładaniem Komisji Zdrowia dla Indii, nadzorowaniem szkoły dla pielęgniarek, która nosi jej nazwisko, dostarczaniem wykwalifikowanej pielęgniarki-położnej dla każdej wsi angielskiej. Florencja jest również postrachem ministrów jak jej królewska władczyni - ale w imieniu cierpiących i chorych, i nie po to, by zachęcać do przelewu krwi w Sudanie albo do ucisku



Irlandczyków.

Oficjalne powinszowania z Okazji Złotego Jubileuszu napływają z całego świata. Z Indii nadchodzą gratulacje bardziej może wzruszające niż oficjalne:

„Cesarzowej Hindustanu, matce wszystkich królów i władców, królowej wszystkich królów, jednej wśród stu. Majestatowi królowej Wiktorii!”

Również w Indiach uczczono tę okazję otwarciem „Terenów grzebania i palenia zmarłych imienia Jubileuszu Królowej Wiktorii”.

Prasa wiele miejsca poświęca jubileuszowi, ale tytuły artykułów są prawie wszędzie takie same:

„Długie panowanie królowej”.

Rzeczywiście, o jakich tu innych osiągnięciach pisać prócz tego, że jubilatka długo siedzi na tronie?

Niektórzy uważają, że za wiele pieniędzy wydaje się z okazji tych uroczystości. Kiedy Wiktorja dokonuje ceremonii otwarcia Pałacu Narodowego we wschodniej - najuboższej - dzielnicy Londynu, towarzyszą temu hałasy i zamieszki, które z pewnym zdziwieniem opisuje królowa w liście do premiera Salisbury:

„...okropne hałasy, zupełnie nowe dla naszych uszu, to podobno nazywa się wygwizdaniem”.

Premier uspokaja ją wyjaśnieniem, że to tylko złe maniery „socjalistów i Irlandczyków”. Nie chce, by królowa dowiedziała się, ilu jej poddanych odnosi się do niej niechętnie, ilu uważa ją po prostu za niefortunną inwestycję. Jest takich w Anglii dużo więcej, nie tylko „socjalistów i Irlandczyków”. Gdy korporacja hut i doków okrętowych w portowym mieście Hull proponuje wyasygnować 30 funtów szterlingów na szkatułę dla królowej, tamtejszy klub radykalny zakłada protest, a jego pre-zes zadaje w przemówieniu trafne pytanie: „czym mianowicie królowa przyczyniła się do postępu i rozwoju Anglii?”

„Rozwój naszego kraju - ciągnie mówca - zawdzięczamy niezmożonej wytrwałości, pracowitości i talentom narodu, reformie prawa wyborczego, upowszechnieniu oświaty. Nie byłibyśmy uczciwi względem samych siebie, gdybyśmy. potulnie zezwalali trwonić państwowe pieniądze na zbyteczny blichtr, gdy mamy w Hull tysiące ludzi, którzy z trudem mogą zarobić tyle, by duszę i ciało utrzymać przy życiu...”

Radykałowie z Hull i tysiące ludzi w całym kraju obchodzą również jubileusz, ale inny. Przed pięćdziesięciu laty po raz pierwszy sformułowano żądania Karty Ludu, narodził się czar-tyzm. W chwili Złotego Jubileuszu królowej większość postulatów, zawartych w Karcie, wbrew opozycji królewskiej już wywalczone.

„Nie możemy pozwolić na to. - głosił artykuł w jednym z popularnych pism - żeby poszły w zapomnienie nazwiska czartystów. Ci ludzie i ich osiągnięcia pozostaną w ludzkiej pamięci jeszcze wtedy, gdy o królowej Wiktorii ludzie będą wiedzieli równie mało, co dziś o królowej Annie”.

## Rozdział II

### „NIECH ŻYJE KRÓL!”

Wiktoria ma manię na punkcie wznoszenia pomników i nagrobków ku czci zmarłych. Kazała stawiać pomniki Johnowi Brownowi, dzieciom, które wyprzedziły ją do grobu, ulubionym psom, a przede wszystkim i najliczniej Albertowi. Gdy ktoś z jej bliskich umiera, Wiktoria zamawia popiersie zmarłego, by postawić je w jakiejś niszy w jednej ze swych rezydencji, albo w zakątku ogrodu. Kazała zrobić między innymi naturalnej wielkości marmurowe posągi Alberta i siebie samej w kostiumach z epoki średniowiecza! Pod posągiem męża poleciła wykuć słowa:

„Znęcony blaskiem jaśniejszych światów, tam prowadzi...” Środa, 14 stycznia, 1901 roku. Tego dnia po raz pierwszy pojawiają się oznaki, że Wiktoria niebawem pójdzie w ślad za swoim mężem. Kartka w jej dzienniku, która powinna być oznaczona tą datą, pozostaje czysta. To rzecz niebywała! Chociaż Wiktoria, licząca osiemdziesiąt dwa lata, ma lekką kataraktę, widzi jak przez mgłę, pisze z trudem i prawie nieczytelnie, chociaż jej niegdyś potokiem płynąca korespondencja wyschła do cieniutkiego strumyczka wobec konieczności dyktowania listów - jednakże zawsze, aż do> tego dnia, zdołała utrzymać w ręku pióro, by samej kreślić codzienne zapiski w dzienniku.

Dziś czuje się wyjątkowo źle. Dokucza jej ból serca. Nie może pisać.

Sobota, dnia 17 stycznia. Z Osborne House, gdzie Wiktoria przebywa, wydany zostaje oficjalny, ostrożnie sformułowany biuletyn.

„Jej królewska mość nie cieszy się ostatnio dobrym zdrowiem”.

Wiktoria skarży się na pogodę mglistą, mroczną, każe przynieść światło, a gdy domownicy zapalają lampy, narzeka, że to nic nie pomaga. Leży w wielkim łożu pod baldachimem i nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo wzrok jej nie dopisuje.

Tyłu jej bliskich odeszło już, „znęconych blaskiem jaśniejszych światów”...

„...Bóg wie, że żaden minister, nikt z moich przyjaciół nie posiadał nigdy mego zaufania tak absolutnie, jak ten naprawdę wspaniały człowiek, lord Melbourne.”

\*\* \*

\* A teraz, mamó, czy jestem naprawdę królową?

\* Widzisz, że tak, moja droga!

\* W takim razie, droga mamó... pozwól mi być samą przez godzinę.

\*\* \*

„Z moją anielską, najdroższą mateczką Lehzenką, którą tak gorąco kocham!” Albert inaczej ją widział: „...głupia, narwana, wulgarna intrygantką, chora na obsesję zdobycia władzy”. Za ostro!”

\*\* \*

„...jego ojciec był nie tylko Żydem, ale zwykłym literatem.”

\*\* \*

„...nieoceniony... taki prosty, inteligentny, i tak niepodobny do zwyczajnego sługi”...gdy zimą

noce były długie...”

„Jej królewska mość zmuszona jest wyrazić życzenie, aby to nie powtórzyło się więcej.” On też, prywatny sekretarz, który może nie był jej bliskim, ale miał wellingtońskie poczucie lojalności wobec swej monarchini - już nie żyje. Zmarł na udar serca w listopadzie 1895 roku.

\*\* \*

„...nie jest zupełnie normalny... Nigdy nie piszę do premiera w innych sprawach, oprócz ściśle oficjalnych.” Faworyt ludu, William Gladstone, zmarł licząc osiemdziesiąt dziewięć lat, w roku 1898.

\*\* \*

- Zapominasz, mój najdroższy, że jestem suwerenem... musimy to omówić... Królowa Anglii... twoja żona, Albercie... najdroższy anioł... Albert... Albert... Albert...

Wtorek, 20 stycznia. Królowa traci przytomność, znowu ją odzyskuje, traci...

Jaka pogoda? Znowu mglisto, mroczno. Trudno. Najdroższy Albert powiedz' alby, że tego nie można zmienić. Trzeba się pogodzić. Jajecznicza na śniadanie. Nie mam apetytu. Albert zawsze lubił jajecznicę.

- X-

Nad łóżkiem królowej, tuż nad poduszką, wisi fotografia głowy Alberta, zrobiona po jego śmierci. Nad nią wieniec z nieśmiertelników.

„Znęcony blaskiem jaśniejszych światów...”

\*\* \*

- Przypomnijcie służbie o jego wieczorowym ubraniu, o go ręcej wodzie przed obiadem. Jego pokoje na zamku Windsor mają być zachowane tak, jak są. Odwiedzajcie codziennie mauzoleum.

Wiktoria panuje o cztery lata dłużej, a żyje o jeden dzień dłużej od wszystkich innych monarchów angielskich, bijąc rekord swego stryjecznego dziada, Jerzego III (urodzony w roku 1738, wstąpił na tron w roku 1760, zmarł w roku 1820). Jak tancerz, który nie mogąc zwyciężyć współzawodników doskonałością swojej sztuki, bije rekord nieprzerwanego tańca i eliminuje innych samą tylko wytrzymałością; jak zawiedziony w swoich ambicjach artysta czy urzędnik szuka chwilowej sławy, kładąc się do zamkniętej trumny na dłużej, niż ktokolwiek żywy potrafił wytrzymać do tej pory - tak Wiktoria, nie mogąc być Kleopatram, Elżbietą I, czy choćby Katarzyną Wielką, zdobyła sobie jednak sławę długowiecznością.

Określenie „era wiktoriańska” może łatwo wprowadzić w błąd przy bardziej powierzchownym pojmowaniu historii. Długie panowanie Wiktorii objęło różne epoki, było świadkiem przesunięcia się wahadła zegara od gospodarki arystokratyczno-ziemiańskiej do plutokratycznej, przekształcenia oligarchii w coś zbliżonego do rządów demokratycznych, wymknięcia się pierwszeństwa w przemyśle światowym z rąk Wielkiej Brytanii i skierowania w inną stronę energii i kapitału, który przestano inwestować w maszyny, a zaczęto lokować w przedsięwzięcia handlowe, w ośrodki dystrybucji. Za jej panowania też miało miejsce usunięcie w cień uczonych i wynalazców przez hurtowników i kupców, speców od reklamy i eksploata-torów afrykańskich kopalni diamentów; zastąpienia humanistycznego uczonego, który wiedział coś o wszystkim, a wszystko o czymś jednym, ekipami ekspertów, którzy wiedzą tak wiele o tak wąskiej dziedzinie, że nie mogą niczego skrytykować, ani też ich skrytykować nie można. Wiktoria w ostatnich latach swego panowania jest również świadkiem wzrostu znaczenia klas pracujących nie tylko poprzez rozwój związków zawodowych i powstanie ruchu socjalistycznego, ale nawet w tym niegdyś sanktuarium

zarezerwowanym dla potomków możliwych rodzin - w Izbie Gmin, oraz coraz uporczywszych żądań kobiet, domagających się równych praw z mężczyznami.

Z tym wszystkim królowa miała mało do czynienia. Jest ironią dziejów, że Wiktoria nadała swe imię epoce, dla której wielkich spraw, idei i prądów nie miała ani zrozumienia, ani sympatii.

Od śmierci Alberta Anglia coraz bardziej wycofywała się - wyjąwszy odosobnione wydarzenia - z udziału w sprawach reszty Europy. Uwagę kraju zajmował rozwój imperium, tkwiący korzeniami w potrzebach plutokracji znalezienia zyskownych inwestycji dla nagromadzonego kapitału, rozwój imperium, któremu marzenia Disraeliego nadały wyraz i formę artystyczną. W ciągu dziesięciu lat od zakończenia konferencji berlińskiej do dominiów królowej został dołączony obszar pięćdziesięciokrotnie większy od obszaru Wielkiej Brytanii. Długość granic, których należało strzec, zwiększyła się proporcjonalnie. Anglia nie może sobie pozwolić na zobowiązania na kontynencie europejskim. Wybudowała potężną marynarkę, by pilnować rozległych dróg morskich. W oczach reszty Europy, Anglia - perfidny Albion - wydaje się arogancka i lekceważąca, jej protestancka moralność zakłamaniem i hipokryzją, jej dyplomacja kierowana egoizmem bez żadnych skrupułów.

Wbrew gorącemu pragnieniu interweniowania, w sprawy polityki zagranicznej, wbrew jej entuzjazmowi dla imperialistycznych przedsięwzięć Disraeliego, Wiktoria nigdy nie mogła zrozumieć, na czym polega zmieniona sytuacja jej królestwa w świecie. Jej pojęcia o polityce zagranicznej są pojęciami Alberta z roku 1861. Politykę imperialną opiera na dość dziecinnym dążeniu do osobistego wyniesienia: „Jestem cesarzową... dlaczego właściwie nie przyjąłam tego tytułu?” - a także na niekobiecej gotowości do prowokowania przelewu krwi: „...musimy być przygotowani na ataki i wojny, które tu czy gdzie indziej toczą się nieustannie”. Wiktoria mało zna Euro-pę poza dworami niemieckich książątek, a zupełnie nie zna imperium, którego jedyny *zakątek* oglądała z pokładu okrętu, gdy wybrała się tuż za cieśninę, do Irlandii.

Od 1840 do 1861 roku, pod naciskiem księcia Alberta, który zawsze przejawiał skłonność do ewentualnej autokracji, władza królewska, jej wpływ, inicjatywa, siła oporu wzrastały stale, stopniowo słabnąc dopiero w latach od 1861 do 1901. Królowa bywała przeszkodą, stwarzała trudności i kłopoty - nigdy nie wywierała zdecydowanego wpływu. Albert był inteligentniejszy, bardziej stanowczy od większości ministrów. Wiktoria ulegała kolejnym politykom, którzy stopniowo, przy pomocy pochlebstwa, brutalności albo wręcz ignorowania jej, pozbawili koronę wszelkiej władzy. Tron stracił na znaczeniu i wpływach, a zarazem stał się bezpieczniejszy niż kiedykolwiek w historii Anglii. Obecna władczyni zyskała popularność, ponieważ jest bezsilna, odgrywając jedynie rolę matriarchalnej postaci, ale jak każda inna aktorka - gdy zejdzie ze sceny, nie posiada matriarchalnej władzy, chyba tylko we własnej rodzinie.

\* \* \*

Środa, 21 stycznia. Cała rodzina zebrała się w Osborne, w komnacie przyległej do sypialni królowej. Wszyscy są przygnębieni. Nerwowe napięcie doprowadza do niestosownych sprzeczek. Jeden z wnuków, cesarz Wilhelm, kryjąc swoje ułomne ramię, ze złośliwym uśmiechem pod zakreconym do góry wąsem, obserwuje swoich wujów, ciotki i kuzynów.

Trzej członkowie rodziny noszą tytuł cesarski: Wiktoria, cesarzowej Indii, jej nastarsza córka, cesarzowej wdowy Niemiec, jej wnuczka Aleksandra, carowej Rosji.

Trzej kolejni następcy tronu angielskiego w prostej linii żyją tego dnia, kiedy mijają ostatnie chwile życia obecnej monarchini: księżę Walii (Edward VII), jego najstarszy, pozostały przy życiu syn Jerzy (później Jerzy V) i wnuk, a prawnuk Wiktorii - Edward, któremu przeznaczone będzie ab-

dykować z powodu miłości do kobiety. Księciu Walii do tej pory nie wolno dzielić z matką jej „kieratu”. Wiktoria doprowadziła go do samych stóp tronu bez żadnej znajomości administracyjnej strony jego przyszłych obowiązków.

Przez całe swoje życie Wiktoria zachowała - mimo paru niefortunnych niedyskrecji prasy, zwłaszcza zagranicznej - pozory przykładowego ogniska rodzinnego, tak pożądane przez plutokrację i sfery mieszczańskie. Oni to, bez których podpory monarchia nie egzystowałaby dłużej, naśladowali jej pojęcia wzorowej rodziny, wypełniali swoje własne domy miękko wyściełanymi, ciężkimi meblami i niezliczonymi bibelotami. Teraz uważają, że to Wiktoria naśladowała ich i kanonizują ją, jako „królową ogniska rodzinnego”.

Czwartek, 22 stycznia. Doktorzy wzywają księcia Walii, nad którego głową już prawie widzialnie unosi się korona, do wezglowia matki. Królowa otwiera na chwilę oczy. Księżę ujmuje jej rękę w swoją. Wiktoria szepcze jego zdrobniałe imię:

- Bertie.

To ostatnie słowo, które świadomie wymawia.

Arcybiskup Randall Davidson - ten sam, który jako dziekan Windsoru sprzeciwił się opublikowaniu pamiętnika o Johnie Brownie - modli się przy łóżku umierającej. Przez całe jej długie wdowieństwo, które przeżyła tak, jakby Albert umarł zaledwie przedwczoraj, stale podtrzymywała ją wiara, że u kresu swego życia - gdy zostaną jej zapomniane wszystkie wybuchy złego humoru, kaprysy, upór, brak względów dla innych - ona sama połączy się ostatecznie z „najdroższym aniołem”. Racjonalizm jest obcy jej umysłowości. Nie chciała przyjąć faktu, że to ostateczne połączenie będzie tylko połączeniem prochów.

Mroźne popołudnie. O godzinie czwartej wydany przez lekarzy b'uletyn ogłasza:

„Królowa jest w stanie agonii”.

Komnata sypialna w Osborne przedstawia posępną scenę. Wokół łóżka zgromadzili się synowie i córki, zięciowie i synowe, wnukowie i wnuczki z mężami i żonami. Nie wiadomo, z czyjej makabrycznej inicjatywy, zebrani zaczynają kolejno wywoływać własne imiona, jeden po drugim, jakby chcieli przypomnieć konającej, by nie zapomniła przekazać od nich pozdrowienia Albertowi. Twarz Wiktorii zmienia się, łagodnieje, osiada na niej wyraz prawie dziewczęcej pogody. W chwili śmierci podtrzymuje ją swym jednym zdrowym ramieniem cesarz niemiecki, jakby dla przypomnienia, że w małżeństwie leżała w ramionach również niemieckiego księcia. O w pół do siódmej nadchodzi kres. Matriarcha bez matriarchalnej władzy, „królowa ogniska rodzinnego”, której jedynym osiągnięciem była długowieczność - nie żyje.

Istotnie, żyła dosyć długo. Wzniesiona na piedestał przez ludzi, którzy najmniej o niej wiedzieli, przygniatała całym ciężarem bożyszczka. Natomiast ci, którzy znali ją najbliżej jako kobietę i jako królową, przeważnie przyjmują jej śmierć z westchnieniem ulgi. Jej anachroniczna egzystencja zmieniała bowiem teraźniejszość w przeszłość i opóźniała nadejście przyszłości.

- Królowa nie żyje. Niech żyje król!

\* \* \*

W sali jadalnej w Osborne urządzono kaplicę. Trumnę - do której miarę zdjął cesarz Wilhelm, a w którą położyli ją synowie, gdyż nikomu prócz rodziny nie wolno było jej dotknąć - okrywa szata koronacyjna, a mała, wysadzana diamentami korona leży na aksamitnej poduszce tuż obok jej głowy. Wyżej położono portret Alberta - oznaka współczucia i zrozumienia, za którą Wiktoria byłaby wdzięczna tym synom i córkom, w których towarzystwach mało za życia znajdowała

przyjemności.

Po śmierci, jak za czasów swego wdowieństwa, Wiktorja zdaje się unikać stolicy państwa. Trumna z jej zwłokami, ominąwszy Londyn, odwieziona jest wprost do Windsoru i złożona w mauzoleum obok „najdroższego anioła.”

\* \* \*

Wybitny historyk i eseista, William Macaulay, pisał w 1834 roku, że „biografowie, tłumacze, redaktorzy, słowem wszyscy, którzy trudnią się pisaniem i objaśnianiem cudzego życia, są szczególnie podatni na chorobę admiracji”. Nigdy słowa te nie były prawdziwsze, jak w odniesieniu do licznych biografów na wpeł niemieckiej księżniczki, która w 1837 roku wstąpiła na tron angielski. Wielu z nich będzie chylić czoło przed jej wdowim ezepeczkiem, jej długowiecznością, będzie ją uznawać za symbol obyczajności i imperialnej chwały. Ale badanie życia i pracy Wiktorji nasuwa pytanie: kto odniósł korzyści ze zbiegu okoliczności, który uczynił tę kobietę królową?

W miastach Anglii wznoszone są z kamienia i cegły pomniki pamięci innej sławnej kobiety - Florencji Nightingale. To ta kobieta poświęciła swe życie, by przynieść pożytek innym. Jej pomniki to jasne, czyste, przestronne budynki, o salach zastawionych białymi łózkami, wśród których krzątają się wykwalifikowane pielęgniarki i lekarze. Tych pomników nikt nie zechce ruszyć. Te pomniki i kobieta, która je wznosiła, będą miały coraz więcej znaczenia. Im podobne, wciąż nowe, będą stawiane na całym świecie.

Ale bezużyteczne kamienne pomniki, wzniesione pamięci Wiktorji, przygniatają postumenty martwym ciężarem. Pomniki, jak monarchowie, mogą być zmiecione albo własnym rozpadem, albo gwałtem. Nikomu korzyści nie przynoszą, może tylko kamieniarzom. Obrastają mchem i ptasim pomiotem. Coraz mniej mają znaczenia. Aż wreszcie to, co z nich pozostanie, zostanie wywiezione wozami na podmiejskie śmietnisko.

„Królowa nie żyje. Niech żyjeSkról!”

**Autor korzystał między innymi z następujących źródeł:**

Aldington R.: *Wellington*, London

Bell H.C.F.: *Life of Palmerston*, London

Blake Robert: *Disraeli*, London

Blunt W.S.: *Gordon at Khartoum*, London

Booth W.: *In Darkest England*, London

Cecil David: *Lord Melbourne*, London

Cecil Lady Gwendoline: *Life of Salisbury*, London

Cole G.D.H.: *A Short History of the British Working Class. 1787 do 1847*, London

Engels F.: *The Condition of the Working Class in England*, London

Eyck Frank: *The Prince Consort*

Fulford Robert: *The Prince Consort*

Guedalla Philip: *The Queen and Mr. Gladstone*, London

Hovell M.: *The Chartist Movement*, London

Letters: *Wellington and His Friends*, London

Longford E.: *Victoria R.I.*, London

Magnus Philip: *Gladstone*, London

Morton A.L.: *A People's History of England*, London

Mowat R.B.: *The Victorian Age*, London

Ponsonby Arthur: *Henry Ponsonby, His Life from his Letters*, London

Ramsay A.W.: *Sir Robert Peel*, London

„Social England”, Vol. VI (1615-85), London

Strachey Lytton: *Queen Victoria*, London

Strachey Lytton: *Eminent Victorians*, London

Thomson David: *England in the 19th Century*, London

Tisdale E.E.I.: *Queen Victoria's Private Life*, London

Tooley Sarah: *Florence Nightingale*, London

Trevelyan G. M.: *British History of the 19th Century*, London

Victoria: *Leaves from the Journal of My Life in the Highlands*, London *More Leaves from the*

*Journal of Our Lives in the Highlands*, London

*Journal*, London *Letters*, London

Woodham-Smith Cecil: *Florence Nightingale*, London

Woodward E.L.: *The Age of Reform. 1815-70*, Oxford

Young G.M.: *Victorian England. Portrait of an Age*. Oxford